

ROBERT MAŁECKI

skaza

*Mroczny kryminał o piekle polskiej prowincji,
rodziny i... policji. Małecki to autor, którego
poznać powinien każdy fan gatunku.*



WOJCIECH CHMIELARZ

skaza

**R O B E R T
M A Ł E C K I**

skaza

Teresie i Teofilowi Ernestom

– moim wspaniałym Teściom



prolog

– To ty? – Na odgłos kroków mężczyzna dźwignął schorowane ciało z siedziska w łódce, a na jego zziębniętej, woskowej twarzy wykwitł grymas bólu. Trząsał się z zimna.

Czekał na zamrożonym jeziorze, pogrążonym w gęstej mgle, już długo. Mróz wgrzyzał się w buty, kasał zeszywniałe dłonie i przenikał przez warstwy zimowych ubrań. Jeszcze przed przyjazdem, kiedy wybierał kurtkę, nie sprawdził, że zamek błyskawiczny jest wyszczerbiony. Ucieszył się, bo była czysta, pachniała świeżo proszkiem do prania. Okazało się jednak, że suwak trzymał tylko u dołu, więc poły okrycia rozchodziły się na boki.

Bał się, że nie doczeka. Że leki zaczną szybciej działać i że wszystko weźmie w łeb.

Kiedy tu przyszedł, dostrzegł na dnie łódki butelkę. Odkręcił ją i powąchał. Zawartość pachniała świeżą, jakby wiosenną rozkopaną glebą. Od razu przypomniał sobie o wędkach. Nie zdążył ich kupić, a tak naprawdę chyba zwyczajnie zapomniał, myślał o ważniejszych sprawach. Teraz ucieszył się, że chłopak był tu chwilę przed nim. Liczył więc, że nadal jest gdzieś w pobliżu i obserwuje go z ukrycia. Sprawdza. Może się waha, może się boi.

Ponownie usłyszał rytm kroków. Były wyraźne, ale nie wiedział, skąd dochodzi ten dźwięk. Miał wrażenie, jakby docierał do niego z każdej strony.

– To ty? – powtórzył.

Zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć.

Z mgły wyłaniała się wolno postać.

Starał się uśmiechnąć. Lodowata skóra naciągnęła się.

Zgrabiłymi rękoma sięgnął do zawieszzonego na szyi łańcucha z przyczepionym kluczem.

– Widzisz? – powiedział głośniejsz niż zamierzał. – Mam go, tak jak obiecałem. Nie bój się.

Podejdź.

Mężczyzna dodatkowo zachęcił nadchodzącego gestem, po czym wychrypiał:

– Mamy mało czasu.

Pochylił się i oparł udami o burtę. W pierwszej chwili chciał przełożyć przez nią nogi i ruszyć w kierunku rozmazywanej przez kłęby mgły postaci, która teraz wydawała się jakby z innego wymiaru. Wiedział, że to ponad jego siły. Zamrugał i ponownie wyteżył wzrok. Spojrzał przed siebie i na boki. Znowu się pochylił.

Dotarło do niego, że tam gdzie patrzy, nikogo już nie ma.

Może miał zwidy. „To przez te leki”, pomyślał.

Nie poddał się. Z trudem uniósł nogę, by przełożyć ją przez burtę i ruszyć po lodzie w tamtą stronę.

– Nie rób tego. – Usłyszał czyjś szept za plecami.

Zaskoczony, odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mężczyznę stojącego przy łodzi.

– Chryste! – jęknął. Jego oczy powiększyły się. Ponownie chwycił skostniałą dłońią klucz zawieszony na szyi, jakby to był krzyż, który miał go bronić przed demonami z przeszłości. Poczul szarpnięcie i nagle zrozumiał, że został bez swojego talizmanu.

– Ej! – chciał krzyknąć, ale ledwie szepnął.

Ukląkł i rozejrzał się wokół, ale nie widział już niczego. Czuł się zupełnie bezsilny. Zaczął płakać, gdy usłyszał głuchy trzask gdzieś w oddali, a po nim chlupot wody. Krótki i intensywny.

Osunął się na dno łodzi i poczuł, jak zimno go pochłania, odbiera mu czucie i zmysły. Jego ciało wpadło w drgawki.

Zdawało mu się, że zanurza się w gęstej i zimnej galaretowatej wodzie. Trwało to jakiś czas, aż w pewnej chwili nieznośny chłód zmienił się w delikatne ciepło. Jakby dotyk czyjejś ciepłej dłoni, lekki masaż przywracający właściwe krążenie. Koliste ruchy ogrzewały go, jak pierwsze wiosenne promienie słońca. Poczul się lepiej, tak jak wtedy, gdy kończył śnić swój najgorszy koszmar. I żeby się

o tym przekonać, otworzył oczy.

Widział teraz wyraźnie oświetlone słońcem gęste korony drzew, pełne jasnozielonych liści, półcienie i cienie, które ukrywały się między gałęziami, i głęboką czerń w tle, w pobliżu potężnych pni. Słyszał szmer wody obmywającej piaszczysty brzeg jeziora i trele ptaków, gdzieś nad głową.

Odepchnął łódkę od brzegu i w kryształowo czystej wodzie, w której pływały kolorowe ryby, zanurzył wiosło. Zmąciło wodę i wywołało drobne zmarszczki, które rozeszły się kolistą małą falą. Dno, które miał pod sobą, mieniło się złotym piaskiem. Cichy chlupot wody był kojący. Wiosłował spokojnie w stronę środka jeziora, wciąż czując na ogorzałej skórze powiewy gorącego wiatru.

Słońce go oślepiało, dlatego przyłożył dłoń do czoła, formując daszek. Chciał zobaczyć, gdzie dokładnie jest, ale nie zdążył.

Bo nagle wszystko zgasło.

*

Kiedy komisarz Bernard Gross ustawił znicz na grobie kobiety, którą zabił, deszcz ze śniegiem cięły z ukosa.

I teraz, i wtedy też było ciemno.

Gross postawił kołnierz skórzanej kurtki, skulił się z chłodu i ustawił plecami do wiatru. Wciąż nie odrywał wzroku od nagrobka. Lichy płomień dygotał, oświetlając niewielki fragment brązowego, gładkiego marmuru chłostanego deszczem. Na jego powierzchni pojawiały się i znikwały okręgi.

Takie same widział dawno temu, ale z zupełnie innej perspektywy. Leżał obok z nieruchomym, jakby martwym wzrokiem wbitym w marszczoną wiatrem kałużę przed własnym domem. Czuł na policzku chłód kostki granitowej. Woda ściekała po wyłożonym tą kostką chodniku i spływała dalej razem z krwią z pękniętej skóry na głowie. A kobieta, którą zabił, musiała leżeć kilkadziesiąt metrów przed nim, daleko poza zasięgiem jego wzroku.

Na cmentarz przychodził co roku. Zawsze wieczorem, tak by rodzina kobiety nie musiała go oglądać, wyzywać od morderców, jak to miało miejsce wcześniej. Przychodził tu, zapalał znicz i zastanawiał się, co tak naprawdę wydarzyło się jesienią dwa tysiące ósmego roku. Od tamtych zdarzeń minęło dziesięć lat.

Razem z jedenastoletnim synem wracali wtedy z zakupów. Po fali lutowych mrozów pojawiła się odwilż, a wraz z nią deszcze. Śnieg nie zdążył jeszcze stopnieć. Zaparkował volvo przy domu na Kwiatowej w Toruniu i odniósł wrażenie, że blask reflektorów odbił się w oknach w salonie. Krótkotrwały refleks. Wyglądało na to, że Agnieszka pogasiła światła. Może kolejna fala migreny, pomyślał. Bo właśnie z powodu bólu głowy żona Grossa została w domu.

Nie wjechał do garażu, bo pordzewiały kontener wypełniony gruzem i pozostałościami po remoncie kuchni oraz łazienki blokował wjazd. Gross wysiadł i chroniąc się przed deszczem, przeszedł do bagażnika. Bartek, jego syn, zrobił to samo. Wzięli po kilka reklamówek, które natychmiast zaczęły wżynać się im w palce. Wolną ręką zatrzasnął klapę i wtedy to usłyszał.

Bartek jak nakręcony opowiadał mu o cenie nowej gry komputerowej, ale Gross się wyłączył, bo do jego uszu, przez szum deszczu, przedarł się stłumiony krzyk. Znieruchomiał jak pies, który wyczuł wroga.

A potem wszystko działo się błyskawicznie. Rzucił torby i pobiegł w stronę furtki. Dalej, w świetle żółtej lampy, która oświetlała wejście nad gankiem, zobaczył otwarte drzwi do domu. Resztę pamiętał jak przez mgłę.

Wpadł do wnętrza, rozglądając się. Bartek był krok za nim. Gross wykrzyknął imię żony. Na parterze w salonie i kuchni jej nie było. Pognał na górę do sypialni. Drzwi były uchylone. Pchnął je i wtedy światło z korytarza wlało się trapezem do pomieszczenia.

Na łóżku zobaczył mężczyznę w kominiarce siedzącego okrakiem na Agnieszce

i przyciskającego poduszkę do jej twarzy. Ręka żony zwisała swobodnie. Uderzenie adrenaliny zaślepiło Grossa.

Walka, ból, metaliczny smak krwi i rana, jaką zadał napastnikowi. Tylko tyle zapamiętał. Gonił mężczyznę, zbiegł na dół. Znalazł się w kuchni. Chwycił nóż i najpierw przeciął tym nożem powietrze, ale później trafił na prawą łopatkę bandyty. Nacięcie na bluzie i krwawy ślad na ostrzu były kolejnymi przebłyskami z tamtych zdarzeń. Uciekinier ryknął, ale zdołał wybiec z domu.

Dalej Gross miał jeszcze większe dziury w pamięci. Nie wiedział, co w tym czasie działo się z jego synem i żoną. Nie wiedział, jak i skąd w swoich dłoniach dojrzał pistolet, policyjnego walthera. Nie nosił wtedy służbowej broni przy sobie, nie trzymał jej też w domu. Wybiegł na zewnątrz. Znowu miał przed sobą plecy uciekiniera. Wymierzył do niego, gdy po drugiej stronie drogi dostrzegł kobietę. Ale było już za późno.

I wtedy, wraz z hukiem wystrzału, stracił świadomość. Obudził się dwa dni później w szpitalu.

Po kilku miesiącach uzyskał dostęp do akt śledztwa prowadzonego w tej sprawie przez policjantów z Poznania. I chociaż znał te ustalenia na pamięć, to wciąż obwinał się za to, co się wtedy stało. Nie chodziło tylko o Agnieszkę, nie chodziło o wyrządzoną jego rodzinie krzywdę, ale o tę Bogu ducha winną kobietę po drugiej stronie jezdni.

Gross, wpatrując się w płonący znicz, wciąż sądził, że to on ją zabił.

Nosił w sobie tę winę już dziesięć lat.

dzień pierwszy

– Kolacja? – spytał zaskoczony.

– Tak. – Uśmiechnęła się bibliotekarka w zimowy, sobotni poranek. – Zwykła kolacja.

Kiedy przychodził po książki, milczący jak zawsze i niespecjalnie skłonny do rozmów o literaturze, co w tym akurat miejscu mogło wydawać się dziwne, często trafiał właśnie na nią. Malwina Lemańska. Mogła być od niego młodsza zaledwie kilka lat. Zawsze kompetentna, sprawnie i rzeczowo odpowiadała na jego pytania o książki konkretnych autorów, których tytuły wyczytywał z długiej listy spisanej nierównym pismem w pomiętym notesie. Czasami podsuwała nowości i umiejętnie, nienachalnie doradzała. Uśmiechała się, jakby była dla innych niewyczerpalnym źródłem optymizmu, niezbędną dawką radości, którą emanowała każdego dnia. Gross zastanawiał się, czy to normalne. Zazwyczaj obserwował ją kątem oka, niby wpatrzony w wypełnione woluminami regały, z których unosił się drażniący zapach starego papieru i mdława woń kurzu. Bez względu na to, czy miała przed sobą starszą kobietę, przystojnego faceta, czy niezdecydowaną nastolatkę, umiała nawiązać z nimi dialog. Słuchała uważnie, podchwytowała spojrzenia. Dyskretnie, nie dając nikomu odczuć, dominowała w tych relacjach, roztaczając wokół siebie aurę wewnętrznego ciepła, spokoju i serdeczności.

Kiedy Bernard Gross otwierał drzwi do działu wypożyczeń i zastawał Malwinę Lemańską wśród regałów lub przy biurku z komputerem, czuł się nieswojo. Kobieta onieśmiałała go sposobem bycia, wrodzoną elegancją, rzędem lśniących zębów, które odsłaniała w pełnym ciepła uśmiechu. W jej mądrych oczach, za okularami w delikatnych oprawkach, stale dostrzegał błysk radości i zaczął się zastanawiać, co ona znajduje w jego pospolitej twarzy i spojrzeniu. Pustkę czy samotność? A może podszytą lękiem i starannie ukrywaną bezbronność?

Przekrzywiła głowę tak, że długie kasztanowe loki spoczęły teraz na prawym ramieniu. Gross zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy szukał wzrokiem obrączki na jej szczupłych palcach wypielęgnowanych dłoni. Zganił się za to.

– To chyba mężczyzna powinienem zapraszać kobietę na kolację? – Komisarz podciągnął suwak skórzanej kurtki pod samą szyję. Odnotował, że nosiła jedynie pierścionki.

– Pan tego nigdy nie robi. – Zaśmiała się.

– Nie? Skąd ta pewność?

– Bo pan się w ogóle nie odzywa, panie komisarzu.

Westchnął, wciąż nie ruszając się z miejsca. Poniekąd miała rację.

– Kolacja – powtórzył. – W takim razie dlaczego chce pani zjeść kolację w moim milczącym towarzystwie?

– Milczenie to skarb z ukrytą tajemnicą. – Wciąż nie traciła entuzjazmu. – Chciałabym pana lepiej poznać.

Gross patrzył uważnie w jej piwne oczy, próbując znaleźć w nich odpowiedź na pytanie, które kołatało mu się w głowie. A może ta propozycja był zwykłym żartem?

– Czy to coś złego? – spytała, kiedy cisza przedłużała się.

Komisarz powiódł wzrokiem za okno na chełmżyński rynek.

Zło.

Cała jego robota, a po tym, co wydarzyło się dziesięć lat temu w Toruniu, również całe jego dorosłe życie, związane było ze złem. Złem, którego śladem podążał jak pies biegnący przed siebie z nosem w ryzsztoku. Nie miał czasu podnosić głowy, rozglądać się i czerpać z życia. A może nie chciał, może nie umiał. Albo po prostu bał się, że tym złem przesiąknięty jest na wskroś i może nim zarażać.

– Nie. To chyba nic złego – dodał i uniósł książkę, którą wypożyczył. – Oddam w poniedziałek. Chwyć za klamkę. Bez słowa pożegnania wyszedł do ciemnego i zimnego holu, a następnie

szarpnął ciężkie drewniane drzwi. Kiedy znalazł się na niewielkim, pospolitym rynku, kamienice i drzewa znajdujące się na wschodniej pierzei skąpane były w ostrym słońcu rozświetlonym na bladoniebieskim niebie. Jaskrawe promienie połyskiwały w wysokich zwałach brudnego śniegu.

Gross wszedł w wąską, zacienioną ulicę Kopernika, biegnącą równoległe do linii brzegowej skutego lodem jeziora. Minął bezdomnego w czerwonym płaszczu, który gadał coś do siebie. Zmierzał w stronę widocznego na końcu jezdni budynku z cegły. Przed wyjazdem do Torunia chciał zabrać z komisariatu zostawioną na biurku komórkę. Zapomniał jej po piątkowym, wyczerpującym dyżurze.

Przeszedł obok gotyckiej świątyni, minął zaparkowane samochody i przeciął prostopadłą jezdnię. Kiedy znalazł się we wnętrzu chełmżyńskiego komisariatu, pokonał kilka stopni i przywitał się z oficerem dyżurnym.

– Spokój? – Gross nachylił się do okna niewielkiego okienka.

– Jeszcze wcześniej, więc jest tylko drobnica – rzekł młody funkcjonariusz zza biurka.

– Czyli spokój.

Zabrzączał elektromagnes i Gross pchnął drzwi. Gdy otrząpywał buty na gumowej wycieracze, pod którą leżała mokra i brudna szmata, usłyszał gromki śmiech. Na mlecznej szybie drzwi siłowni kładły się ruchome cienie. Ruszył drewnianymi schodami na piętro. Minął zamknięte drzwi do sekretariatu i pokoju komendanta oraz jego zastępcy i wszedł do swojego gabinetu, który znajdował się nieopodal schodów.

Spojrzał na czyste biurko, na którym nie było jego telefonu. Na regale obok też nie. Wykręcił ze stacjonarnego numer do siebie i dopiero po chwili usłyszał cichy dźwięk dzwonka. Odszukał aparat w jednej z zamykanych na klucze szuflad i schował go do kieszeni. Zbiegł po schodach i ponownie znalazł się na mrozie i oślepiającym porannym słońcu, które wychyliło się zza wieży majestatycznego, ale zrujnowanego kościoła Świętego Mikołaja. Czerniałe cegły kruszały, a wyszczerbione smukłe witraże sprawiały wrażenie, jakby o świątyni zapomniał sam Bóg.

Gross szedł drogą wysłaną ubitym śniegiem, opadającą w kierunku przystani wioślarskiej na jeziorze. Skręcił w stronę drewnianego pomostu i zobaczył okna swojego mieszkania w bloku przy Kościuszki 40, na wzgórzu po zachodniej stronie jeziora. Wychodziły na zamrznięty akwen i skutą w pobliżu przeciwległego brzegu łódkę.

Minął pierwszych porannych spacerowiczów i wrócił myślami do propozycji Malwiny Lemańskiej. Do oczekiwań, jakie miała wobec tego spotkania. I do własnych oczekiwań. O ile je w ogóle miał.

Popatrzył na okładkę cienkiej książeczki, którą mu poleciła. *Nocny lot Antoine'a de Saint-Exupery'ego*. Podobno o pilotach walczących z żywiołem, zawieszonych między życiem a śmiercią. Gross chodził twardo po ziemi, ale opis na tylnej okładce właściwie wiele mówił mu o jego walce. Wsadził książkę pod pachę i schował spierzchnięte dłonie w kieszenie kurtki. Jego kroki dudniły na drewnianej kładce łączącej brzegi.

Nic o nim nie wiedziała, pomyślał i miał tę myśl pociągnąć dalej, ale przeszkodził mu szczekający pies.

Zerknął w lewo. Na tafli lodu, w pobliżu przystani wioślarskiej, ślizgała się dziewczynka, ciągnąc psa uwięzionego na smyczy. W drugiej ręce trzymała patyk. Śmiała się, a kundelek szczekał na nią, kiedy uciekała mu po wyslizganym lodzie. Stanąwszy, Gross rozejrzał się w poszukiwaniu rodziców dziewczynki. Na brzegu nie dostrzegł nikogo.

– Hej! – krzyknął do niej. – Zejdź z lodu. To niebezpieczne.

Mała spojrzała najpierw w kierunku łądu, a potem odwróciła się. W końcu dostrzegła na pomoście mężczyznę średniego wzrostu z posiwiałymi włosami postawionymi na jeża, odsłaniającymi głębokie zakola. Mrużył oczy przed oślepiającym go słońcem i ściągnął krzacaste brwi. W tej podłużnej twarzy dostrzegła wyraźnie wyżłobione zmarszczki policzkowe oraz cienką kreskę zaciśniętych nerwowo ust.

Przyglądała mu się spod różowej wełnianej czapki. Kundelek sięgający jej do kolan robił to samo. Po chwili podciągnął zmarzniętą przednią łapę i znowu zaszcekał, zły, że ktoś przerwał im

świetną zabawę.

Gross obserwował dziecko z rosnącą obawą. Mróz, który tydzień temu skuł powierzchnię jeziora, sprawił zapewne, że lód wciąż był wytrzymały i nośny, ale komisarz nie ufał naturze. Tych, którzy jej ufali, poznawał najczęściej w kostnicy. Od dwóch dni temperatura w ciągu dnia była dodatnia. Nad ranem, kiedy termometr wskazywał poniżej zera, prószył śnieg, ale teraz, kiedy komisarz patrzył na tafłę lodu, gdzieś tam widział błyszczące w słońcu powierzchnie kałuż.

Krzyknął do niej raz jeszcze, tylko głośniejsze. Dziewczynka wzruszyła ramionami i odwróciła się obrażona. Gross czekał na moment, w którym wreszcie zaciągnie psa w stronę brzegu, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Hej! – ryknął.

Poczuł falę ciepła na plecach.

Mała udawała głuchą. Rzuciła patyk w kierunku środka jeziora i puściła smycz. Pies wyrwał się do aportu, ale początkowo ślizgały mu się łapy.

– Przynieś, Putek, przynieś! – Po lodzie niósł się jej piskliwy głos.

Kundelek w końcu dobiegł do patyka i złapał go w pysk, ale po chwili wypluł.

– Zejdź z jeziora! – Gross krzyknął ponownie. Tym razem jednak nie czekał na reakcję dziewczynki. Odpiął linę, która zabezpieczała zejście z pomostu na przyległą kładkę do cumowania łodzi. Zszedł na nią, a następnie zrobił kolejny krok i stanął na białej tafli przyprószonej w tym miejscu śniegiem. Pociemniało mu przed oczami. Puścił się drewnianej balustrady i poczuł się niepewnie, jakby stanął nie na twardym lodzie, ale na linie zawieszony nad przepaścią. Przeklinał to dziecko i psa, i ten cholerny lód, ale mimo to ruszył przed siebie. Szedł i nasłuchiwał. Strach pozwalał mu wyłapać najcichsze dźwięki z otoczenia. Bał się, że za chwilę usłyszy trzask kruchego lodu.

Spojrzała na niego, ale nie drgnęła.

Wierzył, że kiedy tylko zrobi kilka kroków w jej stronę, mała zabierze kundla i ucieknie na brzeg. Nic z tego. Musiał więc iść dalej. Modlił się, żeby tej małej idiotce nie przyszła do głowy kolejna durna zabawa i nie zechciała gonić się z nim po całym jeziorze. Będzie się śmiała, a on spocony i coraz bardziej rozszalony będzie kroczył jej śladem, wściekał się i miotał.

Dzielił ich dystans kilkudziesięciu metrów. Gross szedł już nieco pewniej i szybciej, wciąż jednak drżały mu mięśnie nóg.

– Na brzeg! Natychmiast! – rzucił.

– A mama mi pozwoliła! Poza tym nie mogę rozmawiać z nieznajomymi! – odkrzyknęła dziewczynka i rzuciła się biegiem do psa.

Gross miał wrażenie, że z każdym jej krokiem tafła opada i unosi się. Cekał na tę chwilę, w której usłyszy głuchy trzask lodowej pokrywy i zimna toń pochłonie go w sekundzie na samo dno. Przez chwilę będzie walczył, młócił wodę rękoma i utrzymywał się na powierzchni. A to oznacza, że tylko szybciej wychłodzi organizm i pozbawi go tlenu. Wreszcie wejdzie pod lód, próbując wstrzymać oddech aż do tak zwanego momentu przełamania na skutek zwiększenia stężenia dwutlenku węgla we krwi. Wtedy to sygnał z mózgu popłynie do spragnionych powietrzem płuc. I wreszcie zamiast tlenu zaczerpnie wodę, która wypełni jego drogi oddechowe i spłynie do żołądka. Chcąc nie chcąc, będzie „oddychał” w ten sposób przez kilkadziesiąt sekund. Potem jego ciało wpadnie w drgawki zapowiadające niedotlenienie mózgu.

– Nie idź tam, do cholery – warknął bardziej do siebie niż do niej.

– Putek! Co masz, Putek? – krzyknęła do psa, który zaczął drapać lód.

Gross był kilka metrów od nich i modlił się o zachowanie spokoju, kiedy tylko dostanie bachora w swoje ręce. „Za bezstresowe wychowanie rodzicom powinni wręczać mandat”, pomyślał. Zresztą w ogóle zastanawiał się, czy nie złoży im wizyty, nie machnie blachą przed oczami i nie przytoczy treści artykułu sto sześćdziesiątego i sto sześćdziesiątego drugiego Kodeksu karnego, albo czy wspólnie z prokuratorem nie postraszy wnioskiem do sądu o ograniczenie praw rodzicielskich.

– Putuś, kochany! – Dziewczynka dobiegła do psa i uklękła przy nim. – Dobry piesek, dobry...

Mała sięgnęła po patyk i wtedy do uszu komisarza dotarł pisk, od którego pękały bębenki.

Skrzywił się, a pies ponownie zaszczekał.

Komisarz szarpnął dziewczynkę, postawił ją na nogi, ale ona nadal krzyczała.

– Spokojnie – rzekł na skraju desperacji. – Nic ci nie zrobię. Jestem policjantem.

Rozejrzał się, żeby ocenić odległość do lądu i pomostu. Drewniana konstrukcja była bliżej. Musieli dostać się tam razem.

Małej wreszcie zabrakło tchu, stała z dłonią wyciągniętą w stronę psa, a Gross schylił się po smycz i podał jej skórzaną pętlę. Dopiero po chwili zerknął na kundla, który cały czas drapał lód i poszczekiwał.

Komisarz pociągnął mocno smycz. Pies pisnął i z podkulonym ogonem podszedł do dziewczynki, składając uszy, jakby czuł, że coś zbroił, i obawiał się klapsa. Mała nie zwróciła jednak na niego uwagi i wciąż wyciągała rękę przed siebie.

Gross spojrział tam, gdzie przed chwilą pies drapał taflę lodu. Przypominała szybę z wieloma rysami. Stał tak, żeby nie odbijało się w niej słońce.

I w tej szybie, niemal pod swoimi butami, Gross dojrzał dłoń.

*

Godzinę później komisarz Gross stał na skraju jeziora i przyglądał się zamrożonej tafli i unieruchomionej na niej łódce, która znajdowała się bliżej przeciwległego brzegu, około dwustu metrów stąd.

Skończył właśnie rozmawiać z komendantką, która przebywała na zwolnieniu lekarskim. Zrelacjonował jej wszystkie poranne wydarzenia, zadzwonił do prokuratury i wezwał techników kryminalistycznych. Pozostało mu zadzwonić do Moniki Skalskiej i Grzegorza Otremy, podwładnych z jego zespołu, ale to miał zamiar zrobić później.

Mieszkańcy, zgromadziwszy się na bulwarze, skupiali wzrok na dwóch potężnych pojazdach strażaków, którzy na sygnale zjechali tu z pobliskiej Jednostki Ratowniczo-Gaśniczej przy Sądowej, graniczącej płotem z komisariatem. W tym czasie lekarz zatrzasnął drzwi karetki, chuchnął w ręce i potarł je. Potem rozejrzał się za dowodzącym policyjną akcją. Gross widział go, ale nie ruszył się.

Wcześniej kazał zabezpieczyć funkcjonariuszom teren od klubu wioślarskiego aż po wejście na pomost. To właśnie w tej przestrzeni zaparkowały samochody strażaków: wóz ratownictwa technicznego i ciężarowy, potężny mercedes. Jeden z policjantów przez megafon informował mieszkańców o zakazie wchodzenia na lód i prosił o odsunięcie się od wyznaczonego dla służb pasa.

Dowódca zastępu strażaków, niski i krępy, z gęstym czarnym wąsem, przywitał się z Grossem, a ten wskazał mu miejsce znalezienia topielca, które oznaczył, pozostawiając na lodzie swój szalik. Widzieli go obaj, szary materiał wyróżniał się na tle równego morza bieli.

– Technicy będą? – spytał strażak.

Bernard Gross postawił kołnierz kurtki i nie odrywał wzroku od jeziora.

Strażak powtórzył pytanie.

– Kto? – odparł zamyślony policjant.

– No, ci wasi spece od zabezpieczania śladów.

– Tak. Kończą robotę w Toruniu, przyjadą, jak będą wolni.

– To my w takim razie zrobimy otwór i wyciągniemy wodnika.

– Zróbcie otwór, ale topielca zostawcie. Podczepcie, jeśli to będzie konieczne, żeby nie odpłynął, ale z odłowieniem czekamy na techników i prokuratora.

– Berni, przecież to i tak nasza robota.

Gross spiorunował go wzrokiem.

– Przepraszam, Bernardzie.

Nikt nie miał prawa używać tego zdrobnienia i wszyscy dobrze o tym wiedzieli.

– Czekamy na techników i prokuratora – dodał spokojnie policjant.
Strażak potarł wąż i niezadowolony odszedł wydawać dyspozycje.
Po chwili jego miejsce zajął młody lekarz. Wciąż pocierał dłonie.

– Co mamy?

Gross spojrział na niego.

– Zwłoki pod lodem – poinformował.

– Stare?

– Trudno orzec. Stare zazwyczaj wypływają na wiosnę.

– Tak czy siak, dla mnie to czysta formalność. – Lekarz wskazał na karetkę. – Będę w ciepełku, bo strasznie piździ.

Kiedy medyk odszedł, Gross obserwował, jak strażacy wyjmują z wozu technicznego długą, czerwoną deskę lodową. Położyli ją na brzegu jeziora i trzech pożarników przebranych w niezatapialny, gumowy strój tego samego koloru stanęło przy niej. Pozostali, w czarnych uniformach, krzątali się, przeładowując sprzęt z samochodu na deskę. Po chwili sanie lodowe wyładowane skrzyniami zostały wypchnięte przez jednego ze strażaków na lód. Sunęły już w stronę oznaczonego przez Grossa miejsca. Pozostałych dwóch mężczyzn kroczyło po obu stronach deski. Każdego z nich, tak jak i deskę, zabezpieczały liny asekuracyjne, które ciągnęły się teraz po tafli.

Gross dostrzegł, jak powoli oddalali się od brzegu, ale tak naprawdę wpatrywał się w odległy punkt na jeziorze, daleko przed nimi. Podeszedł do linii brzegowej. Stał tam chwilę, pocierając zziębnięte dłonie.

– Co czytasz? – zagadnął go dowódca zastępu.

– Słucham?

Mężczyzna wyciągnął rękę i wskazał na książkę trzymaną pod pachą.

Gross podał mu ją bez słowa.

– Interesujesz się lotnictwem? – Mężczyzna przekartkował cienką publikację.

– Nie, niespecjalnie – odparł Gross i wskazał brodą na jezioro i oddalających się strażaków. – Lód nie pęknie?

– Celowo idą w oddaleniu, żeby rozłożyć nacisk. Poza tym mają zabezpieczenia i termiczne stroje. Żadnemu krzywda się nie stanie, nie bój się.

– Tyle to widzę, pytam, czy lód się nie załamie. Pokrywa wszędzie jest jednakowo gruba?

– Nie, no to nie jest lodowisko Tor-Tor, do cholery. – Strażak się zaśmiał. – A będzie jeszcze gorzej, jeśli znowu poproszy i termometr za dnia będzie wskazywał plus.

– Gorzej?

– Tam, gdzie powstają zasy śnieżne, lód ma problem z przyrastaniem, przy dłuższym ociepleniu właśnie w takich miejscach robią się oparzeliska i lód jest kruchy jak wafelek.

– Jaką może mieć grubość?

– Jak na moje oko, nie więcej niż dziesięć centymetrów. Pogoda, to znaczy słońce i wiatr, swoje robią. Jak przyjdzie szybka odwilż, lód zacznie szpilkować i wtedy...

– A jaka jest grubość bezpieczna dla człowieka? – Gross mu przerwał.

– Nie mniej niż dziesięć centymetrów.

– Dziesięć centymetrów? – Gross spojrział wreszcie na strażaka, a ten potwierdził skinieniem. –

Masz jeszcze jeden taki strój?

– Mam dla całego zastępu, ale...

– Muszę coś sprawdzić.

– Żartujesz? Przecież nie byłeś przeszkolony.

– No to nie marnujmy czasu.

Czuł się fatalnie. Strój nie przylegał ciasno, ale każdemu krokowi towarzyszył trudny do zniesienia dźwięk tarcia materiału o materiał. Nasunął gumowany kaptur na włosy. Boki szczelnie przylegały do policzków. Gross założył biały kask i zrobił krok w stronę zamrożonej tafli. Ktoś pociągnął go za uczeponą u pleców linę asekuracyjną.

Odwrócił się. Gapiów na brzegu przybywało, policjanci przy taśmach odgradzających miejsce zdarzenia mieli pełne ręce roboty.

– I pamiętaj, żebyś nie wkraczał na ich pole i nie krzyżował swojej liny z ich linami, rozumiesz?

– Tak. Pójdę bokiem, nie martw się.

– Dobra. No to idziesz.

Strażak klepnął go w ramię.

Gross poczuł, jak pot rosi mu się na klatce piersiowej i w dole pleców. Szedł w stronę strażaków, którzy dotarli już do miejsca, gdzie zostawił swój szalik, i przygotowywali się do wycięcia otworu. Ustawili też policyjne parawany. Po krótkim marszu zbliżył się do nich.

– Pan komisarz jakiś taki błądy. – Uśmiechnął się zawadiacko przystojny młody strażak i tupnął kilkukrotnie mocno nogą. – Nie trzeba się bać, lód jest wytrzymały.

– Wytnijcie otwór i nie wyciągajcie, jasne? – rzekł Gross, nie zwracając uwagi na głupie żarty.

– Jasne, jasne.

Komisarz chciał już odejść, ale zawahał się.

– Jak mógł się tu dostać? – spytał i popatrzył na twarze trzech strażaków. Zajęci swoją robotą i skupieni, znieruchomieli na chwilę.

– No wpadł, nie? – dodał przystojniak. – Wygląda na świeżaka.

– Którędy, pytam.

Strażak rozejrzał się po jeziorze.

– Musielibyśmy poszukać. Zresztą nawet jak znajdziemy jakiś wyłom w lodzie czy przerębel, nie będziemy wiedzieć, czy to na pewno ten, przez który wpadł. Poza tym nie wiemy, kiedy to się stało i czy w związku z tym otworu nie zasklepił z powrotem mróz. Jednym słowem, dużo niewiadomych.

Gross spodziewał się takiej odpowiedzi. Zostawił ich i ruszył dalej. Szedł, rozglądając się za nierównościami w tafli, zbliżał się na bezpieczną odległość do kałuż wody powstałych z roztopionego śniegu, w poszukiwaniu sporego otworu w lodowej powłoce. Naliczył trzy takie kałuże w pobliżu, ale wydawało mu się, że pod ich powierzchnią nie widział żadnych pęknięć, żadnego otworu.

Szedł dalej w stronę drugiego brzegu, niemal równoległe do oddalonego o około pięćdziesiąt metrów pomostu, aż w końcu poczuł szarpnięcie. Odwrócił się w kierunku bulwaru.

Gross nie zamierzał się wydzierać i przekrzykiwać z policyjnym megafonem. Cieszył się, że nie uległ i nie założył grubych i niewygodnych rękawic. Zdjął kask, a następnie gumowy kaptur, wybrał numer i przyłożył do ucha komórkę.

– Co jest? – spytał dowódcę zastępu.

Strażacy, którzy pracowali obok niego, przestali skuwać lód i spojrzeli w jego stronę, a potem powiedli wzrokiem na brzeg.

– Dokąd idziesz?

– Chyba coś mam – skłamał i pokazał ręką miejsce znajdujące się gdzieś za jego plecami.

– Dobra, to ostrożnie i wracaj zaraz, bo lina się skończy.

Gross poczuł, że jej napięcie zelżało. Odwrócił się i ruszył dalej przed siebie. Krok za krokiem zbliżał się do unieruchomionej w lodzie niewielkiej czerwonej łódki turystycznej, nie zapominając po drodze o lustrowaniu powierzchni lodu. Starał się też zwracać uwagę na ewentualne ślady obuwia odcisnięte w śniegu, lub jakiegokolwiek ślady traseologiczne, które mogłyby świadczyć o przemieszczaniu się człowieka albo ciągnięciu go po lodzie. Szukał odpowiedzi.

Chełmyńskie jezioro miało kształt odwróconego do góry kozaka na wysokiej szpilce. Na mapie wyglądało to tak, jakby centrum miasta oparło się na podeszwie, a długi obcas wznosił się w ląd,

osłaniając Starówkę od wschodu. Gdyby trzymać się tej obuwniczej terminologii, drewniany pomost znajdował się przy nosku buta.

Jeśli mężczyzna, który utonął, zamierzał przejść ze Starówki do Ameryki, osiedla starych kamienic i niskich bloków, a na południu i wschodzie nowszych domków jednorodzinnych, skorzystałby z kładki. Droga wszerz jeziora raczej nie wchodziła w grę. Za pomostem znajdowały się stare działki z rozpadającymi się i szpetnymi budami, na brzegu odwrócone do góry dnem łodzie próbowały przetrwać do wiosny. Daleko, bo kilkaset metrów stąd, było osiedle Maja ze stadionem Legii Chełmża. Niewykluczone, że topielec wybrał inną drogę.

Policjant był już blisko pozostawionej na wielkim lodowisku łodzi. Przystanął, wsłuchując się w dobiegające go dźwięki, ale jedyne, co był w stanie wyłowić, to świst tłoczzonej krwi i szum powiewającego wiatru. Serce mu dygotało. Był pewien, że jednak się przesłyszał. „Nie panikuj”, prosił się w myślach. „To nie był żaden trzask, to tylko twoja wyobraźnia”. Po chwili szedł dalej, ale nie wybrał najkrótszej drogi do łódki. Starał się dojść do niej okrężną drogą, tak by nie zniszczyć ewentualnych śladów w cienkiej warstwie śniegu. Jeśli jakiegokolwiek tam były. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to to, że topielec po prostu siedział z kimś w tej łodzi. Od kilku dni z okien swojego mieszkania widział, jak młodzi, częściej chłopcy niż dziewczyny, spotykali się w niewielkiej łajbie. Nie bali się lodu, szli po nim jak po chodniku, a potem wskakiwali na dwie znajdujące się na pokładzie ławki. Przynosili ze sobą nowoczesny sprzęt muzyczny, rodzaj wysokiej kolumny, z której odtwarzali zbyt głośno muzykę, palili papierosy, pili alkohol. Okrywali nogi kocami przynoszonymi przez dziewczyny. Gross dawał im czas na tę zabawę, dopiero po kilkudziesięciu minutach, jeśli sami nie rezygnowali z powodu mrozu, kazał dyżurnemu wysłać do nich patrol. Ale wczoraj po południu ani wieczorem nie zauważył w łajbie nikogo. Od jeziora zamiast mocnych dźwięków gitar niosła się jedynie wymowna cisza, czasami poszum wiatru.

Teraz co jakiś czas patrzył na łódkę, żeby lepiej kontrolować kierunek, w którym zdążał, następnie nieznacznie zmieniał azymut, robił kilka kroków w lewo i ponownie wracał ma wcześniej obrany kurs. Chciał, żeby wydeptaną przez niego ścieżkę technicy natychmiast odróżnili od innych śladów. Jednak im bliżej porzuconej łódki się znajdował, tym bardziej był zawiedziony. Nie znalazł niczego interesującego. Być może śnieg sypiący nad ranem przykrył odciski butów. O ile jakiegokolwiek tu były.

Od łódki dzieliło go nie więcej niż dziesięć metrów. Za nią, na brzegu roilo się od mieszkańców. Przy linii brzegowej zauważył dwóch policjantów z przewencji. Podniósł rękę niby na powitanie, ale jednocześnie dał im czytelny znak, żeby powstrzymywali co bardziej ochoczych młodych gniewnych od wchodzenia na lód. Gwar dolatywał w jego stronę niesiony wraz ze ślizgającym się po tafli lodu mroźnym wiatrem. Komisarz potarł wychłodzone i zeszywniałe policzki. Było to o tyle dziwne uczucie, że w tym dziwnym ubraniu pot spływał mu po plecach.

Podszedł bliżej i wtedy dojrzał w łódce szmaty przyprószone śniegiem. Odwrócił się i spojrzał w miejsce, gdzie strażacy rozkuwali lód. Nie wiedział jeszcze, kim był topielec, nie wiedział, co robił na zamarniętym jeziorze i kiedy załamała się pod nim tafla lodu.

Od łódki w stronę centrum nie prowadziły żadne ślady. Wykluczył więc ten trop. Musiał tylko sprawdzić, czy nie było ich od strony brzegu. Zbliżył się do zaniedbanej łajby i dopiero wtedy zrozumiał, jak bardzo się pomylił.

Serce gwałtownie zaczęło pompować krew.

To nie były szmaty.

*

Grzegorz Otremba lubił jęki i stękania Moniki Skalskiej. Im mocniej i głębiej w nią wchodził, tym intensywniejsze się stawały. Kochali się trzeci raz w ciągu długiego poranka, ale tym razem wziął

ją od tyłu. Podniecały go blade pośladki i jędrna skóra. Chwycił w mocnym uścisku jej dłonie, które skrzyżowała na plecach, i przyspieszył. Wpatrywał się w falujące od jego pchnięć ciało Moniki. Tym razem, chociaż był niższy stopniem, nie ona wydawała rozkazy. Ba! Był przekonany, że nawet lubiła, kiedy on rządził. Przynajmniej w łóżku. W końcu poczuł, że jest blisko finału. Wstrzymał oddech, zacisnął powieki, a potem jego ciałem szarpnął skurcz. Jęknął przeciągle. Ich głosy zmieszały się. Kiedy napięcie zelżało, poczuł błogie rozluźnienie mięśni i osunął się w ciepłą pościel. Monika ułożyła się plecami do niego i naciągnęła na siebie kołdrę. Nie zdążył wtulić się w jej rozgrzane ciało.

– Idź już – rzuciła.

– To rozkaz?

– Nie drażnij mnie – ucięła.

Otremba wstał, zsunął ze zwiotczalego penisa prezerwatywę i zawiązał ją na supeł. Potem zaczął zbierać ciuchy z podłogi.

Promienie słońca wpadały przez szczeliny w roletach i cięły przestrzeń sypialni jasnymi płaszczyznami, precyzyjnie jak laser. Przez chwilę obserwował, jak w tym świetle wirują pyłki kurzu.

– Jezu, już dziesiąta. – Zaczął się ubierać.

– Mówiłam.

Nachylił się po skarpetę w chwili, gdy zadzwonił jego telefon.

Otremba spojrział na wyświetlacz.

– Żona? – Skalska uśmiechnęła się smutno.

– Gorzej.

– Teściowa?

– Jeszcze gorzej.

– Czyli Gross.

Odebrał połączenie.

Długo wysłuchiwał informacji przekazywanych przez ich szefa, komisarza Bernarda Grossa. Skalska w tym czasie przyglądała się facetowi, z którym romansowała od dwóch miesięcy. „Romansowała” brzmiało zbyt staroświecko, po prostu pieprzyła się, oddając zwierzęcemu niemal pożądaniu. Otremba miał w sobie to coś, co pociągało ją w mężczyznach. Wysoki blondyn z mocno zarysowaną szczęką i muskularnymi ramionami, płaskim wyćwiczonym brzuchem i wyrzeźbionymi udami. Sprężyste ciało pozbawione grama tłuszczu. Po stronie minusów Otremby zapisała jedynie trzy słowa: żona i dwie córki.

Otremba założył spodnie i zapiął pasek. Odezwał się wreszcie.

– Jasne, zaraz będę. Jechać po Skalkę? – Użył ksywki kobiety, z którą się właśnie przespał, bo tak zwracali się do niej wszyscy na komisariacie.

Monika popukała się w głowę.

– Okej – rzucił, a następnie schował telefon do tylnej kieszeni dżinsów.

– Popieprzyło cię? Przecież mam wolne.

– Nie możemy się rozstawać na tak długo. – Puścił do niej oko.

– A co się stało? – spytała, gdy tym razem rozdzwonił się jej telefon.

Popatrzyli na siebie, a potem wspólnie wypowiedzieli ulubione powiedzenie szefa.

– *Vis maior*.

Śmiali się, a telefon cały czas dzwonił. Skalska w końcu zmusiła się do powagi i sięgnęła po aparat. Odezwała się, udając zasnęłą, a Otremba podszedł do okna i podciągnął rolety.

Nagle schował się za ścianą i syknął.

– Okej, zaraz będę – rzuciła do telefonu. – Dzwoniłeś już po Otrembę? Dobra, do zobaczenia.

Skalka odłożyła telefon i spojrzała pytająco.

– Teściu, kurwa! – jęknął. – Z moim psem.

– Tutaj?

Skinął głową w stronę okna.

– Widział cię? – dopytała.

- Mam nadzieję, że nie.
- A co tam robi?
- Skąd, kurwa, mam to wiedzieć?
- W końcu jesteś psem, nie? – zażartowała. – Może cię śledzi, co?

Skalska, rozczesawszy palcami włosy, wstała z łóżka i ruszyła w jego stronę, ale Otremba powstrzymał ją gestem.

- Tak, jeszcze cycki mu pokaż.
- Wzruszyła ramionami. Narzuciła czerwony T-shirt z Big Stara i bosy przeszła do kuchni.
- Gapi się w okna? – spytał Otremba.
- Nie, polazł już sobie – stwierdziła. – Myślisz, że twoja żona już o nas wie?
- A skąd!

Wróciła do salonu i przytuliła się do niego. Pocałowali się.

– Ale wiesz, że w końcu każde gówno wypłynie, nie? – spytała, wiążąc frotką proste czarne włosy w koński ogon.

*

Gross zdążył zarejestrować w pamięci wszystko to, co zwróciło jego uwagę. Podeszedł do łódki od prawej burty, miejsca, w którym nie zauważył żadnych śladów, i starał się niczego nie dotykać. Z wyjątkiem ciała. Było lodowate. Wycofał się, bo nie zamierzał psuć technikom roboty. Miejsce zbrodni musiało być sterylne, a zabezpieczenie śladów w każdej kryminalnej sprawie okazywało się kluczowe. W tym przypadku oczywiście wciąż nie wiedział, czy ktoś przyczynił się do śmierci starszego mężczyzny spoczywającego w pozycji embrionalnej między ławkami w łódce, ale odnalezienie dwóch trupów na jeziorze tego samego dnia zmusiło go do intensywnego myślenia.

Wrócił pamięcią do dzisiejszego poranka, kiedy zbudził się w swoim mieszkaniu na poddaszu, ogolił, a potem długo patrzył w białą zawieruchę nad jeziorem. Z trudem dostrzegał kontury kościoła Świętego Mikołaja i ginące w tej mgle, tak jak czerwona łódka, światła lamp na Bulwarze 1000-lecia. Kilka godzin później, wraz ze wschodem słońca, mgła się przeredziła. Zastanawiał się, czy gdyby znowu spojrział przez okno, dostrzegłby mężczyznę na dnie wędkarskiej łodzi.

Ponownie połączył się z prokuraturą i komendantką chełmyńskiego komisariatu.

– Poradzisz sobie beze mnie. Działaj i melduj, a ja dzwonię do Torunia – powiedziała. – A tak swoją drogą dwa trupy jednego dnia i w jednym miejscu? Dziwna sprawa.

„Dziwna”, pomyślał Gross.

– Bez odbioru. – Rozłączył się.

*

Zanim na miejscu zameldowali się technicy kryminalistyki, komisarz zdążył wrócić na brzeg, zostawiając na łodzi strażaków, którzy czekali na sygnał do odłowienia zwłok. Stali przy policyjnym parawanie w pobliżu wyciętej przerębli. Gross zlecił wcześniej policjantom rozstawienie namiotu na brzegu. Następnie zaprosił pod dach dowódcę zastępu i lekarza. W ciszy oczekiwali na przyjazd techników i prokuratora.

– Sprawa wygląda tak. – Gross zwrócił się do medyka. – Mamy tu dwa trupy. Jeden pod wodą, drugi w łódce.

– Dwa trupy? – Lekarz nawet nie próbował ukryć zdziwienia.

Gross potwierdził.

– No to ściągnijcie ich na brzeg i wezwijcie prokuratora.

– Nie tak szybko – zastrzegł Gross. – Nie możemy tak łatwo wykluczyć wzajemnego powiązania obu śmierci, a to oznacza, że pierwszą robotę muszą odwalić technicy.

Kiedy wypowiedział te słowa, Marian Chęciński, wysoki, słusznej postury facet w okularach, i Jarek Bloch weszli do namiotu. Gross znał ich doskonale z czasów, kiedy pracował w Toruniu. Technicy wnieśli do namiotu po dwie duże aluminiowe walizki. Kiedy je odstawili, przywitali się z obecnymi. Chęciński dopijał kawę z BP, którą musiał tu przywieźć z Torunia. Bloch wykorzystał chwilę wolnego na papierosa.

Gross powtórzył im wszystko to, o czym przed chwilą rozmawiali w węższym gronie.

– Panowie, ale ja od razu zaznaczam, że na lód nie wejdem. Ciąta musicie mi dostarczyć tutaj – odezwał się lekarz.

Gross zaaprobował to rozwiązanie.

– A wy? – Komisarz zwrócił się do techników.

– Jaka wytrzymałość pokrywy? – spytał Chęciński, który zmiął pusty kubek i przytrzymał go w dłoni.

– Przeszedłem po lodzie niemal na drugi brzeg. – Gross wskazał miejsce.

– Sądzę, że jest bezpiecznie – włączył się krępy strażak.

– Masz jakieś hipotezy? – Chęciński przeniósł wzrok ze strażaka na Grossa.

– Mam kilka, ale teraz nie ma to większego znaczenia.

– Dobra – zdecydował Chęciński i spojrzał na Blocha. – Jarek dopali i ruszamy na to łyżwiarstwo figurowe.

Gross ucieszył się, że może na nich liczyć.

– Będziecie mieli asystę i zabezpieczenie strażaków – dodał.

– Ale tego kondoma, co go masz na łbie, nie wciągamy – zastrzegł Chęciński. – Za żadne skarby. Pół komendy by się ze mnie śmiało, jakby mnie w tym zobaczyli.

Bloch zaśmiał się głośno, odsłaniając małe zęby. Wtórowali mu lekarz i strażak. Potem śmiech zgasł i cisza zrobiła się niezręczna.

– Czekamy na prokuratora czy działamy? – spytał Bloch.

Chęciński spojrzał na Grossa.

– Nie mamy wyjścia, nawet jeśli miałyby nam zamarznąć jaja – zdecydował komisarz.

Wyszli z namiotu na rażące słońce i kłujący chłodem coraz silniejszy wiatr.

Gross obserwował, jak dwóch strażaków, których wezwał dowódca, ruszyło w stronę brzegu. Jeden pchał deskę lodową i kiedy postawił ją przy brzegu, technicy ułożyli na niej swoje aluminiowe walizki. W asyście strażaków oddalili się w kierunku przerębli.

Komisarz szedł za nimi w niewielkim oddaleniu, znacząc swoją drogę przypiętą do pasa liną, która tarła o szorstki lód. Kiedy strażacy i technicy dotarli do miejsca, z którego zamierzali podjąć zwłoki, komisarz schylił się po swój zapomniany szalik i wycofał kilka metrów w głąb środka jeziora. Wciąż pamiętał o tym, by nie kusić losu i nie zwiększać ciężaru w jednym miejscu lodowej tafli.

Na brzegu dostrzegł prokuratora Legnera, który bez ceregieli wszedł na lodowisko. Technicy zauważyli go od razu i tłumiąc śmiech, zaczęli zakładać białe stroje ochronne i lateksowe rękawiczki.

– Pan to chyba lubi takie przebieranki, komisarzu, co? – Artur Legner, świeżo upieczony śledczy z Prokuratury Rejonowej Toruń-Wschód, dopadł do policjanta.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni. Legner zapiął wełniany płaszcz i poprawił leninówkę. Komisarz nie odezwał się.

– No, niech pan melduje. Co tu się stało? – Legner ziewnął.

– Zwłoki dwóch mężczyzn, jeden topielec, drugi w łódce. Pierwszego zamierzamy podjąć za chwilę w asyście techników.

Kiedy wypowiedział te słowa, ich uwagę zwrócił błysk lampy fotograficznej. Chęciński i Bloch rozpoczęli robotę.

– A ten drugi to niby tam? – Prokurator uniósł rękę i wskazał w stronę przeciwnego brzegu. –

No to dalej, chodźmy.

Gross wiedział, że śledczy wlezie z butami do łodzi.

– Ci na brzegu nie ostrzegli? – rzucił głośno, nie ruszając się z miejsca.

– Że niby co? – Kiedy Legner mówił, jego pulchna twarz ze skąpym zarostem i drugi podbródek drgały.

– Przy łódce lód jest kruchy jak wafelek – zablefował.

– Gówno tam, kruchy. Tu jakoś nas utrzymuje, nie?

– To niech pan idzie. Dwa lub trzy trupy, jeden pies. – Legner działał mu na nerwy. Gówniarz panoszył się i za nic miał policyjną robotę. Gross liczył, że w poniedziałek sprawę przejmie inny prokurator.

Młody śledczy zatrzymał się i spojrzał w stronę brzegu. Dostrzegł, jak strażacy w asyście techników kryminalistyki ubranych w białe stroje wyjmują topielca, chwytając go pod ramiona. Głowa denata bezwładnie odchyliła się do tyłu. Po chwili ponownie lampa błyskowa oświetliła ubrane zwłoki.

Legner zerknął w drugą stronę, oceniając odległość do brzegu, a ostatecznie wybrał najkrótszą drogę – do drewnianego pomostu.

– Dobra, to poczekam sobie na kładce – rzucił, mijając Grossa, który po dłuższym czasie skierował się w stronę łódki.

– Jeszcze jedno.

Śledczy odwrócił się.

– No, co tam, komisarzu?

– Wezwałem Raszeję. Ten nasz medyk ze szpitala może wypisać kartę zgonu, ale więcej z trupów nie wyciągnie.

– Dobra robota, być może od razu ustalimy, kiedy będzie mogła zrobić sekcje.

*

Po kilkunastu minutach do komisarza podszedł Marian Chęciński. Trzymał w dłoni szeleszczący na wietrze worek na śmieci, do którego wrzucił ściągnięte rękawiczki i białe ubranie ochronne. Zawiązał na worku supeł i odezwał się:

– Wygląda na nieszczęśliwy wypadek. Świeży. Gość musiał wejść pod lód niedawno. Kto wie, czy nie dziś w nocy.

– Znaleźliście coś przy nim? Dokumenty, cokolwiek?

Zaprzeczył.

– W kieszeniach w zasadzie czysto. Klucze, gumy do żucia, parę drobniaków. Zabezpieczyliśmy wszystko.

– Telefon?

– Brak. Kto wie, czy mu nie wypadł.

– Cokolwiek niepokojącego?

Milczące zaprzeczenie.

– Dobra, to zapakujcie go w worek i do namiotu.

– Jasne.

Chęciński z Blochem i jednym ze strażaków unieśli ciało i wsadzili do worka umieszczonego na desce lodowej. Kiedy sanie ze zwłokami ruszyły w stronę policyjnego namiotu, Gross i Chęciński zmierzali w stronę łodzi. Asystował im strażak.

– Trafieś tu na coś? – Chęciński wskazał brodą czerwoną łódkę z laminatu.

Gross nie odpowiedział na pytanie. Parawany, które zasłaniały łajbę od strony brzegu, załopotwały na wietrze.

– Dziwna sprawa – rzekł bardziej do siebie niż technika i stanął tak, by podmuchy lodowatego

powietrza nie chłostały go w twarz.

– Co masz na myśli?

– Po prostu dziwna sprawa. Starszy facet, wygląda trochę jak bezdomny.

– Trochę? – Chęciński zaśmiał się. – To można być trochę bezdomnym?

Gross zignorował tę uwagę.

– Dobra. Robi się coraz zimniej. Zaczynamy. – Chęciński zbliżył się do łajby i obszedł ją ostrożnie. Kiedy sanie ze sprzętem kryminalistycznym pojawiły się wraz z Blochem i dwoma strażakami, założył nowy strój ochronny. Bloch poszedł w jego ślady. Podnieśli z lodu walizki i podeszli do lewej burty łodzi.

*

Doktor Raszeja, medyk sądowy z Torunia, wyglądała jak pajak. Była wysoka, przeraźliwie chuda i zgarbiona. Kiedy godzinę później Gross wszedł do namiotu, poprawiła dłonią burzę wypływających włosów, których koloru nie umiałby nazwać za żadne skarby. Na jej nosie niezmiennie opierały się lenonki, a w ustach stale tkwił papieros. Komisarz był przekonany, że nie wyciągała go z ust nawet podczas jedzenia.

Legner krzątał się w pobliżu stolika.

– Może ktoś by zorganizował kawę, do cholery – rzucił, ale nikt nie podjął tematu.

– Jak ci tu, Bernardzie, na prowincji, co? – spytała Raszeja.

Trzy halogeny rozświetlały żółtym blaskiem niewielkie wnętrze, pośrodku którego leżały zwłoki w czarnych workach. Ścianami i dachem namiotu szarpał wiatr.

– Spokojnie.

– Tak spokojnie, że jednego dnia znajdujesz dwa trupy?

– Zdarza się.

– A co u żony?

Gross westchnął.

– A co u denata? – odbił piłkę.

Raszeja uśmiechnęła się pod nosem.

– Zobaczmy zatem. – Wyciągnęła z kieszeni dodatkową parę lateksowych rękawiczek i podała mu. – Załóż. Pomożesz mi.

Kiedy to zrobił, rozpięła suwak czarnego worka znajdującego się bliżej jej stóp. Gross najpierw dostrzegł kępkę mokrych włosów, a kiedy rozłożył poły worka, po raz pierwszy dostrzegł twarz topielca. „Cholera”, policjant przeklął w duchu i z trudem przełknął ślinę.

Leżał przed nim kilkunastoletni chłopiec w zielonej zimowej kurtce i zeszywniałych od mrozu czarnych dżinsach. Na stopach miał ciężkie zimowe buty na grubych podeszwach. Cholewki sięgały za kostkę.

Lekarka lustrowała ciało z uwagą, nie dotykając zwłok. Długo to trwało. Wreszcie rozpięła mokrą kurtkę, splotła dłonie i ułożyła na wysokości klatki piersiowej topielca, jakby zamierzała zastosować masaż serca. Ucisnęła ciało raz i odczekała, aż z rozwartych ust chłopca wydobędzie się krótki syk, a następnie wypłynie ciecz. Obejrzała jego skórę w pobliżu szyi, sprawdziła ręce i paznokcie, wreszcie podciągnęła nogawki spodni, dokładnie przyglądając się kostkom i łydkom.

Pokręciła głową.

– Coś nie tak? – spytał komisarz.

– Przeciwnie. – Zerknęła w jego stronę znad okularów. – Czysto. Resztę sprawdzę podczas sekcji, o ile pan prokurator się zgodzi.

Legner zbliżył się do nich.

– Rozbierzemy go? – spytał śledczy.

– Tutaj?

– Tak.

– Nie widzę takiej potrzeby. Klasyczne utonięcie, woda w płucach. Z tego, co mówili technicy, pozycja w wodzie charakterystyczna dla uduszenia gwałtownego w środowisku wodnym, czyli w pozycji embrionalnej bocznej.

– Może jednak warto...

Raszeja spojrzała na prokuratora.

– Co warto, panie prokuratorze?

Gross uśmiechnął się w duchu, a Legner milczał.

– Dobra, odłóżmy to do sekcji.

– Słuszna decyzja – skomentowała.

Wstała i zdjęła rękawiczki, które wrzuciła do worka na odpady. Zapaliła papierosa i zrobiła krok nad zwłokami dziecka. Rozpięła drugi worek.

Gross wyszedł przed namiot i odszukał strażaków, którzy asystowali mu na lodzie. Ściągali uniformy.

– Kojarzycie dzieciaka? – spytał.

– No właśnie zastanawiałem się, czy to nie jest kolega mojego młodszego brata – stwierdził przystojniak.

– Pamiętasz, jak się nazywa?

– Jeśli to ten sam, to Antek. Chyba Bruździński.

– Jesteś pewien?

– Chyba tak.

– Ile ma lat?

– Brat?

– Denat.

– Pewnie tyle samo, bo z jednej klasy są. Piętnaście.

Za plecami pożarników Gross dostrzegł zmierzającą od strony przystani wioślarskiej Skalkę. Poznał ją po czapce bejsbolówce i szybkim, męskim chodzie, który wprawiał w ruch jej czarną kity. Przywitali się. Gross wyczuł bijące od niej napięcie. Agresywnie żuła gumę. Po chwili z jej zaciśniętych ust wydostał się niewielki balon. Schowała go w ustach i ponownie zaczęła intensywnie poruszać żuchwą.

– A Otremba gdzie? – spytała, poprawiając czapkę.

– W tej robocie wolne to iluzja. – Uprzedził jej ewentualne pretensje.

– Przecież nic nie mówię.

Weszli oboje do namiotu. Skalka przywitała się z Raszeją i Legnerem. Worek ze zwłokami chłopca wciąż pozostawał otwarty. Kucnęła tuż obok i przyjrzała się.

– Wiadomo kto to?

– Strażak nie jest pewien, ale jego zdaniem to może być Antoni Bruździński – rzekł komisarz.

– A Otremba? – powtórzyła pytanie.

Przyjrzał się jej. Nosila obcisłe, elastyczne džinsy i adidas. Za kurtkę służył jej pikowany bezrękawnik z kapturem, spod którego wystawał wyciągnięty, czerwony polar.

– Dzwoniłem po niego jakiś czas temu.

– O, już idzie – powiedziała, wpatrując się gdzieś za jego plecy, w rozwarte wejście do namiotu.

Gross odwrócił się.

Otremba oddychał przez usta, wypuszczając kłęby pary. Podniósł rękę na ich widok.

Trzy godziny później Marian Chęciński spakował ostatnią walizkę ze sprzętem kryminalistycznym do srebrnej, pordzewiałej na progach kijanki i pożegnał się z policjantami. Dym z rury wydechowej rozwiął się na wietrze, a samochodem zakołysało na nierównościach Plażowej.

Jeziro opustoszało. Nieliczni gapie stali jeszcze na drewnianym pomoście, żywo dyskutując o porannych wydarzeniach.

Skałka przeszła się do kamienicy przy Chełmińskiej 5, gdzie mieszkali Bruździńscy, złożyła kondolencje i relacjonowała mu przez telefon rozmowę z matką samotnie wychowującą dwóch synów.

– To znaczy teraz już jednego – poprawiła się policjantka. – W każdym razie nie wiedziała w ogóle, że syna nie ma w domu.

– Była pijana?

– Nie, żadna patologia. Sądziła, że syn odsypia piątkowe granie na komputerze. Nie wiedziała nawet, że wyszedł z domu.

– Pokazałaś jego zdjęcie?

– Tak.

– I potwierdziła, że to on?

– Nie zdołała.

– Co to znaczy? – Gross się zaniepokoił.

– No, normalnie. Rozpłakała się. Długo nie mogła dojść do siebie.

– Wpuściła cię do jego pokoju? Rozejrzałaś się?

– Tak. Mała duszna klitka, trochę młodzieńczego smrodku. Zamiast książek na półkach mnóstwo gier, w tym część pirackich. Nic szczególnego, poza dwoma wyjątkami.

– Mów.

– Opakowanie po glinie do wyrobów ceramicznych i olejek waniliowy do ciast.

– Miał takie hobby?

– Jakie?

– Rzeźbił coś w glinie?

– A nie, skąd! Matka też była tym zdziwiona.

– A ten olejek do ciasta? – zastanawiał się głośno.

– Nie pamiętała, żeby go kupowała ostatnio. Być może stał gdzieś w szafce w kuchni i syn go sobie zabrał. A może kupił.

– Po jaką cholere chłopakowi olejek do ciasta?

– Podobno to świetny środek na komary.

– W zimie? Na komary?

– Tak tylko mówię. Może do czegoś jeszcze się przydaje. W każdym razie jedno i drugie znalazłam w szufladzie biurka. Zabezpieczyłam procesowo, mam podpisany przez kobietę protokół przeszukania.

– A telefon, komputer, media społecznościowe?

– Telefonu brak. Nie rozstawał się z nim, więc jeśli nie ma go przy zwłokach, to pewnie wpadł do wody. Resztę oczywiście przejrzę.

– Sprawdź u operatora ostatnie połączenia, esemesy. Wystąp do sieci komórkowej o dane dotyczące logowania telefonu na co najmniej tydzień wstecz.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a następnie Gross zapytał, czy matka chłopca rozpoznała bezdomnego z łódki, drugiego denata, i czy syn nie mówił jej przypadkiem o poznanym wcześniej mężczyźnie. Skałka zaprzeczyła.

– Nie poznała go. – Kiedy Gross rozłączył się, jak echo powtórzył jej słowa. Przez cały ten czas nie odrywał wzroku od czerwonej łódki.

Ponownie się z nią połączył, odebrała szybko.

– I jeszcze jedno – zaczął. – Musimy zweryfikować monitoring. Chcę wiedzieć, gdzie byli obaj, nastolatek i bezdomny. Dasz sobie radę?

– Dam – zapewniła.

Gross schował aparat do kieszeni kurtki i wciąż przyglądał się czerwonej łodzi. Zanotował w pamięci numer wypisany na jej dziobie.

Stężenie pośmiertne w starszym mężczyźnie, który prawdopodobnie zmarł w tej łajbie wykształciło się w pełni. Nie mogli jednak zaobserwować żadnych plam opadowych, co w przypadku śmierci z wychłodzenia nie było niczym niezwykłym. Raszeja nie znalazła żadnych śladów świadczących o zastosowaniu przemocy wobec mężczyzny, nie licząc jednego. Przyżyciowe lewo- i prawostronne otarcie naskórka szyi.

– Na co to twoim zdaniem wygląda, Bernardzie, co? – Gross przypomniał sobie, o co spytała go lekarka w trakcie dokonywanych oględzin.

Kucnął wtedy przy zwłokach. Legner i Otremba nachylili się nad nimi.

Komisarz uważnie przyjrzał się denatowi. Zarejestrował suchą i szorstką skórę twarzy i szyi, głębokie zmarszczki. Po obu stronach, na wysokości obojczyka, widniały dwie czerwone kreski, krwawe podbiegnięcia i postrzępiony naskórek.

– Łańcuszek – zaryzykował.

– Bardzo prawdopodobne – odparła Raszeja. – Co jeszcze?

Gross znał ją i jej uczelniane nawyki od lat. Wykładała w Collegium Medicum UMK w Bydgoszczy i każdego rozmówcę, nawet poza uczelnianym prosektorium, traktowała jak studenta, którego dopuszczała do wspólnych oględzin po to, by czerpał z tej nauki jak najwięcej. Gross nie miał o to żalu, jego zdaniem była wybitnym fachowcem i znakomitym nauczycielem.

Komisarz przyjrzał się ponownie mężczyźnie.

Przejechał dłonią w rękawiczce po brodzie i policzkach zmarłego, nie wyczuwając znaczącego oporu.

– Jest świeżo ogolony.

Raszeja zamknęła powieki, co tylko potwierdziło jego przypuszczenia.

Gross ujął głowę denata w obie ręce, próbując wymacać zgrubienia lub guzy.

– Brak urazów głowy.

Cmoknęła niezadowolona.

– Tak, ale stać cię na więcej, Bernardzie.

Podniósł powieki zmarłego, ale nie zauważył niczego szczególnego w jego oczach. Złapał go za lewą dłoń.

– Zimno, zimno – stwierdziła Raszeja.

Gross ponownie spojrział w zastygłą twarz mężczyzny. Zmarszczki przechodzące w inne zmarszczki, ale żadnego zadrapania, żadnego siniaka, podskórnego wylewu. Błądził, dlatego ponownie złapał go za głowę.

– Ciepłej. – Usłyszał głos lekarki.

Dopiero teraz to dostrzegł.

– Włosy.

– No, nareszcie.

– Ma świeżo umyte i obcięte włosy – dodał, wpatrując się w czyste i lśniące równe długością siwe włosy. – Czyste ciuchy – analizował dalej – ale dłonie i paznokcie brudne.

– Grzybica na paznokciach palców stóp – uzupełniła lekarka, a Gross spojrział na gołe stopy i żółte, zrogowaciałe płytki paznokciowe. Buty zdjęli wcześniej technicy, w celu porównania ewentualnych śladów traseologicznych.

– Pod ubraniem na łydkach, na udach zapewne też, ale to stwierdzimy w poniedziałek, sporo śladów mogących świadczyć o tym, że to bezdomny. Przyżyciowe zadrapania i owrzodzenia, niegojące się rany, strupy. – Raszeja zerwała rękawice i wrzuciła je do worka ze śmieciami. Wyciągnęła paczkę papierosów. – W poniedziałek dowiemy się więcej.

– Co obstawiasz? – spytał.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się. Przytrzymała dym w płucach, a kiedy go wypuściła, siwe

kłęby uniosły się pod dach namiotu.

– Wychłodzenie organizmu. Ale trzeba sprawdzić też toksykologię. Technicy znaleźli puszkę po piwie.

*

Wcześniej, zanim Gross porozmawiał ze Skalką, odszukał Chęcińskiego oraz Blocha, którzy pakowali sprzęt do bagażnika służbowego wozu. Silnik diesla dudnił cicho, kłęby spalin rozwiewały się na wietrze.

– Miał przy sobie jakiegokolwiek dokumenty?

– Żadnych – odpowiedział Bloch. – Niczego, co pozwoliłoby ustalić jego tożsamość.

– Zrobiłem zdjęcia, wyślę, jak tylko dojedziemy do centrali. Zresztą Otremba też robił.

Komórką.

– Denat ma umyte włosy – powiedział Gross.

– Zwróciłem na to uwagę. Zebraliśmy materiał spod paznokci dłoni, jeśli znajdziemy tam ślady naskórka z głowy, będziemy pewni, że zrobił to sam. – Chęciński zatrzasnął pokrywę bagażnika. Drugi z techników pożegnał się z komisarzem i schował do nagrzanego samochodu. – A zerknąłeś na jego ciuchy?

Gross odtworzył z pamięci, w co był ubrany mężczyzna z łódki. Nie skupił się nad tym, ale obrazy samoistnie uwieczniły się w jego głowie.

– Chodzi ci o dzinsy i marynarkę? – dopytał.

– Bardziej o to, że to nie były jego ciuchy.

– Co masz na myśli?

– To nie był jego rozmiar.

– Były za duże?

– Marynarka, koszula i kurtka na pewno. Spodnie z kolei wydawały mi się za krótkie, buty o rozmiar większe.

– W przypadku bezdomnych to chyba normalne? – spytał Gross.

– O ile mamy do czynienia z bezdomnym.

– Fakt.

– Jeszcze nie widziałem tak zadbanego bezdomnego.

Gross dopiero wtedy skojarzył fakty.

– Ciuchy wyglądały na czyste.

– Jakby prosto z pralni – potwierdził Chęciński.

– A łańcuszek?

– Słucham?

– Obstawiam, że miał łańcuszek na szyi, ale albo sam zerwał, albo ktoś to zrobił.

– Ślady na szyi widziałem, ale w łódce żadnego łańcuszka nie było. Na łodzi też nie.

– Mógł się zapodziać gdzieś w jego ciuchach.

– Wątpię, ale nie rozebraliśmy go. Kiedy go przenosiliśmy na deskę strażacką, spod kurtki wypadło tylko to. – Chęciński otworzył z powrotem bagażnik i wyciągnął aparat. Odszukał zdjęcie, a następnie odwrócił sprzęt wyświetlaczem do Grossa.

– Co to jest?

– Wygląda na niewielki brelok.

– Taki do kluczy?

– Tylko trochę mniejszy.

– Kula bilardowa? – rzekł Gross, wpatrując się w czarną lśniącą kulkę z białym polem, na którym widniała czarna ósemka. Metalowy trzpień wystawał u góry. Do niego powinien być

doczepiony łańcuszek.

– Na to wygląda.

– I tylko tyle? Nigdzie nie było fragmentu łańcuszka albo chociaż pękniętych ogniów?

– Nie.

Nie pytał ich, czy dobrze sprawdzili, chociaż miał to na końcu języka. Chęciński był jednym z najlepszych w branży, ale każdemu zdarzał się gorszy dzień.

– Jesteś pewien?

Technik pokiwał głową, schował aparat i zatrzasnął bagażnik.

– Co jeszcze znaleźliście w łódce?

Chęciński poprawił czapkę.

– Pety, zgniecione puszki po piwie, w niektórych był jeszcze alkohol. Papierki po batonach i chipsach, opakowania po fajkach, starą zapalniczkę, sporo śmieci. I jeszcze plastikową butelkę bez etykiety, jakby po wodzie mineralnej.

– Z jakąś zawartością?

– Tak, ale cholera wie, co to jest. Na pewno nie alkohol, bo zamarzło na kamień.

– Odkręcałeś?

– Bernard, sam sobie wachaj, jak chcesz – zdenerwował się Chęciński. – Zabierzemy do siebie, to sprawdzimy. Dam znać, okej?

Uścisnęli sobie dłonie. Technik zasiadł za kierownicą, a Gross spojrzął nad dachem samochodu w stronę komisariatu.

– Przygotował się – stwierdził cicho.

– Co mówiłeś? – Chęciński odwrócił twarz w jego stronę.

– Nie, nic. Nieważne.

– Do zobaczenia. – Zatrzasnął drzwi i odjechali.

*

Godzinę później komisarz stał już sam na opustoszałym brzegu i patrzył na zamrożone jezioro. Zniknął policyjny namiot i rozstawione na lodzie policyjne kurtyny, odjechały pojazdy straży, a karawany odwiozły zwłoki do chłodni w chełmskim szpitalu, skąd w poniedziałek miały wyjechać do Torunia.

Zamierzał zadzwonić do Otremby, któremu kazał zająć się ustaleniem tożsamości denata z łódki, ale odpuścił. Gdyby aspirant cokolwiek w tej sprawie wiedział, odezwałby się do niego pierwszy. Postanowił więc dać mu jeszcze trochę czasu. Wybrał numer do prokuratora i zreferował mu wstępne ustalenia. Wszystko wskazywało na to, że śmierć chłopca i starszego mężczyzny nie łączą się ze sobą, nie licząc dnia i miejsca odnalezienia zwłok.

– Lubię takie newsy – stwierdził Legner. – Robota robi się sama.

– W poniedziałek spotkamy się na sekcji – dodał Gross.

– Jasne. Ale jest lepiej niż myślałem. – Rozłączył się.

Gross ruszył w stronę swojego domu po dziurawej jezdni wyłożonej szlaką, która gdzieniegdzie przedzierała się przez ubity śnieg. Dopiero teraz zorientował się, że nie ma ze sobą książki, którą rano wypożyczył z biblioteki. Przedzwonił do dyżurnego straży, ale żaden ze strażaków nie zabrał jej z miejsca akcji. Komisarz wrócił więc na bulwar. Poczul głód, docierało do niego to, że jest przemarznięty i zaczyna się trząść. Nie czuł palców stóp, szczypały go policzki.

Rozejrzał się wokół, sprawdził ławki, ale nigdzie nie znalazł zguby. Drewnianym pomostem wrócił na Plażową. Wszedł po schodach na czwarte piętro, zabrał z mieszkania inną książkę i zbiegł na parter. Ściemniało się, kiedy z garażu pod płotem wyprowadził niebieskiego, dziesięcioletniego golfa.

Trząśnięty z zimna do Łysomic, zanim z nawiewów buchnęło gorące powietrze. Całą drogę do

Torunia myślał o dwóch ciałach. O chłopcu wyłowionym z lodowatej wody i zamrożonym, starszym mężczyźnie. O sinej barwie ich skóry i o przypadkach.

Na stacji BP w Toruniu zjadł hot doga i wypił herbatę.

– Całe życie składa się z przypadków – powiedział do siebie cicho, po czym odjechał w stronę zakładu opiekuńczo-leczniczego fundacji „Światło”.

dziesięć lat temu

Sławomir Tarasewicz zatrzymał mercedesa przy stróżówce swojej hurtowni i kiwnął palcem na ciecica, Józefa Koreckiego. Dostrzegł go w oknie zapadłej budy, która najlepsze lata miała dawno za sobą. Tarasewicz pomyślał, że czas na zmianę, dlatego obiecał sobie przejrzeć oferty używanych robotniczych kontenerów. Wiedział, że bez problemu znajdzie coś w dobrym stanie i rozsądnej cenie.

Odczekał chwilę, a gdy kulejący siwy facet podszedł do bocznych drzwi, opuścił szybę w samochodzie. Słońce grzało niemiłosiernie, klimatyzacja szumiała na najwyższych obrotach.

– Mam tam wejść? – Tarasewicz przeciągnął dłonią po swoich gęstych wąsach i długiej brodzie.

– Szefie kochany. – Uśmiech rencisty odsłaniał braki w uzębieniu, a raczej pokazywał nieliczne niemal brązowe pieńki. – Szefuniu, ani jednej buteleczki szefunio tam nie znajdzie. Nic, nul, zero.

– Wypierdolę na bruk, Józek. Będziesz mostu szukał, żebyś miał się gdzie kimnąć.

– Szefuniu...

– Jak się ubzdryngolisz i znowu coś zginie, to... – Pogroził palcem.

Niski mężczyzna z ogorzałą twarzą złożył ręce na piersi.

– Toć przyrzekam przecież! A niech tu któryś, kurwa, wejść spróbuje, to mu dupę na kotlety rozbiję. – Zaciśnął pięść i zaczął nią wygrażać.

Tarasewicz dał mu znak, żeby przestał.

– Przyjedzie tu taki facet, Wegner się nazywa. Dasz mu to, co jest na tamtej palecie. – Odwrócił się i wskazał palcem na plac przed biurem. – To dla niego.

– Ma coś zapłacić?

– Nie. Ma to odebrać, jasne? Wpuścisz go i pomożesz przeładować na jego dwukółkę.

– Zgoda, szefuniu!

Tarasewicz pokiwał głową. Podciągnął szybę i ruszył bez słowa pożegnania. Włączył kierunkowskaz, ale zanim wyjechał na jezdnię, przystanął i zaczekał, aż Józek zamknie bramę hurtowni budowlanej, dumy Tarasewicza.

Kocie łby lśniły w słońcu brązowym blaskiem i oślepiały, gdy jechał w stronę centrum. Tam skręcił w kierunku bloków i zatrzymał się na parkingu. Odczekał pięć minut, po czym zauważył kobietę, która ruszyła w jego stronę. Podał jej kopertę z pieniędzmi przez szybę. Ona schowała ją do torebki i poszła dalej.

Odjechał w stronę cmentarzy i skręcił w prawo w osiedle Maja. Zaparkował pod domem na rogu Broniewskiego. Spojrzał w okno kuchenne. Firanka nie drgnęła.

Tarasewicz wyciągnął z brązowej saszetki portfel i wybrał gruby plik dwusetek, część dzisiejszego utargu. Schował je pod stare mapy do skrytki przed siedzeniem pasażera. Kilka banknotów dla niepoznaki zostawił w wysłużonym skórzanym portfelu.

Wysiadł ociężale z wozu i pomyślał, że kiedy już zmieni swoje życie, będzie musiał się odchudzić. Otyłość brzuszna to kara śmierci odłożona w czasie, przypomniał sobie słowa lekarza z przychodni. Dokuczały mu kolana, sapał przy każdym wysiłku, a chrapał głośno jak nadlatujący wojskowy helikopter.

Upał odbierał mu siły. Czuł wilgoć pod pachami wymiętej po całym dniu koszuli z krótkim rękawem.

Przeszedł na tył wozu i zobaczył, jak powietrze drga nad gorącym asfaltem. Za starymi drzewami rozciągał się stadion Legii Chełmża.

Otarł zroszone potem czoło i uniósł klapę bagażnika. Z trudem wyciągnął wiadra folii w płynie i ustawił przed otwartą furtką, na której wisiał jeszcze pordzewiały szyld z napisem „Kaletnik”.

Potem to samo zrobił z trzema workami cementu i wyprostował plecy. Zamknął samochód i przeszedł splekanym betonowym chodnikiem do drzwi wejściowych. Ból promieniował od krzyża do

prawego kolana. Skrzywił się.

Pociągnął za klamkę i schował się do chłodnego wnętrza.

– Ela! – krzyknął.

Cisza.

Wszedł do korytarza i zerknął do dużego pokoju.

– Ela! – powtórzył przy schodach prowadzących na piętro.

Już chciał udać się na górę, gdy zauważył lekko uchylone drzwi do piwnicy. Otworzył je szerzej.

– Jesteś tam? – spytał.

Usłyszał rumor.

Ruszył w dół zaniepokojony, wciągając w nozdrza zapach czystej ziemi. Zaskoczyło go to.

– Ela! Stało się coś?

Zanim zdążył stanąć na wyłożonej brukiem podłodze, kobieta wyjrzała na klatkę schodową. Uśmiechała się tak, jak lubił.

– Jezu, wystraszyłaś mnie – sapnął.

Stanął przy niej, a ona przyciągnęła go za jego długą brodę. Pocałowali się.

– Co ty tu robisz? – zdziwił się. – Myślałem, że posprzątasz łazienkę.

– Łazienka to blef.

– No jak? Przecież Grażka wyraźnie mówiła o łazience. Zresztą sam ci mówiłem, że zimą ciągnie od podłogi.

– Wiem. I ja jej też o łazience powiedziałam.

Przetarł dłonią twarz i odwrócił głowę. Narastało w nim napięcie.

– Co ty kombinujesz, co? Przecież się dowie! Wystarczy, że tu przyjdzie, psiakrew – stwierdził i dopiero dostrzegł, że w korytarzu jest ciasno. Słoiki z wekami stały w nieładzie na podłodze, stary regał odwrócono przodem do ściany.

W pomieszczeniu naprzeciwko połyskiwały stare maszyny kaletnicze, ze ścian zwieszały się od dawna nieużywane narzędzia. Resztki skór walały się po szerokim stole i podłodze. Śmierdziało naftaliną, a mimo to w świetle lampy dostrzegł fruujące mole.

Elżbieta Jaworska zasłoniła mu oczy i pociągnęła go za rękę, do pomieszczenia, z którego niedawno wyszła. Zatrzymali się tuż za progiem.

– Już! – powiedziała i cofnęła rękę z jego twarzy.

Otworzył oczy. Puste, ślepe pomieszczenie o powierzchni kilku metrów kwadratowych zalewało żółte światło. Goła żarówka zwisała na kablu pośrodku sufitu. Nieotynkowane chropowate ściany pokrywał ciemny, wilgotny nalot. Poczul się nieswojo.

– Coś ty zrobiła? – spytał, wskazując rękę na podłogę, a raczej na to, co z niej zostało.

Zdjęty bruk, poskładany na kupki, odsłaniał czarną ubitą ziemię, pośrodku której tkwił wbity szpadel.

– Po cholere to... – spytał, ale nie zdążył dokończyć.

– Trzeba się jej pozbyć – stwierdziła.

Zadrżał. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– O czym ty, do diabła...

Zamknęła oczy. Po dłuższej chwili otworzyła je i spojrzała kochankowi w jego przerażone oczy.

– Wiesz, że twoja żona nie odpuści. Zrobi wszystko, żeby nas odnaleźć – stwierdziła szeptem.

– Zaraz...

Zaprzeciła powolnym ruchem głowy.

– Nigdy nie będziemy wolni – dodała.

Chciał się odezwać, zaprzeczyć, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Przyjaciółka jego żony, z którą wkrótce zamierzał uciec i zatrzeć za sobą wszelkie ślady, po raz pierwszy go przerażała.

Kobieta przytuliła się do mężczyzny i wyszeptala mu do ucha słowa, które brzmiały jak

z najgorszego koszmaru.

– Dlatego w tej ziemi zakopimy twoją Grażkę...

Przez chwilę posłała płatek jego ucha. Poczul jej ślinę i wzdrygnął się.

– ...bo tutaj nikt nigdy jej nie znajdzie.

dzień pierwszy, wieczorem

Podeszwy butów Grossa piszczały głośno, kiedy stawiał kroki we wnętrzach pomieszczenia. O tej porze było tu zazwyczaj cicho i pusto, ale teraz z piętra dobiegał gwar.

Wszedł schodami na górę i zobaczył pielęgniarkę, która podbiegła w kierunku drzwi prowadzących na oddział. Gwar stał się głośniejszy, a przez szyby oddzielające część administracyjną obiektu od sal pacjentów dostrzegł kilka osób w białych kitlach. Zgromadzili się przed wejściem do jednego z pokoi.

Znał go doskonale.

Drugie drzwi po lewej.

– Powiedziała to! – Usłyszał przytłumiony głos. – Poprosiła o wodę!

Zakręciło mu się w głowie. Komisarz nie mógł przełknąć śliny.

– Pięćdziesiąta druga! – Usłyszał kolejny rozradowany głos i ruszył w stronę niewielkiego zbiegowiska.

Uginały mu się nogi, kiedy w końcu szarpnął drzwi i wszedł na oddział.

Skrzypienie jego butów zwróciło uwagę korpulentnego pielęgniarza z gęsto owłosionym przedramionami. Opierał się o framugę i uśmiechał szeroko.

– Kolejny sukces – zwrócił się do Grossa, gdy ten podszedł bliżej. Po chwili jednak pielęgniarz dojrzał białą jak kreda twarz policjanta i zreflektował się. – Sąsiadka pana żony, Mariolka, wybudziła się.

Nadzieja zgasła w Grossie tak nagle, jak szybko się w nim rozświetliła.

Wesołość zniknęła z twarzy pielęgniarza. Mężczyzna odkleił się od framugi, żeby przepuścić Grossa, a następnie poklepał policjanta po ramieniu.

– Trzeba być dobrej myśli – odezwał się.

Na łóżku bliżej wejścia Mariola uśmiecha się do pielęgniarek. Wciąż jakby nieobecna, przebudzona po jej najdłuższym, bo trzynastomiesięcznym śnie, w który zapadła po pływackim treningu. Gross pamiętał opowieści jej załamanego ojca, który mógł być w jego wieku. Bogaty człowiek, który czuł się tym bardziej bezsilny, że jego ciężko zarobione pieniądze nie przydawały mu się w tej sytuacji na nic. Liczył tylko na cud. Wiele razy powtarzał, że Mariolka robiła nawrót po dziesiątej długości basenu, gdy zachłysnęła się wodą. Dzień w dzień trenowała i dzięki temu odnosiła znaczące sukcesy w tym sporcie. Jednak przypadek sprawił, że nie wyszła już o własnych siłach z basenu. Kiedy ratownik oderwał wzrok od wyświetlanych na ekranie smartfona nowych postów na Facebooku, był pewien, że Mariola jak zawsze trenuje wytrzymałość oddechową. Po chwili zorientował się jednak, że jej beztróskie leżenie na wodzie trwa zbyt długo. Sięgnął po gwizdek i wydał w niego zawartość płuc. Mimo to pływaczka nie drgnęła. I tak było przez kolejnych trzynaście miesięcy. Stymulowana w fundacji „Światło”, była na dobrej drodze do wybudzenia. Gross wiedział o tym, więc właśnie takiej wiadomości powinien się spodziewać.

Usta Marioli próbowały niezdarnie złożyć się do wypowiedzi. Pielęgniarki głaskały dziewczynę po dłoniach i zwracały się do niej jedna przez drugą. Nie słyszał tych rozmów, nie dochodziły do niego żadne dźwięki. Przeniósł wzrok na drugie łóżko, to bliżej okien, gdzie pod kołdrą i pomarańczowym kocem spała druga pacjentka. Wyglądało to tak, jakby świat na tę chwilę o niej zapomniał.

Twarcz miała zwróconą do szyby. Z tej pozycji Gross widział jedynie jej krótkie blond włosy.

Żona Grossa wciąż spała.

Jej sen, a jego koszmar, trwał już dziesiąty rok.

Uśmiechnął się zdawkowo i przepchnął się przez rozradowany personel zakładu. Rodzina Mariolki najwyraźniej nie zdążyła jeszcze dojechać.

Stanął w nogach łóżka, w którym leżała żona. W ręce trzymał kurczowo zwiniętą w rulon cienką książkę. Wyprostował okładki i położył powieść na kocu, obok ukrytych pod pościelą nóg żony

wychudłych tak bardzo, że przypominały ukryte pod materiałem trzonki do grabi.

Wreszcie spojrzął na otwarte, ale jakby martwe oczy wbite w jeden punkt. Jej piękna niegdyś twarz z każdym rokiem stawała się brzydsza. Brzydota odbierała mu żonę. Mięśnie mimiczne zanikały, sprawiając wrażenie, jakby skóra twarzy uformowała się w maskę z wykrzywionymi ustami, w których kąciku zbierała się ślina. Cienką strużką spływała po policzku i lądowała w wilgotnej plamie na poduszce. W zapadniętym policzku kładł się cień. Krótkie włosy przerzedzały się.

Gross pocałował żonę w chłodne czoło, a pod ustami wyczuł suchą skórę i mdły zapach ciała, który nie był zapachem jego kobiety. Chwycił jej kościstą dłoń na przywitanie i pogłaskał. Jak zawsze wyczuł nadmierne napięcie mięśni świadczące o uszkodzeniu dróg przewodzących sygnały z mózgu do rdzenia. Spastyka.

Usiadłszy ciężko na krześle, które dostawił obok, zaczął się zastanawiać. Na co liczył, kiedy zobaczył to zbiegowisko?

Przecież już dawno pogodził się z tą sytuacją, zaakceptował ją. Był racjonalistą. W ciągu tych wielu lat towarzyszył wielu wybudzonym pacjentom w tej placówce. Z niektórymi później rozmawiał, kiedy ich stan ulegał dalszej poprawie. Uśmiechali się, obiecywali, że Agnieszka też da znać, że wkrótce zacznie „współpracować”. To samo mówiły mu ich rodziny. Karmiły go pustą nadzieją, a to rzekome „wkrótce” nie nadchodziło. Wiedział, dlaczego tak się stało, znał odpowiedź. Skala Glasgow. Na wybudzenie mieli szanse ci, którzy w tej skali otrzymywali więcej punktów i jednocześnie byli bardziej podatni na stymulację sensoryczną.

Dawniej z wyjaśnień lekarza niczego nie rozumiał. Sądził, że jeśli do wybudzenia dojdzie, to będzie to cud. Że medycyna nie ma tu nic do gadania. A przecież cuda się nie zdarzają. Widział ludzi w śpiączce, których czaszki były wklęsłe jak talerze, czasami całkowicie pozbawione półkul mózgowych i kościstej formy. Żyli, chociaż może należało nazwać to wegetacją. Tacy pacjenci przecież nigdy nie mieli szansy na wybudzenie, chociaż rodziny nie traciły wiary, modliły się o cud. Gross wtedy też modlił się jak umiał, a prośby przeplatał przekleństwami. Jednak mniej więcej trzy lata temu wyszedł na prostą. Pogodził się, zaakceptował. W przeciwieństwie do jego syna.

Ściągnął kurtkę, którą zawiesił na oparciu krzesła, a następnie nachylił się, by wytrzeć chusteczką ściekającą ślinę i spojrzeć swojej żonie w oczy. Żrenice nie drgnęły. Jej chude ciało pozbawione siły mięśni nie poruszyło się.

Otworzył książkę na pierwszej stronie i przeczytał półszepsem tytuł. Nie wyjaśnił jej, że znów będzie czytał to samo, że zgubił wypożyczony dziś *Nocny lot*. Nie umiał z nią rozmawiać. Nie umiał mówić do ściany. Nie odzywał się nawet wtedy, kiedy siedział samotny na poddaszu bloku w Chełmży. Zachęcali go do tego, by rozmawiał z żoną. Stymulacja, mówili. Ważne, żeby słyszała pana głos, radzili. Dlatego zamiast mówić do niej i udawać przed sobą i światem, że normalnie z nią rozmawia, czytał półszepsem powieści jej ulubionych autorów. Wypowiadał każde słowo, ale jednocześnie nie skupiał się na tym, co czyta. Dziś odpłynął myślami rozdrażniony faktem, że dał się nabrać na cud, a później dlatego, że wrócił do analizowania śmierci chłopca i mężczyzny. Topielca i bezdomnego. Myślał o tym, co ich połączyło nocą na zamarznętej tafli jeziora. Tym razem trudno było mu uwierzyć w przypadek.

Po czterdziestu minutach Gross wyszedł od żony, całując ją w czoło. Na schodach minął się z ojcem Mariolki, wyraził swoją radość i uściśnął mu dłoń, ale do mężczyzny chyba jeszcze nie docierało jego szczęście. Zapewne modlił się o nie codziennie, ale kiedy przyszło, nie potrafił pojąć jego mocy. Umysł stawiał opór temu, co nieracjonalne.

Wsiadł w samochód i szeroką, pustą o tej porze średnicówką tnącą miasto ze wchodu na zachód, tak samo jak Wisła, kierował się w stronę Rubinkowa. Zaparkował wóz na nabitym parkingu naprzeciwko wieżowca przy Łyskowskiego 26 i zgasił silnik. Patrzył przez przednią szybę na żółty blok, którego dolne piętra oświetlały pobliskie latarnie. Przeliczył kondygnacje i spojrzął w rozświetlone okna na trzecim piętrze.

Gross wyszedł z samochodu i przebiegł truchtem przez jezdnię. Skierował się w prawo. Obszedł wieżowiec i dotarł do klatek schodowych. Zastanawiał się, czy ją zobaczy, czy tak jak zawsze

dziewczyna wyjdzie z psem na spacer. Wbił ręce w kieszenie i oparł się o wiatę śmietnikową. Niezrozumiała dla niego troska o nią była silniejsza. Tym razem, mimo iż czekał dłużej niż zwykle, drzwi klatki nie uchyliły się i nie zobaczył w niej kobiety z pięknym, podpalanym cavalierem na smyczy. Winę zrzucił na trzaskający mróz. Czuł, jak stopy zamieniają się w bryły lodu. Przepędował z nogi na nogę, przespacerował się wzdłuż rzędu klatek schodowych, ale to nie pomogło. Wielokrotnie podnosił wzrok na wysokość okien jej mieszkania, ale z tej strony światło nie zapaliło się ani razu. Kiedy spojrział w nie, pierwszy raz tego wieczora odnotował ruch. Albo tak mu się tylko zdawało.

Z niechęcią pomyślał, że czas wracać. Skierował się na parking po drugiej stronie jezdni, kiedy w bocznej ulicy zaparkował radiowóz. Gross odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę. Kątem oka dostrzegł błysk niebieskiego światła, które głaśkało okna pobliskich bloków i odbijało się od zalegającego śniegu.

Zatrzymał się, wziął głębszy oddech i zrezygnowany skierował się do radiowozu. Gdy podszedł od strony kierowcy, ten opuścił szybę.

– Panie komisarzu – zaczął dowódca patrolu. – Po co to panu?

Gross ściągnął ramiona.

– Ona was wezwała? – spytał.

– Niech pan wraca do siebie, dobra? Uznam, że nigdzie pana nie widziałem.

– Więc to ona – stwierdził.

– Niech pan już idzie. Do zobaczenia.

Szyba podjechała w górę.

*

Gross wrócił do Chełmży, a droga zajęła mu nieco ponad pół godziny. Nie spieszył się, nie miał do czego gnać. Puste mieszkanie przywitało go dźwiękami zbyt głośno nastawionego telewizora sąsiadów. Gross nie miał własnego odbiornika ani radia. Cisza była jedynym dźwiękiem, którego pożył. Był jej spragniony, ale im ciszej było w jego mieszkaniu, tym wyraźniej dobiegały do niego odgłosy zza ściany.

W aneksie kuchennym przygotował sobie dwie kromki chleba z pasztetem i zalał wrzątkiem ekspresową herbatę. Zaniósł talerz i kubek do pokoju i postawił na stole, przy którym stały dwa krzesła. Dawniej mebel stał w ich toruńskim domu w jaskrawożółtej jadalni, ale kiedy się stamtąd wyprowadzał, uznał, że sześć krzeseł nie będzie mu potrzebnych. Gdy komendant toruńskiej policji załatwił mu przeniesienie żony do „Światła”, Gross napisał do niego raport o zmianę miejsca zatrudnienia. Ten początkowo nie chciał się zgodzić. Nie zamierzał tracić dobrego psa. Później dał się przekonać. Zrozumiał, że Gross musi odpocząć, i dlatego skierował go do komisariatu w Chełmży, traktując to jako chwilowe przeniesienie.

Gross sprzedał dom. Za połowę pieniędzy kupił mieszkanie na poddaszu z widokiem na jezioro, resztę dołożył z kredytu. Drugą połowę przekazał synowi. Bartosz Gross studiował inżynierię środowiska na politechnice w Poznaniu i pieniądze zamierzał odłożyć na procent, być może na późniejszy zakup mieszkania w tamtym mieście. Tak to miało wyglądać, ale Gross był pełen obaw. Wiele razy odbierał późną nocą telefon od bełkoczącego do słuchawki syna, który wyzywał go, wygrażał mu, a czasami płakał i wspominał matkę w taki sposób, jakby ona od dawna nie żyła. Przepraszał, że ją zawiódł, że stał jak słup soli, gdy zobaczył ją leżącą bez ruchu w łóżku, że nie wezwał od razu pogotowia, tylko płakał nad jej śmiercią, która przecież nie nadeszła.

Gross zjadł kanapki i wybrał numer do syna. Odczekał kilka sygnałów i opuścił. Kiedy odkładał aparat, poczuł krótkotrwały skurcz w klatce piersiowej. Przyłożył nasadę dłoni do mostka i delikatnie, kolistymi niewielkimi ruchami masował to miejsce.

Odstawił naczynia do zlewu i wrócił do stołu. Tym razem usiadł po przeciwnej stronie, tam

gdzie lakierowany blat wyściełał szary papier, na którym stały farby, pigmenty i pozostałe chemikalia w niewielkich słoiczkach ustawione rzędem, pędzle wystające ze słoika, rozcieńczalniki i narzędzia modelarskie wetknięte w kilka nieużywanych kubków. W kuwecie spoczywały różnej gramatury papiery ściernie. Obok stołu obiektyw aparatu umieszczonego na statywie spoglądał na modelarski warsztat.

Gross zapalił dwie kreślarskie lampy przykręcone po bokach blatu. Zimne światło oblało twardą matę ułożoną pośrodku, na której stał sklejonny model niemieckiego motocykla bmw r75 z II wojny światowej. Obok niego, jeszcze niepołączony z jednośladem, leżał kosz dla pasażera. Gross założył okulary i podniósł model, żeby przysunąć go bliżej źródła światła i ocenić, czy miejsca łączeń plastiku wymagają uzupełnienia szpachlówką. W jego dłoniach niewielki motocykl i wózek boczny wyglądał jak krucha zabawka. Okręcał je i długo im się przyglądał.

Wreszcie uznał, że elementy są dobrze spasowane. Poszedł do kuchni po pudełko po lodach, które wypełnił ciepłą wodą z kranu. Wkropił do niej odrobinę płynu do mycia naczyń. Zamieszał i wstawił model do wody, a następnie sięgnął po lateksowe rękawiczki i zużytą szczoteczką do zębów umył dokładnie pojazd. Usuwał w ten sposób pozostałości pyłu po szlifowaniu sklejonnych elementów i odtłuszczał powłokę. Kiedy skończył, pozostawił model w ciepłej wodzie do następnego dnia. Planował wyjąć go rano i osuszyć do wieczora, tak by o tej samej mniej więcej porze mógł zabrać się za nałożenie pierwszej warstwy farby podkładowej. Przy dobrych wiatrach model powinien skończyć za kilka dni i odstawić go na półkę do czasu tutejszego letniego festiwalu modelarskiego. Jeśli tylko czas mu na to pozwoli, przygotowałby trzy podobne motocykle i ustawił na dioramie. Całość zgłosiłby w kategorii modelarskich kolekcji. Dla Grossa byłby to pierwszy udział w jakiegokolwiek imprezie modelarskiej od czasu, kiedy pewnego jesienno-wieczoru ktoś niemal udusił jego żonę.

Zrzucił ciuchy, umył się i pogasił lampy. Potem oparł się o parapet i patrzył, jak wiatr szarpie policyjną taśmę, którą obwiązano łódkę. Rozmyślał o nietypowym bezdomnym i nastolatku. O kobiecie, która dostrzegła go z okien mieszkania w wieżowcu i dlatego nie wyszła z psem na spacer. Myślał o wybudzonej pływaczce i jej ustach, które niezdarnie układały się do wypowiedzenia słowa. Nawiedził go obraz wychudzonej żony, wątlých mięśni okrytych przesuszoną skórą, a wraz z nim rozważania o zdarzeniach przed dziesięciu laty, które wszystko skomplikowały. Rozbiły ich trzyosobową rodzinę, wrzucając każde w swoje odosobnienie. Zastanawiał się, co by było, gdyby tamtej nocy to on został w domu, a żona wybrała się z synem na zakupy. Dręczyło go to pytanie, na które nie znajdował odpowiedzi.

Dobiegły go odgłosy kłótni z dołu, podniesiony męski głos, a potem narastający, spazmatyczny płacz dziecka. Nasłuchiwał przez jakiś czas, jednak wkrótce wszystko ucichło. Z wyjątkiem zegara, który tukał głośno, gdy Gross wsunął się wreszcie w wychłodzoną pościel.

dziesięć lat temu

– Masz dziewczynę? – Sławomir Tarasewicz wiedział, że pytanie jest głupie, w końcu widział swojego syna z szatynką od Olesińskich. Nie bardzo mu się uśmiechała ta cała sześciuosobowa rodzina, w której bieda piszczała głośno jak wyliniały pies. A najbardziej nie podobało mu się to, że ta mała pinda, może i miła, może i serdeczna, bo na taką nawet wyglądała, oskubie jego syna z pozostawionych mu pieniędzy. Baby tak mają, wiedział to po własnej żonie. Grażka też umiała go oskubywać z kasy, a kiedy pytał ją o wydatki, mówiła, że nie wydaje na bzdety. A czym, jak nie bzdetem, były kolejne pary butów i te cholerne kiecki, których nawet nie zakładała, bo i okazji nie było. Potem mu wmawiała, że to niby stare, że od matki dostała. Więc bał się o tego syna i o pieniądze, które mu zostawi, kiedy już zniknie stąd razem z Elą. Uśmiechnął się na samą myśl o tym, że przetnie wszystko jak nożem, że zostawi za sobą we wstecznym lusterku ten grajdół i stąd zniknie. Ta perspektywa nadawała sensu jego działaniom.

Janek Tarasewicz zawstydział się. Zsunął z czoła na nos okulary przeciwsłoneczne, jakie nosił Sylwester Stallone w filmie *Cobra*, który niedawno wspólnie obejrżeli. W długich włosach wyglądał zupełnie jak jego matka.

– Miałem, ale to już nieaktualne – odezwał się osiemnastolatek. – Ale chyba nie zamierzasz mnie teraz uświadamiać, no o tym, wiesz...

– A co? Hormony buzują? – spytał ojciec i popił zimnego kujawiaka. Sam pamiętał, jak będąc w wieku Jaśka, wieku permanentnej erekcji, ślinił się na widok wypiętego kobiecego tyłka albo głębszego dekoltu.

– Weź tata, przestań. – Chłopak znów spojrzał zawstydzony. – Powiedz lepiej, o czym chciałeś pogadać.

Siedzieli na ławce na bulwarze, w pełnym słońcu. Szczekały psy, kawałek dalej na plaży tłumy moczyły się w wodzie i wygrzewały na trawie i piachu. Obserwował młodą matkę z kilkuletnim chłopcem.

Gdzieś za ich plecami toczyło się zwykłe i nudne jak dla Tarasewicza, chełmżyńskie życie.

– Jak ona ma na imię? – Zignorował prośbę syna.

– Asia.

– Też miałem kiedyś taką Aśkę, jeszcze jak w Browinie mieszkałem...

– Ojciec, daj se spokój, jo?

Sławomir westchnął.

– Bzyknąłeś ją już, synek?

– Tata... – jęknął młody.

Stary Tarasewicz spojrzał w jego stronę.

– Serio? Jeszcze nie? – Ojciec zdziwił się. – Ale chyba nie jesteś pedałem, co? Bo wiesz, w twoim wieku, synek, to już powinienes być mężczyzną. Już powinienes mieć na koncie jakieś dupeczki, zerwane błony, rozumiesz?

Janek nic nie mówił, zagryzał wargi zażenowany rozmową.

– Oj synek, synek – westchnął Sławomir Tarasewicz. – Bądź jak twardy kutas, a nie miękka faja.

Upał dawał mu popalić, a zimne piwo parowało z niego wszystkimi porami skóry. Przypomniał sobie, jak tę Aśkę wygrzmocił kiedyś na sianie. Jak ją rozdziewiczył i jak mu wtedy skomlała do ucha, i jak mu fiut sterczał umazany krwią. Ale zadowolona była i on też. Tarasewicz mimowolnie uśmiechnął się do wspomnień.

– No ojciec, mówisz coś, bo jak nie, to...

Koźnierzyk koszuli z krótkim rękawem, którą Grażka wyprasowała rano, kleił się staremu Tarasewiczowi do szyi. Krople potu lśniły na jego czole. Siedział z nogą założoną na nogę, w spodniach na kant czarnych jak noc, które grzały go bezlitośnie. Zauważył, że wyszarzałe już białe skarpety po całym dniu w sandałach nadawały się do pralki.

– Pamiętasz, jak kiedyś mówiłem ci, że odziedziczysz po mnie cały mój biznes i firmę całą? – spytał syna i podrapał się po gęstej brodzie. Mrużył oczy od oślepiającego blasku słońca, którego promienie odbijały się od nieruchomej tafli jeziora i roztopiały asfalt pod butami.

– No, pamiętam. – Młody Tarasewicz wyprostował się zainteresowany.

Ojciec obserwował go kątem oka.

– Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie.

Odczekał chwilę, aż syn przetrawi tę informację.

– Chodzi o to, że zrobimy inaczej.

– Inaczej? – Janek zarzucił włosy na plecy.

– Ale to, co teraz powiem, musisz trzymać w tajemnicy przed matką.

– A co się stało?

Tarasewicz przegonił muchę, którą natarczywie podlatywała do jego ucha. Wyczuł w synu falę smutku, a może rozgoryczenia. Zawiódł go, ale chłopak jeszcze niczego nie wiedział, niczego nie rozumiał. Dopił więc piwo, otarł wąsy i oddał synowi pustą butelkę, a następnie wyciągnął z saszetki, która leżała obok jego uda, pękaty portfel. Sięgnął po sto złotych, a potem zawahał się. Wyjął kolejny stużłotowy banknot i oba wręczył Jaškowi.

– Przynieś nam po piwie.

– Nam?

– No chyba napijesz się z ojcem, skoro stawiam, co?

Smutek zniknął z twarzy młodego.

– A mama?

– Oj tam. Nie pierdoł, tylko leć!

– No, ale wiesz, jaka ona jest.

– Wiem, jaka jest matka. A ty nie bądź pizda i leć!

– Za tyle mam kupić?

– Zwariowałeś? Po jednym przynieś, dzieciule. Reszta dla ciebie. – Zaśmiał się. – Może tę swoją Aškę na lody zaprosisz, co?

„A potem ona ciebie, pomyślał, zaprosi na loda”. Puścił do syna oko, a ten poszedł do pobliskiego sklepu.

Sławomir wykorzystał tę okazję i podszedł do młodej matki kilkuletniego chłopczyka.

– Kup mu lody. – Dał jej stużłotowy banknot i wrócił na ławkę.

Kiedy Jasiek przyniósł piwa, stuknęli się butelkami i pili bez słowa.

– Kilka dni temu prosiłem, żebyś kupił w Toruniu dwie kasetki – zaczął, ocierając pot z czoła. – Zrobiłeś to?

Syn wyciągnął miniaturowe kule bilardowe i pokiwał zawieszonymi na nich niewielkimi kluczykami.

– Gdzie je kupiłeś?

– W Toruniu, w metalowym na Panny Marii, tak jak chciałeś.

– Dobrze. A gdzie schowałeś?

– No prosiłeś, żeby w garażu.

– Wiem, ale gdzie konkretnie, dzieciule?

– W tej szafie dużej, między starymi płytkami z łazienki.

– Dobrze. – Uspokoił się i dopił piwo, które zaszumiało mu nieco w głowie. Wcześniej w pracy wypił dwa browary, więc teraz był po czwartym. A upał robił swoje.

– Ojciec, ale mów, co z naszą hurtownią? – Chłopak rozdrapał bąbel od ukąszenia komara na przedramieniu i zlizał kropkę krwi.

Sławomir Tarasewicz rozpiął kolejny guzik koszuli, odsłaniając tors z mizernym owłosieniem, i nabrał powietrza.

– Nie wiem, ile w tym prawdy, ale podobno jakiś niemiecki market chce tu wystawić swoją budę.

– Gdzie?

– W budynku dworca.

– No to co?

– Konkurencja, synek. Zjedzą nas żywcem.

Młody popił piwa i zanim się odezwał, postawił butelkę w cieniu pod ławką.

– To ktoś z Chełmży?

Ojciec wzruszył ramionami i spojrział w bok w kierunku plaży, skąd dobiegał do nich gwar i plusk wody.

– A jakie to ma znaczenie? Chodzi o to, że pójdziemy na dno.

– Ale przecież konkurencja jest wszędzie.

– Ale nie wygrasz z siecią, która pokona nas cenami. Będzie je zaniżała tak długo, aż padniemy.

A klienci oglądają złotówkę z każdej strony, zanim położą ją na ladzie.

– No, ale zawsze mi mówiłeś, że nie wolno się poddawać, że trzeba walczyć do końca.

Sławomir Tarasewicz uśmiechnął się w duchu, bo czekał na te słowa. Tyle lat wpajał synowi tę prawdę. Mówił mu, że w każdym działaniu liczy się cierpliwość i że nie ma lepszego nauczyciela od porażki. Szczególnie w robieniu pieniędzy. Wpajał mu to przy każdej możliwej okazji i wreszcie zadziało. Wyciągnął więc z saszetki kopertę i podał mu.

– Kasa? – Janek spytał z uśmiechem, ale zauważył, że twarz ojca tężeje.

– Czytaj!

Chłopak niepewnie wyciągnął z koperty złożoną kartkę. Rozprostował ją i zastygł.

Widniały na niej wklejone litery wydarte z kolorowych gazet. Część lśniła w słońcu.

– To jakiś żart? – Młody spytał i zawiesił okulary przeciwsłoneczne na kołnierzu T-shirta.

– A czy ja się, kurwa, śmieję?

Syn obserwował, jak ojciec drżącą ręką sięgnął po piwo i przystawił do ust.

– Mama o tym wie?

Tarasewicz spojrział na syna.

– Nie wolno jej denerwować, jasne?

– Ale przecież...

– Czy to jest jasne?! – wycedził, nie zwracając uwagi na przechodzących obok staruszków, którzy spojrzeli w ich stronę.

Z twarzy chłopaka spłynęła krew. Pokiwał twierdząco głową, a potem ponownie spojrział na kartkę papieru.

– Kiedy to dostałeś?

– Wczoraj.

Tarasewicz zabrał synowi papier, złożył go i wsunął do koperty. Wciąż drżały mu ręce, kiedy chował ją w saszetce.

– Co my teraz zrobimy? – Syn złapał się za głowę.

– Pamiętaj jedno. My nie palcem robieni, synuś. Mam pewien plan. – Tarasewicz wstał. – Wszystko w swoim czasie. Ale jedno jest pewne. Będę potrzebował twojej pomocy.

Jego cień położył się na ławce i twarzy syna.

Mrużąc oczy, młody wpatrywał się w czarną postać na tle słońca. Chciał coś powiedzieć, ale ojciec odezwał się pierwszy.

– A teraz, synuś, idź do tej swojej Aśki i korzystaj z życia. Póki możesz.

– Ona nie jest już moja.

– To inną przeleć. Nie bądź dupa! – Tarasewicz odszedł ospałym krokiem w stronę parku.

Janek zacisnął pięści. Ojciec zawsze radził sobie ze wszystkimi trudnościami. Teraz na pewno też da sobie radę, skoro ma plan. „Trzeba będzie się tego planu trzymać”, pomyślał chłopak, któremu obraz kartki z naklejonymi literami wydartymi z gazet utkwiał głęboko w głowie.

„Zwijaj się albo zdychaj”.

dzień trzeci

W poniedziałek mróz zaczął odpuszczać, o siódmej rano termometr wskazywał minus dwa stopnie, a dwie godziny później, kiedy słońce wspięło się wyżej, temperatura podniosła się o kilka kresek.

Gross wyglądał przez okno z korytarza prosektorium na spękany, stary asfalt przykryty cienką warstwą śniegu i ślady opon prowadzące w stronę bramy głównej toruńskiego szpitala na Bielanach. Na tle jaskrawego nieba odcinały się stalowe żurawie. Ich potężne i długie ramiona przemieszczały się, a podczipione pod nimi wózki turkotały z uwieszonymi u dołu ciężkimi legarami. Szpital intensywnie się rozbudowywał.

Odwrócił się na charakterystyczny odgłos kółek noszy prosektoryjnych podskakujących na terakocie. Laborant sekcyjny odstawiał do chłodni ciało bezdomnego z Chełmży. Wcześniej to samo zrobił z nastolatkiem.

Marian Chęciński, technik kryminalistyki, spakował swoje przybory i po zdjęciu odbitek linii papilarnych z dłoni denatów ulotnił się, wymieniając z komisarzem uścisk dłoni. Raszeja rozmawiała teraz z prokuratorką, Joanną Bilską, która w spadku po dyżurującym w sobotę Legnerze otrzymała obie sprawy. Sprawy, których właściwie nie było.

Gross słyszał ich przytłumione głosy w pokoju obok, do chwili jak nie zagłuszyła ich pluskająca woda z węża, którą technik, milczący, szczupły trzydziestolatek w gumowym zielonym fartuchu i drewniakach na nogach, splukiwał oba stoły sekcyjne. Zabarwiona na czerwono ciecz zniknęła w odpływie.

Przez całą niedzielę Otremba starał się ustalić tożsamość zwłok mężczyzny z łódki. Krajowy System Informacji Policji, a także baza osób zaginionych nie pomogły w identyfikacji. Aspirant obdzwonił domy starców i ośrodki pomocy rodzinie, schroniska oraz noclegownie dla bezdomnych w kujawsko-pomorskim. Zero trafień. Nie zdziwiło to Grossa, bo kto by tam się przejmował zaginięciem bezdomnego. Bezdomni z natury wydawali się zaginieni.

– A byłeś w chełmżyńskim schronisku dla bezdomnych? Może ktoś by go poznał? – spytał Otrembę w niedzielę w porze obiadowej.

– Nie zastałem wszystkich – wyjaśnił aspirant przez telefon, przeżuwając kęs kotleta. – Wrócę tam przed kolacją. Myślę, że mróz zagna ich do ciepłego kąta i może wtedy czegoś się dowiem.

– A dyrekcja nic nie wie? Nikt nie widział tego człowieka?

– Nie. Personel twierdzi, że nikogo takiego tu nie było.

– A Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej?

– Żaden bezdomny nie zgłaszał się do nich ostatnio. Nie kojarzą go.

– Wszystkich przepytałeś?

– Jednej pracownicy socjalnej nie było, od tygodnia jest na zwolnieniu. Leczy gripę.

Gross przeczesał dłonią włosy.

– A nasza baza zaginionych? Jakies ślady, tropy? Cokolwiek? – dopytał.

– Mamy siedmioro zaginionych, którzy na przestrzeni ostatnich piętnastu lat przepadli bez wieści, w tym dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Z tej piątki dwóch odpada, bo to młodzi ludzie, a sprawa świeża, chyba sprzed roku i trzech lat.

– A pozostali?

– Jeden w chwili zaginięcia miał pięćdziesiąt lat, drugi pięćdziesiąt pięć, trzeci nieco starszy, nie pamiętam, ale zerknij w papiery – odłożyłem je u ciebie.

– Zerknę – potwierdził Gross. – Ale czy któryś z nich pasuje do rysopisu?

– Nie wydaje mi się. Wiek w przypadku tego drugiego by się zgadzał, ale co do wyglądu, to mam problem. – Otremba zawiesił głos.

Gross odczekał jakiś czas, zanim się odezwał.

– A data zaginięcia?
– Niecałe dziesięć lat.
– Mówisz, że niepodobny?
– Tak. Wydaje mi się, że podobieństwa nie ma.
– Przecież ludzie się zmieniają.
– Być może, ale chyba nie aż tak. Zresztą w poniedziałek sam zobaczysz. Zostawiłem materiały na twoim biurku. Pogadamy. Dam sygnał, jak już porozmawiam z bezdomnymi.

– Dobra.
– A i jeszcze jedno.
– Mów.
– Ten zaginiony nie był sam.
– Co masz na myśli? – spytał Gross.
– Zaginał razem z żoną.
– We dwoje? Jednego dnia?
– Tak. Podobno zabrali się samochodem. Zostawili dobrze prosperujący biznes i jedynaka, osiemnastolatka.

– To możliwe? – Gross skrzywił się.
– Co takiego?
– Uciec z żoną, zostawiając syna?
– A skąd mam to wiedzieć? Tyle że sprawa jest grubsza. Niedługo po ich wyjeździe zgłoszono zaginięcie bliskiej przyjaciółki żony tego faceta.

– A co z tym dzieciakiem? – dopytał.
– Tym, co go zostawili?
Potwierdził.
– Prowadzi hurtownię budowlaną po ojcu. Jak wyjeżdżasz z Chełmży w stronę Torunia, to przejeżdżasz koło niej.

– To ta naprzeciwko lidla?
– Ta sama.
– Nie wydawało mi się, żeby była otwarta.
– Nie? Kupowałem tam ostatnio silikon. Podobno gość ma jakieś problemy finansowe, ale firma wciąż działa. Masz do niego zamiar w aktach sprawy Tarasewicza. Taka luźna, kolorowa karteczka.

– Dzięki. Zerknę.

Gross odtworzył w pamięci tę rozmowę, ale szybko wrócił do terażniejszości. Wyszedł na korytarz. W sąsiednim pomieszczeniu technik sekcyjny przygotowywał zmarłą do pogrzebu. Przez niedomknięte drzwi Gross widział żyłaste, sine stopy kobiety z wykrzywionymi paluchami, na które mężczyzna zakładał czarne rajstopy, a potem mocował się z ciasnymi butami na niskim obcasie.

W drzwiach gabinetu po prawej stanęła wysoka i chuda kobieta w lenonkach.

– Wejdiesz? – spytała lekarka, po czym kiwnęła głową w stronę wnętrza.

Gross wszedł za nią do pomieszczenia tonącego w półmroku. Kiedy zajął miejsce przed starym biurkiem, Raszeja sięgnęła po ceramiczną popielniczkę w kształcie trupiej czaszki i ustawiła ją na blacie przed sobą. Z kieszeni fartucha wyjęła złote davidoffy, na których napisano, że palenie zmniejsza płodność.

– Wyglądasz na zawiedzionego – oświadczyła, odpalając papierosa. Siwy dym przesłaniał jej twarz.

Gross skrzywił się.

– Po prostu obawiam się, że mogliśmy coś przeoczyć.

– Dzieciak wpadł do przerębla, to pewne. Uduszenie gwałtowne ze wszystkimi tego objawami, takimi jak hiperwoleミア, czyli przedostanie się wody słodkiej z pęcherzyków płucnych do krwi, na skutek osmozy, co wpływa na rozrzedzenie krwi i zwiększenie jej objętości. Ponadto sam widziałeś

ostre rozdęcie krwistoczerwonych płuc z odcisnięciem się żeber. Płuca były pełne płynu obrzękowego.
– Raszeja zaciągnęła się. – Sprawdzimy dla pewności toksykologię i będziemy mieli wówczas pełną wiedzę. Co nie znaczy, że już dziś nie wiemy w tej sprawie wszystkiego.

– Żadnych śladów na ciele?

– Żadnych.

– A czas zgonu?

– Bardzo trudny do szczegółowego określenia. Temperatura zwłok i wody w jeziorze w chwili ich wydobycia sugeruje, że ciało mogło w niej przebywać równie dobrze tydzień, jak i piętnaście godzin. Loteria. Co prawda na krótszy czas może wskazywać zawartość treści żołądkowej. Właściwie rozpuszczonej w wodzie papki.

Gross zrozumiał, że ma pod górkę.

– Z bezdomnym nieco lepiej. Tu przynajmniej łatwiej określić czas zgonu. Moim zdaniem plus minus dziesięć godzin – przypomniała lekarka dokładnie to, co mówiła podczas sekcji.

– Hipotermia – rzekł.

– Sądzę, że tak, ale najpierw musimy się dowiedzieć, jakie tabletki miał w żołądku. Było ich sporo. Obstawiałabym leki na uspokojenie. – Lekarka znów się zaciągnęła. – Jak dodasz do tego zabójczą minusową temperaturę w nocy, to otrzymasz odpowiedź.

– Sugerujesz samobójstwo?

– Nie wykluczyłabym tego, biorąc pod uwagę rozległy nowotwór płuc z przerzutami do innych organów.

– Pytanie, skąd miał leki?

– To już twoja działka. Sam musisz to ustalić. – Mrugnęła do niego okiem i zgasła peta.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

Przypomniał sobie, jak niedawno, na prośbę Raszei, nachylił się nad głową bezdomnego, żeby powąchać jego włosy. Wyczuł delikatną kwiatową nutę, specyficzny zapach, który znał doskonale.

– To zapach bzu, Bernardzie – powiedziała wtedy.

Tak, teraz był o tym przekonany.

– Umył włosy, ogolił się. – Gross wrócił do rzeczywistości. – Miał czyste ciuchy.

– No i co ci to mówi?

– Przygotował się.

– Na co?

Komisarz spojrział w okno. Dopiero teraz dobiegł do niego dźwięk radia grającego po cichu stary przebój. Nie odpowiedział wprost na jej pytanie.

– Oni musieli się spotkać.

– Dzieciak i bezdomny?

Gross przeniósł wzrok na learkę. Odchyliła się na oparcie fotela i sięgnęła po paczkę papierosów. Trzymała ją w dłoniach, a potem wysunęła kolejny papieros.

Długo się nad tym zastanawiał. Być może było tak, że bezdomny umówił się z dzieciakiem celowo pod osłoną nocy na zamrożonym jeziorze. To oznaczałoby, że musieli się znać i na pewno spotkali się już wcześniej. Wówczas należało prześledzić minuta po minucie ostatnie dni życia chłopca. Piątek. Ostatni dzień zimowych ferii. Ale co, jeśli Grossa zawodził instynkt? Przecież równie dobrze mogło być też tak, że chłopak, który wcześniej spędzał czas na łódce ze znajomymi, wrócił tam i zastał trupa. Przestraszył się i uciekał po lodzie. Biegł, więc zwiększał siłę nacisku na lodową taflę. Wpadł do wody. Koniec, kropka.

Gross zlecił Skalce sprawdzenie, czy chłopak był odnotowany przez jakikolwiek patrol, które sam kierował do młodzieży na łódce zakłócającej spójność. Dziewczyna szybko wywiązała się z obowiązku i poinformowała Grossa, że w policyjnych raportach brak nazwiska nastolatka. Nie dowodziło to oczywiście tego, że nie przesiadywał w łajbie. Młodzież, szczególnie w ferie, mogła spotykać się tam za dnia, kiedy on sam, tak jak jego sąsiedzi, był w pracy. Wówczas nikt nie musiał na nich zwrócić uwagi. Gross kazał Skalce zweryfikować to w rozmowie z matką chłopaka. Jeśli

przesiadywał na łodzi, być może coś o tym wiedziała. Albo jego młodszy brat. Poza tym musieli wspólnie rozpisać wszystko to, co nastolatek robił w piątek. Metodycznie, minuta po minucie.

– Nie znaleźliśmy łańcuszka – odezwał się Gross, przypominając sobie ranę na szyi bezdomnego.

– O ile to był łańcuszek – zastrzegła lekarka.

– Ale jesteś pewna, że to podbiegnięcia krwawe?

– Nie mam co do tego wątpliwości. Powstały za życia.

– A co, jeśli młody zerwał go bezdomnemu?

– Zwłoki chłopca nic w tej sprawie nie powiedzą, a w jego ciuchach nie znaleźliśmy ani fragmentu ogniwa z łańcuszka. Zresztą u bezdomnego też nic.

Gross podziękował lekarce i poprosił, by przedzwoniła do niego z wynikami toksykologii obu denatów. Założył kurtkę i wyszedł na zewnątrz. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jego ciuchy śmierdziały papierosowym dymem.

Zdziwił się, kiedy przed prosektorium zobaczył toyotę prokurator Joanny Bilskiej. Rozmawiała przez telefon, ale kiedy dostrzegła Grossa, zaprosiła go gestem do samochodu. Policjant stanął przy drzwiach pasażera i nachylił się. Odgłosy z placu budowy tłumili jej głos. Odczekał, aż kobieta skończy rozmawiać, i dopiero wówczas szarpnął klamkę i usiadł w nagrzanym wnętrzu auta.

– Czekałam na pana.

– Tutaj? – zdziwił się Gross. – Mogliśmy porozmawiać w prosektorium.

Bilska była w widocznej ciąży. Pikowana pomarańczowa kurtka opinała jej brzuch i zasłaniała uda. Nosiła granatową czapkę z wełny z wyszywanym norweskim wzorem. Do kompletu miała szalik i rękawiczki.

– Panie komisarzu... – zaczęła brunetka z długimi prostymi włosami opadającymi za ramiona. Patrzyła przez przednią szybę. Gross przez chwilę obserwował jej profil z pełnymi policzkami i niewielkim, lekko zadartym nosem, a następnie znowu spojrzął na szary świat przez przednią szybę.

Bilska nie miała więcej jak czterdzieści lat, spodziewała się drugiego dziecka. Jej mąż też był śledczym, ale w prokuraturze okręgowej. Gross cenił ją za profesjonalizm i to, że była przeciwieństwem karierowicza Legnera, lawirującego pomiędzy sprawami, które mogły przynieść mu upragniony podziw i awanse. Tłustego dupka chroniły czyjeś plecy, to było pewne. Natomiast Bilska była kobietą, która zamiast lawirowania ważyła w dłoni dowody i weryfikowała fakty. Wymagała do bólu, ale szanowała policyjną robotę. Wiedziała, podobnie jak on, że jeśli ma wygrać w sądzie, to tylko wówczas, kiedy zamiast pchać sianie, wygodnie się na nich umości.

– Rano przeczytałam papiery w sprawie obu zgonów i pierwsze, o czym pomyślałam, to że ustalenie wzajemnego powiązania przypadków obu śmierci jest kwestią czasu – stwierdziła kobieta.

Gross nic nie powiedział.

– I chociaż sekcja zaprzeczyła tej tezie, pan tak łatwo nie ustąpi, prawda? – dodała prokuratora.

– Być może nie wszystko w tej sprawie wiemy – zastrzegł.

– Wiemy na pewno, że odnalezione zwłoki nie noszą śladów przemocy, że w jednym przypadku doszło do utonięcia, w drugim do wychłodzenia organizmu. To są fakty. Fakty, które potwierdzają dowody z sekcji.

– Tak – przyznał jej rację. – Z faktami nie dyskutuję.

– To co w takim razie niepokoi pana w tej sprawie?

– Właśnie ten brak powiązań.

– Słucham?

– Wierzę w przypadki, ale nie dwa równocześnie.

– Sądziłam, że pan, tak jak i ja, przede wszystkim wierzy w fakty.

– A może nie znamy wszystkich faktów w tej sprawie? – Tym razem Gross spojrzął na nią.

– Dobrze. Wiem, że pan nie ustąpi. Nie dziwi mnie to. Proszę jednak, żeby nie ucierpiały na tym kolejne śledztwa.

„Nie dziwi ją”, pomyślał Gross. Wiedział, że nawiązała w ten sposób do tragicznych okoliczności napadu na jego dom, a także do tego, co działo się z Grossem później, przez kilka następnych lat. A może nawet aż do dziś.

– Kolejne? – zapytał.

– Mamy zgłoszenie o skatowanym psie. Zwierzak przeżył, zajmują się nim weterynarze. Opinia publiczna będzie domagała się ukarania sprawcy. Dlatego proszę, żeby osobiście pan to nadzorował.

– A media? Człowiek jest dla nich mniej medialny niż pies. Zaczną szybko ujadać. – Nie chciał być złośliwy, ale mu nie wyszło.

Bilska na szczęście tak tego nie odebrała.

– Z nimi to ja już sobie poradzę.

– To przynajmniej jedna dobra wiadomość dzisiejszego ranka.

Uśmiechnęła się.

– A co z nastolatkiem i bezdomnym? – dopytał.

– Czekam na nowe fakty – stwierdziła i uruchomiła samochód. – Ale nie dłużej niż do piątku. Ciała i tak zwalnim do pochówków. Mówię o tym, żebyśmy w tej sprawie mieli jasność. I prosiłabym, żeby nie zaskoczył mnie pan za chwilę szalonym pomysłem na ekshumację. – Kobieta skrzywiła się z bólu i przyłożyła rękę do ciężowego brzucha. Kilka sekund później rozluźniła mięśnie i wtedy się pożegnali.

Gross wysiadł. Popatrzył za odjeżdżającą toyotą, a następnie zbliżył się do swojego golfa zaparkowanego nieco dalej.

Usiadł w wyiębionym wnętrzu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, ale silnik nie zaskoczył. Odczekał chwilę i ponownie próbował go uruchomić. W końcu diesel zaklekotał.

Wrzucił jedynekę, gdy usłyszał dźwięk dzwonka.

Wyciągnął komórkę z kieszeni i nie patrząc na ekran, odebrał połączenie.

– Halo? – odezwał się.

– Dzień dobry, panie komisarzu, kopę lat. – Usłyszał głos Marka Benera, toruńskiego dziennikarza, którego żona zaginęła w dwa tysiące dziesiątym roku. Gross pracował przez jakiś czas przy tej sprawie.

– Dzień dobry – odpowiedział.

– Możemy pogadać?

Każdego pismaka Gross odesłałby na drzewo, ale w jakiś sposób Bener nigdy nie załaził mu za skórę. Wśród wielu zidiociałych dziennikareczek i półmózgich gryziopiórków, ten złamany życiem facet był wyjątkiem. Poza tym miał niezłego nosa do odnajdowania zaginionych. Rodzaj zmysłu, który sprawił, że Gross, w granicach niezbędnego rozsądku, miał go za partnera w policyjno-dziennikarskich interesach. Informacja za informację.

– Chodzi o psa? – dopytał komisarz.

– Tak.

– W tej sprawie mam embargo na gadanie. Prokurator Bilska wzięła media na siebie – odpowiedział policjant.

– Współczuję koleżankom i kolegom – zażartował Bener.

Gross nie skomentował, ale doskonale wiedział, co dziennikarz miał na myśli.

– Jak ustalę coś ciekawego, to się odezwę – stwierdził policjant, po czym rozłączył się.

Odłożył aparat na fotel pasażera i wyjechał bramą wychodzącą na drogę wykładaną betonowymi płytami. Gdyby pojechał w prawo, mógłby odwiedzić swoją żonę w pobliskim zakładzie fundacji „Światło”. Nie zdecydował się na to. Bał się widoku jej wiotkich mięśni i bladej, suchej skóry. Chciał nosić ją we wspomnieniach zdrową i atrakcyjną, ale te stare obrazy, które tliły się w jego pamięci, ulegały postępującemu zatarciu.

Skręcił w lewo i podskakując na nierównościach, zatrzymał się przed skrzyżowaniem przy świątyni redemptorystów. Wokół nie widział żywej duszy.

Czekał, aż na prostopadłej drodze ktoś włączy zielone światło na przejściu dla pieszych, gdy

jego telefon odezwał się ponownie. Sądził, że Bener zapomniał go o coś zapytać.

Odebrał i usłyszał trzaski nakładające się na krótką wypowiedź, z której nic nie zrozumiał. Dopiero po chwili usłyszał wyraźny, spokojny głos.

– On wrócił – stwierdziła kobieta.

I połączenie zostało przerwane.

*

Gross siedział przy swoim biurku, plecami do okna i przeglądał akta spraw czterech zaginięć, które zostawił mu Otremba. Sięgnął po kubek z gorącą herbatą, gdy w szczelinie w uchylonych drzwiach zobaczył głowę Skałki.

– Mogę? – spytała, żwawo żując gumę.

Kiwnął, żeby weszła i usiadła.

– Mów – poprosił.

– Mam nogi w dupie. Obeszłam trzynastu fryzjerów, dwa zakłady były zamknięte. Kilka dziewczyn po weekendzie miało wolne, ale zostawiłam zdjęcia mężczyzny z łódki i prosiłam o kontakt.

– Czyli nic nie masz – stwierdził Gross i wrócił do przeglądania papierów z teczek.

– Nic a nic, przynajmniej na razie – westchnęła. – Może niepotrzebnie komplikujemy sprawę.

Może...

– Zobaczymy. – Przerwał jej.

Skałka nie ruszyła się z miejsca.

– Stało się coś? – spytała.

Gross podniósł wzrok i spojrzał w jej ciemne oczy podkreślone grubą kreską. Jedyne ślad makijażu na twarzy.

– Psem trzeba się zająć.

– Chyba katem psa.

– Przecież mówię.

– Gnoja będą chcieli dojechać. Zacznie się sajgon.

– Wiem. Dlatego Otremba weźmie to na siebie. Poradzi sobie. – Gross wskazał na teczkę leżącą na skraju biurka. – Daj mu to, jak wróci.

– A gdzie jest?

– U bezdomnych.

– Miał być wczoraj. – Skałka wzruszyła ramionami. – A ja? – spytała.

– Jesteś stąd. Musisz mi pomóc.

– Otremba też jest stąd. – Skałka podniosła się. – W czym mam ci pomóc? W sprawie denata z łódki?

– Ty mieszkasz tu od dziecka, Otremba chyba krócej ode mnie – przypomniał.

– Możesz jaśniej?

– Sprawdził dla mnie zaginięcia w regionie. Dawne, stare sprawy. – Tym razem Gross powiódł wzrokiem po materiałach, które trzymał w rękach.

Kiwnął na nią, by stanęła przy nim, a kiedy to zrobiła, podniósł głowę i zapytał:

– Kojarzysz te sprawy?

– Z którego to roku?

– Dwa tysiące ósmego.

– Nie pracowałam wtedy w policji, ale materiały znam, studiuje je co roku. – Wydmuchała balon.

– Czyli dobrze trafiłem.

Skałka pochyliła się i oparła łokcie na blacie. Widział, jak jej zuchwa porusza się i z jaką siłą

zaciskają się szczęki.

– Wilkońskiego pamiętam, to był kurdupel, taki wiesz, metr sześćdziesiąt w kapeluszu – powiedziała, unosząc tekturową okładkę akt. – Było wtedy głośno o jego zaginięciu. Mój wujek znał go z Chełmetu, gdzie razem przez jakiś czas pracowali. Klasyczny przypadek. Wyszedł po papierosy i nigdy już nie wrócił. Kobieta z kiosku twierdziła, że kupił tabliczkę białej czekolady, że na pewno nie brał tytoniu. Znała go doskonale, ciągle kupował u niej fajki. A tym razem ich nie wziął. Następnego dnia ktoś inny podobno widział go na drodze do Grzywny. Siedział w rowie i palił papierosa.

– Niepodobny do naszego denata.

– Możemy go sobie odpuścić. – Zrobiła kolejny balon z gumy.

– A ten? – Gross sięgnął po kolejną teczkę. Wyjął z niej kartkę z numerem telefonu zapisanym przez Otrembę i odłożył na bok.

– Tarasewicz? To już zupełnie dziwna sprawa. To był taki nowobogacki biznesmen w skarpetach i sandałach. Najpierw pracował w cukrowni. Potem wykupił teren od PKP, w sąsiedztwie torów i przy wylocie na Toruń. Postawił tam dwa robotnicze kontenery. Ściągnął paletę cementu, tira cegiel i ruszył ze sprzedażą. Nawozami też handlował, ale kasę trzepał na budowlanec. Cała Chełmża i wszystkie wiochy zaopatrywały się u niego.

– I co się stało?

– Cholera wie. Podobno zaczęły się jakieś pogrózki. Gdzieś poszła fama o niemieckim markecie w Chełmży, ale to chyba była podpucha. Która sieć chciałaby inwestować w sklep dla piętnastu tysięcy biednych jak myszy mieszkańców. Wtedy przecież takie sklepy powstawały tylko w dużych miastach.

– Pogrózki?

– To nie jest potwierdzona informacja. O ile pamiętam, tak wynikało z rozpytania syna. Podobno ojciec pokazywał mi wycięte z gazet litery ułożone w różnego rodzaju groźby.

– Zachowały się którekolwiek z tych pogrózek?

– Żadne.

– A co z nią? – Gross sięgnął po jeszcze jedną teczkę i położył przed Skalką.

– I to dopiero jest zagadka. – Policjantka postukała pomalowanym na granatowo paznokciem w cienką teczkę z sygnaturą z dwa tysiące ósmego roku. – Przyjaciółka żony Tarasewicza, Elżbieta Jaworska. Zaginęła pięć dni po Tarasewiczach.

– Jakiś związek?

Skalka wyprostowała się.

– Pamiętasz Wegnera? – spytała

– Nie było mnie tu za jego czasów.

– A racja! No w każdym razie Wegner takiego związku nie dostrzegł. Zresztą wiele przeczyło temu, żeby wyjechali razem. Poza tym Jaworską, już po zaginięciu Tarasewiczów, widziała jej ciotka mieszkająca dwa domy dalej.

Gross przewracał strony spięte w aktach sprawy.

– Wszystko dziedziczył syn Tarasewiczów?

– Oczywiście badano ten wątek. Ale wydaje się, że Jasiek jest bez winy.

– Jasiek?

– Chodziłam z nim do tej samej szkoły w podstawówce.

Gross wpatrywał się w zdjęcie Sławomira Tarsewicza. Obok fotografii ze starych akt położył zdjęcie denata z łódki. Ten ostatni miał głębokie wory pod oczami, skrzywiony szeroki nos, który wcześniej był pewnie złamany. Szrama ciągnęła się przez prawy łuk brwiowy.

– Co sądzisz? – spytał.

Skalka cmoknęła.

– Cholera wie. Tarasewicz miał gęstą brodę i wąsy. Właściwie wyprzedzał epokę. – Zaśmiała się.

– A denat był świeżo ogolony.

– Różnicy w odcieniu skóry policzków i brody, którą pokrywał zarost, nie widać.
Gross zaobserwował to samo.

– Wniosek z tego taki, że golił się od dawna – stwierdził. – Tyle, że to bezdomny.

– Może wyjątkowy bezdomny. Wiesz, taki, co korzysta z pomocy, myje się, odświeża. A jak trzeba, to i goli. – Skalka zastanawiała się głośno.

– Nie do końca. Rany, odmrożenia, owrzodzenia i ślady po wszawicy wskazują, że żył na ulicy.

– Gross otworzył kolejną teczkę. – A ten?

– Kurmiński Jan. W chwili zaginięcia, czyli w dwa tysiące dziesiątym roku, miał pięćdziesiąt lat – policzyła policjantka. – Mózdzek, bo tak na niego wołali. Po wypadku miał problemy z pamięcią, no i dziurę w czaszce.

– Jak to dziurę?

– Z prawej strony brakowało mu części kości czaszki. W tym miejscu mózg pokrywała jedynie cienka skóra. Zapadała się, paskudnie to wyglądało. – Skalka wzdrygnęła się. – Nosił taką specjalną czapkę, którą ściągał, jak chciał postraszyć dzieci.

Gross zamknął teczkę.

– W takim razie pozostaje nam jedynie Tarasewicz.

– Wydaje mi się, że starego Tarasewicza rozpoznałabym bez trudu. Ale broda i wąsy mogą zmienić człowieka. Wtedy to był gość z pokaźnym brzuchem, dość flegmatyczny w ruchach, spowolniony trochę, ospały. Misiak taki. Aż dziwne, że miał takiego nosa do biznesu.

– Ospali nie potrafią mnożyć pieniędzy? – spytał Gross.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. – Skalka kolejny raz w ciągu krótkiej rozmowy wypuściła z ust jasny balon. Pękł i okleił jej wargi.

Telefon Skalki zawibrował. Wyjęła aparat z kieszeni obcisłych dżinsów i przeczytała wiadomość od Otremby.

„Mój teść coś kombinuje. Zejdziesz? Czekam na parkingu”.

Schowała telefon w chwili, gdy Gross powiedział coś niezrozumiałe.

– Co mówiłeś? – rzuciła, kierując się do drzwi.

– On wrócił.

– Kto, do cholery?

Gross bawił się długopisem. Pstrykał nim i na przemian stukał w tekturową teczkę.

– Wiesz, gdzie mieszka Krzysztof Wegner? – dopytał Gross, kiedy Skalka była już na korytarzu.

Odwróciwszy się, zrobiła wielkie oczy i wskazała na ścianę, za którą znajdował się gabinet Brandola, szefa kryminalnych.

– Spytaj Mumię – wyszeptała.

*

Chwilę później Gross odebrał połączenie od Otremby, który jechał samochodem. Komisarz domyślił się tego po charakterystycznym szumie w słuchawce.

– Słyszałem, że jakimś psem mam się zająć – rzucił aspirant.

– Ściślej zwyrodnialcem, który go skatował.

– Naprawdę nie mamy już ważniejszych rzeczy? Będziemy dojeżdżać ludzi, którzy dali psu klapsa, zamiast wbijać do zwyrolu maltretujących dzieci?

– Ta sprawa jest bardzo ważna. I medialna – westchnął spokojnie Gross. – Nie spieprz tego. Skalka miała przekazać ci teczkę, ale wypadła stąd jak burza.

– Odbiorę papiery od ciebie.

– Jeszcze dziś się tym zajmij.

– Jasne.

– A co u bezdomnych?

– Cholera, nie zdążyłem.

– Ani wczoraj, ani dziś? – zaniepokoił się. – Skałka mówiła...

– Sorry, szefie. Brandol wrzucił mi jeszcze włam do piwnicy na Rynku Bednarskim. – Bronił się Otremba. – Mógłbym pojechać teraz, ale jeśli miałbym dziś tego psa obrobić, to może...

Gross wiedział, do czego zmierza aspirant.

– Dobra, wezmę ich na siebie – stwierdził i odłożył aparat. – *Vis maior*.

Wyłączył komputer, schował dwie teczki do szafy, a pozostałe dwie wsunął do skórzanej torby, którą przewiesił przez ramię. Zdjął z oparcia krzesła kurtkę i przeszedł do gabinetu szefa kryminalnych, Arkadiusza Brandola.

Brandol był niewielkim mężczyzną po czterdziestce ze szczupłą twarzą i wyraźnymi, pogłębiającymi się zakolami. Wagą i posturą niewątpliwie przypominał mumię ubraną w zbyt obszerne ciuchy. Koszula marszczyła się na szczupłej klatce, a mankiety zsuwały się niemal do wystających kości śródreżca. Kierownik pionu pochylał się właśnie nad raportem, gdy Gross zajrzał do niego i zamknął drzwi. Ich kontakty nigdy nie były serdeczne, ale też nie spoglądali wrogo na siebie. Grossowi wydawało się, że podkomisarz odczuwa dyskomfort z powodu tego, że nosi o jedną gwiazdkę mniej na pagonie. Ostatecznie żaden z nich nie przychodził do pracy w mundurze, co być może ułatwiało im wzajemne kontakty.

Kiedy Brandol spostrzegł gościa, otarł zmęczoną twarz dłonią i wskazał na krzesło. Gross nie zamierzał się rozsiadać.

– Masz zamiary na Wegnera? – spytał komisarz.

– Mojego poprzednika?

– Tak.

– A o co chodzi? – spytał z ciekawości.

– Prowadził sprawę zaginięcia Tarasewiczów.

– Sądzisz, że ten z łódki to Tarasewicz? – Brandol oparł łokcie na biurku i pochylił się.

– Wolałbym to sprawdzić. Po zdjęciach trudno ustalić podobieństwo, ale może Wegner rozpoznałby go od razu.

– Znali się, więc kto wie.

– Znali się?

– To Chełmża. Tu wszyscy się znają. Wegner rozpoczął budowę domu rok przed zaginięciem Tarasewicza. Kupował u niego materiały. Kiedy Tarasewicz zaginął, Krzychu przetrząsnął całe kujawsko-pomorskie. – Brandol sięgnął do szuflady biurka, z której wyjął wizytownik. – Miałem tu gdzieś zamiary na Wegnera.

– Wiesz, co on teraz robi?

– Podobno pracuje w Toruniu, w ochronie.

– Da się z nim pogadać?

– Powołaj się na mnie, nie powinno być żadnych problemów.

Gross odczekał, aż Brandol odnajdzie dane kontaktowe do swojego dawnego szefa. Komisarz zapisał je w swojej komórce.

– A nie łatwiej będzie pogadać z synem Tarasewicza? – spytał szef kryminalnych.

– Właśnie do niego jadę. Wegnera zostawiam na potem.

Komisarz podziękował i wyszedł z gabinetu wprost na komendantkę.

– O! Dobrze, że cię widzę, Bernardzie – stwierdziła i cofnęła się do sekretariatu. – Wejdz na chwilę.

Gross poszedł za nią do pomieszczenia, z którego okien rozciągał się widok na zamrznięte jezioro. W oddali widział czerwoną łódkę.

Młodszy inspektor Lucyna Wojtasik usadowiła się za biurkiem, a Gross zajął miejsce po lewej stronie stołu konferencyjnego.

Gabinet wymalowano na niebiesko. Na jednej ze ścian wisiała mapa powiatu toruńskiego, na drugiej, gdzieś za plecami komendantki, znajdował się rysunek policyjnego poloneza. Na ścianie naprzeciwko Grossa szumiała cicho mała lodówka, obok której ustawiono brązowy regał i pancerną szafę.

– Popatrz na to – podała mu kartkę. – Dziś wpłynęło.

Gross wziął do ręki papier i przeczytał treść. Kilka krótkich zdań spisanych bez zbędnego wstępu i ceregieli. Spodobało mu się. Jej charakter, pomyślał.

– Co mi powiesz? – spytała Wojtasik.

– Nic – stwierdził, odkładając papier na blat stołu.

Sięgnęła po niego i przyjrzała się listowi, tak jak on to zrobił przed chwilą.

– Nie możesz tego robić – wyjawiała.

– Mogę.

– Możesz, ale nie powinienes – sapnęła. – Po co to robisz?

Wzruszył ramionami. Wiedział i nie wiedział zarazem. Sam niespecjalnie rozumiał swoje zachowanie.

Podciągnął rękawy swetra i raz jeszcze sięgnął po ten list.

– Wygląda na to, że ona się ciebie boi – kontynuowała Lucyna Wojtasik.

– Nie powinna.

– Ale boi się, Bernardzie. – Niemal matczyzna troska wybrzmiała w jej głosie.

Gross popatrzył na szefową komisariatu, niską korpulentną kobietę z farbowanymi na rudo włosami upiętymi w spory kok. Fryzura wydłużała jej okrągłą twarz.

– Nie wytłumaczę ci tego – przyznał się.

– Bo nie chcesz.

Nie odpowiedział.

Wojtasikowa omiotła spojrzeniem wewnątrz gabinetu.

– Nie rób tego więcej – poprosiła twardo. – Tym razem zamiotę to pod dywan, ale to już ostatni raz.

Podziękował, kiwając głową. Cisza ciążyła im obojgu.

– A co u żony? – spytała.

– Śpi – odpowiedział zbyt szybko i zbyt nerwowo. – Jak zawsze.

– Przykro mi. – Uciekła wzrokiem na papiery zgromadzone na własnym biurku. – Ale musisz mieć nadzieję.

– Niepotrzebnie ci przykro.

– Zajmij się pracą, Bernard.

– Niczego innego nie robię.

– I nie poświęcaj zbyt dużo czasu na tego bezdomnego i dzieciaka. Pamiętaj, że wypadki się zdarzają.

– Wiem o tym najlepiej.

– Niby tak – zaznaczyła i przekrzywiła głowę. – Teraz pies jest dla nas priorytetem.

– A kiedyś był człowiek.

– Naprawdę nie wiesz, co mam na myśli?

Pytanie wisiało dłuższą chwilę.

– Idź już i pamiętaj, o czym rozmawialiśmy – poprosiła i sięgnęła po teczkę z korespondencją wewnętrzną.

Gross wstał i ostatni raz popatrzył na kartkę papieru, wydruk, na którym córka zabitej przez niego kobiety skarżyła się, że policjant ją nachodzi. Dopiero teraz dostrzegł, że autorka pisma wysłała je nie tylko do toruńskiej i chełmyńskiej policji. Kopię otrzymała prokuratura. A wkrótce, jeśli Gross nadal będzie wystawał pod jej blokiem, poinformowane zostaną media. Tyle dowiedział się z treści listu.

Obiecał sobie, że przestanie to robić. Że przestanie nawiedzać to miejsce pod jej wieżowcem

i strzec jej, na swój sposób, jak oka w głowie.

A jednocześnie wiedział, że okłamywanie siebie samego nie ma najmniejszego sensu. Że nawet jeśli będzie bardzo wstrzemięźliwy, to kiedyś pęknie. Sam był ciekaw, kiedy to nastąpi.

To było dla niego jak nałóg, który trzymał go w szponach już niemal dziesięć lat.

A z nałogiem tak łatwo nie wygrasz.

*

– Co z tym twoim teściem? – Skałka spytała tuż po tym, gdy sięgnęła po pas i zapięła go. Otremba ruszył bez słowa. Przejechał przez Rynek po śnieżnej brei zalegającej na kocich łbach, po czym skręcił w lewo i na skrzyżowaniu przepuścił taksówkę.

– Odjechało mu – rzucił.

– Dowiedział się o nas?

– Wątpię. Ale ostatnio jest czujny jak gajowy.

– Może nas widział?

– Ta, chyba w łóżku. – Otremba zarechotał.

Skałka pokręciła głową.

– Dokąd jedziemy? Bo robotę mam. Gross chciał, żebym pogadała z rodzicami dzieciaków, które znały topielca.

– Zaraz zrobisz swoje. Ja też muszę zabrać się za tego psa.

Pojechali w stronę cukrowni. Skałka zastanawiała się, czy to nie jest żadna podpucha i czy za chwilę Otremba nie zawróci w stronę osiedla Maja, nie zaparkuje pod jej domem i nie zaciągnie do łóżka. Zgodziłaby się. Dobrego seksu nigdy za wiele. Niestety, cały czas jechali na zachód. Przejechali skrzyżowanie z Wyszyńskiego i skręcili w kolejną ulicę w prawo – Słowackiego. Otremba zwolnił i nachylił się nad kierownicą. Wpatrywał się w różne, ładniejsze i brzydsze, starsze i nowsze domki jednorodzinne.

W końcu, kilkadziesiąt metrów za skrzyżowaniem z pustym placem przy Piastowskiej, zatrzymali się przy chodniku po prawej. Skałka rozejrzała się niemal jak zdezorientowany Travolta w *Pulp Fiction*. Wszędzie wokół wyrastały peerelowskie klocki. Część z nich była odnowiona, część przemalowana, ale nadal z wiadomym życiorysem.

– Co tu robimy?

– Czekamy na teścia.

– Co, do diabła, miałby tu robić? Przecież mieszka blisko was, nie? – Rozłożyła ręce. – Od kiedy chodzi na tak długie spacery z waszym psem, co?

Otremba nie odpowiedział. Nadal niemal opierał się klatką piersiową o kierownicę i spoglądał przez przednią szybę.

– Patrz – rzucił i wskazał ręką na dom po lewej. – To tam.

– Co tam? – Znużenie dawało o sobie znać.

– Podobno kręcił się tu, kilkanaście minut temu.

– Taaa? Skąd wiesz?

– Ma się swoich informatorów, nie?

– No i co z tego wynika? Nawet jeśli tu był, to co?

– Nie wiem, może nic. – Rozłożył ręce.

Oddychali miarowo, Otremba zwiększył nawiew, bo na szybach zaczęła układać się delikatna mgiełka.

– A kto tam w ogóle mieszka? – zainteresowała się Skałka.

– Nie mam pojęcia, sprawdzę to później. Ale coś mi tu śmierdzi. – Odwrócił się do niej ze zboląłą miną.

Skałka zerknęła za zegarek.

– Słuchaj, Otrembo, daję ci jeszcze dwadzieścia minut. Możesz mnie przelecieć. Ale po dwudziestu minutach, nawet jeśli nie dojdiesz, zabieram się do roboty.

Otrembie rozbłyły oczy.

– Jedziemy do ciebie? – wypalił.

– O ile nie szkoda ci czasu na dojazd.

– Aaaa, czyli plenerek się marzy! Kawalek stąd jest ciche, spokojne miejsce przy działkach.

Nikt tam się teraz nie kręci – zapewnił, uruchamiając wóz.

– Dupa mi zmarznie – przeraziła się.

– Nie na tylnej kanapie.

Obejrzała się za siebie.

– Amortyzatory to wytrzymają?

Otremba zaśmiał się, a potem spowaźniał i wycelował w nią palec.

– Jeśli nie, kupisz mi nowy komplet.

dziesięć lat temu

– Ale wtedy miałaś oczy. – Elżbieta Jaworska śmiała się głośno i trącała Tarasewicza w ramię.

– Głupia jesteś jak but, Elka – odparł, ale też się zaśmiał. – I ja też głupi, że się w tobie zadurzyłem.

– Tu zakopimy Grażkę – powtórzyła własne słowa i skuliła się ze śmiechu na myśl o minie Sławomira.

Stali w kuchni jej domu na osiedlu Maja. Słońce wpadało z ukosa i kładło się na sfatygowanym pasie płytek przy zlewozmywaku. Tarasewicz zajrzał do garnka.

– Mmmm, gulasz...

– Odgrzać ci?

– No zjadłbym trochę, ale najpierw się umyję – rzucił i przeszedł do łazienki.

Był cały mokry, chociaż w piwnicy panował chłód. Dwa dni temu, po zdjęciu pozostałych kostek bruku, zerwał dziesięciocentymetrową warstwę ziemi, którą wiadrami przeniósł do ogrodu. Potem wymieszał cement z piaskiem i ułożył kilkucentymetrową warstwę podsypki. Nie zamierzał babrać się z wylewką betonową, nie wtedy, kiedy mieli stąd wkrótce uciec. Pozory pozorami, ale nie będzie tyrał jak osioł tylko z ich powodu. Dziś na wyrównanym, ubitym gruncie ułożył grubą warstwę folii, a na niej pięciocentymetrowe płyty styropianu. Zamierzał przysypać je nieco gruntem i z powrotem ułożyć kostki.

Obmył się z brudu w wannie, a kiedy zakręcił wodę, usłyszał dźwięk dzwonka swojej komórki. Zostawił ją w spodniach, w kuchni, gdzie zaczął się rozbierać.

Po chwili dźwięk telefonu ucichł, ale usłyszał przytłumiony głos Eli. Wytarł się ręcznikiem, przetarł włosy i brodę, i uchylił drzwi.

– ...a to nic mi nie mówił. Skończył właśnie z tą łazienką, wiesz? – Usłyszał. – Myje ręce i już do was jedzie.

Tarasewicz wytarł stopy, nałożył na nie spocone skarpety, wbił się w poślizki w kroczu majtki i wyszedł na korytarz.

– Kto dzwonił? – Zaniepokoił się.

– Twój syn.

– Odebrałaś?

Elżbieta otworzyła szeroko usta.

– A co? Pomyślałam, że...

– Gówno tam, myślałaś! – Tarasewicz minął ją w korytarzu i wszedł do kuchni po spodnie. Kiedy spojrział przez okno, zobaczył jakąś sylwetkę, która kręciła się za krzakami. Zmroziło go. To Jasiak? Nie był pewien, nie widział jego długich włosów, ale może syn związał je frotką. Podszedł do okna i zastanawiał się, czy młody ubrał dziś pomarańczową koszulkę, bo taki kolor mignął mu między gałęziami gęstych i wysokich krzewów. – Noż kurwa mać!

– Ale co się tak wściekasz? No przecież nic mu takiego nie powiedziałam!

– Ale ja mu powiedziałem! – Tarasewicz walczył z zapięciem paska od spodni.

– Niby co?

– Że z pracy wrócę prosto do domu. I że jednak piwnicę robię u ciebie, a nie łazienkę.

– Zdurniałaś! – wydarła się. – Przecież od początku chodziło o łazienkę.

– A na chuj ci papa w łazience, co? – ryknął. – Już wtedy wiedziała, że papę w merolu wiozłem. Śmierdziało w nim jak cholera.

Elżbieta usiadła przy stole pokrytym ceratą w szkocką kratę. Na kuchence bulgotał gulasz, pokrywkę garnka unosiła co jakiś czas para.

– Jak się zacznie domyślać, to wszystko chuj strzeli, rozumiesz? – dyszał Tarasewicz.

– Załatwię to.

- Słucham?
- Załatwimy to jakoś.
- Niby jak.
- Nie wiem, pomyślę...
- Już ty lepiej, Elka, nie myśl! – Poczzerwieniał na twarzy i szyi. – Już ty, kurwa, lepiej nie

myśl!

Tarasewicz założył koszulę i wyszedł z domu. Widziała, jak szybkim krokiem zmierza do mercedesa. Usłyszała odgłos zapuszczanego silnika i po chwili wóz odjechał.

Wyłączyła gaz pod spalonym gulaszem i usiadła na taborecie. Nie rozumiała nic z zachowania Sławka. Ostatnio był jakiś spięty, szybko się denerwował. Przeżywał to, co wspólnie zamierzali zrobić, była tego pewna. Ale nie ona wymyśliła tę całą ucieczkę. Co prawda nie sprzeciwiła się, bo nic jej tu nie trzymało. Mąż rozwiódł się z nią przed kilkoma laty, jeszcze zanim poznała Grażynę i Sławka. Dzieci nie miała, rodzice zmarli, zostawiając jej w spadku ten dom. Pieniądzy z trudem starczało jej do pierwszego, a chałupa wymagała remontów. Wystawiła ją na sprzedaż lub zamianę, ale po kilku telefonach zapadła cisza. Gdyby to był Toruń, mówili. Ale to nie był Toruń. To była Chełmża. Miasto jej pięknego dzieciństwa, przekleństwo jej dorosłości.

Ale teraz miała Sławka i przyszłość przed sobą. Dzięki niemu wszystko mogło się zmienić.

Spojrzała na podłogę. Przy nogach krzesła, na którym jeszcze przed paroma minutami wisiały spodnie Sławka, teraz dostrzegła wymiętą, złożoną na dwoje kartkę.

Rozłożyła ją. Przebiegła wzrokiem tekst. Zrobiła to ponownie i obserwowała, jak znika wszystko to, co jeszcze przed chwilą było logicznie ułożonym ciągiem liter, które teraz rozsypały się jej przed oczami.

„Wiemy o twoim synu. Czy to jasne?”.

dzień trzeci, po południu

Wszedł do biblioteki i nawet ucieszył się, że Malwiny Lemańskiej nie było dziś w pracy. Starszej, zasuszonej bibliotekarce z okularami na nosie ze wstydem wyjaśnił, że zgubił książkę. Próbował tłumaczyć, że miał ją przy sobie w sobotę rano, gdy wydarzyło się to wszystko na jeziorze. Zapętlił się i wreszcie zamilkł, bo tylko to umiał najlepiej. Spojrzała na niego z surową miną i Gross poczuł się tak, jakby właśnie oskarżyła go o zbrodnię przeciwko ludzkości. Potem sięgnęła po kartkę i kazała mu spisać oświadczenie z dzisiejszą datą. Ustalili, że odkupi książkę, ale przy okazji zapytał też o nowe tytuły, których dział wypożyczeń nie zdążył jeszcze zamówić.

– Znalazłoby się kilka – powiedziała, sięgając po kolorowy zeszyt z zamykanej szuflady.

Gross czekał, aż kobieta przedyktuje mu ze dwa tytuły, ale ona sięgnęła po karteczkę samoprzylepną i równym pismem zaczęła ją zapisywać.

Przyglądał się jej nienaganej postawie, ściągniętym łopatom i wyprostowanej sylwetce. Miał wrażenie, że biblioteka to nie miejsce, tylko stan umysłu, a przebywanie z książkami prostowało kręgosłupy nie tylko moralne.

Kiedy skończyła pisać, odebrał kartkę. Zawierała sześć tytułów. Skinął głową na pożegnanie i wyszedł.

– Co najmniej dwie z tych – rzuciła bibliotekarka, gdy zamykał drzwi.

Słońce schowało się za gęstymi stalowymi kłębiastymi chmurami, które wisiały nisko.

Rozejrzał się. Nie pamiętał, czy była tu jakakolwiek księgarnia. Widział kiedyś kilka książek w papierniczym, do którego wybrał się po wikol, ale być może były to jedynie podręczniki, a nie beletrystyka i literatura piękna. Powinien o to zapytać bibliotekarkę, ale pomyślał, że w zasadzie mógłby złożyć zamówienie w sklepie internetowym. Ostatecznie w odwodzie miał biedronkę lub lidla, tam ostatnio też widział sporo książek upchniętych w kartonie.

Gross ruszył wprost przed siebie wschodnią pierzeją Rynku, w stronę ratusza z czerwonej cegły znajdującego się przy Rynku Bednarskim, nieco węższym i sąsiadującym z głównym placem miejskim przez rząd kolorowych kamienic. Dalej przystanął przed przejściem dla pieszych i przepuścił ciąg samochodów, w tym kilka ciężarówek, które z hukiem przemknęły mu przed oczami, sypiąc w oczy poderwanymi z jezdni drobinkami błota pośniegowego. Mrużenie oczu niewiele dało. Kiedy w końcu znalazł się po drugiej stronie jezdni, szedł prosto przed siebie ulicą Hallera, która na końcu krzyżowała się z Polną. Na rogu mieściło się schronisko dla bezdomnych. Komisarz miał kłopoty z utrzymaniem równowagi na zaśnieżonych fragmentach nierównego chodnika. Czuł, że skórzane buty zwilgotniały, i oczyma wyobraźni widział już białe wyraźne ślady drogowej soli, która się w nie wżerała.

Duży parterowy budynek z niewielkimi podłużnymi oknami wyglądał na zapomniany. Szary tynk miejscami szedł zupełnie, szczególnie pod gzymsem i parapetami. Za czarnymi oknami nie widział nikogo, nie świeciło się tam żadne światło. Wszedł przez ciężkie stalowe drzwi ze starą, zbrojoną szybą i zgodnie z kierunkami wyznaczanymi przez strzałki, które odnajdował na wydrukowanych kartkach przyklejonych do ściany wąskiego pustego korytarza, dotarł do sekretariatu schroniska. Im głębiej się zapuszczał, tym intensywniej atakował go osobliwy zapach szarego mydła i środków czystości, które definiowały w jakiś sposób to smutne miejsce.

Drzwi były uchylone. Gross wsunął głowę, a potem pchnął skrzydło, ale został zauważony dopiero, kiedy stanął w progu. Pokazał młodej, niskiej dziewczynie policyjną odznakę i poprosił o chwilę rozmowy z dyrektorem schroniska. Wstała zza biurka i zapukała do białych drzwi po prawej. Kiedy oboje usłyszeli męski głos, nacisnęła klamkę i wsunęła się bezszelestnie do wnętrza gabinetu, zostawiając Grossa samego w sekretariacie zastawionym regałami, które uginały się od grubych segregatorów. Na jednej ze ścian wisiały certyfikaty ukończonych szkoleń, wyróżnienia i dyplomy. Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku obok kobiecego płaszcza i puchowej kurtki. Podciągnął rękawy swetra, a następnie wyszedł na chwilę na korytarz i rozejrzał się po opustoszałej i cichej przestrzeni, do

której światło zewnętrzne docierało przez kilka poziomych okien. Były zainstalowane niemal pod sufitem. Pod nimi stały rzędy krzeseł.

– Proszę, niech pan komendant wejdzie.

Gross odwrócił się na dźwięk kobiecego wysokiego głosu.

– Komisarz – poprawił.

– Pan dyrektor zaprasza. – Uśmiechnęła się niewinnie.

Gross wszedł do gabinetu mającego wystrój rodem z PRL-u. Wysokie szafy z połyskującego sosnowego laminatu, meblościanka z witryną, za którą dostrzegł sportowe statuetki, oraz ława z krzesłami ustawiona pod ścianą. Krępy mężczyzna, nieco niższy od policjanta, siedział za biurkiem w rogu pokoju. Ciemny blat oświetlała niska lampka, rozlewając plamę żółtego, ciepłego światła. W rogu pomieszczenia dostrzegł szklaną szafkę na leki.

Mężczyzna przypominał jednego z chełmyńskich trenerów pięściarstwa. Kiedy przywitał się, Gross o mało nie jęknął. Miał silny uścisk, którym mógłby zmiażdżyć w proch paliczki dłoni.

– Witam, witam w skromnych progach. Niech pan siada. Kawy, herbaty? – spytał żwawy facet.

– Nie, dziękuję, ja tylko na chwilę.

– W sprawie tego bezdomnego?

– Jednak go pan sobie przypomina? – spytał z nadzieją w głosie policjant.

– Nie, no tak tylko powiedziałem, bo tu, w Chełmy, to wszyscy już wiedzą, że to był bezdomny. Tylko że nie stąd.

– A skąd?

– No nikt tego właśnie nie wie. Mówią tylko, że to bezdomny. – Mężczyzna żywo gestykulował. – Ja tu pracuję w pomocy społecznej już czwarty rok, wcześniej pracowałem w Bydgoszczy.

Gross sięgnął po zdjęcie denata, które nosił w swojej teczce.

– Niech mu się pan dobrze przyjrzy – poprosił.

Mężczyzna odebrał kartkę, rozprostował ją i położył przed sobą na blacie. Łokcie oparł na kolanach, a twarz zawiesił tuż nad wydrukiem.

– Nie, cholera, nic. Nic z tego – odezwał się dyrektor.

– Nie kojarzy go pan?

– Za żadne skarby! A przecież tych moich to wszystkich znam. Każdą historię bezdomności chełmyńskiej. Każdą jedyną. Wszystkich piętnastu. Czasami jeszcze taka jedna kobitka do nas trafia z Bielczyn, no to jej pomagamy. Bo tam takie różne sytuacje rodzinne są, ale nie chcę o tym rozmawiać, nie mam upoważnienia, nie? Pomagam, bo od tego jesteśmy. Tam patologia jest, sprawa dla policji.

– Kojarzę, koledzy z prewencji mówili – zaryzykował kłamstwo, żeby zjednać sobie rozmówcę.

– Tak, niby coś tam wiedzą, ale moim zdaniem to nic nie daje. Ciągłe, cholera, patologia tam się szerzy. Brud, smród, nędza i? – Zawiesił głos, wyczekując, aż komisarz dokończy zdanie za niego.

– Alkohol? – strzelał.

– Podłany kurewstwem. Ot, co.

– Mamy rękę na pulsie – zapewnił i wrócił do meritum. – A pana podopieczni – Gross zastanawiał się, jak nazwać bezdomnych – nie widzieli go?

– Pan adiunkt Otremba, o ile dobrze kojarzę...

– Aspirant.

– ...no właśnie, przepytiał wszystkich, którzy wtedy byli obecni. I nic.

– Ale może są tu teraz inni, z którymi nie rozmawiał?

– Najczęściej schodzą się przed zachodem słońca. – Wstał i wziął z blatu klucze na kolorowym breloku. – Ale co nam szkodzi sprawdzić, prawda?

Wskazał ręką na drzwi. Gross poszedł przodem i ponownie znalazł się w niewielkim sekretariacie. Dyrektor zamknął swój gabinet na klucz.

– Asiu, za chwilę wracam.

Wyszli na korytarz. Po drodze Gross czytał etykiety przyklepione do framug drzwi, które mijali. Pralnia z suszarnią, magazyn odzieży i pościeli, magazyn środków chemicznych, gabinet lekarski, gabinet psychologa. Przeszli do większego pomieszczenia z telewizorem i kwadratowymi stołami. Dwóch mężczyzn oglądało powtórkę skoków narciarskich. Gross widział ich wygięte w łuk plecy, dłuższe siwe, ale czyste włosy. Obaj byli przeraźliwie chudzi.

– Panowie! – rzucił głośno dyrektor. – Pan komisarz chciałby z wami na słówko.

Jeden z mężczyzn, ten po prawej, odwrócił się i odezwał się bełkotliwym głosem. Kiedy mówił, Gross zamiast zębów widział tylko poruszający się w ustach język.

– Wiem, panie Zdzisiu, wiem, że był w sobotę, ale wtedy odwiedził nas inny policjant. – Dyrektor poklepał go po ramieniu, a ten rozciągnął usta w bezzębnym uśmiechu i odwrócił się w stronę telewizora. Potem szef schroniska popatrzył na Grossa i wskazał palcem na drugiego z mężczyzn. – Pan Darek jest trochę przygłuchy, ale proszę spróbować.

Gross obszedł stół i stanął twarzą do mężczyzny, który wyglądał na zaskoczonego. Uniósł nawet głowę w stronę dyrektora, ale ten dał znak, że wszystko jest pod kontrolą. Komisarz przysunął sobie krzesło i usiadł. Drugi z bezdomnych nie zwracał na niego uwagi, wpatrywał się w telewizor i siorbał herbatę z kubka, we wnętrzu którego plamy herbacianego osadu przypomniały mapę nowo odkrytych kontynentów.

– Czy zna pan tego człowieka? – Gross położył kartkę przed bezdomnym Darkiem.

– Co?!

Gross powtórzył pytanie, podnosząc głos.

Nie odrywał wzroku od ogorzałej twarzy z szorstką skórą, zapadniętymi policzkami pokrytymi siwą szczecina. Usta zapadały się z powodu braków w uzębieniu, a zaczerwienione oczy wydawały się wilgotne. Mężczyzna poprawił czerwony sweter i wziął do ręki wydruk. Gross zauważył więzienny tatuaż na dłoni, kropkę znajdującą się między palcem wskazującym a kciukiem. Miał do czynienia z byłym złodziejem.

– Nie znam. – Oddał Grossowi kartkę.

– Na pewno?

– Yhy.

Gross przeniósł wzrok na dyrektora, który wzruszył tylko ramionami.

– A może pojawił się jakiś nowy bezdomny w okolicy – mówiąc to, komisarz zwrócił się do wszystkich obecnych.

– Heniek – wydukał Darek.

– Heniek?

– Heniek wie.

– Co wie?

– Coś o tym nowym.

– A skąd?

– Bo mówił mi. Że chcieli mu wpierdolić, nie?

– Kto komu?

– No temu nowemu. – Przetarł nos wierzchem dłoni, na której został wilgotny film. – Chcieli mu wpierdolić, żeby zabierał się stąd, bo tu nie było dla niego miejsca.

Gross znowu spojrział na dyrektora, który stał ze skrzyżowanym na piersi rękoma.

– Heniek rzadko tu przychodzi – wyjaśnił dyrektor. – Przez alkohol. Mamy zasady.

– A kiedy był tu ostatnio? – Gross wyciągnął notes z torby.

– Zaraz sprawdzę. – Dyrektor wyszedł ze stołówki. Słyszeli odgłos jego kroków na pustym korytarzu.

Gross popatrzył na Darka.

– Kto chciał go pobić?

– No inni bezdomni.

– Ten Heniek też?

– Nie, Heniek mówił, żeby go zostawić. Że swój chłop.

– Dlaczego tak powiedział?

Wzruszenie ramion.

– Czy Heniek go znał wcześniej?

– Nie wiem. Nic więcej nie wiem.

– Jak on wyglądał?

– A jak wygląda bezdomny? – Zaśmiał się. – No jak my, nie!

Podziękował i schował notes, w którym zapisał kilka uwag, oraz kartkę z wizerunkiem mężczyzny z łódki.

Wyszedł na korytarz i skierował się do sekretariatu. Dyrektor nachylał się nad dziewczyną, oboje wpatrywali się w ekran monitora.

– Wygląda na to, że Heniu, był tu tydzień temu.

– Wiadomo, gdzie mogę go znaleźć?

– Ostatnio to go na dworcu widziałem, zresztą z nim to cholera wie. Może być wszędzie, na działkach gdzieś albo pod marketami na Bydgoskiej.

– A to nie on gmerał przy tej szafie, dyrektorze? – spytała sekretarka, wpatrując się w szefa.

– No. Ten sam. – Dyrektor ściszył głos.

– Jakiej szafie? – przerwał im komisarz.

– Eeee, nic takiego. Sprzątaczką nie zamknęła drzwi do lekarskiego – dodał, odwracając się do komisarza.

– Zniknęło coś?

– Nie, no skąd!

Sekretarka spuściła głowę i wbiła wzrok w papiery.

Gross stał tak przez chwilę. Kazał sobie milczeć do czasu, aż cisza nie zmusi dyrektora do otwarcia ust.

– Dostał się do szafki na leki, ale nic nie zginęło, bo zaraz go przyłapałem.

– Nie zabrał żadnych lekarstw?

– Nie miał jak. Sprawdziłem wszystko.

– Jego kieszenie też?

– No pewnie.

– Lekarz o tym wie?

– Nie, nie informowałem go, bo nic się nie stało. Nic nie zginęło, zapewniam. Medyk przychodzi tu raz na tydzień. Co innego, gdyby Heniu drapnął jakieś blistry, fiolkę czy cholera tam wie, co. Ale nic nie wziął. Mówił, że chciał tylko bandaż, bo faktycznie miał paskudną ranę na kostce. Przetarcie jakieś. Zamknąłem szafkę i dałem mu gaziki i bandaż z apteczki.

Dyrektor wskazał głową na białe plastikowe pudełko przytwierdzone do ściany.

– Muszę zobaczyć tę szafkę – zdecydował Gross.

Dyrektor wyszedł zza biurka i niechętnie otworzył drzwi do swojego gabinetu. Pchnął je lekko i włączył światło.

– Jeśli to konieczne, to proszę bardzo – stęknął.

*

Otremba podwiózł Skalkę pod wskazany adres, gdzie miała umówione pierwsze spotkanie z rodzicami kolegów topielca. Zaparkował między blokami na Jana, tak że oboje widzieli przed sobą czapkę silosu tutejszej cukrowni. Pocałował ją, po czym odjechał, zostawiając za sobą jedynie siwy kłęb spalin. Zrobiło się szaro, mróz przenikał jej ciuchy. Zapięła pod szyję czerwony polar i poprawiła bejsbolówkę.

Schowała się pod wiatą klatki schodowej i trzęsąc się z zimna, wybrała odpowiedni numer na domofonie. Po chwili ktoś podniósł słuchawkę i zwolnił elektromagnes. Skalka szarpnęła plastikowe drzwi i weszła w ciemność, gotowa na długą rozmowę.

Po trzech takich spotkaniach miała już wszystkiego dość. Szczególnie, że nie dowiedziała się niczego nowego, co mogłoby pokazać topielca w innym niż dotychczas świetle.

Po ostatniej wizycie w kamienicy na Rybakach miała do domu na Depczyńskiego mniej niż kilometr. Musiała tylko ominąć wznający się w łódź język jeziora i między cmentarzami położonymi po obu stronach drogi dojść do osiedla Maja.

Schowała notatnik do wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki i ponownie zapięła polar pod samą szyję. Poczowała drapanie w gardle. „Przewiało mnie”, pomyślała. Ruszyła piechotą w drogę powrotną do domu, która minęła szybko tylko dlatego, że w sumie cały czas myślała o żonie policjanta i ich córkach, a także o jego teściu, Emilu Kowalskim. Miejski radny w tym roku świętował sześćdziesiąte piąte urodziny, które córka wyprawiła mu w Mistralu. Otremba pojechał na uroczystość prosto z łóżka Skalki, zabierając jej z barku jedyne nieotwarte czerwone wino. Kowalski pracował wcześniej w oczyszczalni ścieków w cukrowni. Osiem lat temu przeszedł na rentę, bo kręgosłup odmówił mu posłuszeństwa. Lata leczenia, rehabilitacja i operacje niewiele dały, o ile nie pogorszyły jego stanu. Dobrze miały mu zrobić spacer, dlatego wyprowadzał na dłuższe wędrówki psa Otrembę, kundelka z toruńskiego schroniska, którego gliniarz przygarnął dla swoich córek, pięcioletniej Zuzi i sześciioletniej Amelki. Nie mógł tylko przewidzieć, że kiedyś go to zgubi. Uratował czworonoga, ale pogrzyżył siebie. Otremba był przekonany, że teść wie już o nim i Skalce. Na samą myśl o tym, zrobiło jej się ciężko na żołądku. Kowalski był raptusem, często swoim zachowaniem i pomysłami wzburzał krew pozostałym radnym i burmistrzowi. Był jedynym opozycjonistą w radzie, nie znał się na rządzeniu ani na miejskim budżecie, przez co uchodził za nieszkodliwego debila, którego nikt na poważnie nie bierze.

Skalka przekręciła klucz w zamku i wsunęła się do ciepłego domu. Zrobiła sobie herbatę z miodem i cytryną i przygotowała dwie polopiryny do połknięcia. Długo jeszcze trzęsła się z zimna, ale nie chciała odkładać ważnych rzeczy na potem. Zadzwoiła do Grossa.

Zrelacjonowała mu trzy spotkania z rodzicami kolegów topielca.

– Nie ma się czego chwycić – dodała. – Antoni Bruździński był raczej spokojnym nastolatkiem, uczył się przeciętnie.

– Rozmawiałś z jego kolegami przy ich rodzicach? – Gross jej przerwał.

– Tak, ale przecież wiesz, że wyczułabym cokolwiek, gdyby zaczęli ściemniać. Poza tym nie ma żadnego powodu, by rozmawiać z nimi bez ich obecności.

– Wiem, to wbrew przepisom.

– No właśnie.

– A jak wyglądał jego dzień, zanim wpadł pod lód?

Słyszał, jak Skalka wertowała notes. Podobało mu się to. Zarówno ją, jak i Otrembę nauczył tego prostego zwyczaju korzystania z notatek, a przede wszystkim dokładnego ich sporządzania.

– Nic specjalnego tego dnia się nie wydarzyło. Spotkał się z bratem tego strażaka, który go rozpoznał. Widzieli się rano, po śniadaniu. Poszli do biedronki na energizera i krówki, pogadali trochę i poszwendali się po bulwarze. Rozstali się w pobliżu Mistrala. Antek poszedł prosto do domu, co potwierdziła matka, z którą później weryfikowałam te informacje. Zjadł obiad, pobawił się z młodszym bratem.

– Zaraz. Jego matka była w domu?

– Tak. Na drugi tydzień ferii wzięła wolne, z kolei w poprzednim tygodniu dziećmi opiekowała się babcia.

– Matka tej kobiety?

– Tak – odparła Skalka. – Kiedy na dworze zaczęło szarzeć, Antek odkleił się od komputera, pogadał chwilę z matką i...

– O czym?

– Nie powiedziała.

– Spytałaś?

– Nie spytałam – przyznała, wierząc, że była to zwykła rodzinna rozmowa o niczym. Taka, jakich wiele między matką a dorastającym synem. Może o szkole, która rozpoczynała się w kolejnym tygodniu, może o planach. Jakkolwiek by się jednak usprawiedliwiała przed samą sobą, Skałka wiedziała, że powinna była zapytać.

– Co dalej?

– Wszedł z domu. Matce powiedział, że zobaczy nową siłownię w tym budynku przy stadionie Legii.

– Dotarł tam?

– Nikt z obsługi go nie pamięta, ale być może wcale tam nie wszedł.

– Nie wszedł?

– Na to wygląda. Może spotkał się z kimś pod siłownią?

Może. Gross odnotował to w pamięci.

– A wiadomo, o której wrócił do domu? – zapytał.

– Matka twierdzi, że na kolację. Kojarzy, że wszedł, podczas gdy ona oglądała wiadomości.

– Spytałaś, o czym mówili w telewizji? Co konkretnie wtedy oglądała?

– Poczekaj. – Czuła, jak narasta w niej temperatura. – Podejrzewamy ją o cokolwiek?

– Nie – zapewnił. – Może jednak istnieje inna wersja wydarzeń. Alternatywna.

– Alternatywna? Dlaczego tak sądzisz?

– Nic nie sądzę.

Usłyszała w słuchawce westchnienie.

– Zanim przyszedłeś, mówiono o tobie, że rozwiązałeś wszystkie sprawy...

– Nie. – Próbował jej wejść w słowo, ale może zbyt cicho.

– ...które prowadziłeś, że jesteś dobry jak cholera. I ja to wiem. I wiesz, jak cieszę się, że mogę z tobą pracować. Ale szefie – zawsze się tak do niego zwracała, kiedy wpadali w poważne tony – może teraz nie ma żadnej sprawy. Może tracimy czas?

Gross milczał. Nie wszystkie sprawy rozwiązał, ale taka łątka przyłgnęła do niego tylko dlatego, że nigdy nie odpuszczał. W Toruniu mówili o intuicji psa. Psem nie zostajesz wtedy, gdy zakładasz mundur. Psem zostajesz, nasiąkając złością na wyrządzane zło, gdy w dobrym człowieku wyczuwasz skazę. Gdy po pracy widzisz, jak wyrostek rzuca w przystanek autobusowy kubłem na śmieci, jak mąż przystawia żonie nóż do gardła, jak pedofil zastawia sidła na dziecko. Psem zostajesz wtedy, gdy reagujesz. Nie odwracasz się, nie uciekasz, tylko instynktownie działasz. Zwalczasz zło bez względu na sytuację.

Gross też podejmował działanie.

Nie rozwiązał co prawda tej najważniejszej sprawy. Tej, która dziesięć lat temu odebrała mu żonę, zniszczyła małżeństwo i rodzinę. Do dziś nie wiedział, kto i dlaczego wpadł do jego mieszkania ani czego tam szukał. Nie znał odpowiedzi na pytanie, kto i dlaczego dusił jego żonę. Widział tylko oczy mężczyzny w kominiarce i był pewien, że po tych oczach jeszcze kiedyś rozpozna tego człowieka.

To przez pytania, na które nie znalazł odpowiedzi, praca stała się wszystkim, co miał. W sprawie zdrowia żony zatracił nadzieję, bo nie umiał wierzyć w cuda. Ale nigdy nie stracił sensu i wiary w policyjną, mozolną robotę, za którą kiedyś z tej gęstwiny wyłoni się prawda.

– Więc może nie ma żadnej sprawy – powtórzyła Skałka i na dłużej zapadła cisza. – Halo? Jesteś tam, szefie?

– Jestem – westchnął. – A co z fryzjerkami? Tymi, które były nieobecne w zakładach. Udało ci się coś ustalić?

– Oddzwoniły.

– I co?

– Żadna nie strzygła bezdomnego. Zresztą, umówmy się. Nie powiedziały tego wprost, ale

żadna nie zdecydowałyby się na strzyżenie bezdomnego w zakładzie. Bałyby się o narzędzia. To znaczy, wiesz, o wszy, o dezynfekcję i przede wszystkim reputację zakładu.

Gross wiedział, że Skalka ma rację. Stracili czas, to była zła decyzja.

– Czyli nic nie mamy – stwierdził smutno.

– Niestety.

– Więc może nie ma żadnej sprawy – powiedział i rozłączył się.

*

Śnieg zaczął sypać z czarnych, szczelnie zakrywających niebo chmur. Gross postawił kołnierz kurtki i ruszył żwawym krokiem w stronę osiedla domków jednorodzinnych znajdującego się naprzeciwko cukrowni i w sąsiedztwie bloków z płyty, między którymi wyrastała szkoła specjalna, architektoniczna duma socrealizmu.

Po rozmowie ze Skalką sporo czasu poświęcił na szczegółowe zapoznanie się z aktami sprawy zaginięcia Grażyny i Sławomira Tarasewiczów. O ich tajemniczym zniknięciu pisała wówczas cała Polska. Gross odezwał się do toruńskiego dziennikarza Benera z prośbą, żeby podesłał mu dziennikarskie materiały dotyczące Tarasewiczów. Bener zrobił to bez wahania. Teraz skany z wielu gazet oraz sporo linków do artykułów czekało na niego w mailu na komisariacie. Jutro będzie musiał się z tym zapoznać, być może lektura doniesień prasowych poszerzy jego punkt widzenia na tę sprawę. Zazwyczaj jednak tego nie robił. Nie zapoznawał się z artykułami, bo wysnute z palca teorie prezentowane na łamach tabloidów były dobre dla gawiedzi szukającej taniej sensacji. Przypomniał sobie, że w jakimś stopniu sprawa zaginięcia Tarasewiczów przypominała mu tak samo głośne zaginięcie rodziny Bogdańskich ze Starowej Góry spod Łodzi. Tam ślad zagał po pięciorgu członkach rodziny zadłużonego biznesmena, w tym jego schorowanej matce. Pamiętał, że Bogdańscy znikali z radarów na raty, najpierw dwoje dzieci z żoną, którzy – jak twierdził Bogdański – wyjechali do Wrocławia na szkolenie dla touroperatorów, a potem zapadł się pod ziemię on sam z własną matką. Dokładnie osiemnastego kwietnia dwa tysiące trzeciego roku. Gross zastanawiał się więc, czy o pięć lat późniejsze zniknięcie Tarasewiczów mogło być inspirowane sprawą Bogdańskich.

Jeszcze w domu rozłożył na stole akta sprawy, zaparzył mocną herbatę i przy świetle jednej z lamp modelarskich przeglądał zgromadzone w teczce dokumenty.

Sławomir Tarasewicz kilka lat przed zaginięciem zainwestował pieniądze w hurtownię materiałów budowlanych. Z biznesem trafił w dobry czas, kiedy Polacy chętnie kupowali tanie działki i ruszali z budową domów. Najczęściej własnym sumptem, z pomocą wujka, kuzyna lub szwagra. Hurtownia rozwijała się, Tarasewicz stale poszerzał asortyment i zwiększał zatrudnienie. Od czasu do czasu, za namową burmistrza, dokładał się do budżetu klubu piłkarskiego i wioślarskiego. Mieszkańcy nagradzali go oklaskami na miejskich i gminnych festynach, na imprezach sportowych, kiedy w roku dwa tysiące trzecim i czwartym stawał na scenie i odbierał dyplom dla najlepszego przedsiębiorcy w gminie. Swoimi pieniędzmi nie wspierał jednak żadnych kampanii wyborczych, nie popierał żadnych kandydatów, co niektórzy mieli mu za złe i próbowali odgrywać się na swój sposób. Ich ukąszenia okazywały się zazwyczaj niegroźne. Oskarżenia o romanse, plotki o nieślubnych dzieciach, sportowe skandale z przekupstwem zawodników przeciwnych drużyn piłkarskich – to wszystko nie robiło wrażenia ani na Tarasewiczu, ani na jego rodzinie, bo strzelano ze ślepeków.

Niestety, branża budowlana co kilka lat przeżywała gorsze chwile. Wkrótce chełmyńskie imperium Tarasewicza miało zachwiać się na glinianych nogach.

Zanim to nastąpiło, dwie osoby, z którymi rozmawiali funkcjonariusze, powoływali się na listy z pogróżkami, jakie Tarasewicz miał otrzymywać tuż przed zaginięciem. Mówił o tym między innymi syn Tarasewicza. Jednak żaden z tych listów nie zachował się. W opinii policjantów, jeśli doniesienia o anonimach były prawdziwe, być może sam Tarasewicz niszczył je tuż po tym, kiedy pokazywał je

bliskim. Syn twierdził, że w jednej z rozmów z ojcem wyszło na jaw, że groźby musiał wysyłać ktoś z grona firmy konsultacyjnej pracującej dla niemieckiego koncernu, który chciał postawić w Chełmży dyskont budowlany. Nigdy jednak do utworzenia sklepu żadnej ze znanych sieci tu nie doszło. Nie udało się tego ustalić, ale prawdopodobnie nawet nie było takich zamiarów.

Potem hurtownia „Hurt-MatBud Tarasewicz” zwolniła część załogi. Właściciel doszedł do porozumienia z głównymi dostawcami w sprawie spłaty długów i zaczął realizować plan spłat, na co zostały dowody. W chwili, w której zaginął Tarasewicz, jego zadłużenie sięgało niemal ćwierć miliona złotych. Wyglądało też na to, że Tarasewicz starannie zaplanował zniknięcie swoje i żony Grażyny, nauczycielki matematyki w Szkole Podstawowej nr 2 w Chełmży. Dlaczego małżeństwo nie zabrało ze sobą syna? Tarasewicz spłacił uprzednio zaciągnięty kredyt hipoteczny w wysokości osiemdziesięciu tysięcy złotych, ale nie przepisał domu na Jana. Firmę zostawił na swoich barkach, widocznie nie chciał, żeby hurtownia pociągnęła syna na dno. Było też bardziej niż pewne, że Tarasewicz zostawił mu sporą gotówkę na życiowy start, chociaż chłopak nigdy tego nie potwierdził. Szybko wszedł w dorosłość. Pracować nauczył się jeszcze w hurtowni ojca, w której pomagał w wakacje, zarabiając na letnie wyjazdy. Dwa miesiące po zaginięciu Tarasewiczów znalazł zatrudnienie w hurtowni w pobliskiej Grzywnie. Po kilku latach odkupił teren dawnej hurtowni ojca i rozpoczął własny biznes, wykorzystując unijną dotację na start.

Śledczy, którymi dowodził Wegner, przedstawili kilka hipotez w sprawie pozostawienia syna w Chełmży. Według jednej z nich Jan Tarasewicz po prostu nie zamierzał rozpoczynać nowego życia gdziekolwiek indziej w Polsce, Europie czy świecie. Cztery miesiące przed zaginięciem między synem a rodzicami doszło do napięć, o czym informowała policję nieżyjąca już babka chłopaka ze strony matki. Sądziła, że to zwyczajne spory pokoleniowe, normalne dla rodzin, normalne dla chłopaków w wieku jej wnuka. Jeśli były one faktem, to dowodziły, że przygotowania do ucieczki Tarasewiczów trwały dłuższy czas. Młody Tarasewicz był wtedy zakochany w dziewczynie z ubogiej rodziny. Koledzy chłopaka podkreślali, że potrafił zaszpanować samochodem ojca, zwitkiem banknotów w kieszeni, wysokim rachunkiem w drink-barze VIP przy Bydgoskiej. Imponował rówieśnikom. W Chełmży był młodym królem, gdzie indziej byłby nikim, zaczynałby wszystko od zera.

Po zaginięciu Tarasewiczów hurtownia oczywiście została zlicytowana przez komornika na pokrycie długów. Nie wszystkie zaległości udało się spłacić, więc prokurator wystąpił do sądu z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie Sławomira Tarasewicza, ale sąd ten wniosek odrzucił.

Za datę zaginięcia Tarasewiczów przyjęto czwartego sierpnia dwa tysiące ósmego roku, kiedy to nieżyjący już od kilku lat świadek widział ich oboje około piątej nad ranem w przejeżdżającym obok niego samochodzie. Tarasewicz miał nawet podnieść rękę na powitanie. Zgłoszenie w tej sprawie przyjął dyżurny chełmżyńskiego komisariatu. Z odręcznej notatki wynikało, że za kierownicą siedział Tarasewicz, a żona obok w fotelu pasażera.

Tydzień później ich samochód znaleziono w Gdyni, dwa kilometry od wjazdu na teren portu, w pobliżu bloków przy Morskiej. Gross przejrzał dokumentację związaną z oględzinami auta wykonaną przez gdyńskich funkcjonariuszy, która niczego nowego do sprawy nie wniosła. We wnętrzu samochodu rozpylono środek gaśniczy, w bagażniku też. To skutecznie pozbawiło techników możliwości odnalezienia odbitek linii papilarnych. Nic nie wskazywało na to, by w samochodzie doszło do walki, nie odnaleziono żadnych śladów krwi. W samochodowym schowku tkwiły wymięte stare mapy, latarka, bilety za parkowanie w Chełmży. W bagażniku policjanci znaleźli stary koc, trójkąt ostrzegawczy i gaśnicę bez legalizacji oraz fajkę do odkręcania kół, a także butelkę z niezidentyfikowaną substancją. Gross zapisał to sobie w pamięci.

Poza tym nic nie wzbudziło podejrzeń gdyńskich funkcjonariuszy. Psy tropiące nie podjęły żadnego śladu. Przeanalizowano nazwiska osób przepływających się promami do Szwecji, ale nie potwierdzono, by w tamtym okresie – od chwili zaginięcia chełmżan po dzień znalezienia pojazdu – Tarasewiczowie znaleźli się na pokładzie któregoś z nich. Było jednak prawdopodobne, że dostali się tam na podstawie fałszywych paszportów. Analizowano również wersję, w której Tarasewiczowie przepłynęli się promem w kierunku Skandynawii znacznie później.

Gross przejrzał też wymianę dokumentacji między policją polską a szwedzką, a także norweską, fińską i duńską. Polskie komunikaty co kilka miesięcy były aktualizowane, ale pozostawały bez odzewu z krajów skandynawskich. Nic dziwnego. Nie byli notowanymi przestępcami, tylko dorosłymi ludźmi, którzy planowali nowe życie w zupełnie nowym miejscu.

Gross zamknął akta i sięgnął po kolejną, tym razem chudsza tekturową teczkę. Dotyczyła materiałów w sprawie Elżbiety Jaworskiej.

Z akt dowiedział się, że kobieta była bezdzietną rozwódką. Mąż, Ryszard Jaworski, rozstał się z nią w dwa tysiące piątym roku i wyprowadził do Torunia, gdzie kupił kawalerkę. Dom, w którym Jaworska mieszkała, był rodzinnym domem jej dziadków, a potem rodziców, którzy zmarli kilka lat przed ślubem córki. Ojciec Jaworskiej do końca swych dni prowadził jedyny w okolicach renomowany zakład kaletniczy. Po portfele i paski przyjeżdżali do niego hurtownicy z całej Polski. Córka jednak nie poszła w ślady ojca.

Jej zaginięcie zgłoszono pięć dni po zniknięciu Tarasewiczów. Co prawda policjanci dysponowali sprzecznymi danymi w tej sprawie. Według najbliższych sąsiadów Jaworska wyszła z domu dziewiątego sierpnia dwa tysiące ósmego roku, po południu. Starsza kobieta, jej ciotka mieszkająca dwa domy dalej, zarzekała się, że widziała ją przez okno. Kłopot polegał na tym, że widziała jedynie czyjeś plecy. Nic więcej nie umiała policjantom powiedzieć. Krzysztof Wegner, który z nią rozmawiał, mimo to dał wiarę jej zeznaniom. Ktoś inny, anonimowy informator, podał, że widział Jaworską jedenastego sierpnia w pobliżu szkoły, w której pracowała. Dyrektor jednak twierdził, że dał jej wolne do połowy sierpnia, nie było więc powodu, by stawiała się w miejscu pracy.

Hipotezy związane z zaginięciem kobiety były dwie. Jaworska mogła paść ofiarą gwałciciela, który wówczas grasował w Toruniu i północnych gminach powiatu toruńskiego. Do tej pory mężczyzna, który zgwałcił w tamtym okresie pięć kobiet, a kolejne trzy napastował i ranił, nie został ujęty. Zapadł się pod ziemię albo w wyniku szeroko zakrojonej akcji kujawsko-pomorskiej policji po prostu przeniósł się w inny rejon kraju.

Druga z hipotez wiązała się z chęcią sprzedaży domu przez Jaworską. Toruńskie Biuro Nieruchomości „MKW” umówiło ją z mężczyzną z Torunia na spotkanie. Przedstawicielka pośrednika pojawiła się przed bramą stadionu Legii Chełmża o ustalonej porze, ale nabywca nie przyjechał. Potem okazało się, że kobieta pomyliła terminy i przyjechała dwie godziny po wyznaczonym spotkaniu. Tożsamości mężczyzny nie ustalono. Kontaktował się z biurem jedynie telefonicznie. Nie znał adresu domu Jaworskiej, ale widział zdjęcia zamieszczone na stronie internetowej „MKW”, więc być może to wystarczyło, by na własną rękę odnalazł nieruchomość. Policjanci zakładali, że mógł wejść i ogłuszyć Jaworską, a następnie dokonać kradzieży. Nie było jednak wiadomo, czy cokolwiek zniknęło z domu kobiety. Tezie związanej z rabunkiem przeczył też brak śladów walki w korytarzu i pokojach.

Zgodnie z dwiema policyjnymi wersjami Jaworska nie żyła, a śledztwo w jej sprawie ograniczało się do oczekiwania na informację o odnalezieniu zwłok.

Gross dotarł do notatek, w których policjanci próbowali powiązać tajemnicze zaginięcie Tarasewiczów ze zniknięciem Jaworskiej. Obie kobiety poznały się w pracy. Kilka lat przed zaginięciem Jaworska została zatrudniona na stanowisku sekretarki dyrektora. Kobiety szybko znalazły wspólny język. Podobno Jaworska odwiedzała Tarasewiczów, a Sławomir Tarasewicz pomagał przyjaciółce żony w konserwacji starego domu, przywoził artykuły budowlane, czasami sam reperował dach lub przeprowadzał drobne remonty. Grossowi, podobnie jak Wegnerowi prowadzącemu obie sprawy, przemknęło przez głowę znalezienie wspólnych nici łączących obie sprawy zaginięć. Jeden taki scenariusz był rozpatrywany, ale do niczego śledczych nie doprowadził. Chełmża huczała co prawda od plotek na temat Elżbiety Jaworskiej i Sławomira Tarasewicza, ale ostatecznie nie znalazł się nikt, kto by je potwierdził.

Przechodząc przez tory oświetlone pomarańczowym blaskiem ulicznych lamp, Gross rozejrzał się. Szyny uciekały i ginęły w śnieżnej zawierusze. Kroczył dalej przed siebie ulicą Bydgoską. Minął Ośrodek Sportu i Turystyki z basenem po lewej. Kawałek dalej skręcił w lewo w Wyszyńskiego i dotarł do osiedla domków jednorodzinnych po prawej oraz szkoły i bloków po lewej.

Odnalazł dom przy ulicy Moniuszki i stanął przed furtką, przyglądając się niewielkiemu budynkowi, przerobionemu z peerelowskiej kostki na budynek ze skośnym dachem, obsypanym teraz grubą warstwą śniegu.

W oknach na parterze świeciło się światło, ale Gross nie widział we wnętrzu nikogo. Wyżej, na piętrze, dostrzegł pozbawione firanek i zasłon okna, jakby góra była zupełnie niezamieszкана.

Komisarz nacisnął dzwonek i z trudem dosłyszał stąd gong rozchodzący się niskim dźwiękiem we wnętrzu domu. Po chwili świetlik w drzwiach zewnętrznych rozblysnął światłem. Zgrzytnęły zamki.

– Słucham? – odezwał się męski głos.

– Pan Jan Tarasewicz? – spytał komisarz.

– Tak. A pan, co? Z gazety?

– Bernard Gross, komisariat policji. Mogę wejść? – Komisarz mrużył oczy przed gęsto sypiącym śniegiem, który wpadał mu za kołnierz kurtki i kłuł w kark.

– Stało się coś? Mam teraz małe zamieszanie...

– Nie zabiorę panu dużo czasu.

– Dobra, niech pan wejdzie.

Gross usłyszał brzęczyk domofonu i pchnął furtkę.

Kiedy szedł w stronę schodów prowadzących na ganek, zostawiał na chodniku wyraźne ślady butów.

*

– Ładny sweter. – Jan Tarasewicz wskazał palcem na Grossa. Sam nosił krótko przyciętą brodę i wąsy. Siedział w fotelu naprzeciwko komisarza w pomiętym białym T-shircie, dżinsach i białych skarpetkach, brudnych od spodu. Na kolanie posadził młodszą, trzy- lub czteroletnią córkę o wyglądzie aniołka, która ścisnęła kurczowo szmacianą lalkę. Druga, starsza dziewczynka, pomagała mamie w kuchni. Po chwili obie weszły do salonu. Żona Tarasewicza, krótko obcięta, zgrabna blondynka ubrana w szary dres, przyniosła na tacy kawę zaparzoną w ciemnych szklankach.

Zanim Gross wszedł do domu, zorientował się, że Tarasewiczowie są w trakcie przeprowadzki. Większość rzeczy spakowanych w kartony ustawiono równo pod ścianą. Meble częściowo rozkręcone zaciągnęli w róg dużego pokoju, w którym teraz siedzieli.

– Mówiłem, że mamy tu małe zamieszanie. Musimy wyprowadzić się do końca tygodnia. – Tarasewicz podrapał się po brodzie. Drugą ręką bawił się długim warkoczem córeczki.

Gross przyglądał się po kolei dziewczynkom i zastanawiał się, w jakim nastroju zostawi dorosłych, gdy pokaże im zdjęcie bezdomnego, ogolonego, siwego mężczyzny.

– Co pana sprowadza? – spytał gospodarz, pocierając ręce. – Chodzi o rodziców? Macie coś nowego w sprawie?

Komisarz poczuł na sobie wzrok jego żony. Spojrzał w jej stronę i nie odzywał się.

Załapała.

– Dziewczynki, chodźcie na bajkę – powiedziała, zabierając córki do drugiego pokoju. Gross odprowadził je wzrokiem i poczekał, aż żona Tarasewicza zamknie za sobą drzwi. Wtedy Tarasewicz pochylił się, złączył dłonie i oparł łokcie na kolanach.

– Z czym pan przychodzi, komisarzu? – Niecierpliwił się.

Policjant sięgnął do teczki i wyciągnął z niej kartkę, którą położył przed sobą wydrukowaną stroną do dołu.

– Kiedy ostatni raz widział się pan z ojcem, Sławomirem Tarasewiczem?

Młody mężczyzna nie zmienił pozycji.

– Mówiłem o tym wielokrotnie. Dzień przed zaginięciem rodziców.

– Czyli konkretnie?

– Konkretnie w niedzielę trzeciego sierpnia dwa tysiące ósmego roku, wieczorem. Zjedliśmy kolację, potem położyłem się spać.

– Która to była godzina?

– Mogło być około północy, słyszałem jeszcze, jak ojciec kręci się po domu, mama leżała już chyba w łóżku, w sypialni. – Wskazał głową na schody.

– Mieli jakieś plany na poniedziałek?

– Tata jak zawsze miał jechać do hurtowni, mama miała jeszcze miesiąc wolnego.

– Kiedy zorientował się pan, że coś jest nie tak?

– Zastanowiło mnie to, że mamy nie ma w domu. Zazwyczaj lubiła wcześniej wstawać, kręciła się w szlafroku z kawą po mieszkaniu, chętnie oglądała poranne programy. Ale kiedy zszedłem na dół, telewizor był wyłączony. W pierwszej chwili pomyślałem, że może pojechała gdzieś z ojcem albo umówiła się z ciotką Elżbietą.

– Ciotką?

– No, tą znajomą rodziców, Elżbietą Jaworską – sprostował. – Mówiłem tak do niej. Była z nami blisko. Właściwie jak ciotka.

Gross zachęcił, żeby kontynuował.

– Nie zmartwiłem się zbytnio nieobecnością matki, a można powiedzieć, że nawet ucieszyłem się. Wiadomo, starych nie ma, chata wolna, nie? – Uśmiechnął się, ale po chwili, widząc minę Grossa, spoważniał. – Zjadłem więc śniadanie i wyszedłem do kolegi, z którym poszliśmy nad jezioro i w sumie zostaliśmy tam do wieczora. Dopiero wtedy, jak już wróciłem do domu, zacząłem zastanawiać się, gdzie są rodzice.

– Dzwonił pan gdzieś? – Gross spytał, pamiętając dokładnie raport w tej sprawie.

– Tak, najpierw do hurtowni, ojciec bywał tam czasami nawet w niedzielę, o różnych porach. Tym razem jednak nikt nie podnosił słuchawki. Zadzwoiłem do stróża, ale on twierdził, że nie widział się tego dnia z ojcem. To już dało mi do myślenia. Potem zadzwoniłem do ciotki.

Z protokołów zeznań komisarz pamiętał, że rozmowa trwała kilka minut. Ówczesny prokurator nie zgodził się na sprawdzenie bilingów. Sprawa dotyczyła osób dorosłych, które mogły przecież wyjechać bez zapowiedzi na szalone dłuższe wakacje mające przywrócić im wiarę w małżeństwo i wzniecić na nowo jeśli nie ogień, to chociaż płomień dawnej namiętności. Poza tym syn Tarasewiczów w tamtym czasie też już był dorosły. *Summa summarum*, nikt nie ucierpiał, niczyje interesy nie były zagrożone. Bo nie mówiło się jeszcze wówczas o kłopotach finansowych Tarasewicza.

– Ciotka jednak nie wiedziała, gdzie jest mama – kontynuował Jan Tarasewicz. – Twierdziła, że nie widziała się ani z nią, ani z moim ojcem.

– Podpowiedziała, gdzie ich szukać?

– Nie. Sama była zdziwiona, że nie mogę ich namierzyć. Chciała przyjść, ale pomyślałem, że to nie miałyby sensu. Namówiłem ją, żeby została u siebie, bo przecież mama mogła do niej zadzwonić po pomoc, gdyby coś jej się stało, albo po prostu wpaść do niej.

– Do niej, nie do pana?

– To była jej przyjaciółka. Jeśli szukałaby pomocy, pewnie zrobiłaby to, dzwoniąc do niej. Mama raczej zawsze traktowała mnie jak małego chłopca, który sam potrzebuje pomocy. – Mężczyzna uśmiechnął się do mglistych wspomnień.

– A później?

– Nadeszła noc i nadal ich nie było. Następnego ranka też.

– Elżbieta Jaworska przyszła tu i pomagała w ich poszukiwaniu? – podpytał Gross, chociaż także doskonale pamiętał ten wątek z lektury policyjnych notatek.

– Była tu od razu w poniedziałek, a we wtorek przyjechała ciotka z Inowrocławia, ojca siostra. Ich spojrzenia skrzyżowały się.

– Do czego pan właściwie zmierza, komisarzu? Przecież na pewno zna pan tę sprawę.

– Zapoznałem się z aktami – odparł.

– Więc zna pan odpowiedzi na te pytania.

– Znam, ale niech się pan nie obrazi, że zanim przejdę do sprawy, która mnie sprowadza, zadam jeszcze jedno.

Młody Tarasewicz rozłożył ręce, jakby zgodził się na wszystko.

– Wie pan zapewne, że policja rozważała inną wersję wypadków.

– Inną wersję?

– Tak. Ucieczkę przed problemami finansowymi, a jednocześnie ratowanie i ustawienie w życiu osiemnastoletniego syna.

Tarasewicz odwrócił głowę.

– Chce pan powiedzieć, że umówiłem się z nimi i trzymam się tej wersji zdarzeń, tak?

Gross nic nie odpowiedział. Czekał.

– Myśli pan, że nie tęskniłbym za rodzicami, nie bał się o to, jak poradzę sobie, mając osiemnaście lat? Jak zarobię na dom, czy uda mi się skończyć szkołę.

– Nie skończyłeś szkoły, ale rozwinąłeś własny biznes, prawda?

– Żyłkę do interesów mam po ojcu, to prawda. Ale to chyba nie grzech?

– Zostawili ci jakieś pieniądze na życie?

Tarasewicz prychnął.

– Jeśli tylko o tym chciał pan ze mną rozmawiać, to chyba nie mam nic więcej do dodania. Sądziłem, że chciał pan pomóc w ich poszukiwaniu, ale jak zawsze jestem do bólu naiwny.

Gospodarz wstał i nie spuszczał wzroku z policjanta. Dopiero po chwili spojrzął na odwróconą kartkę.

Gross też się podniósł. Sięgnął po nią, odwrócił wydrukiem do siebie i wtedy zauważył w twarzy młodego rozmówcy napięcie, zaciśnięte szczęki i przymrużone oczy.

Wręczył gospodarzowi kartkę.

– To pana ojciec? – spytał komisarz i patrzył, jak Tarasewiczowi drgnęła grdyka, gdy przełykał ślinę. – To bezdomny, którego znaleźliśmy w sobotę w łódce na zamarznętym jeziorze – dodał policjant. – Rozpoznaje go pan?

Mężczyzna nadal się nie odzywał.

– Zastanawiałem się, czy to nie jest pana ojciec. Bez brody i wąsów może trudno go rozpoznać. Zmienił się, przerzedziły mu się włosy, wychudł.

– Nie widziałem go dziesięć lat. – Tarasewicz przerwał mu i oddał kartkę. – Ale ojca rozpoznałbym od ręki.

Gross ponownie zerknął na wydruk, a potem na Jana Tarasewicza, próbując doszukać się podobieństw syna do ojca. Nie miałyby żadnych wątpliwości, gdyby do tego porównania wykorzystał stare zdjęcie z akt policyjnych, przedstawiające Sławomira Tarasewicza z tą gęstą i długą brodą oraz ciemnymi włosami. Jednak przy sobie miał tylko fotografię niedawnej ofiary mrozu.

– Pana zdaniem to nie on? – spytał komisarz.

– Nie. Absolutnie.

– Jest pan pewien?

– Ile razy powinienem to potwierdzić? – Jan Tarasewicz zezłościł się, po czym założył ręce na biodra i dodał: – Nie musi mi pan wierzyć.

– Nie chodzi o to, w co wierzę... – zaczął Gross, ale gospodarz mu przerwał.

– Tu znajdzie pan odpowiedź. – Mężczyzna poklepał się dłonią po prawym barku.

– Słucham?

– Blizna na prawej łopatce. – Nie przestawał się klepać. – Niech pan to sprawdzi. Mój ojciec ma nieregularną bliznę na prawej łopatce.

Gross dotarł do tej informacji w raporcie, w rubryce znaki szczególne zaginionego, i już wtedy poczuł, jak włosy zjeżyły mu się na głowie. Blizna po ranie ciętej na prawej łopatce. Pewne było jedno, że ciało mężczyzny nie miało takiej szramy. A co, jeśli taką bliznę rzeczywiście miał Tarasewicz? Czy to on był tym, który próbował udusić jego żonę? Czy to właśnie on nosił tę bliznę po ciosie nożem zadany przez Grossa?

Komisarz poczuł bolesny skurcz w klatce piersiowej, ale szybko ściągnął łopatki i krótkotrwałe napięcie minęło.

– Więc to nie on – stwierdził policjant, wydychając powietrze z płuc.

Tarasewicz zrobił zbolaną minę, a potem przeszedł do korytarza prowadzącego do drzwi wyjściowych.

Gross odczekał kilka sekund, po czym zabrał teczkę, do której starannie schował wydruk, i dopiero wówczas ruszył za gospodarzem. W ciasnym przedpokoju założył kurtkę i złapał za klamkę.

– Duży dom – rzucił komisarz, omiatając wzrokiem przestrzeń.

– Ale stary. Wymaga remontu, wymiany wszystkich instalacji, ocieplenia.

– Dlatego się wyprowadzacie? Sprzedaje go pan?

– Nie. – Gospodarz uciął i Gross nie wiedział, na które z jego pytań jest to odpowiedź.

Tarasewicz nie wyciągnął ręki na pożegnanie.

Gross uchylił drzwi, które lekko skrzypnęły i do wnętrza natychmiast wdarło się mroźne powietrze.

– Do zobaczenia – powiedział komisarz.

– Niech pan pamięta – przypomniał Jan Tarasewicz. – Blizna na łopatce.

*

Gross wrócił do domu i stał nad czajnikiem tak długo, aż ten zagwizdał. Zalał wrzątkiem herbatę, do której dodał łyżkę miodu, a następnie zabrał kubek i ustawił w tej części stołu, gdzie znajdowały się przybory modelarskie. Tuż obok pozostawionego rano na kilku listkach papierowego ręcznika plastikowego modelu motocykla. Zanim założył rękawiczki lateksowe, odebrał telefon od Otremby.

– Mamy go! – rzucił aspirant – Mamy gnoja, który skatował psa.

– Brawo.

– To znaczy wiemy, kto to jest, ale jeszcze go nie złapaliśmy.

– To co w takim razie masz?

Otremba opowiedział o tym, jak szybko wytypowali kata. Po wizycie w drugiej z kolei lecznicy weterynaryjnej, gdzie pies, jeszcze jako szczeniak, był szczepiony. Weterynarz spisał dokładne informacje o psie i dane właścicielki, pracownicy biedronki. Pozostawało tylko wierzyć, że pies nie zmienił właściciela.

– Okazało się, że sąsiedzi widzieli zdrowego psiaka dzień przed tym, jak mężczyzna, konkubent właścicielki, wrócił pijany do domu.

– Słyszeli coś?

– Nie, nigdy nie widzieli, by facet bił psa na spacerze. Przez ściany też podobno nie docierały odgłosy żadnych awantur.

– Wyprowadził go? – Gross przytrzymał telefon ramieniem, a sam nałożył lateksowe rękawiczki.

– No właśnie. Po rozmowie z kobietą dowiedzieliśmy się, że jej konkubent często chodził do kolegi do gospodarstwa przy drodze na Bielczyny. Dorabiał tam czasami przy krowach. I tam go

załatwił.

– Skąd wiesz? Przecież psa znaleziono w Chełmży. – Wziął do ręki model motocykla i przyjrzał mu się z bliska.

– Uciekł, ale mamy zabezpieczony ślad obuwia, ślady krwi w szopie na narzędzia i solidny badył umazany zwierzęcą krwią. Testy FOB nie pozostawiają w tym przypadku żadnych wątpliwości.

Gross wiedział, że chodzi o chemiczne markery, które rozpoznawały hem, związek żelaza wchodzącego w skład ludzkiej hemoglobiny.

– A jeśli krew nie należy do psa? – Gross był przekonany, że Otremba powinien również zadać sobie to pytanie.

– Szczerze wątpię, wyniki będą rano. Rozmawiałem też z weterynarzem, który leczy psiaka. Złamania kości i stłuczenia wskazują na użycie tępego narzędzia o szerokości zbliżonej do zabezpieczonego badyła.

– A jeśli prał go ten kolega? – Gross zerknął na skazę na plastikowym elemencie pokrywy baku, którą dopiero teraz dostrzegł. Założył okulary.

– Wykluczone. Ma alibi.

– Dobra robota – powiedział Gross, chociaż coś zupełnie przeciwnego miał ochotę powiedzieć o swojej modelarskiej robocie.

– Kłopot w tym, że facet zniknął.

– Wiesz, gdzie może się ukrywać?

– Mamy wytypowane trzy lokalizacje, niestety dwie z nich poza kujawsko-pomorskim.

– Odsuść na dwa dni. – Gross odłożył model na matę.

– Co? Przecież to priorytet!

– Ustal z prokuratorem...

– Prokuratorką – poprawił go Otremba.

– Tak. Ustal z nią, żeby wystąpiła do sądu o upublicznienie wizerunku sprawcy, a kiedy to się stanie, wypuść do mediów informację, że mężczyzna był widziany w Niemczech albo Wielkiej Brytanii. Kupią to.

– Po jaką cholere?

– Dasz sprawcy odetchnąć. Uspokoi się, stanie się pewniejszy, bo będzie wiedział, że szukacie igły w stogu siana. Poczuję, że ma nad nami przewagę. A wtedy w końcu sam wpadnie w twoje objęcia.

Otremba przetrwał tę informację.

– No, nie wiem – zastanawiał się. – Odezwę się.

Gross już chciał się rozłączyć, kiedy aspirant odchrząknął.

– Coś jeszcze? – spytał komisarz.

– Nie. Spadam, do jutra.

Odłożył aparat i zabrał się za delikatne szlifowanie pokrywy baku repliki niemieckiego motocykla. Był na siebie zły, bo całą operację odtłuszczania i usuwania pyłu z modelu musiał powtórzyć. Do tego trzęsły mu się ręce.

Odłożył motocykl, zerwał rękawiczki i przymknął oczy. Wziął kilka głębokich oddechów.

Znowu to samo.

Znieruchomiał na chwilę i wsłuchiwał się w swoje ciało.

Nic. Cisza.

Nie licząc echa bólu z okolicy mostka.

dziesięć lat temu

Elżbieta Jaworska nie zapukała w drzwi domu przy Moniuszki, tylko od razu skierowała się do schowanego wśród starych drzew, pełnego intymności i cienia ogrodu. Sądziła, że Grażka opala się na tarasie tak, jak ostatnio. Jednak taras był pusty. Drzwiami wychodzącymi na ogród, tak jak firanką, poruszał lekko wiatr.

– Grażka? – rzuciła, wchodząc po schodach. – Jesteś?

Pchnęła drzwi i zobaczyła na fotelu skulonego Janka. Siedział, pochylając się głęboko, z rękoma wsuniętymi między lekko rozchylone uda.

– Co jest, Jasiu, brzuch cię boli? – Zaniepokoiła się.

– Nie – stęknął na wydechu.

Nie przywitał się, nie wstał.

Chłopak wyłączył pilotem telewizor. Jego twarz płonęła czerwienią. Spuścił głowę, jego długie włosy zasłaniały go.

Rozejrzała się, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

– A mama jest?

– Jeszcze nie.

– Umówiłam się z nią.

– Nie ma jej! – warknął.

I wtedy pomyślała, że jest zły na nią. Że on już wie. Widział ją wtedy z jego ojcem przez okno. Nie pamiętała, czy Sławek ją pocałował, a może to ona objęła go czule, gdy rozebrany szedł pod prysznic.

– Zrobisz mi coś do picia? – spytała.

– Jest w lodówce. – Chłopak nie zmienił pozycji.

Elżbieta przeszła do kuchni.

Kiedy otworzyła lodówkę, zobaczyła w niej dzbanek z kompotem truskawkowym. Wyjęła go i wtedy usłyszała, że chłopak dźwignął się z fotela. Dotarł do niej jakiś elektroniczny chrobot. Wychyliła się z kuchni i zobaczyła, jak kuczał przed odtwarzaczem DVD i wyciągał z niego płytę. Po chwili odwrócił się i napotkał jej wzrok.

W drugiej dłoni trzymał rozpięte spodnie z ciemną plamą w okolicach rozporka. Majtki miał wypchane do granic możliwości. Próbował ukryć wzrów, zasłaniając się płytą.

Grażyna po cichu cofnęła się do kuchni. Jasiu dyszał z wściekłości i wbiegł po schodach na górę. Gdy ona wypijała ostatni łyk słodkiego kompotu, trzasnęły gdzieś drzwi. Odstawiając szklankę do zlewozmywaka, uśmiechnęła się. Poprawiła włosy i poszła za nim na górę do pokoju.

Zapukała.

Nie odpowiedział. Nacisnęła klamkę i uchyliła je.

Jasiu leżał odwrócony do ściany, koc przykrywał go do pasa, chociaż w pokoju było gorąco.

– Jasiu? – rzuciła, ale nie odwrócił się.

Przysiadła na skraju łóżka za jego plecami i położyła dłoń na ramieniu chłopaka.

– W twoim wieku to normalne, nie trzeba się wstydzić.

– A rżnięcie się z moim ojcem jest normalne? I też nie trzeba się tego wstydzić? – Odwrócił się do niej z twarzą wykrzywioną złością.

– O czym ty mówisz? – bąknęła.

– O tym, jak on cię obmacuje, jak się ściskacie pokątnie przed matką i pierdolicie u ciebie w łóżku. – Chwycił ją za pierś i ugniatał przez chwilę, zanim zorientowała się, co robi. Spoliczkowała go i natychmiast wstała.

– Uważaj, gówniarzu! – wyszczała. – Nie pozwalaj sobie!

– To ty uważaj! – Odwrócił się z czerwonym policzkiem. – Powiem o was matce!

– Janek! Nie gadaj bzdur! Nic nie widziałeś.

- Nie gadaj bzdur, nie gadaj bzdur – przedrzeźniał ją.
- Za młody jesteś, żeby cokolwiek rozumieć – krzyknęła, gdy usłyszała dochodzący z dołu głos

Grażyny:

- Jasiek!

Chłopak spojrział na drzwi.

- U góry. Z ciotką Elą. Chciałaby ci coś powiedzieć – odkrzyknął. – Już schodzi!

Jaworska poczuła, jak przyspiesza jej puls.

- Elżunia, jesteś tam? – Usłyszała głos przyjaciółki.

- Tak, już schodzę! – Jaworska siliła się na normalny, a nawet wesoły ton.

Zeszła na drżących nogach i zajrzała do kuchni.

- No co tam? – Grażka spytała z uśmiechem, wyjmując zakupy z reklamówek i ustawiając je na stole. – Co ten Janek znowu wymyślił?

Elżbieta odwzajemniła uśmiech, ale czuła, że jej policzki płoną tak, jak niedawno płonęła twarz Janka przyłapanego na oglądaniu pornosa i masturbacji.

- Fajnego masz tego Jaśka. Rozmowny taki – zaryzykowała Ela.

– Jasiek, rozmowny? „Tak” lub „nie” to jego ulubione i często nadużywane zwroty. Ale być może z tobą nie gada monosylabami. A o czym w ogóle rozmawialiście i co miałaś mi powiedzieć? – spytała Grażyna, ustawiając na stole mleko w kartonie. Przyjaciółka była zmęczona.

- Że chce na obiad naleśniki – stwierdziła po cichu Elżbieta.

- Naleśniki? – zdziwiła się Tarasewiczowa. – Przecież on nie lubi naleśników.

– Nie? To może tak tylko sobie żartował? – Elżbieta odwróciła się w kierunku schodów, po których schodził Jasiek. Przebrał się w luźne dresowe spodnie.

- Już sobie pogadałyście? – spytał, opierając się o framugę.

dzień czwarty

Gross zbudził się nagle, jakby ktoś szarpnął jego ciałem. Gwałtownie otworzył oczy i rozejrzał się po pustym i ciemnym mieszkaniu zanurzone w ciszy. Słyszał jedynie wiatr ślizgający się po okiennych ościeżnicach i gwiżdżący cicho pod spadzistym dachem.

Nie pamiętał, co mu się śniło. Być może kolejny raz obudził się na dźwięk odtwarzanego we śnie bełkotu żony, której usta zatkała poduszka. Na tej poduszce widział zazwyczaj swoje ręce. Kiedy śnił ten koszmar, a może raczej kiedy jego umysł odtwarzała scena po scenie zdarzenia sprzed dziesięciu lat, budził się zlany potem. Tym razem było inaczej.

Wiedział, że już nie zaśnie. Postawił czajnik na gazie, włączył lampkę nad okapem i przeszedł do łazienki. Umył się pod prysznicem, a na koniec zlał ciało lodowatym strumieniem wody.

Wyszedł z łazienki w chwili, gdy woda zagotowała się. Ubrał ciepły sweter i czarne dżinsy. Zaparzył sobie liptona i zostawił torebkę w kubku. Sięgnął po herbatę dopiero po zjedzeniu chrupkiego chleba z pasztetem.

Myślał o swojej żonie, ale myślał też o kobiecie, którą zabił. Wolał myśleć w ten sposób, chociaż nigdy nie udowodniono mu, że to on strzelał. Owszem, pamiętał ten moment. Pamiętał plecy uciekiniera i ciemną postać daleko za nim. Pamiętał huk wystrzału z pistoletu, który trzymał w ręce. Czuł, jak siła odrzutu unosi jego dłoń, ale nic więcej nie zapisało się w jego głowie. W tej samej chwili, w której pocisk opuścił lufę, urwał mu się film. Potem okazało się, że został ogłuszony przez drugiego sprawcę. Śledztwo wykazało ślady prochu strzelniczego na prawej dłoni.

Policjanci z Poznania, Kowal i Prusz, którzy prowadzili śledztwo w sprawie o usiłowanie zabójstwa żony Grossa oraz postrzału ze skutkiem śmiertelnym torunianki Barbary Mołek, wykonali kawał solidnej roboty. Nie znali Grossa, nie wiedzieli, czy jest ostatnim łajdakiem, czy prawdziwym policyjnym psem, nie miało to dla nich żadnego znaczenia, szczególnie gdy na ziemi leżało ciało młodej matki, niewinnej kobiety. Z policyjnych ustaleń wynikało, że sprawców włamania do domu Grossów było dwóch. Pewne było, że jeden z nich próbował udusić żonę ówczesnego aspiranta toruńskiej policji. Drugi był w tym czasie w garażu. Z domu nic nie zginęło, odrzucono motyw rabunkowy. Powody, dla których sprawcy włamali się do domu Grossów, wciąż pozostawały niewyjaśnione.

Z kolei na zewnątrz odnaleziono trzy łuski pocisków wystrzelonych z tej samej broni. Jedna kula utkwiała w ciele młodej matki, a drugiej i trzeciej nigdy nie odnaleziono. Tak jak i samego pistoletu, z którego padły strzały. W opinii Kowala i Prusza to nie Gross zabił przechodzącą po drugiej stronie jezdnicy kobietę. Ślady krwi zabezpieczone na posesji i protokoły z przesłuchań Grossa ułatwiły poznańskim policjantom ustalenie prawdziwej wersji wydarzeń. Byli przekonani, że Gross postrzelił jednego z napastników. Drugi, który ogłuszył policjanta, zabrał mu broń i wtedy prawdopodobnie strzelił do przechodzącej opodal kobiety. Rana wlotowa i wylotowa w ciele ofiary pozwoliła ustalić trajektorię lotu pocisku. Z miejsca, w którym leżał nieprzytomny Gross, nie można było oddać tego strzału. Kowal i Prusz dowodzili, że kobieta zginęła, bo była jedynym świadkiem tych brutalnych zdarzeń.

– Po prostu zlikwidowali świadka – podsumował Prusz, kiedy zegnał się z Grossem.

Stali wtedy przy płocie Komendy Miejskiej Policji w Toruniu. Gross wpatrywał się w przejeżdżające Grudziądzką samochody. Zwalniały, jakby stał tam radar.

To był pierwszy dzień w pracy po zawieszeniu. Depresję policjanta pogłębiał fakt, że jego żona od tygodnia leżała u „śpiochów” w fundacji „Światło”. Powinien mieć nadzieję na jej rychłe wybudzenie, ale nie mógł pogodzić się z tym, że oddał ją do zakładu. Żeby się nią opiekować, musiał wrócić do pracy, zadbać nie tylko o żonę, ale przede wszystkim o syna, który tę tragedię przecierpiał najbardziej. Gross pamiętał, jak chłopiec bał się wejść do pokoju w zakładzie opiekuńczym, w którym leżała matka. Bał się, bo do tej pory tuliła go do snu, mierzwiła włosy, gładziła czule po plecach

i całowała. Następnego dnia nie ruszała się, wpatrywała tępo w ścianę, załatwiała się do pieluchomajtek. Mały myślał, że matka przestała go kochać. Nie rozumiał tego, co się wydarzyło. Musiał minąć czas, zanim zaakceptował jej stan, ale wtedy przestał akceptować ojca. Jakby winę za to, że matka została niemal uduszona, zrzucił na Grossa. Kilka lat później wykrzyczał mu w twarz, że gdyby nie mundur, gdyby nie był pieprzonym gliniarzem, mamie nic by się nie stało.

Nie wiedział, czy właśnie taka była prawda. Nie wiedział, co dwóch mężczyzn ubranych na czarno robiło w jego domu, czego szukało i czy miało to związek ze śledztwami i dochodzeniami, którymi wtedy się zajmował. Jako aspirant w wydziale kryminalnym miał nad sobą szefów. Nie kierował żadną sprawą, nie określał kierunków prowadzenia śledztw i dochodzeń. Był jednym z kółek zębatach w często nieudolnie działającej machinie. Widział, jak szumowiny korumpowały gliniarzy, jak stręczyciele przyprowadzali dziwki do podtoruńskich moteli, w których funkcjonariusze z ochotą zrzucali mundury i oddawali się grupowym zabawom. A potem odwdzięczali się darczyńcom ze święcącymi łysinami i bicepsami o szerokości kolarskiego uda ukręcaniem łbów wszelkim sprawom. Gubili tropy i dowody, z wyprzedzeniem dawali cynk o policyjnych nalotach. Chronili w ten sposób grupy przestępcze i dbali o swoje lepsze życie. Życie, któremu rytm wybijało piątkowe chłanie, seks w radiowozie i kasa, która łatwo sypała się do kieszeni.

Zastanawiał się więc, czy nie było tak, że ta wizyta, którą złożyli w jego domu, nie była próbą przekupienia go, odwrócenia, jak nazywano to na komendzie. Może miał być czyimś uchem i okiem, tylko że coś wymknęło się wtedy spod kontroli. A on nie wiedział co.

Nie znalazł i raczej obawiał się, że już nie znajdzie odpowiedzi na to pytanie. Wziął więc całą winę na siebie i czuł, jak oddala się od własnego syna. Albo raczej jak pomaga mu oddalić się od siebie. Nic w tej sprawie nie zrobił, skazany na nieuchronność losu, niesienie ciężaru nie swoich grzechów, które targasz dla własnego odkupienia. Ale ono nie przychodziło. Im dłużej je dźwigał, tym boleśniej się o tym przekonywał. Mimo to, nie żalił się. Niósł je dalej, jakby tylko w ten sposób mógł ulżyć synowi.

W tamtym okresie spotykał się z policyjną psycholog, ale najczęściej wtedy milczał, czasami odpowiadał półsłówkami. Jedyne pełne zdania, jakie wypowiadał, dotyczyły jego chęci powrotu do pracy. Powtarzał je nienachalnie, ale stanowczo. Musiał wrócić, nie tylko po to, żeby zarabiać na wykształcenie syna, ale przede wszystkim, żeby nie zwariować.

Gross myślał o tym wszystkim, gdy wziął do ręki telefon i wybrał numer do Bartka. Zorientował się jednak, że było jeszcze za wcześnie.

Wykąpał plastikowy model, wyczyścił go w wodzie, do której ponownie wlał kilka kropel płynu do mycia naczyń. Teraz był pewien, że replika nadaje się do zagruntowania, a następnie do pomalowania. Zostawił jednak motocykl w wodzie do wieczora, żeby plastik ponownie się odtłuścił.

Po siódmej oparł się o parapet i patrzył, jak noc ustępuje pola szaremu świtowi, który nagał nisko zawieszony stalowe chmury. Zdawały się trzeć o krzyż na kopule bazyliki. Patynowany dach w tej szarości zupełnie wyblakł.

Jedynym jasnym punktem były dogasające znicze ustawione w pobliżu przystani wioślarskiej na lewym brzegu. Zajmowały sporą powierzchnię. W pośniewowym błocie tonęły kwiaty pozbawione kolorów i czarne wstęgi.

Odruchowo zerknął w prawo, tam gdzie znajdowała się zatrzymana w lodzie czerwona łódka. Nigdzie, ani w jej pobliżu, ani na brzegu, nie dostrzegł nawet jednego zapalonego znicza.

*

W komisariacie, jak co rano, Gross udał się na spotkanie pionu kryminalnego do gabinetu Brandola. Kiedy chudy podkomisarz rozdawał zadania, przy każdym ruchu jego świeżo odprasowana koszula, tak jak ta wczorajsza, marszczyła się na wątlej klatce piersiowej. Tym razem podwinął

rękawy, które i tak zsuwały się do nadgarstków, a potem wysłuchał relacji dwóch szefów grup dochodzeniowych, Nubińskiego i Łoniewicza.

– A co u ciebie, Bernardzie? – Brandol przeczesał dłonią rzadkie włosy.

Nubiński i Łoniewicz dali znać, że się zmywają. Po cichu wstali i wyszli z gabinetu.

Gross zdał relację z poszukiwań mężczyzny, który skatował psa. Świeże informacje pozyskał wcześniej od Otremby i zgodnie z obietnicą, część danych, co prawda tych najmniej istotnych, przekazał Markowi Benerowi, dziennikarzowi z Torunia. Policjanci weryfikowali jeszcze dwa miejsca, w których mógł ukryć się mężczyzna, ale aspirant zdecydował się na fortel Grossa, o którym nikt do tej pory nie wiedział. Gross też zachował to w tajemnicy. Od rana informacja o poszukiwaniu w Anglii zwyrodnialca przewinęła się przez najważniejsze serwisy. Teraz policjanci czekali, aż gnój wysunie łeb z nory. Gross zapewnił, że wieczorem albo jutro rano będą go mieli w garści.

– Bo media za chwilę urwą nam łeb – rzucił Brandol i odchylił się na oparcie. – Dziś przyjeżdża Polsat, na jutro zapowiedział się TVN. Będziesz musiał z nimi pogadać.

– A od czego jest oficer prasowy? – spytał Gross, ale nie uzyskał odpowiedzi. – A poza tym prokurator powiedziała, że pismaków bierze na siebie.

– No, chyba że tak. – Brandol machnął ręką. – A co z mężczyzną z łódki? Byłeś u Jana Tarasewicza?

– Byłem. Mówi, że to nie jest jego ojciec.

– Nie rozpoznał go?

– Nie. Jego zdaniem ojciec miał charakterystyczną bliznę na prawej łopatkę.

– Znalazłeś potwierdzenie w papierach?

– Tak.

– A denat ma bliznę?

– Nie.

– W takim razie odpuść sobie tę sprawę. – Brandol zakończył stanowczo.

– Zanim to nastąpi, spotkam się jeszcze z Wegnerem. – Gross zabrał pismo dekreteowane przez Brandola, które dotyczyło włamań do domów na osiedlu Maja, i wyszedł.

W drodze do gabinetu Skalki i Otremby rozdzwoniła się jego komórka. Odebrał połączenie.

– Cześć, Marian z tej strony.

Gross rozpoznał technika kryminalistyki z Torunia.

Komisarz szedł po schodach na drugie piętro do pokoju podwładnych. Na półpiętrze skinął głową podkomisarz Aleksandrze Jójczyk z prewencji, młodej, ale niezwykle zdolnej i urodziwej policjantce, z którą miał okazję kilkakrotnie współpracować. Dała mu znak, że chce z nim porozmawiać. Obiecał, że zejdzie do niej na parter, jak tylko skończy rozmowę.

– Natrafiliśmy na coś, co może mieć dla ciebie znaczenie. Niby nic szczególnego, ale może warto się temu przyjrzeć.

– Co masz na myśli? – spytał, kiedy wszedł do gabinetu Skalki i Otremby. Otremba ze zwieszoną głową rozmawiał przez stacjonarny, a Skalka wlepiła wzrok w monitor. Wręczył jej pismo, ona zaś kiwnęła głową, że wie już, o co chodzi.

– Pamiętasz, co znaleźliśmy w łódce? – usłyszał w słuchawce.

– Rozumiem, że nie chodzi o śmieci?

– Nie. Zdecydowanie nie. – Marian Chęciński chrząknął. – Mam na myśli plastikową butelkę z zamrożoną zawartością.

– I?

– Dziwna sprawa. To znaczy była taka, dopóki nie pogadałem z kolegami. Ale wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy znalazłem w tym płynie ziarna siemienia lnianego i rozgniecione larwy. Wysłałem zdjęcia do biegłego, który zrobił mi uprzejmość i rzucił na nie okiem poza kolejką. Właśnie przysłał mi odpowiedź, że to larwy muchówek z rodziny ochotkowatych. Pływały w tym szajsie ze sporą domieszką minerałów ilastych, kaolinitu, haloizytu...

– Czego?

– Gliny. Po prostu zwykłej gliny.

Gross zatrzymał się.

– Ziarna, larwy, woda i glina? Wymieszane razem? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

– Dokładnie. Tyle że to raczej glinka do wyrobów ceramicznych. Całość, kiedy wreszcie puścił lód, pachniała jak świeża ziemia z domieszką wanilii.

– Rany boskie, co to za mikstura? – Gross dopiero teraz przypomniał sobie, co Skalka znalazła w pokoju topielca.

– Też miałem zagwozdkę, ale Rysiek z archiwum mi pomógł. Stary zapalony wędkarz. Ale poczekaj chwilę. – Chęciński przywitał się z kimś i dopiero po krótkiej wymianie zdań, której Gross mimowolnie się przysłuchiwał, wrócił do rozmowy. – Sorry, Bernard. O czym to ja mówiłem.

– O zapalonym wędkarzu.

– A no tak. Więc to jest zanęta. Wędkarska zanęta.

– Na butelce były ślady linii papilarnych chłopaka?

– Odbitki poleciały do laboratorium, więc czekamy, ale żebyś nie siedział z założonymi rękami, zapytałem o zdanie biegłego. Prosiłem, żeby porównał je ze skanami kart daktyloskopijnych.

– No i?

– Wiesz, jacy oni są. Jak nie zobaczą kasy na koncie, to chuja widzą. Ale jak go przycisnąłem, bo był mi winien przysługę, to nieoficjalnie potwierdził, że mogą należeć do chłopaka. Ale to nie wszystko. Do mężczyzny z łódki też. On także musiał dotykać tej butelki.

– To jeszcze nic nie znaczy. – Gross upomniał samego siebie.

– Fakt. Nic ponad to, że obaj mieli ją w rękach – stwierdził Chęciński.

– Masz coś jeszcze?

Chęciński odchrząknął.

– A to, co ci powiedziałem, to mało? – Zaśmiał się. – Zanęta była świeżo przygotowana, ale źle zrobiona.

– Co to znaczy?

– Zimą nie stosuje się zapachowych wzmacniaczy, takich jak olejki do ciast, bo w niskiej temperaturze wody tracą swoje właściwości.

– Więc po cholere ją dodał? – spytał Gross.

– Na to pytanie musisz już sam odpowiedzieć.

Gross ściągnął brwi.

– No i nie wiem, czy to będzie miało dla ciebie znaczenie, czy nie, ale butelka była pełna – zakończył Chęciński.

Gross przypomniał sobie moment, w którym ją odnalazł. Leżała w łódce, w nogach zamrożonych zwłok. Wydawała mu się wypełniona zaledwie w połowie, ale dopiero teraz zrozumiał, z czego to wynikało. Woda wytrąciła się nad żółtą zawiesziną z gliny i larw. Widocznie zapamiętał tylko kolorową zmarzniętą bryłę, która wypełniała butelkę mniej więcej w połowie.

Czy ta informacja mogła mu się do czegoś przydać? Wiedział już, że tragiczna śmierć chłopca i zamrożenie w łódce bezdomnego nie są ze sobą bezpośrednio powiązane.

Co więcej, wszystko wskazywało na to, że tajemnicze zaginięcie Sławomira Tarasewicza pozostanie nadal niewyjaśnione.

Gross poszedł do siebie i usiadł za biurkiem w pustym gabinecie. Wrócił do przeglądania maili, które w podziękowaniu za sprawę psa otrzymał od Benera. Były to skany artykułów z ogólnopolskich gazet zbierane przez dziennikarza w związku z zaginięciem małżeństwa Tarasewiczów. Chciał jeszcze raz zerknąć na tekst z kolorową ramką, w której spisano rzeczy odnalezione w samochodzie, w tym butelkę z nieokreśloną zawartością. Kiedy go odnalazł, wydrukował i odłożył na skraj biurka.

Sięgnął po komórkę i przedzwonił do Raszei. Nie odebrała. Przypomniało mu się, że chciała z nim rozmawiać Aleksandra Jojczyk, więc wykręcił do niej ze stacjonarnego i kiedy odebrała, przywitał się.

– Cześć, Bernard. – rzuciła. – Zejdziesz?

– Mam ważną sprawę na głowie – skłamał. – Coś pilnego?
– Chodzi o lincz.
– Jaki lincz?
– O możliwość linczu.
– Tego gościa od psa, tak? – zgadywał.
– Tego samego. Chełmża huczy. Ludzie zbierają się na forach i złorzeczą, grożą.
– Co zamierzasz?
– Chciałam zapytać, na ile prawdopodobna jest sytuacja z tym, że facet siedzi na Wyspach?
– Zdaniem Otremby, bardzo prawdopodobna. – Doświadczenie nauczyło Grossa, że im mniej ludzi wiedziało o pewnych sprawach, tym lepiej dla tych spraw.
– Okej, czyli na razie nie mamy powodów do obaw.
– Cholera wie. Słyszałaś o mediach, które będą rozgrzebywały tę sprawę?
– Tak. Ale na to jesteśmy gotowi. Mamy kilku chłopaków z Torunia, którzy obserwują konkubinę i jej dzieci. Na wypadek, gdyby ktoś chciał im zrobić jakąś krzywdę – dodała. – A co z psem?
– Otremba mówił, że wysłali go do jakiejś kliniki. Nie wiem, chyba w Olsztynie. Nie znam rokowań.
– Zwyról – rzuciła Jojczyk.
– Jeszcze przyjdzie nam go chronić.
– Ale możemy to robić nieudolnie – zażartowała.
Gross nie zaśmiał się. Uniósł na chwilę kąciki ust, ale bardziej wyglądało to na nerwowy grymas.
– Trzeba będzie uważać – rzucił i rozłączył się.
Przeszedł do sekretariatu komendantów, gdzie zastał Beatę Różycką, pięćdziesięcioletnią farbowaną blondynkę, która figurą i zachowaniem przypomniała mu Beatę ze znanego zespołu, którego nazwy zapomniał.
Ucieszyła się na jego widok.
– Co jest, Berni? – Przerwała rejestrowanie nowej poczty w systemie.
Sarknął.
– Oj, nie złość się. – Zrozumiała swój błąd. – Po prostu zapomniałam, że nie lubisz zdrobnień.
– Sprawę mam.
– Przecież widzę – dodała i poprawiła zalotnie włosy. – Inaczej byś nie przyszedł, prawda, Bernardzie?
Gross sięgnął do kieszeni spodni, z której wyjął zmiętą kartkę papieru.
– Zamówiłabyś? – powiedział, podając jej kolorowy świstek.
– Chryste, pół księgarni?
Gross wzruszył ramionami i na chwilę zapadła cisza.
– Cały czas jej czytasz? – spytała Różycka.
Skinął głową i sięgnął po portfel. Wyciągnął stułotowy banknot i położył na jej biurku.
– Daj znać, jeśli nie starczy – poprosił i wyszedł, bezgłośnie wypowiadając słowo „dziękuję”.
Uśmiechnąwszy się do niego, położyła obok klawiatury kartkę z zapisanymi tytułami książek i schowała banknot do skórzanej portmonetki.

*

W drodze do Torunia Gross analizował informacje uzyskane od technika kryminalistyki. Raz jeszcze wypytał przez telefon Skalkę o przeszukanie pokoju chłopca. Policjantka potwierdziła to, że znalazła opakowanie po glince oraz olejek waniliowy do ciast.

- A larwy?
- Co takiego? – spytała z obrzydzeniem.
- Robale jakieś!
- Nie. Nigdzie nie widziałam żadnych larw.
- A czy chłopak ma akwarium?
- Ma, ale stoi w dużym pokoju w meblościance.
- Duże?
- Niespecjalnie.
- A ryby?
- Jakież tam pływają. Nie znam się na tym.

Gross podziękował i rozłączył się. Chwilę później wjechał na krajową dziewięćdziesiątkę jedynek i w szarudze dnia kierował się w stronę Torunia. Przy wjeździe do miasta odbił w prawo i objechał centrum drogami po jego północno-zachodniej stronie. Zanim wyszedł z komisariatu, zdążył ustalić w firmie ochroniarskiej, że Krzysztof Wegner jest w pracy. Okazało się, że do godziny czternastej miał pełnić dyżur w oczyszczalni ścieków przy Szosie Bydgoskiej.

Gross sunął dwupasmówką na zachód. Po przejechaniu wzdłuż pętli tramwajowej dostrzegł dwa ogromne niebieskie walce stanowiące część zabudowań technologicznych oczyszczalni. Na wysokości stadionu żużlowego, który miał po prawej, skręcił w lewo i czekał na możliwość przecięcia szerokiej arterii, po której w stronę centrum Torunia ciągnął nieustający sznur samochodów. Podrywały z jezdni drobinki roztopionego przez drogową sól śniegu.

Gross czekał ze wciśniętym sprzęgłem i obserwował niewielki budynek ochrony znajdujący się przy wjeździe na wygradzony niebieskim płotem teren oczyszczalni. Niedaleko, przy wysokim budynku i pod potężnym srebrnym silosem, parkowała ciężarówka. Poza tym nie widział tu żadnego człowieka.

W końcu udało mu się przejechać przez jezdnię na odśnieżony, wykostkowany parking. Nawrócił i stanął prostopadle do głównej drogi, którą oddzielał ośnieżony żywopłot. Białe czapy utrzymywały się na wątych gałęziach tuż. Po prawej, kilkadziesiąt metrów stąd dostrzegł zielony wóz asenizacyjny, który opróżniał cysternę ze ścieków. Potężny wąż ciągnął się od ciężarówki i zniknął gdzieś za rozbudowywanym właśnie – o czym świadczyła tablica informacyjna – punktem przyjęć ścieków dowożonych. Pompa rzęziła głośno, a smród uciekał razem z wiatrem.

Gross spojrzał w lewo na budynek ochrony i poruszając się wewnątrz postać. Nie widział, czy to był Wegner, obserwację utrudniały mu refleksy na szybach. Poza tym nie znał tego policjanta, nigdy wcześniej go nie widział. Zastanawiał się, jak zachowa się mężczyzna, który kiedyś prowadził sprawę zaginięcia Tarasewicza. Gross celowo nie uprzedził go o swoim przyjeździe. Zerknął jeszcze w swój telefon, ale nie dostrzegł żadnej informacji od Otremby.

Zapiąwszy kurtkę pod szyję, Gross wysiadł z samochodu i przeszedł się w stronę stróżówki. Zapukał. Po chwili drzwi uchyliły się.

– W jakiej sprawie? – spytał starszy ochroniarz w czarnym uniformie i rogowych okularach na nosie. Wyglądał smutno jak mops.

– Krzysztof Wegner? – Komisarz mrużył oczy.

Mężczyzna cofnął się, ale zostawił otwarte drzwi.

– Niech pan wejdzie i zamknie drzwi.

Gross otrzepał buty ze śniegu i zrobił to, o co go poproszono. Kiedy stanął na lekko zapadniętej i trzeszczącej podłodze, rozejrzał się.

– Gliniarz gliniarza zawsze rozpozna. – Ochroniarz uśmiechnął się i dodał: – Zdradza nas pierwsze pytanie i ta cholernie śmieszna, narastająca intonacja.

Gross przedstawił się i wymienili uścisk dłoni. Chwilę później gospodarz wskazał policjantowi miejsce w niskim fotelu z drewnianymi lakierowanymi podłokietnikami. Sam zajął obrotowe krzesło przy biurku stojącym wzdłuż ściany z oknami, na którym leżała otwarta, podłużna książka wejść i wyjść.

Z radia dolatywały dźwięki reklam. Gross położył swoją teczkę na kolanach. W pomieszczeniu unosił się zapach chińskiej zupki, mieszanina ostrych przypraw i warzywnego wywaru. Przypomniało mu to o tym, że trochę zgłodniał. Brudne naczynia stały na stole w kącie.

– Przepraszam, że bez zapowiedzi – zaczął Gross.

Wegniera zdradzało lekkie spięcie. Czekał na wyjaśnienie celu tej niespodziewanej wizyty funkcjonariusza policji. Założył nogę na nogę, a splecionymi dłońmi objął kolano. Grossowi przyszło do głowy, że to cholernie niewygodna pozycja.

Komisarz wyjął zteczki zdjęcie mężczyzny z łódki, ale nie podał go Wegnerowi. Przyglądał się przez chwilę wydrukowi i tej pospolitej, gładko ogolonej, nieco pokiereszowanej przez los twarzy i siwym, równo obciętym włosom.

– Od dawna mieszka pan w Toruniu? – zaczął Gross.

– Mundur zdjąłem dziewięć lat temu i wtedy się przenieśliśmy. Właściwie żona mnie namawiała, bo chciała wnuki tu bawić. Dla naszych dzieci to zrobiliśmy. Ale ja się do takiego miasta nie nadaję za cholere. – Machnął ręką. – Szkoda słów.

– Wiem, że tuż przed odejściem na emeryturę prowadził pan sprawę zaginięcia małżeństwa Tarasewiczów. Kojarzy pan?

– Czy kojarzy? Znam te akta na pamięć. Codziennie myślę o Sławku i Grażynie.

Gross wiedział, jak to jest przewalać sprawy w głowie razem z towarzyszącymi im setkami papierów, raportów i wyników badań. Wielokrotnie zastanawiał się, w którym momencie popełnił błąd albo czego nie zrobił, a co wpłynęłoby na szybkie dotarcie do prawdy. Sam też stale roztrząsał stare nierozwiązane policyjne przypadki, w których nie zawsze brał bezpośredni udział. A jeden z nich stał się jego prywatną obsesją.

– Czy dziś patrzy pan na ich zaginięcie inaczej? Jest coś, co nie daje panu spokoju?

– Wiem, o co pan pyta. Ale nie. Jestem pewien, że zrobiłem wtedy wszystko, co tylko można było zrobić, żeby odkryć miejsce pobytu Tarasewiczów. Mam jednak pewność, że los nie zawsze nam sprzyja. Pan to przecież wie doskonale, kolego – rzekł wyniośle.

Gross przełknął ślinę, bo nie wiedział, czy była to prywatna wycieczka Wegnera. Być może facet go znał. Milczał więc przez jakiś czas, który poświęcił na wpatrywanie się w wydruk.

– Śledztwo nie skupiało się nigdy na wątku zabójstwa – podjął nowy wątek.

– Nic przecież na to nie wskazywało. Żadnych śladów walki lub krwi w ich domu. Czysto. A do tego, o czym nie wolno nam zapominać, mieliśmy zeznanie świadka, który kilka dni po zaginięciu małżonków zgłosił, że widział ich na trasie wylotowej w kierunku krajowej jedyńki.

– Ten świadek już nie żyje.

– Wiem, co chce pan przez to powiedzieć, ale wszystko się zgadzało. Ich samochód odnaleziono w Gdyni. Musieli tam się jakoś dostać, nie? A potem przeprawili się zapewne promem do Skandynawii.

– Tamtejsza policja nigdy nie natrafiła na ich ślad – skomentował Gross.

– To prawda. Ale to nie pierwszy taki przypadek. Mają swoją robotę i do czasu aż czegoś tam Tarasewiczowie nie przeskrobiają, to będą siedzieli cicho. A poza tym, jeśli ktoś chce zniknąć z mapy, może to zrobić. Nawet wtedy było łatwiej niż dziś. Wie pan, co mam na myśli.

– A co pan sądzi o tym, co stało się z ich mercedesem odnalezionym w Gdyni?

– Pyta pan o próbę zniszczenia śladów proszkiem gaśniczym?

Komisarz potwierdził.

– Rozmawiałem z kolegami z Gdyni. Nie można wykluczyć, że Tarasewiczowie porzucili wóz razem z kluczami i później ktoś sobie z niego skorzystał. Może była to jakaś grupa przestępcza, cholera wie. Co prawda nigdy nie skojarzono tego auta z żadnym z napadów, ale kto wie, może wymienili w aucie blachy, może wykorzystali do jakiegoś szybkiego przerzutu? No a potem, kiedy zrobili, co trzeba, utrudnili nam robotę.

– I nie zajęli się mercedesem? Nie przebiliby mu numerów i nie puścili w obieg? – zdziwił się Gross.

– Jeśli nie mieli dziupli, bo zwyczajnie kręcili inne lody, to na cholere by im to było? Poza tym niepisana zasada mówi, że nie robi się wałków z drogimi porzuconymi autami, bo takie śmierdzą na kilometr. Lepiej buchnąć sobie coś oryginalnego z parkingu.

– A co ze znalezioną w mercedesie zawartością?

– Nie było w nim nic, co mogłoby zwrócić naszą uwagę.

– A butelka?

– Jaka butelka?

– Nie kojarzy pan żadnej butelki? – spytał Gross, a Wegner zaprzeczył ze zdziwioną miną.

Komisarz postanowił zmienić temat:

– A czy mówi panu coś nazwisko Antoni Bruździński?

– Podobno to ten chłopiec, wyłowiony z jeziora. Gazety pisały.

– Znał pan kogoś z jego rodziny?

– Nie, nie sędzę.

– Matka topielca ma na imię Adriana, rozwiodła się z Romanem Bruździńskim w dwa tysiące jedenastym roku, kiedy chłopak miał osiem lat.

– Nie wiem, może gdybym zobaczył zdjęcie, bo tak to Bruździńskiego żadnego nie pamiętam.

– Wyjechał do Niemiec, kontakt z nim się urwał. – Gross odczekał chwilę, a następnie nachylił się, żeby podać ochroniarzowi fotografię mężczyzny z łódki.

Wzrok smutnego mopsa zatrzymał się w jednym punkcie, ciało pozostawało nieruchome. Po dłuższej chwili wypuścił przetrzymane w płucach powietrze.

– Cholera. – Cmoknął. – Chce mi pan powiedzieć, że to ten Bruździński?

– Czy kogoś panu przypomina? – Gross zignorował jego pytanie.

– Czy przypomina? – Zastanowił się. – Nie, raczej nie.

– Nikogo?

Mężczyzna oddał kartkę Grossowi i wstał.

– A niby kogo miałby przypominać?

– Może Sławomira Tarasewicza? – Gross schował wydruk do torby i podniósł się z fotela.

Wpatrywał się w ochroniarza, który przeszedł obok i z wieszaka przy drzwiach ściągnął ortalionową kurtkę z prostokątnym odbłaskowym napisem „Ochrona” na plecach oraz czapkę z daszkiem. Ubrał się bez słowa.

– To nie jest Sławek – rzekł.

– Skąd ta pewność? Minęło wiele lat. To, że zgoilił brodę i ściął włosy, które też zmieniły kolor, nic jeszcze nie znaczy.

Ochroniarz zapiął kurtkę pod szyję i nałożył na głowę czapkę.

– Poznałbym go bez problemu. Ale pan też może to zrobić.

Gross czekał na dalszy ciąg, bo wiedział, że nastąpi.

– Jest coś, co w prosty sposób pozwoli to panu zrobić, kolego. – Mężczyzna wyciągnął z kieszeni klucze i otworzył drzwi. Ziąb wpadł do wnętrza i sprawił, że Gross poczuł gęsią skórę. – Znaki szczególne.

– Co konkretnie ma pan na myśli?

– Tarasewicz miał bliznę.

– Bliznę? – Gross udawał zainteresowanie.

– Tak, długą bliznę na prawej łopatce.

– Od noża? – spytał i od razu zobaczył w myślach ten moment sprzed dziesięciu lat, kiedy przeciął skórę napastnika. – Jak wyglądała?

– Blizna jak blizna. – Ochroniarz wzruszył ramionami. – Podobno od jakiegoś wypadku w hurtowni.

Gross pokiwał głową.

– Dziękuję. To wiele wyjaśnia. Denat, którego zdjęcie panu pokazałem, nie ma żadnej szramy.

Mężczyzna uśmiechnął się triumfalnie. Stał przy otwartych drzwiach i czekał, aż policjant

wyjdzie.

– W takim razie to nie Tarasewicz – dodał ochroniarz w chwili, gdy komórka Grossa oznajmiła nadejście wiadomości tekstowej.

Gross odruchowo wyjął aparat.

– Ma pan rację. To nie on. Ale jest jeszcze coś.

– Słucham?

Komisarz wyszedł na zewnątrz i odwrócił się plecami do wiatru.

– Jak dobrze znał pan Tarasewicza? – spytał.

– Chełmża jest mała. Tam wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Miasto seksu i biznesu. – Zaśmiał się.

Gross przygryzł wewnętrzną stronę policzka.

– Kupował pan u niego materiały do budowy domu – powiedział po chwili.

Kiedy mężczyzna zamykał drzwi na klucz, stężał na moment, a potem wolno odwrócił się do Grossa.

– A więc to tu szuka pan punktu zaczepienia – stwierdził z ironicznym uśmiechem. – Wiedziałem, że przyjedzie pan tu z określoną tezą. Ale niczego pan się w ten sposób nie dowie – zapewnił. – Po zaginięciu Tarasewicza oddałem synowi Sławka każdą złotówkę. Mam na to dokumenty.

– Nie twierdzą, że nie. Chciałem raczej zapytać o to, jak wiele rzeczy robiliście razem.

– Niczego nie robiliśmy razem. Zналиśmy się. To wszystko.

– Nie chodziliście na basen? Nie łowiliście razem ryb?

– Nie.

– Nie kąpaliście się w jeziorze? Nie opalaliście z rodzinami na chełmżyńskiej plaży? A może na wspólnych wakacjach?

– Nie. Nie byliśmy przyjaciółmi. Po prostu się zналиśmy, to wszystko. Byłem jego klientem.

Pogadaliśmy czasami, ale nie była to żadna zażyłość.

– Rozumiem.

– Muszę zabrać się do roboty, ale mam nadzieję, że pomogłem chociaż odrobinę, kolego. – Ochroniarz wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Oczywiście. – Gross uściśnął ją i przytrzymał. – Właśnie dzięki panu coś zrozumiałem.

Mężczyzna przekrzywił lekko głowę.

– Co na przykład?

Gross zwolnił uścisk.

– To, że nigdy nie widział pan tej jego blizny. – Gross próbował wpatrywać się w oczy Wegnera, ale refleksy w grubych szklach okularów utrudniały mu to.

– Niech pan nie będzie śmieszny, kolego. – Mężczyzna zachnął się i odwrócił, żeby odejść sprężystym krokiem w stronę ciężarówki, do której z silosu sypał się czarny proszek, wzniesając tumany kurzu. Ciemny pył rozwiewany przez wiatr kontrastował z białym śniegiem zalegającym na terenach wokół obiektów oczyszczalni.

Gross długo odprowadzał wzrokiem mężczyznę, który ani razu nie odwrócił się. Kiedy zniknął w jednym z budynków, komisarz zerknął na wyświetlacz komórki i odebrał esemes.

„Kutas od psa wyrzwał z nory. Ściągniemy gnoja”.

*

Bernard Gross zaparkował na wąskiej drodze pod zakładem fundacji „Światło”. Nie powinien tu stawać, ale przyjechał tylko na chwilę. Przemknął jak cień do pokoju, w którym spała jego żona. Po młodej wybudzonej dziewczynie nie było już śladu. Komisarz domyślał się, że przeniesiono ją na dół.

Łóżko obok żony było posłane i przygotowane dla nowego pacjenta, który na pewno wkrótce się zjawi. Gross pomyślał, że znowu będzie się mierzył z dramatem rodziny chorego, ich nadziejami przeplatany miarą w cud i następującymi po nich falami bólu i beznadziei, które za każdym razem pozostawiają w nich głębszą wyrwę. Jak skała chłostana przez rozszalałe morze, które pod naporem ciągłych uderzeń fal kruszy się i pęka.

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok żony. Tym razem leżała na wznak, kołdra przykrywała jej wychudzone ciało. Nawet przez pościel widział sterczące kości miednicy, wystające kulki kolan i chude jak patyki nogi. Jej zamknięte powieki drgały na skutek lekkiego skurczu mięśni. Gross dotknął kościstych dłoni, pogładził wykrzywione spastyką ręce, złożone pod brodą na klatce piersiowej, niczym odnóża modliszki. Poczował napięcie jej coraz węższych mięśni. Sięgnął po starą i zniszczoną już książkę Irvinga Stone'a, fabularyzowaną biografię Michała Anioła pt. *Udręka i ekstaza*. Agnieszka była w połowie drugiego tomu, kiedy napadnięto na ich dom. Powieść czytała już trzeci raz, ale za każdym razem wyciągała z tej lektury więcej i dzieliła się spostrzeżeniami z Grossem.

Komisarz początkowo skupiał się na fragmencie, w którym Stone opisywał spotkanie Buonarrotiego z Leonardo Da Vincim. Jego półszept niemrawo przeganiał ciszę z pokoju. Chwilę później rozbrzmiał dzwonek komórki. Gross złożył książkę i zerknął na wyświetlacz. Raszeja.

– Masz coś? – spytał z nadzieją w głosie.

– Niekoniecznie. Nic, czego nie wiedzielibyśmy wcześniej.

– To znaczy?

– Chodzi o zażyte lekarstwa. Relanium, pięć miligramów. Miał tego co najmniej dwadzieścia tabletek w brzuchu. Zużył całe opakowanie.

– Jesteś pewna, że to ten lek?

– Tak, toksykologia też to potwierdza.

– Rozumiem. I to jest przyczyna zgonu? Przedawkowanie leku?

– Nic nie jest proste. W tym przypadku można mówić o zespole czynników: zażyte lekarstwa i zabójcza dla organizmu ujemna temperatura.

– Dobra, dziękuję.

– Jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Mężczyzna z łódki nie był pijany.

– Słucham?

– Tamtej nocy nie pił alkoholu. Ani grama. Krew czysta. Wątroba, owszem, nie wygląda jak u abstynenta, ale przynajmniej pewne jest, że bezpośrednio przed śmiercią nie wziął alkoholu do ust.

Gross przeczesał włosy.

– Rozumiem. Dzięki. – Rozłączył się, ale nie odłożył aparatu. Odszukał w torbie namiarów na lekarza ze schroniska. Wykręcił numer i kiedy usłyszał zmęczony głos w słuchawce, przedstawił się i powiedział, w jakiej sprawie dzwoni.

– Skradziono relanium? – dopytał medyk z niedowierzaniem.

– Chciałem tylko prosić, żeby pan to sprawdził – wyjaśnił Gross. – Kiedy odwiedziłem schronisko, dyrektor mówił, że jeden z podopiecznych włamał się do szafki z lekami w pana gabinecie.

– Nic o tym nie wiem – zarzekał się.

– Szafkę przeniesiono do gabinetu dyrektora. Może pan to dla mnie sprawdzić?

Lekarz westchnął. Po chwili komisarz znowu usłyszał jego tubalny głos.

– Będę tam jutro. Oddzwonię na ten numer, który mi się wyświetlił, dobrze?

Gross podziękował.

Doczytał do końca rozdział książki, po czym poprawił kołdrę okrywającą ciało jego żony i wytarł ślinę z kącika jej ust. Nachylił się, żeby pocałować ją w czoło, i wyszedł. Dopiero na zewnątrz dotarło do niego, że nawet nie wiedział, kiedy przestał całować ją w usta.

W drodze do Chełmży skontaktował się z Otrembą, ale ten obiecał oddzwonić później. Gross zobligował go, by przekazywał mu wszystkie informacje na bieżąco, w tej sprawie musieli działać

z najwyższą ostrożnością.

Wycieraczki mozolnie usuwały brunatną mgiełkę, która wydostawała się spod kół jadących przed nim wozów. Monotonny szum silnika i zgrzyt rytmicznie załączanych wycieraczek były jedynymi dźwiękami, które docierały do jego uszu.

Przyspieszył dopiero, kiedy odbił w prawo w stronę Grzywny. Wkrótce koła golfa zaterkotały na zmrożonym bruku tuż za przejazdem kolejowym w Chełmży. Gross wjechał w osiedlową drogę Ameryki, a na jej końcu skręcił w Kościuszki. Odstawił wóz do garażu i wspinał się na czwarte piętro, kiedy zadzwoniła Skalka.

– Nie wiesz, gdzie jest Otremba? – spytała.

– Zwija kata tego psiaka – odparł Gross, wyczuwając, że policjantka jest podenerwowana. – A stało się coś?

– Nie, nic. Tak tylko pytam. Ale dzwonię w innej sprawie. Chodzi o logowania telefonu Antoniego Bruździńskiego.

– Co z nich wynika?

– Generalnie niewiele. W mieście mamy trzy BTS-y. Chłopak nie ruszał się poza miasto. Ferie spędził tutaj, raz wybrał się z matką i bratem do Torunia do kina. To było tydzień przed jego śmiercią. Potwierdziłam to w rozmowie z jego matką. Ostatni sygnał telefon nadał w piątek o dwudziestej trzeciej osiem. Pewnie już z jeziora.

– A coś w bilingach?

– Nie mamy ich jeszcze. Nie spodziewałabym się jednak żadnych rewelacji. Historia połączeń była bogata, zbiór zapisanych esemesów również. Nie wyglądało na to, żeby miał cokolwiek do ukrycia.

– Ale można przecież kasować wybrane wątki lub historię połączeń z danego numeru?

– A czego szukasz?

– Po prostu działaj – rzekł zdyszany.

*

Kiedy otworzył drzwi do domu, zegar wybijał dziewiętnastą. Zanim się rozebrał, uświadomił sobie, że musi wreszcie pójść na zakupy. Wybrał się do lidla, po którym kręciło się jeszcze sporo mieszkańców Ameryki. Większość z nich przeglądała rzeczy wystawione w obszernych koszach, których długie rzędy ciągnęły się od chłodziarek w końcowej części sklepu po regały z towarami graniczące z kasami. Włożył do głębokiego plastikowego kosza kilka bananów i jabłek, z lodówki wyjął po dwie paczki pierogów z mięsem i z truskawkami, a następnie wrócił do stoiska z pieczywem po bułki i chleb.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, przypatrzył się zamkniętej już hurtowni budowlanej prowadzonej przez młodego Tarasewicza. Za płotem rosły wysokie rzędy cegieł, ofoliowanych klejów i cementu ustawionych na paletach wzdłuż płotu aż do niewielkiego budynku, w którym znajdowały się kasy i biuro. W przeciwległym rogu widniały wybetonowane boksy na węgiel.

Spojrzał na niewielki kiosk przy bramie, w którym dostrzegł nikłe światło. Przyglądał się terenowi z pobliza wiaty na sklepowe kosze. Mijali go ludzie, drogą przejeżdżały samochody, ale on ich w ogóle nie zauważał, jakby zupełnie stracił rachubę czasu.

W domu zjadł kanapkę z żółtym serem i popił herbatą. Potem zabrał się za dokładne wymieszanie farby podkładowej, a kiedy już to zrobił, rozcieńczył ją tak, by konsystencja roztworu przypominała konsystencję mleka. Założył rękawice lateksowe, po czym skręcił końcówkę przewodu biegnącego od sprężarki z aerografem i włączył urządzenie. Cicho pomrukiwało, wtłaczając powietrze do trzylitrowego, czarnego zbiornika wyrównawczego. Gross przedmuchał aerograf powietrzem, a następnie wlał do podajnika rozcieńczoną farbę. Sprawdził jakość zrobionego roztworu, kreśląc

kilka kresek na papierowym ręczniku. Potem ustawił model na obracanej podstawie i dokładnie spryskał go farbą. Podkład za każdym razem wylapywał modelarskie błędy i niedoskonałości w miejscach łączenia i obróbki plastiku. Poza tym dawał właściwej farbie lepszą przyczepność. Nałożył drugą warstwę podkładu i tym razem, już po chwili, Gross był zadowolony z uzyskanego efektu.

Wyłączył sprzęt, a rozłożywszy aerograf na części, wyczyścił go z resztek zastygłej farby. Potem raz jeszcze przyjrzał się modelowi, unosząc obrotową tackę do źródła światła.

Kiedy mieszkali wspólnie z Agnieszką, znajomi kiedyś zapytali go, skąd wzięło się to jego hobby. I jeszcze zanim im odpowiedział, z przerażeniem stwierdził, że pasja, którą dzielił z dziadkiem ze strony ojca, a potem również z ojcem, ma wiele wspólnego z jego policyjną robotą. Cały czas wydawało mu się, że ta aktywność, zgoła inna, niemal artystyczna, miała go odciągać od spraw zawodowych, dawać wytchnienie. Tymczasem w detalach odzwierciedlała jego misterną policyjną orkę. Z niewielu elementów miał zbudować obraz nowej rzeczy. Tak jak z niewielu dowodów na miejscu zbrodni miał odtworzyć przebieg tragicznych wydarzeń.

Gross wzdrygnął się na samą myśl o tym, że nawet kiedy oddaje się pasji, nieświadomie prowadzi śledztwa. Próbuje odzwierciedlić w skali konkretną historię, często zresztą nawiązującą przecież do tragicznych wydarzeń wojennych, bo nie chodziło o żadną zabawę w sklepanie i malowanie plastikowej zabawki, ale o wierne odzwierciedlenie prawdziwej sceny ze zmagania na linii frontu. Udawało się to na podstawie autentycznych wojennych zdjęć i rycin, rzadziej starych filmów. Na ich poszukiwaniu spędzał często wiele godzin w wojskowych archiwach, muzeach i bibliotekach. Chodziło o prawdę historyczną. „Dokładnie tak samo jak w śledztwie”, pomyślał Gross, kiedy odłożył narzędzia i zgasił lampę, ale nie ruszył się z miejsca. W śledztwach chodzi wyłącznie o prawdę.

Gross odstawił model i zgasił lampy modelarskie. Przez dłuższy czas siedział w ciemności i nie mógł przestać myśleć o tym wszystkim.

Z dołu dobiegał go zbyt głośno nastawiony telewizor. Dopiero po chwili usłyszał kobiece jęki, coraz głośniejsze i głośniejsze. A potem wśród tych jęków dobiegł go męski krzyk, stek wyzwisk i odgłosy przypominające kłaśnięcia, po których kobieta wydawała krótkie, gardłowe krzyki.

– Będziesz grzeczną suką? – dobiegło z dołu wraz z kolejnym kłaśnięciem.

O tej porze słyszał wyraźnie każdy dźwięk i każde słowo.

– Taaak... – jęknęła kobieta, po czym zajęczała głośno. – Różnij mnie! O, tak! Mocno!

– Ty, kurwo jebana! Ty, dziwko pierdolona! – Tym razem usłyszał inny męski głos, grubszy i donioślejszy. – Kręcisz to, Rysiek?

Gross ściągnął najpierw sweter, potem spodnie i poszedł pod prysznic. Kiedy strugi wody opłukiwały jego ciało, miał wrażenie, że gdzieś przez ten szum słyszy donośny płacz dziecka. Potem przetarł ręcznikiem włosy i wytarł się do sucha, i zdawało mu się, że odgłosy ucichły.

Odetchnął i położył się do łóżka, ale wtedy dobiegło go z dołu kolejne wołanie.

– Marian, no weź, kurwa, zostań... – Komisarz usłyszał przytłumiony męski głos, a następnie krzyk dziecka. – A ty ucisz tego bachora, bo zaraz mu przyjebię!

dzień piąty, w południe

Gross nalał wrzątku do szklanki, a potem wrzucił do niego liptona. Lubił patrzeć, jak brązowy napar uwalnia się z torebki i rozchodzi w różne strony. Ciemnozłote wstęgi wolno zabarwiały wodę.

Rozłożone materiały z teczki sprawy Tarasewiczów zakrywały całe biurko łącznie z telefonem stacjonarnym, który właśnie odezwał się narastającym dźwiękiem. Gross zdjął z niego papiery i dostrzegł migającą diodę. Dzwonił dyżurny.

– Halo?

– Panie komisarzu, jest u mnie Emil Kowalski, twierdzi, że był z panem umówiony.

Gross szukał w pamięci nazwiska, ale poddał się szybko.

– Nie przypominam sobie.

– Mam go wpuścić?

– Niech mi go pan da do słuchawki.

– Dobrze.

Do uszu Grossa dotarły szmery i przytłumione głosy. Po chwili mężczyzna odezwał się.

– Emil Kowalski. Chciałem z panem pomówić.

– O czym.

– To nie jest sprawa na telefon.

– A czego dotyczy?

– Też nie powiem.

Gross westchnął. Zastanawiał się, co powinien zrobić.

– Zejdę do pana – zdecydował.

– Na korytarzu też nie mogę rozmawiać. Poza tym jestem z psem.

– Zejdę. – Komisarz uciał rozmowę. Wypił łyk gorącej herbaty i zdjął z wieszaka skórzaną kurtkę. Zszedł drewnianymi schodami na parter, gdzie w pobliżu wejścia do komisariatu młody dryblas w dresach czytał z nudów ulotki zawieszane na tablicy korkowej. Na odgłos kroków odwrócił się do Grossa, ale po chwili zrozumiał, że nie na tego policjanta czeka, więc spokojnie wrócił do lektury.

Gross dostrzegł uchylone drzwi do dyżurki i spojrzął przez pomieszczenie na klatkę schodową. Oficer dyżurny zauważył go i znacząco kiwnął głową w stronę gościa, który stał na schodach odwrócony w kierunku drzwi wejściowych do komisariatu. W tej pozycji nie mógł zauważyć Grossa. Komisarz nie znał mężczyzny, mimo to ubrał się i wyszedł do niego.

– To pan? – rzekł Kowalski trzymając na rękach niewielkiego białego psa w czarne łąty. – Bernard Gross?

– O co chodzi? – Gross był święcie przekonany, że musiał wcześniej widzieć tego czworonoga. Podszedł do drzwi i otworzył je przed gościem.

– Właściwie to ja chciałem o to zapytać. – Mężczyzna wyszedł na mróz.

Gross zrobił to samo i ręką wskazał na bulwar. Poszli w tamtą stronę. Kowalski mógł mieć ponad sześćdziesiąt lat, duży skrzywiony nos i małe oczy osadzone blisko siebie w szerokiej, nalanej twarzy.

Gross wsunął ręce w kieszenie. Szli ramię w ramię w stronę jeziora. Pies pałętał się pod nogami Kowalskiego.

– Chodzi o to, że złożę na pana skargę – zaczął mężczyzna.

Gross spojrzął w jego stronę.

– I przyszedł mnie pan o tym poinformować? – Ludzie wciąż nie przestali go zadziwiać.

– Zanim ją złożę, coś panu powiem. Jestem teściem Grzegorza Otremby – wymamrotał z niezadowolaniem to nazwisko.

– W czym rzecz? – Gross chciał, żeby wreszcie przeszli do konkretów.

– W tym roku obchodzimy z żoną czterdziestopięciolecie małżeństwa. Czterdzieści pięć lat

razem, rozumie pan? Nie powiem, bywało różnie, jak to w małżeństwie, ale trwaliliśmy w nim oboje. Dochowaliśmy się trzech córek i siedmiorga wnucząt. Bo nic nie jest tak ważne, jak rodzina.

Gross zrozumiał, co mężczyzna chce mu powiedzieć.

Zatrzymali się na bulwarze, pies osikał grudkę brudnego śniegu.

– A on, proszę pana, jest zakałą tej rodziny – kontynuował radny.

– A co ja mam z tym wspólnego? – spytał Gross i spojrzął nad ramieniem mężczyzny w stronę Mistrała. Białe zabudowania restauracji niemal wdzierały się na plażę. Widział dokładnie okrągłą wieżyczkę i niewielkie okna. Budynek wyrastał nad schodami amfiteatru. I to właśnie stamtąd, jak na złość, dął zimny, porywisty wiatr. Gross musiał mrużyć oczy i schować dłonie w kieszenie.

– No sądzę, że jednak ma pan! I to dużo! Bo on zdradza moją najmłodszą córkę, Ewelinę. Ona nic o tym nie wie, ale wystarczy, że ja wiem. – Przyłożył palec do swojej kurtki na wysokości klatki piersiowej. – Ja, jej ojciec, to wiem i mnie cholera bierze, jak widzę tego gnoja, tego Grzesia jednego. Ale najgorsze jest, że to pana wina, to pan tego nie ukrócił!

– Czego?

– Tego cholernego romansu z tą policjantką, Skalską. Przecież to oni oboje krzywdzą moje dziecko i to pod pana skrzydłami. I tak od miesiąca.

„A raczej od dwóch”, pomyślał Gross, ale nie zamierzał tego prostować. Był przekonany, że to się zaczęło jeszcze w zeszłym roku, kto wie, czy nawet nie w listopadzie. Wielokrotnie widział, jak Skalka wsiada do samochodu Otremby, czasami widywał ich oboje kierujących się w stronę osiedla Maja. Zdarzało się i tak, że przyjeżdżali razem do pracy samochodem aspiranta, widocznie jeździł po nią do jej domu, ale do komisariatu wchodzili osobno, żeby nikt niczego się nie domyślił.

– Pierwsze slysze – skłamał.

– To z pana dupa jest, nie policjant.

Gross uniósł jedynie brwi.

– To jest policja? Ludzie, którzy powinni służyć wszystkim za przykład i wzór godny naśladowania, a sami, cholera jasna, łamią prawo?

Przy drzwiach komisariatu Gross dostrzegł Otrembę. Wyglądał jak manekin ustawiony w dziwnej pozie, jakby zamarł w ruchu. Musiał ich zauważyć. Gross szybko odwrócił twarz, nie chciał, żeby Kowalski powiódł wzrokiem w tamtą stronę.

– Wie pan, jaki on się zrobił? Zawala proste sprawy w domu. Ma odebrać córki z przedszkola, to zapomina. Zakupy ma zrobić, to nie robi, psa wyprowadzić nie ma kiedy. Jest zupełnie rozkojarzony, ciągle coś mąci...

– Czego pan ode mnie oczekuje? – Gross przerwał mu tyradę.

– Żeby pan z tym zrobił porządek. Tak nie może być. Pan to musi ukrócić.

– Oni są dorośli.

– Ładni mi dorośli, psiakrew! Zboczeńcy!

– Mówię o pana córce i Otrembie. Niech sami rozwiązują swoje problemy.

– Kiedy właśnie o to chodzi. O to, że ona nic o tych problemach nie wie. O tym, że on ją zdradza, nie wie i nie może się dowiedzieć! Jeszcze by mu nie wybaczyła i co? A rodzina najważniejsza! Córeczki bez ojca mają się wychowywać? – powtórzył.

– A pan rozmawiał już ze swoim zięciem?

Mężczyzna prychnął i pociągnął do siebie psa, który stał z podniesioną przednią łapą.

– Czyś pan zwariował? To policjant jest! Jeszcze zacznie się mścić na mnie, kolegów nasylać, mandaty wręczać albo cholera wie co jeszcze. Najgorzej to policjanta mieć w rodzinie! Za jakie grzechy, pytam?

Gross zmarnował sporo czasu, który mógł poświęcić na sprawę Tarasewiczów. Sprawę, którą właściwie za chwilę przyjdzie mu zamknąć i pochować zwłoki NN mężczyzny na cmentarzu komunalnym, nieco dalej za miastem.

– A jakby pan z nim pogadał, przemówił mu rozkazem do rozumu, to przecież wszystko mogłoby wrócić do normy i ona o niczym by się nie dowiedziała. – Zawiesił głos. – Czasami to nawet

lepiej, jak kobieta nie wie.

Gross nie mógł tego słuchać.

– Źle pan trafił. Nie zajmę się tym. Nie interesuje mnie to zupełnie.

Policjant ruszył w stronę komisariatu. Po Otrembie nie było już śladu, ale jego samochód stał na parkingu po prawej.

– No to ja z wszystkimi wami zrobię porządek! Do komendantki doniosę! Z burmistrzem tu przyjdę i z roboty was pozwalam! Na pysk! – wykrzykiwał Kowalski.

Gross starał się go nie słuchać.

Wrócił do komisariatu wciąż obrzucany wyzwiskami. Sekretarka pokiwała na niego, żeby wszedł do szefowej, ale ją zbył. Skierował się do swojego gabinetu. Nad rozłożonymi papierami zastał Skałkę. Przeglądała je, brała do ręki i odkładała z powrotem na miejsce.

– I co? – spytała. – Zamykasz dziś tę sprawę?

Spojrzał na nią, chociaż Skałka unikała jego wzroku, zapalczywie żując gumę. Nie zdjęła czapki z daszkiem, jakby to pozwoliło jej ukryć emocje.

– Zdaje się, że nie było żadnej sprawy – skwitował.

Skałka wydmuchała różowy balon, który po chwili schowała do ust.

– Widziałas Otrembę? – spytał.

Szybko zaprzeczyła.

– Będę u siebie, jakby co. – Wyszła z pokoju, nie obdarzając go nawet przelotnym spojrzeniem.

Gross ściągnął kurtkę i usiadł za biurkiem. Sięgnął po słuchawkę stacjonarnego i wybrał numer wewnątrz do Otremby. Kiedy ten odebrał, komisarz poprosił go, by przyszedł z materiałami w sprawie skatowanego psa.

Herbata już wystygła. Gross niechętnie wypił chłodny napar, ale po rozmowie z radnym zaschło mu w gardle. Odstawiał szklankę, gdy Otremba stanął w progu. W rękach trzymał tekturową teczkę.

– Jestem – rzucił.

Gross bębnił palcami po blacie biurka.

– Zamknij drzwi, proszę.

Otremba znieruchomiał, ale po chwili zrobił to, o co prosił jego szef.

– A teraz usiądź – wybrzmiało kolejne polecenie.

dziesięć lat temu

Kiedy Sławomir wszedł do domu, przeciąg wyrwał mu drzwi z ręki. Zatrzasnęły się za nim z hukiem.

– Grażyna! – krzyknął.

Usłyszał jakiś rumor u góry, po chwili z piętra odezwał się jego syn.

– Mama wyszła.

– Dokąd? – Sławomir stanął u podnóża schodów.

– Do Eli.

– Dla ciebie to do pani Eli albo cioci Eli, jasne?

Tarasewicz usłyszał jakieś odburknięcie, a potem odgłos zamykanych drzwi.

– Synek! Nie trzaskaj drzwiami, dobra? I zjedź tu, bo mam ci coś do powiedzenia.

Tarasewicz przeszedł do dużego pokoju, w którym firanka przy otwartych drzwiach tarasowych powiewała z każdym gorącym podmuchem wiatru. Tłusta mucha bzyczała pod sufitem.

Wrócił wcześniej z pracy, żeby uporządkować kolejne sprawy. Napił się kompotu z truskawek. Pił prosto z kompotierki, za co żona na pewno suszyłaby mu głowę. Ale żony nie było. Odstawił naczynie z pozostałymi na dnie owocami i otarł usta wierzchem dłoni. Czuł, jak pot rosi mu czoło.

Zastanawiał się czy wziąć prysznic, ale kiedy młody zszedł na parter, zrezygnował z tego pomysłu. Poszedł za nim do kuchni i teraz przyglądał się osiemnastolatkowi, chudemu, nieco zgarbionemu chłopcu z wątlymi ramionami, na które opadały przydługie włosy. Jasiak wypił kilka dużych łyków coli, a w jego oczach pojawiły łzy. Po chwili beknął i obaj się zaśmiali.

– Chodź, synek – rzekł Tarasewicz i zabrał do pokoju pozostawioną w korytarzu na komodzie pękatą szaszetkę.

Usiadł w fotelu naprzeciwko wyłączonego telewizora i zajrzał do torebki. Syn zajął miejsce na sofie i sięgnął po piloty.

– Nie teraz – warknął ojciec. – Gdzie masz kasetkę?

– Na górze.

– Miałeś trzymać w garażu.

– Cały czas trzymałem, ale...

– Nie pierdol, tylko znieś! – Tarasewicz przetarł wilgotny kark. Był wykończony falą upałów. – I jeszcze mi piwo z garażu przynieś.

Nerwy miał napięte jak struny przez wszystko to, co ostatnio działo się wokół niego. A może raczej przez to, co sam wokół siebie wyprawiał. Zawsze w takich chwilach, kiedy do głosu dochodził stres, Tarasewicz próbował ochłonać, brał trzy głębsze wdechy i wypuszczał wolno powietrze. Uspokajał się i mówił, że wszystko będzie dobrze. Że skoro ma plan, to przecież po to, by ten plan wypalił. Że za co się w życiu nie wziął, niczego jeszcze nie spierdolił. Właśnie tak o tym myślał. Niczego nie spierdolił. Dlaczego teraz miałyby dać dupy? Teraz, kiedy przecież był na szczycie.

Owszem, biznes idzie raz lepiej, raz gorzej, ale jego zdolności negocjacyjne z przedstawicielami handlowymi pozwalały mu na wciąż przyzwoity zarobek. Giganci rynku skracali terminy płatności, przepływ gotówki czasami kulał, ale poza tym robota szła jak złoto. Widlak na placu hurtowni kręcił się jak muchy przy łajnie. Stale coś stąd wyjeżdżało, stale trzeba było rozpakowywać kolejne podjeżdżające tiry. Tylko stagnacja groziłaby jego interesom, a o niej nie można było mówić. I chociaż do uszu Tarasewicza docierały narzekania o nadejściu kryzysu, on się tym jakoś niespecjalnie martwił. Wiedział już, że kryzys go nie dosięgnie. Po prostu nie zdąży. Będzie szybszy. W sprawach interesów zawsze był szybki i dobrze na tym wychodził. Jedyne, co musiał zrobić, to ograniczyć sprzedaż materiału na krechę tutejszym nowobogackim i innym frajerom. Miał już kilku na czarnej liście i zamierzał uderzyć do nich po szybką spłatę długu. Ale byli wśród nich tacy, którzy mogli się odwdzięczać Tarasewiczowi. Przysługa za przysługę, więc tych z drugiej listy na razie nie poganiał.

W chwili, gdy syn postawił na ławie obok kompotierki niebieską stalową kasetkę i odkapslował piwo, Sławomir wyjął z saszetki połowę banknotów uzyskanych od kilku spóźniających się z opłatą klientów.

Młody usiadł, a ojciec dał mu pieniądze i kazał przeliczyć.

Syn zrobił to w milczeniu, chociaż poruszał ustami. Trochę trzęsły mu się ręce.

– Trzy tysiące – odezwał się, kiedy skończył.

– Dobrze – powiedział Tarasewicz i pociągnął łyk chłodnego piwa. Takie lubił najbardziej.

Przez odsłonięte szyjki zębów picie mocno schłodzonego trunku odbierało mu przyjemność. Ból był przy tym nie do zniesienia.

– A teraz przelicz to, co jest w kasetce.

Tarasewicz nie spojrzał na syna, ale widział, jak ten nerwowo zaczął pocierać wnętrze dłoni.

– A po co? – jęknął młody. – Robiliśmy to niedawno.

– Przelicz, proszę.

Żadnego ruchu. Tarasewicz doskonale wiedział, co to znaczy.

– W takim razie od razu powiedz, ile wzięłeś. – Odwrócił się do syna.

Ten milczał i spuścił głowę.

– A jaka była, kurwa, umowa, co? – warknął ojciec.

– Tata, no!

– Co tata? – burknął Tarasewicz. – Co, kurwa, tata?

Otarł wąsy i brodę i znowu popił piwa. Czuł, jak schłodzony napój spływa przełykiem.

„Uspokój się”, prosił sam siebie w duchu.

– Daj kluczyk.

Spojrzał na syna, który wyciągnął spod żółtej koszulki łańcuszek zawieszony na szyi. Do niego był przyczepiony brelok z niewielką kulką bilardową i kluczykiem. Otworzył kasetkę i podał ojcu.

– Trzysta wzięłem.

– Trzysta? – Ojcu powiększyły się oczy. – Chryste! Na co ci trzysta złotych?

– Chciałem tę Aśkę przeprosić i pojechać z nią do Torunia. Na pizzę i do kina, potem na dyskotekę.

– Za trzysta złotych? Rany boskie! Kiedy?

– No teraz, w piątek.

Tarasewicz odetchnął. W najgorszym scenariuszu zakładał, że pieniądze przepadły.

– Oddaj – nakazał synowi.

– Ale tata...

– Włóż tu, kurwa, i nie gadaj.

Młody zerwał się z kanapy i ruszył na schody.

Zanim zszedł, Tarasewicz dopił piwo i przyniósł sobie z garażu następne. Pocił się obficie. Otarł czoło, a potem dłonie o spodnie. Na kartce, która tkwiła w kasetce, zapisał kolejną sumę na plusie i dołożył trzysta złotych, które wręczył mu syn. Zamknął kasetkę i oddał młodemu kluczyk. Chłopak zdążył się już pozbierać. Siedział naburmuszony, ale Tarasewicz miał na to radę.

Sięgnął do kieszeni po kluczyki samochodowe i podał Jaškowi.

– Po co mi to dajesz? – chłopak nie krył zdziwienia.

Tarasewicz nie odpowiedział, tylko sięgnął do saszetki i odliczył cztery stużłotowe banknoty. Zawahał się. Ostatecznie wyjął pięć i podał synowi.

– Bierz forszę, dziewczynę i jedź się zabawić. Hotel sobie weź w Toruniu, żebyś po pijaku nie siedział za kółkiem.

Widział, jak synowi rozbłyły oczy. Młody zabrał kasę i chciał wstać.

– Zaraz, spokojnie! – upomniął go ojciec. – Kasetkę zamknij i schowaj. Matce nie pokazuj. To są twoje pieniądze, rozumiesz?

Chłopak pokiwał głową.

– Rozumiesz? – spytał ostrzej niż zamierzał.

– Tak, tato.

– Skoro rozumiesz, to dlaczego siebie okradłeś? – dodał Tarasewicz.

Młody nie odezwał się.

– Przynajmniej ze sobą nie wal w chuja – radził ojciec. – A teraz idź już. Zabaw się, przeleć w końcu jakąś babę. Może wtedy zmężniejesz, bo chłop jak nie porucha za młodu, to nie chłop.

Syn coś bąknął, ale Tarasewicz go nie słuchał.

– A i jeszcze jedno! Zrób mi zanętę, bo jutro wieczorem chciałbym wyskoczyć na jeziorko.

– Wieczorem nie wolno – przypomniał mu syn. – Jutro ci zrobię.

– Zrób teraz, synek, i nie pierdol!

Usłyszał, jak Jasiek głośno jęknął, ale poszedł do kuchni i otworzył zamrażalnik, w którym trzymali ochotki.

– A glina gdzie jest? – krzyknął Jasiek.

– Tam, gdzie zawsze, koło mąki.

Jan krzątał się po kuchni. Wreszcie Tarasewicz usłyszał elektryczny zgrzyt załączonego miksera. Poprosił syna, by schował zanętę do bagażnika merola.

– Wiem, jak jest, synek. Też byłem w twoim wieku. – Kiedy dźwięk ucichł, Tarasewicz wrócił do poprzedniego tematu. – Czas, byś był mężczyzną, synu.

– Ojciec, daj już spokój, kurde!

Trzasnęły drzwi szafki.

– Po prostu bądź jak facet, a nie ciepła pipa! – krzyknął Tarasewicz.

dzień piąty, po południu

Otremba odsunął krzesło od stołu i niepewnie zajął miejsce na skraju siedziska. Czekał.

Gross podciągnął rękawy czarnego swetra, po czym oparł łokcie na blacie.

– Powiesz mi, co się dzieje? – spytał podwładnego.

– Gość ukrywał się w Bielczynach, otrzymałem taki sygnał od kiboli Legii. Mam tam swoją wtykę. Sądziłem, że to on. Podobni jak cholera, oba łyse karki.

– A to był tylko zwykły alimenciarz, którego podobno nieźle dojechałeś. – Gross usłyszał to od Brandola. – Tymczasem zwyrol biega luzem po Chełmży. Żarty się skończyły. Za chwilę wsiądzie na nas komendantka, komendant miejski, wojewódzki, prokuratura i wszystkie media. Jaki jest twój plan? Co zamierzasz?

Otremba przedstawił Grossowi trzy wersje śledztwa. Omówili je dokładnie. Kiedy skończyli, Otremba wyglądał na wyczerpanego.

– Od tej chwili meldujesz mi o wszystkim. Czy to jasne? – spytał Gross.

– Tak. – Otremba zebrał rozłożone kartki i włożył je do teczki. Wstał i ruszył w stronę drzwi, gdzie zatrzymał się i odwrócił.

– Coś jeszcze? – spytał komisarz.

– Chodzi o mojego teścia, czy on...

– Nie interesuje mnie twoje życie osobiste, dopóki nie ma wpływu na pracę. Ale teraz chyba jednak ma. Daję ci kilka dni na ogarnięcie spraw osobistych. Jesteś policjantem, tego chyba nie muszę przypominać. Jesteś rozkojarzony, nie skupiasz się na robocie. A w tej działce nie ma miejsca na błędy. Nawet najdrobniejsze, rozumiesz?

Otremba, atletycznej budowy blondyn, kiwnął głową jak skarcony uczeń.

Kiedy wyszedł, Gross uruchomił program pocztowy i dotarł do maila od Jarosława Blocha. Zawierał skany kart daktyloskopijnych. Gross przedzwonił do drugiego z techników, Mariana Chęcińskiego.

– Nie przeszkadzam? – zaczął Gross bez zbędnych wstępów.

– Mów, kończę protokół oględzin, ale z chęcią zrobię sobie przerwę na kawę.

– Chodzi mi o daktyloskopię mężczyzny z łódki.

– Jarek Bloch wysłał wam skany kart tego samego dnia, kiedy odbyła się sekcja.

– Wiem. Ale bez weryfikacji w bazie nie mam żadnej pewności, a wiadomo, że Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Policji nie kwapi się z robotą.

– Bernardzie, nie oszukujmy się. Ta sprawa priorytetowa nie jest.

– Wiem, ale nie mam czasu na czekanie.

– A co ja za to mogę? – Chęciński poczuł się urażony.

– Nic, absolutnie. Ale możesz mi dać namiary na starych techników z Gdyni? Mam do nich sprawę.

– Jak skończę robotę, to wyślę ci je mailem, okej?

– Dobra, dzięki.

Gdzieś za drzwiami gabinetu Gross słyszał przytłumioną rozmowę, ale nie był w stanie wyłowić z niej żadnej konkretnej informacji.

Zalogował się do Krajowego Systemu Informacji Policji, a następnie wybrał bazę danych zawierających karty daktyloskopijne. Odszukał tę Tarasewicza i powiększył. Przyglądał się na zmianę odbitkom linii papilarnych Tarasewicza i mężczyzny z łódki, ale do niczego nie doszedł. Te ostatnie były poprzecinane białymi liniami, które mogły świadczyć o ciężkiej pracy fizycznej. Bez nałożenia na siebie obu obrazów i komputerowej analizy elementów wspólnych do niczego nie dojdzie.

W jego drzwiach stanęła szefowa komisariatu.

– Prokurator Bilka czeka u mnie. Wysłać ci specjalne zaproszenie? – rzekła i wróciła do siebie.

Gross niechętnie się podniósł i rzucił ostatnie spojrzenie na monitor, po czym wyszedł.

*

Czuł się wykończony nasiadówkami, które nie tylko że nie przynosiły żadnych rozwiązań, to jeszcze odciągały go od ważnych spraw. Przekazał ustalenia ze spotkania Otrembie, a po wyjeździe prokurator Bilskiej nasłuchiwał się marudzenia swojej szefowej. Kiedy wreszcie stanął pod drzwiami swojego gabinetu, na jego komórkę zadzwoniła prokuratorka.

– Zabrakło mi czasu na rozmowę o topielcu i mężczyźnie w łódce. Jakies nowe informacje?

– Nic, co zmieniloby obraz tej sprawy. Przynajmniej na razie – odpowiedzial.

– Rozumiem, że zamknie ją pan.

– Tak, jutro to dopapierzę, jeśli o to chodzi.

– Nie ma pośpiechu. Umówiliśmy się na piątek, ale skoro widzieliśmy się dziś, to wolałam podpytać.

– Rozumiem – stwierdził Gross i rozłączył się.

Przekręcił zamek w drzwiach i wszedł do ciemnego biura. Włączył światło i poruszał myszką, żeby obudzić śpiący ekran. Rozświetlił się po chwili. Komputer wymagał hasła dostępowego, które Gross wystukał na klawiaturze. Wrócił do policyjnej bazy danych i wpisał w kwerendę programu zbierającego informacje dotyczące zaginionych dane opisowe mężczyzny z łódki oraz prognozowany wiek i znaki szczególne – bliźnię. Wskoczyło mu kilka rekordów.

Oduścił temat i sprawdził pocztę. Otrzymał od Chęcińskiego namiary na technika z Gdyni – Wojciecha Nowego, jednak mimo kilku prób nie udało mu się z nim połączyć. Za każdym razem włączała się sekretarka. Gross nagrał się i poprosił o kontakt, zostawiwszy uprzednio swój numer komórki.

Wylogował się i wyłączył sprzęt, jednak pozostał na miejscu. Zawiesiwszy wzrok na drzwiach, siedział w ciszy przy zapalonym górnym świetle tak długo, aż w końcu ucichły odgłosy krzątania i rozmów na korytarzu.

Wstał dopiero, gdy poczuł głód. Założył kurtkę i zabrał torbę. Teczke dotyczącą sprawy Tarasewiczów związał sznurkiem i zamknął w szafie. Pozostałe trzy – topielca i mężczyzny z łódki oraz Elżbiety Jaworskiej już tam leżały.

Zgasił światło i wyszedł, kierując się w stronę bulwaru. Minał kolorową wyspę zniczy, z których sporo już się wypaliło, i poszarpane powiewami wiatru kwiaty oraz żałobne wstęgi. Szeleściły folie wiązanek. Spojrzał przelotnie na kolorowy portret nastolatka, który przytwierdzono do drewnianego krzyża, po czym zwolnił, aż wreszcie przystanął kawałek dalej. Nawet z tej odległości dostrzegał radosną twarz chłopca, gotowego na branie z życia co piękniejszych kąsków. Ale to się już nie zdarzy. Pomyślał o jego matce i młodszym bracie, i o tym, jakie piętno odcisnie ta tragedia na ich niełatwym już życiu. Pomyślał też o tym, jak życie potrafi doświadczać tych, którzy nieraz musieli wstawać z kolan.

Vis maior.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

Wkrótce jego kroki dudniły na drewnianym, śliskim od zmarzniętego śniegu pomoście. Był już niemal na drugim brzegu jeziora, gdy w kieszeni kurtki poczuł uporczywe wibracje. Wyjął telefon i przyłożył do ucha.

– Halo – rzucił.

Odpowiedziały mu szmery. Słyszał jakiś głos, który dobiegał z oddali, zakłócany innymi dźwiękami.

Zatrzymał się.

– Halo?

Połączenie zostało przerwane.

Gross rozejrzał się wokół. Przed sobą miał czarną ścianę drzew, a za plecami – skapaną

w ciepłych, pomarańczowych snopach światła chełmińską panoramę. Wieże kościołów, oddalonych od siebie zaledwie kilkaset metrów, górowały nad innymi budynkami.

Kiedy odwracał wzrok, zatrzymał go na łódce.

Początkowo miał wrażenie, że mu się przywidziało. Zszedł z pomostu i ruszył nierówną ścieżką w stronę plaży Stolbudu. Śnieg z chrzęstem kruszył się pod jego podeszwami. Po kilkudziesięciu metrach znalazł się w miejscu, gdzie czarny lód jeziora wdierał się w przysypany śniegiem ląd. Wtedy był już pewien, że o żadnym przywidzeniu nie mogło być mowy. Jasne wnętrze łodzi wypełniał złotawy blask, który z każdym powiewem wiatru falował na burcie.

Ruszył po śliskiej tafli, nie unosząc nóg. Kiedy w końcu dotarł do łodzi, spojrzał na laminowane dno, w miejscu, gdzie w sobotę odkrył zwłoki mężczyzny.

Stał tam niewielki, szklany znicz. Ogień miotał się, bo lont nie zdążył rozpuścić stearyny.

Gross odwrócił się do brzegu i rozejrzał ponownie.

Nigdzie żywej duszy.

Sięgnął po komórkę i przejrzał historię połączeń. To ostatnie było z zastrzeżonego numeru i wtedy przypomniał sobie, że niedawno też odebrał podobne. Sądził wówczas, że przekazana wiadomość była jedynie zwykłą pomyłką.

Skierował komórkę na znicz i wciśniętą pod niego kartkę, którą dopiero teraz zauważył. Zrobił kilka zdjęć. Po chwili zadzwonił do dyżurnego i kazał mu przysłać tu kogoś z rękawiczkami lateksowymi i brązowymi, papierowymi kopertami.

Kiedy się rozłączył, wpatrywał się w wiadomość ułożoną z wyciętych z gazet liter i zrozumiał, że gdzieś musiał popełnić błąd.

„On wrócił”.

dzień szósty

Cisza była przytłaczająca.

Gross wstał po czwartej nad ranem i wykąpał się. Przygotował sobie dwie kanapki z paszтетem, które leżały teraz naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu. Z kubka herbaty unosiła się nitka pary. Zrobił śniadanie bardziej z przyzwyczajenia niż głodu, więc zamiast zabrać się za jedzenie, założył gumowe rękawiczki i wziął do ręki model motocykla. Obracał go we wszystkie strony, doszukując się ponownie wszelkich skaz w zagruntowanej powierzchni. Zweryfikował też kąt odchylenia cylindrów, które w tym modelu ustawione były prostopadle do osi motocykla. Następnie sprawdził wózek boczny. Wyglądało na to, że obie części były gotowe do właściwego malowania. Korciło go, żeby zabrać się za położenie pierwszej warstwy farby w odcieniu dunkelgelb, odpowiednio rozjaśnionej i rozrzedzonej. Sięgnął nawet po aerograf, ale tylko go przeczyścił i przygotował na wieczór. O tak wczesnej porze, mimo że sprężarka powietrza, której używał, była cicha, nie zamierzał jej włączyć.

Po ósmej wyszedł z bloku i skierował się ulicą Kościuszki prosto do Sadku, trójkątnego skweru przy skrzyżowaniu dwóch dróg wojewódzkich przecinających Chełmżę ze wschodu na zachód i z południa na północ. Komisarz przeszedł w pobliżu nieczynnej okrągłej fontanny, której betonowa niecka pełna była brudnego śniegu. Rozejrzał się uważnie. Markety spożywcze znajdujące się po drugiej stronie ulicy Bydgoskiej były otwarte. Gross liczył na to, że gdzieś w pobliżu odnajdzie bezdomnego Heńka ubranego w czerwony damski płaszcz z nieregularnymi plamami na plecach, którego widział niedawno. Złapał się w myślach za to, że nie zajął się tym tropem od razu.

Spojrzał w stronę netto i parkingu, po czym przeszedł wzdłuż ciągu sklepów z elewacjami z płytek klinkierowych i zatrzymał się przy schodach prowadzących do biedronki. Zerknął w głąb wiaty, gdzie w rzędach stały kosze sklepowe. Przy samym wejściu do marketu od strony ulicy Sienkiewicza przewinęło się kilka osób, ale nigdzie nie dostrzegł bezdomnego.

Zamierzał wrócić w stronę Sadku i odbić na bulwar, kiedy wreszcie dostrzegł Heńka. Opierał się o ceglana ścianę poczty, tuż obok zawieszanej skrzynki na listy. Wyglądał na wychudzonego. Wiatr tarosił dłuższe włosy i siwą, lekko zrudziałą brodę.

Gross przeciął jezdnię, uważając, żeby nie wpaść pod samochód, po czym zbliżył się do mężczyzny. Ten stał i wgapiał się w swoją otwartą dłoń i leżące na niej miedziaki.

– Mam dychę. Może ci zrobić zakupy? Piwo i kielbacha wystarczą? – Komisarz przeszedł do konkretów

– O! *Bwana kubwa!* – Heniek odsonił zepsute zęby.

Gross nie rozumiał. Poczł natomiast odór, który obezwładniał. Dopiero teraz zwrócił uwagę na brudne ciuchy.

– Heniek, tak? Tak na ciebie mówią? – spytał, próbując ukryć obrzydzenie.

Mężczyzna spojrzał na niego z uwagą.

– A bo co?

Gross musiał być ostrożniejszy.

– Chodź – powiedział. – Zrobimy zakupy.

Przeszli przez jezdnię, po czym bezdomny stanął przy wiacie z koszami. Kiwał się na wszystkie strony jak szarpany wiatrem maszt. Gross zapewnił go, że zaraz wróci, i wszedł do biedronki. Zrobił zakupy, zapłacił za reklamówkę. Kiedy bezdomny go spostrzegł, jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Wyciągnął rękę po dary i rzekł:

– Trafiłem na dobre *mzimu!*

Gross sądził, że facetowi kompletnie odbiło. Obawiał się, że wyciągnięcie z chorego psychicznie człowieka jakichkolwiek informacji okaże się niemożliwie.

Już miał przekazać mu torbę z zakupami, ale w ostatniej chwili cofnął rękę.

– Chodź – powiedział i ruszył wzdłuż Sieniewicza, w stronę poprzecznie ustawionych bloków

z poszarzałej płyty. Kątem oka dostrzegł, że bezdomny w zbyt dużych butach poczłapał za nim. Policjant zdążył nabrać kilka haustów świeżego powietrza.

– *Bwana kubwa*, czekaj!

Gross zrobił jeszcze kilka szybkich kroków, po czym zatrzymał się i obserwował kolebiącego się na wykrzywionych nogach mężczyznę. Kiedy bezdomny podszedł, Gross dostrzegł w kieszeni jego płaszcza wymiętoszoną książkę.

Komisarz wyjął z torby zdjęcie Sławomira Tarasewicza.

– Potrzebuję pomocy – zaczął.

– Jak ty pomóc Kali, Kali pomóc tobie. – Mężczyzna zaśmiał się i wyciągnął ponownie rękę po zakupy.

Gross podał mu kartkę, ale reklamówkę wciąż trzymał w ręce.

– Rozpoznajesz go?

Bezdomny odciągnął wpadające mu do oczu włosy i przyjrzał się fotografii.

– To ten z *Bassa Narok*?

– Skąd?

– Z jeziora. – Uśmiechnął się sztucznie od ucha do ucha.

Gross zastanawiał się, jak to rozegrać.

– Znasz go? Widziałeś się z nim, prawda? – rzucił.

– Nie. – Mężczyzna oddał zdjęcie.

– Byłem w schronisku, mówili mi, że go rozpoznałeś, że nawet obroniłeś przed innymi bezdomnymi.

– Nic z tego. – Mężczyzna odwrócił się i ruszył przed siebie.

– A żarcie i piwo? – Gross uniósł reklamówkę.

Bezdomny machnął energicznie ręką.

„Żle”, pomyślał Gross i podbiegł do niego. Kiedy zrównali krok, komisarz odezwał się.

– To ważne! – rzucił ostrym tonem. – Czy to Tarasewicz?

– Nic nie wiem, z mendami nie gadam – zapewnił Heniek.

– Ale jak cię przyskrzynię na dwadzieścia cztery, to pogadasz, co? – Gross zdenerwował się.

Bezdomny zatrzymał się i odwrócił do policjanta. Gross dostrzegł tłuste, czarno-brązowe plamy na połach płaszcza, czarne dłonie z brudnymi połamanymi paznokciami, wreszcie twarz pociętą siecią głębokich zmarszczek.

– Powiem ci coś, nieoczytany baranie – zaczął bezdomny. – Zamknij mnie. Nasmrodzę wam na komendzie, a wy najpierw mnie umyjecie i nakarmicie, a potem położycie spać w ciepełku. Więc kto na tym zyska, *bwana kubwa*, co?

Gross podał mu reklamówkę. Mężczyzna wyszarpał ją i poszedł dalej.

Kiedy był już po drugiej stronie ruchliwej jezdni, zatrzymał się, zerknął w dary i wówczas wolno się odwrócił.

– Heńka nie widziałem od dwóch dni! – krzyknął.

Gross zdumiał się jeszcze bardziej.

– A płaszcz? Przecież to jego płaszcz!

– Jego. Dał mi, kiedy widzieliśmy się ostatnio.

– A gdzie go znajdę?

– My, bezdomni, jesteśmy wolni. On też. Dlatego może być wszędzie. – Bezdomny podniósł reklamówkę w geście podziękowania i poczłapał przed siebie. – Wszędzie, *bwana kubwa*!

*

Przeszedłszy przed drzwiami sekretariatu, usłyszał cicho wypowiedziane własne imię. Zerknął

w stronę uśmiechniętej Beaty Różyckiej, która skinęła na niego głową. Gross wszedł niespiesznie do niewielkiego pomieszczenia, rozglądając się na boki, jakby obawiał się, że wzywa go szefowa albo jej zastępca.

W tym czasie kobieta schyliła się pod biurko. Przez chwilę Gross widział jej szerokie plecy opięte białą koszulką i prześwitujące spod spodu zapięcie biustonosza. Kobieta ustawiła energicznie paczkę na blacie.

– Dziś przyszły – rzuciła.

Gross zdziwił się.

– No przecież kazałeś mi zamówić książki, co nie?

Dopiero teraz przypomniał sobie o zamówieniu dla biblioteki.

– Dziękuję, jesteś boska – powiedział cicho.

Różycka mrugnęła zalotnie.

Gross zabrał pudło i odwrócił się do wyjścia.

– Bernardzie! – skarciła go sekretarka.

Stanął w progu.

– Powiedziałem „dziękuję” – usprawiedliwił się.

– Dopłata była.

– Dopłata?

– Wisisz mi osiemnaście złotych. To z poprzednim zamówieniem ze sklepu modelarskiego daje prawie pięćdziesiąt złotych – poskarżyła się, udając obrażoną dziewczynkę. Nie było to urocze, ale nie zamierzał jej tego mówić.

– Oddam – obiecał. – Wiesz, że oddam.

– Tylko kiedy? Kiedy, kochasiu? Miałam iść na pazurki do Marzenki!

– Dziś. Muszę zaraz wyjść. Więc jakby ktoś o mnie pytał, to mnie tu nie było, dobrze?

Mrugnęła porozumiewawczo.

Gross raz jeszcze podziękował i przeszedł do swojego gabinetu.

Z porannej rozmowy, jeszcze zanim wyszedł na poszukiwania bezdomnego, dowiedział się od Otremby, że ten złapał już właściwego kata psa. Tym razem nie mogło być pomyłki. Gross pogratulował mu udanej roboty i poinformował o wszystkim prokurator Bilską oraz komendantkę. Pominął Brandola, ale ten nie powinien mieć mu tego za złe, zresztą na pewno dowiedział się już o tym na porannej odprawie u starej.

Odłożył karton z książkami i wezwał przez telefon Skałkę. Zeszła od niego bez zbędnej zwłoki. Włosy miała spięte w długi koński ogon. Obcisłe dzinsy podkreślały jej zgrabne nogi, ale też męskie biodra. Pod pachą trzymała laptop.

– Nagrania z monitoringu? – spytał z nadzieją.

Potwierdziła i ustawiła komputer na jego biurku.

– Są dwa, które mogą nas zainteresować. Oba z nastolatkiem, na bezdomnego na razie nic nie mam – zaczęła i odszukała pliki w folderze. – Jedna kamera jest na Sikorskiego, druga z Rynku, przy skrzyżowaniu z Kopernika.

– Z którego dnia?

– Z piątku. Ten pierwszy film jest z trzynastej dwadzieścia, a drugi nagrano tuż po szesnastej.

– Uruchom – poprosił i nachylił się do laptopa.

Skałka kliknęła na odpowiednią ikonę. Po chwili włączył się program do odtwarzania plików multimedialnych. Kamera obejmowała fragment ulicy Sikorskiego. Z prawej między deptakiem a chodnikiem przy sklepach rosła przyzma brudnego śniegu. Mieszkańcy mijali się, a twarze osób, które szły w stronę Rynku, wyglądały na wyraźne.

– Teraz – zapowiedziała Skałka.

Gross wpatrywał się w kolejne sekundy filmu. Zobaczyli, jak Antoni Bruździński pojawia się w kadrze, a zaraz potem znika. Gross ujrzał tę samą kurtkę i czarne dzinsy, w których wyłowiono chłopaka z jeziora, a później także ciężkie buty, które rozpoznał przy ponownym odtworzeniu filmu.

– Słuchawki w uszach, a telefon i ręce w kieszeni – podsumowała Skalka. – Słowem, niczym nie różni się od innych rówieśników.

Gross zgodził się z nią. W chodzie nastolatka, a także wyrazie twarzy, na tyle, na ile mógł to oceniać, nie dostrzegał żadnej nerwowości, ani grama napięcia.

Dał Skalce znak, by pokazała mu drugie nagranie.

Tym razem widzieli fragment Rynku z biblioteką, ulicą Żeglarską i kamienicą narożną przy Kopernika. Na dole znajdował się sklep i pizzeria, a powyżej dwoma balkony z betonowymi balustradami. Kamienica krzyczała o remont.

Przez ekran przewinęło się kilku przechodniów. Gross wstrzymał oddech, kiedy zobaczył na nim również Malwinę Lemańską. Nie było mowy o pomyłce. Szła w wełnianej czapce, spod której wystawały gęste loki. Obraz był czarno-biały, a mimo to Gross widział jej kasztanowe włosy i pociągnięte karminową szminką usta. Lemańska zniknęła, a wtedy w oku kamery pojawił się nastolatek. Musieli minąć się po drodze. Lemańska szła do biblioteki, a chłopak w przeciwnym kierunku, jak się okazało, zniknął za drzwiami pizzerii.

Gross zastanawiał się, co Malwina robiła poza pracą. Być może wyskoczyła kupić coś do jedzenia.

– I co sądzisz? – Jego rozmyślenia przerwał głos Skalki.

Komisarz pokiwał tylko głową, nie chciał się zdradzić, że jej nie słuchał.

– Puść to jeszcze raz.

Obejrzeliby nagranie ponownie.

– No i? – spytała.

– Sam nie wiem – odrzekł wymijająco.

– Chodzi mi o to, że wszystko wyglądało podobnie. Słuchawki w uszach, ręce w kieszeniach, chód może szybszy.

Faktycznie. Wyglądało, jakby się spóźnił.

– Która była godzina?

– Trzynastej po szesnastej. To niby ten moment, kiedy powiedział matce, że idzie zobaczyć nową siłownię przy stadionie Legii.

– No to wiemy już, że skłamał – rzucił Gross i zastanowił się. – Może umówił się o pełnej godzinie. Ciekawe z kim. Rozmawiałaś już z właścicielem?

– Tak. – Skalka uśmiechnęła się tajemniczo i odszukała w komputerze inny plik.

Tym razem obraz był dużo gorszej jakości, ale kolorowy. Oglądali niedoświetlone wnętrze pizzerii Romano, a raczej kontuaru, przy którym przyjmowano zamówienia. Stał przy nim Bruździński. Rozpoznali go po kurtce i słuchawkach w uszach. Wymienił kilka zdań z barmanem, wyglądało to tak, jakby złożył zamówienie, ale nie zapłacił. Dopiero w kolejnym fragmencie Bruździński odebrał dużą pizzę i zostawił na blacie dwudziestozłotówkę.

– Zjadłby sam całą? – spytał Gross.

– Nie znasz możliwości młodzieży. Sądzę, że nie miały z nią żadnych problemów. Ale tym razem było inaczej. Właściciel Roman Borczuch rozpoznał Antka i przypomniał sobie, że w piątek spotkał się z dwoma chłopakami.

Skalka przewinęła nagranie o czterdzieści minut.

– I teraz zerknij na to – poprosiła i wskazał palcem na ekran.

Przy ladzie pojawiło się dwóch chłopaków. Jeden z nich stał tyłem, kaptur pikowanej kurtki spoczywał na plecach. Drugi, w krótkiej do pasa kurtce moro, rozmawiał przez chwilę z właścicielem. Potem wyszli.

– Mamy ich na kamerze zewnętrznej? – zainteresował się Gross.

– Mamy, ale niestety niczego nie zobaczysz.

Skalka uruchomiła czwarty film, na którym widać, jak tych samych dwóch chłopaków z kapturami na głowach, lekko pochylonych, wychodzi z pizzerii i znika w niedoświetlonej ulicy Kopernika. Szarość dnia przerodziła się w mrok.

Gross wypuścił powietrze i założył ręce za głowę.

– Cholera – mruknął. – No dobrze, a inne kamery przemysłowe?

– Wiesz, jak to działa. Wysłałam pismo, czekałam, dzwoniłam i nic. Odbijam się od jednych do drugich. Z naszymi firmami, tak jak z Romano, nie ma problemów, ale z sieciami to już bez Warszawy nie pogadasz.

– Ale nie odpuszczaj.

– Przecież nie zamierzam. – Obruszyła się i zamknęła laptop.

Opowiedział jej o wczorajszym znalezisku w łodzi, po czym wyjął teczkę ze sprawą zaginięcia Tarasewiczów i odnalazł informację o rzekomych pogroźkach przygotowywanych pod adresem właściciela hurtowni. Rzekomych, bo nie zachowała się żadna z tych kartek, a relację o nich przekazał jedynie syn.

– Myślisz, że to robota Jaśka Tarasewicza? – spytała Skalka.

– Ten znicz i kartka?

– Tak.

Gross skrzywił się i zaprzeczył.

– Jaki miałby motyw? – spytał. – Kiedy pokazałem mu zdjęcie, nie rozpoznał ojca. Pytał o bliznę na prawej łopatce denata, podobnie zresztą jak Wegner. A zmarły takiej nie ma.

– Coś kręci ten mój kumpel. Mam z nim pogadać? – Skalka sięgnęła do kieszeni i wyjęła paczkę gum orbit o smaku jabłka. Skierowała ją w stronę Grossa, a kiedy ten odmówił, sama wyjęła dwie i wsunęła do ust. Rozgryzła i zaczęła żuć. Po chwili wydmuchała niewielki balon.

– Nie. Poszperaj jeszcze w monitoringu. Musimy gdzieś złapać tego bezdomnego – powiedział.

– Jasne. Dam znać. – Skalka zabrała komputer i wyszła. W drzwiach minęła się z sekretarką.

– Szefowa cię wzywa – rzuciła Beata Różycka.

Gross przewrócił oczami.

– Co tym razem?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

Komisarz przeszedł do sekretariatu i zapukał w otwarte drzwi do gabinetu Lucyny Wojtasik.

– Cześć – rzucił.

Komendantka siedziała za biurkiem. Podniosła wzrok znad pisma, gdy usłyszała jego głos.

– Wejdz i zamknij drzwi.

Podniósł brwi, a następnie zrobił to, o co prosiła.

Usiadł w tym samym miejscu, gdzie ostatnio. Nie odzywał się, czekał.

Wojtasik westchnęła, nie odrywając wzroku od zapisanej odręcznym pismem kartki papieru. Po chwili na jej twarzy wystąpił grymas niezadowolenia. Zerknęła na podpięty do listu wydruk komputerowy. Tylko tyle dostrzegł Gross.

– Nie wierzę w ani jedno słowo – powiedziała po chwili komendantka.

– Co masz na myśli?

– To! – Podniosła dokumenty. – To, psiakrew! A tak prosiłam cię, żebyś uważał.

Gross nie zrozumiał.

– Nie byłem u niej – wyznał.

– Słucham?

– Nie widziałem się z tą kobietą, nie wystawałem pod jej blokiem – bronił się.

– Tym razem nie chodzi o to.

– A o co?

Wojtasikowa spojrzała na list.

– Emil Kowalski. Mówi ci to coś?

– A powinno? – Szukał w pamięci tego nazwiska, ale trafił na czarną dziurę.

– Chyba tak. Szanowany obywatel Chełmży, członek towarzystwa miłośników tego miasta, obecny radny.

– Coś nabroił? – Gross skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

- Nie.
- To czemu o nim rozmawiamy?
- Widziałeś się z nim?
- Nie.
- A on twierdzi co innego.
- Zaraz. – Gross zreflektował się. – Chodzi o teścia Otremby?

Lucyna Wojtasik potwierdziła skinieniem.

- W takim razie widziałem się z nim wczoraj – wyjaśnił komisarz. – To zbrodnia?
- Twierdzi, że uderzyłeś go w twarz, i na potwierdzenie załącza protokół z obdukcji lekarskiej.
- To chyba jakiś żart. – Gross wyciągnął rękę po dokumenty.

Wojtasik podała mu je. Przeleciał wzrokiem odręczną skargę, a następnie zatrzymał się na formularzu z badania.

- Czysty absurd! – wypalił.
- Zdaję sobie sprawę.
- Spotkaliśmy się pod komisariatem. – Gross wskazał na okna wychodzące na jezioro. – Ale przecież gdybym tylko dotknął go palcem, pewnie wbiegłby tutaj i narobił rabanu.
- Wiem i dlatego powiedziałam, że nie wierzę w żadne jego słowo. Pytanie tylko, dlaczego to zrobił? Masz jakieś podejrzenia?

- Prywatna sprawa.
- Twoja?
- Nie.

Komendantka dała znać, że rozumie.

- Powiedziałem mu tylko, że nie będę się tą sprawą zajmował. Wściekł się i przeklinał.
- Gross wstał i podszedł do okna, żeby spojrzeć w to miejsce, gdzie wczoraj stał z Kowalskim.
- Psiakrew! – warknął, opierając się o zimny parapet.

Okna trzeszczały od wiatru, czuł, jak chłód przenika przez uszczelki i lekkim podmuchem dociera do jego dłoni.

- Spokojnie. Zajmę się tym, a ty rób swoje. Może porozmawiaj tylko z Otrembą, co?
- O czym.
- Sam wiesz najlepiej.
- Nie ma mowy.
- Bernardzie, do cholery, mógłbyś to zrobić! To jest w twoim interesie.
- Ale nie w zakresie moich obowiązków.

Wojtasik westchnęła.

- Ale wiesz dobrze, że przez takich jak Otremba ludzie pluja nam na mundur.
- Zdaje się, że na razie, po złapaniu zwyrodnialca od psa, będą mu na tym mundurze wieszać ordery.

Wojtasik trzasnęła dłonią o blat.

- Podobno pobił tego człowieka, którego pierwotnie bezpodstawnie przyskrzytnił.
- Może powinien odpocząć? Jest przemęczony, przeładowany. Może się chłopak po prostu pogubił? – Gross odwrócił się od okna.
- Jak my wszyscy, do cholery!
- Gross skierował się do wyjścia.
- Jak my wszyscy – powtórzył.

*

Gross zszedł na parter do Jojczyk, szefowej wydziału prewencji. Kiedy uchylił drzwi,

rozmawiała przez telefon. Krótkie, farbowane na blond włosy postawiła na jeża, boki miała przystrzyżone. W mundurze prezentowała się zjawiskowo. Stukała rytmicznie długopisem w notes, wciąż słuchając rozmówcy. Kiedy dostrzegła Grossa, zaprosiła go gestem do środka. Dostrzegł nowy kolor lakieru na jej paznokciach. Błękit idealnie pasował do jej stroju.

Po chwili zakończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę stacjonarnego na bazę.

– Ufff.

– Kłopoty?

– Kto ich nie ma? – spytała ze smutkiem.

Gross nie zamierzał drażnić. Nie jego sprawa.

– Jak sytuacja z tym od psa? Uspokoiło się trochę? – zapytał.

– Przewieźliśmy go do aresztu w Toruniu. Groźba linczu minęła, chociaż nastroje nadal są złe.

Obawiam się, że telewizja w swoich reportażach je podkreśli, ale bezpośredniego zagrożenia już nie ma. Z psem gorzej, ale nim zajmują się weterynarze. Być może bunt przeciwko człowiekowi zmieni się teraz w łańcuszek szczęścia, bo ruszyła akcja ze zbieraniem pieniędzy na leczenie czworonoga. Ale mów, co u ciebie.

– Proszę mam.

– Napijesz się herbaty?

Gross podziękował, a Jojczyk odjechała na obrotowym krześle od biurka, po czym wstała i podeszła do wyglądającego jak zabawka ekspresu umieszczonego na komodzie.

– A ja zrobię sobie kawę, jeśli nie masz nic przeciwko – rzekła, wsunąwszy do urządzenia niewielką kapsułkę, po czym włączyła ekspres. Zabzyczał basowo jak wielki bąk. Podstawiła filiżankę w czerwone serca z napisem „Supermama”. Po chwili zaczął ją wypełniać brązowy płyn.

– Czy twoi ludzie trafili ostatnio na jakichś bezdomnych?

– Nie przypominam sobie, przynajmniej nie z raportów.

– Chodzi mi o nocne patrole. Mają obowiązek przeszukiwać tereny, w których koczują bezdomni?

– Zazwyczaj działa to tak, że po osiemnastej dzwoniemy do schroniska i podpytujemy, ilu wróciło na noc. Jeśli mamy sygnał, że kogoś brakuje, to wówczas dyżurny przekazuje tę informację patrolującym, a oni rozglądają się po stałych w zasadzie lokalizacjach. A czemu pytasz?

– Poszukuję jednego bezdomnego, ma na imię Heniek. Do tej pory nosił czerwony płaszcz. Damski.

– Szykowny facet. – Zaśmiała się.

Gross milczał, a wtedy Jojczyk wzruszyła ramionami, dając mu znak, że i tak nie wie, o kogo chodzi.

– Dlatego chciałbym wybrać się wieczorem z twoim patrolom na miasto.

Ekspres zasyczał. Z filiżanki szefowej pionu prewencji unosiła się para, a Gross poczuł przyjemny aromat wypełniający wnętrze niewielkiego gabinetu. Policjantka oparła się pośladkami o komodę i spojrzała na Grossa.

– Jasne, żaden problem. Z tego, co pamiętam, Stefański ma dziś nockę. Podjedzie po ciebie. Na którą ma być?

– Na dziewiętnastą.

– Mówisz, masz. – Jojczyk upiła niewielki łyk kawy, zostawiając na filiżance ślad bordowej szminki. – A ten Heniek to ma jakiś związek z tym twoim mężczyzną z łódki?

– Po prostu muszę z nim porozmawiać. A gdybyście namierzyli go wcześniej, to daj mi znać, proszę.

– Powiadomię patrole. Jak go odnajdziemy, zadzwonię. A jak nie, to wieczorem pewnie sam będziesz miał okazję.

Gross podziękował i zostawił Jojczyk z filiżanką kawy w wypielęgnowanych dłoniach.

Chwilę później komisarz rozmawiał z Andrzejem Tatarskim, analitykiem z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu. Znali się dobrze, współpracowali ze sobą przez długie lata. Tatarski był specem od

bilingów i namierzania telefonów.

– Miałeś tylko dwa połączenia z tego zastrzeżonego numeru? – spytał Tatarski.

– Tak, w odstępie kilku dni. I trzeba dodać, że były to krótkie połączenia.

– To akurat nie ma znaczenia, ślad w bilingach został. Ale jak zapewne wiesz, nie załatwię tego w godzinę. A bez wymiany oficjalnych papierów z operatorem nawet nie w dwa dni.

Gross skrzywił się. Powinien od razu, już po pierwszym połączeniu z nieznanym numerem, zlecić temat Tatarowi, jak nazywali analityka koledzy.

– Po prostu zrób, co w twojej mocy, i daj znać.

– Oczywiście, odezwę się.

Gross podziękował i rozłączył się. Wszedł z komisariatu z kartonem książek pod pachą i ruszył w stronę Rynku. Wszedł do narożnej kamienicy z żółtą elewacją, w której mieściła się biblioteka.

W dziale wypożyczeń nie było nikogo. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– Dzień dobry – powiedział.

Po chwili coś spadło z regału po lewej. Spojrzał w tamtą stronę. Lemańska kucnęła po książkę.

– Ale ze mnie niezgara. – Zaśmiała się. Założyła kosmyk włosów, który zachodził jej na okulary. – Co dla pana, panie komisarzu?

Gross rozejrzał się po wnętrzu sporego pomieszczenia, jakby chciał się upewnić, że są w nim sami.

– Przywiozłem książki – zaczął nieśmiało i postawił karton na biurku z komputerem.

Lemańska podeszła bliżej.

– Uwielbiamy prezenty. – Roześmiała się i chwyciła spore nożyczki. – Mogę otworzyć?

Popatrzyła na Grossa z miną dziecka wyczekującego niespodzianki.

– Może ja to zrobię – zaproponował i wyciągnął rękę.

Gdy położyła mu na dłoni nożyczki, poczuł ciepło jej palców.

Naciął taśmę samoprzylepną, która łączyła skrzydła kartonu, i otworzył go. Z wnętrza wyjął owinięte folią bąbelkową książki. Przekazał jej pakunek w takiej postaci.

– Aż tyle? – Uśmiechnęła się. – Czytelnicy będą wniebowzięci!

Kiedy ułożyła książki na blacie biurka, spojrzała na nie, a potem na Grossa.

– Dziękuję. Może pan częściej gubić nasze książki – zażartowała.

Gross odwrócił głowę i poczuł dziwny skurcz na twarzy.

– A jednak warto było – powiedziała niemal szeptem.

– Co było warto?

– Zażartować. W końcu się pan uśmiechnął. – Mrugnęła do niego.

Gross zmrużył oczy, bo nagle poczuł się nieswojo, jak uczeń podrywający szkolną koleżankę. Niby marzył o chwili sam na sam, a kiedy ta się wreszcie nadarzyła, nie umiał odnaleźć w sobie odwagi ani żadnego słowa z tych wielu, które pieczołowicie układał sobie w głowie, kiedy rozmawiał z nią w swoich marzeniach. I kiedy ona powiedziała tak. Teraz to wszystko wyparowało. Bał się, że już jest za późno.

– I w końcu też się zdecydowałem – powiedział i z trudem przełknął ślinę.

– Na co? Na jakąś książkę? Coś z tego, co nam pan kupił? – zaproponowała.

– Nie – odrzekł, próbując uspokoić oddech. – Chodziło mi o kolację.

Lemańska złożyła dłonie. Bił od niej wewnętrzny spokój i radość.

– O ile zaproszenie jest jeszcze aktualne. – Zmitygował się.

Bibliotekarka zaśmiała się i spuściła głowę.

– Jutro może być? – Promieniała uśmiechem.

– O ile nic mnie nie zatrzyma w pracy. – Gross spojrział na zegarek. – Muszę już iść, ale zapisałbym sobie pani numer telefonu.

– A może pan da mi swój?

Gross przedyktował dziewięć cyfr i skinął głową na pożegnanie.

– Do zobaczenia. – Usłyszał, gdy zamykał drzwi.

Wyszedł na Rynek i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak intensywnie basowo bije jego serce. Chciał zagłuszyć myśli, więc szybkim krokiem ruszył w stronę bazyliki, gdzie wkrótce miała rozpocząć się msza żałobna za Antoniego Bruździńskiego. Świątynia pękała w szwach. Na dziedzińcu wytyczonym niskim murkiem z cegły tłoczyli się odświętnie ubrani uczniowie tutejszych szkół. Pośrodku tej niewielkiej przestrzeni parkował czarny mercedes firmy pogrzebowej. Z prawej, w głębi kościelnego terenu, za figurką Chrystusa, znajdowała się plebania z umieszczoną na wysokim cokole drugą figurą – Matki Boskiej w niebieskiej szacie. Komisarz dostrzegł, że drzwi plebanii uchyliły się, a po chwili stanął w nich proboszcz ubrany w czarną kurtkę. Wymieniał ostatnie uwagi z młodym, rudym księdzem.

Gross przecisnął się obok samochodu do wnętrza kościoła, gdzie pod ołtarzem dostrzegł białą trumnę wystawioną na jasnym drewnianym katafalku, ozdobionym ładnymi białymi kwiatami, dla których Gross nie umiał znaleźć w pamięci żadnej nazwy. Przed trumną wystawiono portret tragicznie zmarłego nastolatka. Tę samą uśmiechniętą twarz młodego człowieka widział wczoraj wieczorem, kiedy stanął przy bulwarze, tuż nad brzegiem jeziora, dokładnie tam, gdzie mrok rozjaśniały dziesiątki zniczy.

Tuż przy ołtarzu stała trójka uczniów. Najwyższy chłopak trzymał szkolny sztandar, jego koleżanka ocierała białą rękawiczką łzy. Po lewej, w pierwszej ławce, siedziała ubrana na czarno kobieta z kilkuletnim chłopcem na kolanach. Krótco przystrzyżony szatyn, być może ojciec zmarłego, obejmował kobietę ramieniem.

Zanim zaczęła się msza, komisarz wyszedł na zewnątrz, ocierając się o stłoczonych wiernych. W portalu katedry minął się z burmistrzem. Wymienili szybki uścisk dłoni.

W końcu Gross z powrotem odetchnął mroźnym powietrzem i przeszedł w stronę bramy w ruinach dawnych chełmyńskich murów miejskich. Po chwili podeszła do niego Skalka w bejsbolówce na głowie.

– Rozmawiałam jeszcze raz z właścicielem pizzerii Romano – powiedziała szeptem, stanąwszy obok komisarza. Wbiła ręce w kieszenie pikowanej kamizelki i rozejrzała się.

Gross miał wrażenie, że dziewczyna trzęsie się z zimna.

– Wygląda na to, że ta dwójka chłopaków, z którymi spotkał się topielec, nie wróciła już do Romano – dodała policjantka. – Zastanawiam się, czy matka może coś o nich wiedzieć.

– Gdyby cokolwiek podejrzewała, na pewno by ci o tym powiedziała. – Gross potarł zziębnięte dłonie. – A co z komunikatorami, mediami społecznościowymi? Mamy coś w tej sprawie?

– Matka nie znała jego haseł. Gdybyśmy mieli się do nich dostać, potrzebowalibyśmy zgody prokuratora.

Gross dostrzegł w tłumie przed konkatedrą Jana Tarasewicza z żoną.

– Trzeba jeszcze sprawdzić papiarnię i cukrownię – polecił.

– Ale co? Monitoring?

– Tak. Mężczyzna z łódki, jeśli jest Sławomirem Tarasewiczem, to zapewne chciał zobaczyć syna. Chodzi więc o kamery, które łapią chodnik lub ulicę.

– Dobra, sprawdzę. A ty zostajesz?

Gross potwierdził.

Kiedy Skalka zniknęła z pola widzenia, komisarz wybrał numer do Otremby i wszedł na teren Przystani Tumskiej, miejsc noclegowych i wypożyczalni sprzętu wodnego. O tej porze roku było tu pusto. Schował się za ruinami murów. Sygnał był wolny, ale Otremba nie odpowiadał. Przekreślił więc do Skalki, która odebrała połączenie po dwóch sygnałach.

– Co jest?

– Zapomniałem zapytać o Otrembę. Widziałaś go? – spytał Gross.

– Podobno wziął urlop.

– Na dziś czy do końca tygodnia?

– Chyba tylko na dziś. Musiałbyś spytać Brandola.

– To on dał mu wolne? – Zdziwił się. – A co ze śledztwem w sprawie psa?

Skałka nie miała pojęcia o ich ustaleniach.

Gross się rozłączył.

Odczekał na zewnątrz do końca długiej mszy, w trakcie której obserwował młodzież. Poczuł, jak jego stopy zamieniły się w tym czasie w bryły lodu. Przeszłował z nogi na nogę, ale niewiele to dało. Kiedy formował się kondukt żałobny, który długą wstęgą skręcił w Tumską, Gross wymieniał spojrzenia z nastolatkami, którzy w skupieniu przechodzili obok niego. Obserwował, jak oddalali się w stronę cmentarza. Po chwili dostrzegł rudowłosego księdza, który wyszedł bocznym wyjściem z kościoła i zbliżał się do plebanii.

– Proszę księdza! – Gross podniósł rękę.

Duchowny zatrzymał się na schodach i odwrócił w jego stronę. Wiatr kołysał sutanną.

– Jedno słowo – dodał Gross, który ponownie wszedł na dziedziniec przed konkatedrą. Przedstawił się duchownemu i wyciągnął blachę. – Znał ksiądz zmarłego nastolatka?

– Czemu pan pyta? Przecież to był tragiczny wypadek, prawda? – spytał rudowłosy ksiądz. Jasną jak śnieg twarz znaczyły gęsto rozsypane piegi.

– Nic nie wskazuje na udział osób trzecich – zapewnił go Gross.

– To o co chodzi, panie komisarzu?

– Wolałbym, żeby to ksiądz odpowiedział na moje pytanie – rzekł twardo Gross.

Duchowny popatrzył na policjanta, potem rozejrzał się niespokojnie. Wreszcie nacisnął klamkę drzwi wejściowych do plebanii i otworzył je.

– Nie stójmy tak na mrozie. Niech pan wejdzie.

*

Gross wyszedł od księdza Rafała w chwili, gdy na teren konkatedry wjechał srebrny karawan, a kolejni żałobnicy gromadzili się w niewielkie grupki przed wejściem do świątyni.

Nie dowiedział się wiele, może z wyjątkiem tego, że chłopak długo wychowywał się bez ojca. Okazało się jednak, że ksiądz Rafał uczył Antoniego Bruździńskiego religii w liceum.

– To był spokojny chłopak, wrażliwy – wspominał zmarłego nastolatka. – Czasami miałem wrażenie, że zbyt wrażliwy. Chciał imponować kolegom, ale niespecjalnie miał czym, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Chodzi o to, że pochodził z biedniejszej rodziny?

Ksiądz potwierdził.

– Dzisiejsza młodzież... Nie, może nie powinienem tak mówić. – Zreflektował się, ale zaraz potem machnął energicznie ręką. – Ale jednak powiem. Ta dzisiejsza młodzież jest straszna. Wiem, bo na co dzień mam z nimi do czynienia. Noszą markowe ciuchy i buty nie po to, żeby się wyróżnić, tylko po to, by odciąć się od biedoty. Rozumie pan? Definiują się przez portfele swoich rodziców. Dają prawa równym sobie i odbierają je tym, którzy nie kupią nigdy sportowych butów za osiemset złotych, bo to więcej niż emerytura niepełnosprawnej babki, u której mieszkają w siódmkę na dwudziestu dwóch metrach kwadratowych. – Ksiądz przetarł kąciaki ust. – Nie będę oryginalny, ale konsumpcjonizm to rak, który najszybciej rozwija się właśnie w tej grupie społecznej.

– Czy chce ksiądz przez to powiedzieć, że Antoni czuł się osamotniony?

– Nie, tego bym nie powiedział. Starał się trzymać blisko klasowej czołówki. Jego atutem był sport, świetnie grał w piłkę, w miarę dobrze się uczył. Kiedy inni go potrzebowali, zasilał ich paczkę.

– Zawierał jakieś bliższe znajomości? Miał dziewczynę?

– Nie, nie sędzę. Chociaż czasami widywałem go, jak odprowadzał kolegów do szkoły muzycznej. Każdą chwilę wykorzystywali na pogaduchy.

– Z kimś konkretnym?

– Z paczką kolegów. Był tam, o ile dobrze pamiętam, Marcel, Remigiusz i Przemek.
– Wszyscy z jego klasy? – dopytał Gross.
– Nie, to właśnie było najdziwniejsze. Oni byli z różnych klas, ale jakoś dogadywali się ze sobą. – Duchowny zrobił skwaszoną minę.

Gross sądził, że to dlatego, że teoria o społecznym raku właśnie legła w gruzach.

– Wie pan... – ksiądz odezwał się ponownie. – To było jakieś dziwne, takie. No bo ci chłopcy z muzycznej to rzeczywiście finansowo inna liga. Nie że zaraz bogacze, ale zdecydowanie lepiej sytuowani niż inni, tu ze Starówki.

– Może założyli zespół? Albo chociaż o tym myśleli – zgadywał Gross.

Ksiądz potarł policzki.

– A wie pan, że faktycznie mówili coś o wspólnym graniu, słuchali podobnych zespołów, nawet mnie pytali, czy kojarzę Dire Straits. – Duchowny zamyślił się. – To może dlatego trzymali się razem? Bo muzyka to jednak ludzi łączy. Nie to, co te cholerne pieniądze.

*

Słońce wyjrzało na chwilę zza gęstych chmur. Cienie figurek Matki Boskiej i Jezusa układały się na śnieżnej powłoce jak dwie oddalone od siebie wskazówki zepsutego zegara.

W kieszeni kurtki komisarza odezwał się telefon. Gross spojrzął na wyświetlacz, ale numer nic mu nie mówił. Mimo to odebrał połączenie.

– Cześć, tu Wojtek Nowy, technik z Gdyni. Marian Chęciński mówił mi, że będziesz dzwonił. Przepraszam, że oddzwaniam dopiero teraz, ale mamy urwanie głowy. W czym mogę pomóc?

Gross powiedział mu, co go interesuje. Przypomniał Nowemu o odnalezionej w bagażniku mercedesa Tarasewiczów butelce. Zapytał o jej zawartość.

– Cholera, stara sprawa. Niewiele pamiętam. – Nowy zasępił się. – Ale ponieważ wiedziałem od Mariana, o co będziesz pytał, to wyjąłem sobie papiery z archiwum. Poczekaj chwilę, przewertuję.

Gross usłyszał, jak Nowy odkłada słuchawkę. Wykorzystał ten czas na krótki spacer.

– A tak, było coś takiego, faktycznie – odezwał się ponownie technik. – Kurczę, o ile dobrze pamiętam, to któryś z kolegów w końcu dotarł, co to było. No, i proszę. Mam!

– Czyli? – Gross usłyszał szelest kartek.

– To była wędkarska zanęta.

– Jesteś pewien?

– Tak. Podobno dość interesujący skład. Jakaś glina i larwy owadów. A! I jeszcze siemię lniane.

– Ochotki? – dopytał Gross.

– Powtórz, bo nie zrozumiałem.

– Czy te larwy to były ochotki?

– Poczekaj, sprawdzę.

Słyszał, jak Nowy czyta coś pod nosem, ale powiewy wiatru utrudniały Grossowi zrozumienie. Musiał czekać, na szczęście nie trwało to długo.

– Psia dupa, bingo! To były ochotki.

*

Bez problemu odnalazł kamienicę przy ulicy Błogosławionej Juty z widoczną nad wejściem białą tablicą chełmyńskiego oddziału Polskiego Związku Wędkarskiego. Kratę, za którą w głębokiej i ciasnej wnęce widniały skąpiane w półmroku brązowe drzwi, zamknięto na dwie kłódki. W oknie po

lewej dostrzegł informację o czwartkowych egzaminach na kartę wędkarską, które przeprowadzano w godzinach od szesnastej do siedemnastej. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze czas, będzie musiał tu wrócić. Przypomniał sobie, że w poniedziałek, po odnalezieniu zwłok nastolatka i bezdomnego, uzyskał ze Starostwa Powiatowego w Toruniu dane o właścicielu łódki pozostawionej na jeziorze. Skałka skontaktowała się wówczas z Czesławem Jeziórskim ze Złejwsi Małej, oddalanej od Chełmży w prostej linii na zachód o około trzydzieści kilometrów, ale mężczyzna przyznał, że sprzedał tę łódkę znajomemu swojego kolegi, którego nazwiska nie pamiętał. Nie przypominał też sobie, czy spisał z kupującym jakąkolwiek umowę na tę transakcję. Chodziło o jakieś śmieszne pieniądze, Jeziórski nie był w stanie przypomnieć sobie nawet sumy. Zarzekał się, że pamiętałby o odpowiednich kwitach, gdyby tylko przypomniał sobie o tym, że łódkę sam kiedyś zarejestrował w urzędzie. Obiecał, że wyprostuje te sprawy. Miał się odezwać do Skałki i spróbować ustalić nazwisko kupującego, ale do tej pory nie oddzwonił. Z informacji uzyskanych od mężczyzny wynikało, że pozbył się łódki, bo już wcześniej nie znajdował czasu na wędkowanie. Nie widział też sensu w ściąganiu łajby z jeziora i płaceniu za przewiezienie jej komukolwiek do jego garażu lub ogrodu.

Gross zastanawiał się, czy ustalenie właściciela łódki może mieć jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy, którą wciąż nieformalnie prowadził. Nieformalnie, bo nadal nie miał w garści żadnych argumentów dla prokurator Bilskiej, aby ta podpisała papiery o wszczęciu śledztwa. Postanowił jednak, że sprawdzi i ten wątek, chociażby tylko po to, by go wyeliminować. To dlatego, skoro Jeziórski do tej pory się nie odezwał, Gross uznał, że informacje w sprawie właściciela łajby uzyska w tutejszym kole wędkarskim. „Tu wszyscy wszystkich znają, więc nie powinno być problemu”, pomyślał. Odłożył sprawę do popołudnia i ruszył w stronę komisariatu.

Przeciął Sądową przed stojącym na skrzyżowaniu z Kopernika samochodem dostawczym.

– Panie, Sądowa jeden to tam? – spytał młody kierowca w czapce uszatce, wychyliwszy się nad opuszczoną boczną szybą.

Gross wskazał palcem na nowy budynek w kształcie litery „L”, którego dłuższy bok był równoległy do kościoła Świętego Mikołaja, a krótszy stał prostopadle do jeziora. To właśnie z tamtej części okna wychodziły wprost na bulwar i wodę. Gdyby nie żółty dom, który stał przy dłuższym boku i z którego komina snuł się w górę czarny, gryzący dym, otynkowany na szaro nowoczesny blok z zielonymi tarasami na dachu zgarnąłby nagrodę – jeśli tylko taka by istniała – za najlepszą lokalizację budynku mieszkalnego w Chełmży.

Kierowca podziękował i ze zgrzytem wrzucił jedynkę. Silnik zawył, a samochód przejechał za plecami Grossa, który wszedł do budynku policji.

Zajrzał do gabinetu Brandola i zapytał go o urlop Otremby.

– Jest na chorobowym. Powiedział mi tylko, że wszystko z tobą ustalił, że to było planowane. Zabieg jakiś czy coś? – spytał Brandol. Oparł się o biurko jedną ręką, a drugą masował wątrobę. Grymas twarzy zdradzał złe samopoczucie. – Podobno o tym wiesz. – Teraz Brandol wyprostował się. W zbyt obszernej koszuli, którą wsunął w spodnie, wyglądał jak chłopiec przebrany w ciuchy ojca.

– Nie, nie wiedziałem – stwierdził Gross.

– Cholera, mogłem się ciebie spytać. A bardzo komplikuje ci to robotę?

– Dam radę – stwierdził. – Bardziej martwię się o śledztwo w sprawie psa. Co w tej sprawie ustaliliście?

– Dałem się wykazać Nubińskiemu i Łoniewiczowi, którzy wspierali Otrembę podczas ostatniej akcji. A skoro już jesteś, możesz wejść na chwilę?

Gross przekroczył próg gabinetu i domyślił się, że powinien zamknąć drzwi. Wówczas Brandol dotknął długim kościstym palcem wskazującym zbindowanego kolorowego wydruku z wykresami i popukał w papiery.

– Źle to wygląda – rzucił, nie odrywając wzroku od materiałów.

Gross odstawił torbę na krzesło w pobliżu krótkiego stołu do odpraw i podszedł do kierownika pionu. Brandol był od niego niższy. Gross zerkał na papiery znad jego ramienia.

Statystyki.

Drobne kradzieże, włamania i rozboje. Słupki, które rosły z roku na rok. Wykrywalność pozostawała od lat mniej więcej na podobnym poziomie, ale nie o to przecież chodziło. Powinna rosnąć wraz ze wzrostem incydentów. A właśnie te pospolite, ale też najbardziej uciążliwe dla mieszkańców drobne przestępstwa spędzały sen z powiek szefostwu komisariatu i lokalnej władzy. Kłopot sprawiały też handel wraz z dystrybucją narkotyków i dopalaczy. Dlatego tak ważna była stała rozbudowa monitoringu miejskiego i ulokowanie kamer już nie tylko w centrum, ale również na pozostałych osiedlach.

Gross zrobił kilka kroków naprzód i stanął przy oknie. Wychodziło na Sądową. Patrzył, jak dwóch pracowników wynosi pudła z dostawczego samochodu i znika w szerokiej uniesionej bramie bloku. Domyślił się, że prowadziła do krytego garażu. Brandol w tym czasie narzekał na wyniki swojego pionu.

– Będzie jeszcze gorzej. – Gross przerwał mu w pewnym momencie. – Obaj o tym wiemy, wie też szefostwo i lokalna władza. Jasne, na poziomie statystyk zawsze można coś pokręcić i udawać, że jest lepiej niż było.

– Nie powinieneś tak mówić. – Brandol ponownie pomasaował się po wątrobie.

Gross spojrział na niego przez ramię.

– Nie? A dlaczego?

– Jesteś oficerem i...

– Jestem realistą. Trudno oczekiwać cudów od ludzi, którzy finansowo ledwo wiążą koniec z końcem, a na dodatek w domu są tylko gośćmi. A poza tym widzisz nasz nowy narybek, który dostaje się tu po testach, które zdałyby rozgarnięte dzieci z podstawówki. O testach sprawnościowych chyba nawet nie warto mówić.

– To nie jest żadne wytłumaczenie. – Brandol rozłożył długie ręce. Jego chuda klatka piersiowa tonęła w niebieskiej koszuli.

– Owszem, jest. Tak samo jak nakłady na policję. Nie muszę ci przypominać, ile radiowozów stoi w garażu i w jakim są stanie.

– To nie jest żadne wytłumaczenie. – Brandol twardo powtórzył swoją kwestię. – I chciałbym, żebyś wziął sobie tę radę do serca.

Gross odwrócił wzrok i spoglądał, jak kierowca dostawczego samochodu zatrzaskuje tylne drzwi. Kiedy to zrobił, ściągnął czarne rękawiczki i przeszedł po rozjeżdżonym brudnym śniegu w stronę szoferki.

Brandol rozgadał się jak nakręcony, ale zdaniem Grossa napady słowotoku jego szefa należało przeczekać. Nie słuchał go. Wolał patrzeć na to, co dzieje się pod nowoczesnym blokiem. Kierowca wrócił na tył auta i czekał.

– I to musi się zmienić!

– Słucham? – Komisarz tym razem nie odwrócił się do rozmówcy.

– Powiedziałem – sapnął Brandol – że w zakresie działań wykrywczych kradzieży i włamań oczekuję, w szczególności od ciebie i twojego zespołu, wyższej skuteczności. Mamy luty, a styczeń pokazuje, że zmierzamy w bardzo złym kierunku.

Wiedział, do czego szef pionu zmierza. Wszystko zostało powiedziane. Gross podciągnął rękawy swetra i wsunął dłonie w kieszenie sztruksów. Już miał skierować się do wyjścia, kiedy do kierowcy na dole podeszła kobieta. Wyjęła z torebki portmonetkę i zapłaciła mężczyźnie. Ten uklonił się i zniknął w szoferce.

– Słyszałeś? – spytał Brandol.

Gross nie przejmował się szefem. Wpatrywał się w scenę za oknem. Wóz ruszył, a kobieta odwróciwszy się do bramy, wyjęła z kieszeni płaszcza mały przedmiot i uniosła go w stronę otwartego wjazdu do garażu. Jak na zawołanie czarne kasetony wyjechały spod sufitu i brama się zamknęła. Kobieta ostrożnie stawiała nogi w wysokich kozakach, których noski tonęły w grząskim rozjeżdżonym śniegu. Szła na palcach w stronę wyłożonego brukiem parkingu. Otworzyła drzwi i usiadła na fotelu pasażera w eleganckim granatowym SUV-ie kia, którego modelu Gross nie rozpoznał. Po chwili wóz

wytoczył się z parkingu, ale komisarz nie musiał nawet zgadywać, kto go prowadził. Mężczyzna rozmawiał przez telefon, trzymał go przy uchu jedną ręką, a drugą dłoń zaciskał na kierownicy.

Gross patrzył na odjeżdżający wóz, a kiedy ten zniknął za zabudowaniami, odwrócił się do wciąż gadającego Brandola i powiedział:

– Muszę już iść.

I wyszedł.

*

Komisarz sięgnął po telefon i wybrał numer do Skalki. Zapytał ją o kontakt do dewelopera, który postawił blok przy Sądowej 1.

– Chcesz namiary na szefa tej spółki czy kontakt do siedziby? – spytała.

– Na kogośkolwiek, kto pokaże mi wnętrza.

– Daj mi chwilę – poprosiła. – Szefem jest znajomy moich rodziców. Oferował mi kawalerkę po niższej cenie.

Podszedł do bloku, dokładnie do tego miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stał samochód dostawczy. Przyjrzał się bocznej ścianie, tej z bramą do garażu, i dwóm oknom na trzeciej kondygnacji oraz dwóm drzwiom balkonowym z balustradami. Ściana frontowa wyglądała ciekawiej. Parter i pierwsze piętro pokrywał szary tynk, a pozostałą część zdobiła goła cegła w kolorze bordo. Dobrze komponowało się to z elewacją kościoła Świętego Mikołaja. Gross popatrzył też na niewielkie balkony na trzeciej kondygnacji, z których dzięki kręconym ażurowym schodom można się było dostać na tarasy zlokalizowane na dachu. Wszedł na nieogrodzony teren posesji i zdziwił się, że w drugiej części bloku, zwróconej do jeziora, balkony na parterze stykają się z gruntem. „Łatwo byłoby dostać się do wnętrza mieszkania przy uchylonych na noc drzwiach balkonowych lub oknach”, pomyślał. Zszedł schodami ze skarpy w stronę bulwaru i odwrócił się w kierunku bloku, a potem spojrzął na jezioro.

Wtedy oddzwoniła Skalka i przedyskutowała mu numer telefonu dewelopera. Gross zanotował go, kreśląc cyfry palcem w nietkniętej pokrywie śnieżnej na skarpie. Potem przepisał je do komórki, a nogą zagarnął śnieg. Zadzwonił dwukrotnie, ale nikt nie odbierał. Po chwili ktoś wyszedł z bloku. Gross spojrzął w stronę młodego przystojniaka w ciemnym płaszczu. Kilka chwil później znajomy numer wyświetlił się na komórce Grossa. Komisarz odebrał bez wahania i przedstawił się, a następnie poprosił o spotkanie przy Sądowej 1.

– Jest tam mój człowiek, handlowiec – oznajmił mężczyzna. – Wszystko panu pokaże.

Gross podszedł do drzwi i czekał.

Po chwili przystojniak wrócił. Rozpiętym płaszczem narzuconym na granatowy garnitur szarpał wiatr. Handlowiec trzymał w dłoni telefon w skórzanym etui.

– Waldemar Nitecki – powiedział gładko ogolony facet o przyjemnych rysach i gęstych, niemal czarnych brwiach.

Gross wyciągnął rękę i też się przedstawił. Wtedy do jego nozdrzy dotarł zapach wody toaletowej z nutą sandałową.

– Co pana sprowadza? – zapytał Nitecki. – Chodzi o mieszkanie?

Omiótł wzrokiem blok.

– Są jeszcze jakieś wolne?

– Niedawno były dwa. Teraz już tylko jedno. Kawalerka na parterze. – Wskazał na róg bloku kończącego się nad skarpią. – Dwadzieścia osiem metrów kwadratowych, salon połączony z kuchnią, może być otwarta lub zamknięta, według życzenia. Ścianki działowe stawiamy w miejscu ustalonym przez klienta. Pan szuka czegoś dla siebie?

– Nie. Bardziej interesuje mnie inna rzecz. – Sięgnął po policyjną odznakę i pokazał ją Niteckiemu. – Wiem, że sprowadził się tu syn zaginionych dziesięć lat temu Tarasewiczów. Który

lokal zajmuje?

Nitecki schował telefon do wewnętrznej części płaszcza.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Nie mogę powiedzieć.

Nitecki zgubił uśmiech, a wolną dłonią potarł nos.

– Głupia sprawa – rzekł. – Nie wiem, czy mogę przekazać panu te informacje.

– Nie chodzi o to, czy pan może, tylko czy zrobi pan to dobrowolnie tutaj, czy na komisariacie, składając wyjaśnienia w obecności prokuratora. Poza tym rozmawiałem z pana szefem, który obiecał mi, że nie będzie pan robił żadnych problemów.

– Czy ten Tarasewicz coś przeskrobał?

Gross milczał i patrzył na dewelopera.

– No dobra, to chodźmy na górę – rzucił Nitecki.

Przystojniak wyjął plik kluczy z kieszeni i otworzył drzwi. Gestem zaprosił Grossa, ale ten dał mu znak, że będzie szedł za nim.

Weszli do ciemnej klatki schodowej, którą po chwili rozświetliły automatycznie sterowane lampy. Przeszli na pierwsze piętro i wąskim korytarzem, który skręcał w prawo, dotarli do drzwi z siódmką. Odgłosom ich kroków cały czas towarzyszyło echo.

Nitecki otworzył mahoniowe drzwi do mieszkania. Tym razem Gross wszedł pierwszy i stanął na środku obszernego pomieszczenia wyłożonego czarną folią, na której zbierał się pył budowlany. Szeleściła przy każdym jego kroku. W dziurze w folii dostrzegł drewniany fragment podłogi albo płytek imitujących drewno. Na każdej z trzech otaczających go ścian znajdowały się drzwi balkonowe, ale tylko te naprzeciwko niego prowadziły na balkon, z którego rozciągał się bezpośredni widok na zamarznięte, białe jezioro. Przy pozostałych zamontowano balustradę.

Zajrzał do połączonej z salonem kuchni. Spod przezroczystej folii połyskiwały białe fronty mebli i granatowe blaty. Wysoki stół i hokery też okrywała szczelnie zaklejona folia. Na stole dostrzegł karton.

Potem popatrzył na schody w rogu pokoju.

– To mieszkanie Jana Tarasewicza? – spytał.

Nitecki potwierdził.

Gross rozpiął kurtkę, bo było tu ciepło.

– Kiedy Tarasewiczowie kupili to mieszkanie?

– Mieszkanie jest kupione na niego. Pierwszą ratę wpłacił przelewem dwa miesiące temu.

Drugą miał wpłacić do końca stycznia.

– Miał?

– Chodzi o to, że aneksowaliśmy umowę. Mieszkanie miało być gotowe do przeprowadzki z początkiem lutego, ale realizowaliśmy inną inwestycję i firma, która stawiała tu ścianki działowe, musiała zakończyć najpierw prace w Bielczynach. W przeciwnym razie naszej firmie groziły wysokie kary. Szef powiedział to uczciwie Tarasewiczowi, ale ten nie miał, jak się okazało, żalu. Mówił, że dach nad głową ma. Podpisał aneks, a ścianki postawiliśmy pod koniec stycznia.

– Wszystkie prace zostały już zrobione?

– Zlecił nam wykonanie wewnątrz, dlatego wciąż mam klucze. Pozostały drobiazgi, które dziś dogadaliśmy. Zrobiłem protokół.

– A rzeczy, które dziś przywiózł?

– Po uzgodnieniu z szefem poleciłem mu zostawienie ich w części garażowej. Jest tam spore pomieszczenie, które ma być siłownią, ale sprzęt jeszcze nie dojechał, więc na ten czas mogę przetrzymać tam jego bambetle.

– Niewiele ich było.

– Zgodnie z jego życzeniem wcześniej wykonaliśmy górę. Spędził tu już nawet kilka nocy.

– Kiedy?

– Ostatnio. To znaczy wtedy, kiedy ci od wewnątrz mieli chwilową przerwę.

Gross pokiwał głową i znowu spojrzął na schody.

– Co jest na górze?

– Trzy sypialnie i łazienka. No i mała loggia, z której jest wejście na wyższy taras, ten na dachu, z pięknym widokiem na jezioro.

Gross podszedł do podnóża schodów i spojrzął w górę.

– Nie powinien pan bez nakazu. On ma tam swoje rzeczy osobiste. Pomieszkuje tam czasem.

Policjant zgodził się z nim.

– Niech pan idzie pierwszy. W razie czego zaświadczy pan przed prokuratorem, że niczego nie ukradłem.

Nitecki z niechęcią pokręcił głową, ale zrobił to, o co prosił Gross.

– Tylko niech mu pan nic nie mówi, że pana tu oprowadzałem, dobrze? – rzekł, gdy wspinali się po wąskich stopniach.

Kiedy byli w połowie schodów, zadzwonił telefon handlowca.

– To Tarasewicz – wystraszył się sprzedawca, po czym odebrał połączenie. – Tak, jestem tu, panie Janie.

Chwilę słuchał, po czym wszedłszy na piętro, rozciągnął poły folii zwieszającej się z sufitu. Stanowiła zabezpieczenie przed pyłem przedostającym się z dołu.

– Dobrze, zaraz to załatwię, niech się pan nie przejmuj – obiecał Nitecki. – Wróciłem jeszcze na Sądową, bo mam klienta na to ostatnie mieszkanie.

Gross rozejrzał się po gustownie urządzonych wnętrzach. Jedno z pomieszczeń wyglądało jak centrum dowodzenia NASA. Na centralnie ustawionym biurku znajdowały się trzy monitory i wysokiej jakości sprzęt komputerowy. Obok był pokój dziecięcy z wymalowanymi ścianami, z których spoglądał na komisarza wesoły bałwanek i renifer, a także dwie dziewczynki. Gross obstawiał jakąś bajkę Disneya. W trzeciej sypialni stało wąskie łóżko i pusty regał. Na koniec zajrzał do łazienki z przeszklonym prysznicem, na którego mlecznej ścianie widniała grafika przedstawiająca wieżę ciśnienia w Chełmży. Ostra kreska podkreślała spadzisty kopertowy dach z wykuszami i szachulcową zabudowę zbiornika wodnego. Poniżej rysownik umiejętnie odwzorował neogotycką elewację z podłużnymi strzelistymi oknami.

– Ile kosztuje takie lokum? – zapytał tuż po tym, jak Nitecki zakończył wreszcie rozmowę ze swoim klientem.

– To akurat żadna tajemnica. Cztery i pół tysiąca za metr kwadratowy – rzekł handlowiec.

– Sto metrów?

– Niespełna. Dokładnie nieco ponad dziewięćdziesiąt jeden.

– Prawie pół miliona. – Gross przeliczył szybko. – A wie pan, ile życzył sobie za swój dom?

– Za dom?

– Tak, ten przy Moniuszki.

– Z tego, co wiem, nie jest na sprzedaż. Oferowaliśmy mu nawet odkupienie i rozliczenie domu w cenie mieszkania, ale powiedział, że dom chce zostawić.

Gross przeszedł obok Niteckiego w stronę tarasu i wyjrzał przez drzwi balkonowe, przy których znajdowało się krzesło. Ustawiono je tak, by można było obserwować to, co działo się na zewnątrz. Komisarz stanął za oparciem. Po prawej dostrzegł ażurowe kręcone schody, które pięły się na dach. Ale jego uwagę zwróciło coś jeszcze. Coś, czego nie dostrzegł, kiedy wyglądał przez okna na niższej kondygnacji. Wtedy jednak nie mógł tego zauważyć, bo widok przesłaniały zabudowania przystani wioślarskiej.

Dał Niteckiemu znak, by zeszli na dół. Kiedy mężczyzna zaczął schodzić po schodach, Gross raz jeszcze spojrzął na krzesło przed drzwiami balkonowymi.

W salonie Nitecki sięgnął po karton znajdujący na stole w kuchni. Zabrał go i skierował się do drzwi. Sprzedawca z trudem sięgnął do klamki, a kiedy wyszli na korytarz, poprosił Grossa o potrzymanie kartonu.

Komisarz zerknął do pakunku. Zobaczył w nim złożony statyw i podłużne pudło z rysunkiem

lunety.

- Co to? – spytał Niteckiego, który zdążył właśnie zamknąć mieszkanie na klucz.
- Prezent dla małej, która chce zostać astrologiem.
- Chyba astronomem – poprawił go Gross.
- No w każdym razie chce patrzeć w gwiazdy. Właściciel prosił, żebym przechował to dla niego w garażu. Nie chciał, żeby mała natknęła się na lunetę, jak przyjadą do domu – stwierdził mężczyzna, odebrawszy karton.

*

Prosto z Sądowej Gross skierował się na Rynek Bednarski do baru Anna. Tam zamówił fasolkę po bretońsku z bułką oraz herbatę z cytryną. Za wszystko zapłacił drobnymi, które wyjął z kieszeni. Równo jedenaście złotych. W lokalu była jeszcze jedna osoba, zajęła miejsce w pobliżu lady. Natomiast komisarz usiadł przy oknie i przez przymknięte żaluzje obserwował drogę z Rynku do ratusza. Ściemniło się. Mieszkańcy tonęli w głębokiej szarudze, upodabniając się do zjaw z opuszczonymi głowami, podążających prosto przed siebie, pochylonych przed porywami wiatru. Jeszcze chwila i ulice Chełmży opustoszeją, wiedział o tym doskonale. Tak było codziennie. Ale właśnie to mu w tym mieście odpowiadało. Cisza i wytchnienie. Niczego więcej nie pragnął.

Spojrzał na zegarek. Było po czwartej. Usłyszał numer swojego zamówienia. Przez to, że od dłuższego czasu burczało mu w brzuchu, posiłek zjadł w pośpiechu, parząc sobie podniebienie. Odczekał więc, aż herbata się wystudzi, i dopiero potem ją wypił. Odstawił naczynia i wyszedł.

Wiatr się nasilił. Gross przeciął Rynek po przekątnej, a kiedy dotarł do Tumskiej, z nieba zaczął sypać gęsty śnieg. Mrużył oczy i postawił kołnierz skórzanej kurtki. Skręcił w lewo w Błogosławionej Juty i stanął przed wejściem do pomieszczeń koła wędkarskiego. Wiatr rozpędzał się w wąskiej ulicy do niebotycznych prędkości. Tym razem krata była otwarta. Gross zadzwonił domofonem, a po chwili ktoś po drugiej stronie zwolnił elektromagnes. Komisarz z ulgą wszedł do cichego i spokojnego wnętrza. Przywitał się ze starszym mężczyzną w okularach, ubranym w grubego golf z narzuconą na ramiona wędkarską kamizelką z wieloma kieszeniami. Nosił spodnie odprasowane w kant.

- Niech pan komisarz siada – powiedział, sprzątnąwszy papiery na biurku.

Gross dostrzegł na nim także *Atlas wędkarski* w sztywnej oprawie z zaznaczonymi kolorowymi fiskkami na poszczególnych stronach.

- Dziś egzaminu nie będzie, mam więc trochę czasu. W sumie zimą nie musielibyśmy tu przychodzić, ale porządek czasami warto zrobić w biurze, no i odpocząć od żony trochę. Latem łatwiej, człek tylko wędkę chwyci i już nie słyszy tego gderania. A cisza i spokój od czasu do czasu każdemu się przyda, prawda?

Gross przytaknął się, żeby mężczyźnie nie przyszło do głowy rozwijać wątku.

- A pan komisarz wędkuje?

– Nie. Nigdy mnie to nie pociągało.

– Bo pewnie pan nie próbował. Jak się raz spróbuje, to nie ma siły. To jest, wie pan, jak narkotyk. Wciąga strasznie. A i piwko można sobie spokojnie wypić, umysł wyciszyć. Tyle to już lat na tym padole ciągnę i mówię panu, nic lepszego nie znalazłem. No może z wyjątkiem, wie pan komisarz... bara-bara. – Zaśmiał się rubasznie. – Ale na emeryturze to ja już częściej na te rybki chodzę.

Gross rozsiadł się na krześle przed biurkiem.

Wciąż miał przed oczami widok z drugiej kondygnacji nowego mieszkania Tarasewicza. Okno tarasowe wychodziło wprost na jezioro i znajdującą się na nim czerwoną łódkę.

- Ale co pana komisarza sprowadza w nasze skromne progi? – Mężczyzna trzymał dłonie na blacie.

- Łódka.
- Chce pan komisarz kupić?
- Chcę zapytać, do kogo należy łódka, która zamarzła na jeziorze.
- O cholera, pewnie chodzi o tego trupa, tak?

Gross milczał.

– No więc, powiem panu komisarzowi, że myśmy chyba wszyscy po kolei mówili, że tę łajbę trzeba zabrać na brzeg, że nie powinno się jej zostawiać na zimę na wodzie, bo to pewne, że laminat, ściśnięty przez lód, strzeli i łódkę szlag trafi. I każdy z nas mu to mówił, ale nie wiem, czy zarobiony był, czy zapominał, aż wreszcie mróz ściał jezioro, no i mamy to, co mamy. – Rozłożył ręce.

– Kto?

– Ten, no... – Emeryt szukał w pamięci nazwiska. – Zdzisław Czerpak z Browiny.

– Ma pan do niego jakiś kontakt?

– No pewnie, że mam. Zaraz odnajdę. – Otworzył szufladę i wyjął z niej stary notes na telefony z okładką w szkocką kratę.

Po chwili przedyktował namiary na Czerpaka.

– Dostanie mandat, co? – zapytał z troską emeryt.

– Nie ode mnie – stwierdził Gross, wstając. – Nie mam bloczku.

*

Wiatr wciąż podrywał z ulic tumany sypkiego śniegu i gwizdał przeciągle.

Gross z trudem przedostał się na drugi brzeg jeziora po pomoście. Chwilami musiał przystawać i łapać się balustrady.

W domu odwiesił mokrą kurtkę na oparciu krzesła i ustawił je blisko kuchenki gazowej. Nastawił wodę i potarł dłonie.

Odkręcił kran i zaczął myć naczynia, które zostawił rano w zlewie i zalał wodą. Kubek, talerz i kilka sztućców. Odstawił je na suszarkę a mokre ręce wytarł w niewielki ręcznik. Zajrzał do lodówki, żeby wyjąć kostkę twarogu, który pociął na grube plastry i położył na przesmarowanym masłem chlebie. Całość posypał cukrem. W kubku zalał wrzątkiem herbatę ekspresową i zaniósł, razem z talerzem, do pokoju, wreszcie usiadł przy stole.

Niespiesznie jadł kolację, spoglądając za okno, ale niewiele mógł dostrzec. Zresztą z tej perspektywy nawet za dnia widział tylko niebo albo skłębione chmury. Teraz jednak włączone w kuchni światło sprawiło, że Gross widział w szybie wyłącznie własne odbicie.

Przez chwilę patrzył na powolne, niemal anemiczne ruchy. Prawa ręka zbliżała się do talerza i podnosiła w kierunku głowy, po chwili to samo robiła lewa, tyle że w niej zamiast kanapki tkwił kubek.

Kiedy zadzwonił telefon, Gross odwrócił się w stronę kuchni i nasłuchiwał. Po piątym sygnale wstał i zbliżył się do krzesła z zawieszoną na nim kurtką. Wyciągnął aparat z kieszeni.

Syn.

Mężczyzna poczuł ukłucie rozchodzące się krótką falą w lewej stronie klatki piersiowej. Zanim odebrał, położył sobie rękę na sercu i próbował delikatnie rozmasować bolące miejsce.

– Halo – rzucił.

Odpowiedziała mu cisza. Miał wrażenie, że spóźnił się dosłownie o sekundę.

– Bartek? – spytał i odsunął słuchawkę od ucha. Upewniwszy się, że rozmowa nie została przerwana, a na ekranie smartfona wciąż wyświetlało się imię jego syna, ponownie się odezwał.

– Bartek, jesteś tam?

– Co słychać?

Głos Bartka brzmiał matowo. Dopiero teraz Gross usłyszał w tle hałas miasta, zgrzyt stalowych

kół trących o szyny. W końcu długi i nieznośny pisk.

– Jesteś na dworcu? – spytał syna z rosnącą nadzieją.

– Tak.

Gross usiadł. Napięcie opuszczało go powoli, ramiona zwiesił swobodnie i czekał.

– Mam wyjechać po ciebie na dworzec?

– Nie jadę do Torunia – wybełkotał.

Nadzieja odpłynęła z silnym prądem zwrotnym. Zastąpił ją strach. Syn musiał być pijany.

Znowu.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że mam tego serdecznie dość.

– Czego? – spytał komisarz.

– Wszystkiego mam dość, kurwa, rozumiesz?

– Dlaczego nie przyjedziesz? – spytał, puszczać mimo uszu informacje, które przekazał mu

syn.

– To wszystko jest bez sensu. – Jego głos zagłuszyły charakterystyczne dźwięki rozpoczynające komunikat na dworcu i zapowiedź przyjazdu pociągu.

Gross rozejrzał się bezradnie po ścianach kuchni.

– Może jednak byś przyjechał?

– Daj mi spokój, ojciec.

– Jeśli nie chcesz do mnie, mógłbyś do mamy. Myślę, że...

– A komu to pomoże? – przerwał syn.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz. Jestem przekonany, że nikt tego nie rozumie tak dobrze jak ty. Nikt, tak jak ty, nie jest pozbawiony nadziei.

– Chodzi o to...

– Od kiedy wierzysz w stymulację wieno... wiele... zmy... słową? – Z trudem wybełkotał właściwe słowo.

Gross milczał.

– Od kiedy wierzysz w te brednie, co? – Głos syna podniósł się o ton.

Policjant położył sobie dłoń na spiętym karku.

– Mariolka, która leżała z mamą, właśnie się wybudziła. Stymulacja daje szansę... – zaczął.

– Szansę?! Do jasnej cholery! – Coś zazgrzytało w telefonie. – Nie wierzę. Nie wierzę, że o tym mówisz! Czy ty w ogóle siebie słyszysz? Kurwa, ojciec!

Gross opuścił wzrok. Śledził teraz przebieg ciemnych linii fug w podłodze z płytek ułożonych w karo.

– To twoja matka.

– A ja pytałem, komu pomoże mój przyjazd?

– Ona powinna...

– Myślisz, że właśnie teraz jej to pomoże? To dlaczego, do cholery, nie pomogło jej wtedy, kiedy byłem u niej codziennie, co? Kiedy odwiedzałem ją każdego dnia, kiedy siadałem na tym jej pieprzonym łóżku i czytałem na głos moje ulubione bajki, a potem komiksy. Kiedy pokazywałem jej moje rysunki i rozmawiałem z nią, nie zważając nawet na to, że przecież nie odezwie się do mnie ani jednym słowem.

Gross nabrał powietrza, szykując się na najgorsze. Zazwyczaj po wysłuchaniu podobnych zwierzeń zaczynał się prawdziwy ostrzał. To on miał ostatecznie być wszystkiemu winny, on, policjant, który za wszelką cenę powinien strzec swojej rodziny, własnej żony i jedyne go syna. Pamiętał jak dziś, kiedy Bartek z dnia na dzień wyrzucił swój policyjny mundur i czapkę, a także lizak, z którym wystąpił na zabawie karnawałowej w szkole.

– A czy ty wciąż ją odwiedzasz? – spytał syn.

– Przecież ci mówiłem...

– Nie chodzi o mamę.

Gross zamilkł.

– Chodzi o córkę tej zabitej – dokończył syn.

Komisarz trzymał telefon przy uchu i czekał. Długo czekał, nie wiedząc co powiedzieć, aż w pewnej chwili usłyszał przytłumiony głos syna, który ewidentnie zwracał się do kogoś innego.

– I się kurwa rozłączył... No, kurwa, pięknie... Tatulek od siedmiu boleści...

Połączenie zostało przerwane. Policjant odłożył telefon na stół i wówczas usłyszał dudnienie serca w klatce piersiowej. Odczekał chwilę, wstał i przeszedł do pokoju dziennego. Zegar wiszący za kilka minut miał oznajmić dziewiętnastą.

Gross nie miał już ochoty na jedzenie.

Poderwał się, kiedy znowu zadzwonił telefon. Nie chciał brnąć w kłótnię z synem, więc nie zamierzał odbierać, gdyby to był syn. Gross spojrzał na wyświetlacz i odetchnął.

– Halo.

– Hej, tu Marian – odezwał się technik. – Przepraszam, że dopiero teraz, ale wierz mi, wcześniej się nie dało.

– Co jest?

– Chciałeś mieć daktyloskopię ze znicza.

– Tak. Jest coś interesującego?

– Powiedziałbym, że nawet bardzo.

Gross automatycznie ściągnął brwi.

– Na pokrywie nie znaleźliśmy niczego wartościowego, ujawnione ślady są dynamiczne i mało przydatne.

– A na szkle?

– A na szkle, kochany, zdjąłem cztery pięknie zachowane linie papilarne lewej ręki. Podręcznikowy przykład. Z jednej strony kciuk, a z drugiej, od góry jeden po drugim, w lekko skośnym ułożeniu palec środkowy, serdeczny i mały.

– Wiesz do kogo należały?

– Nie – stwierdził Chęciński. – Kartę wysłałem ci mailem. Rano poleci do laboratorium. Za tydzień powinieneś sobie porównać.

– A może by ten twój biegły zerknął na to?

– Chciałem go poprosić, ale wyjechał na konferencję do Niemiec. Może jak wróci, ale to i tak za kilka dni, więc chyba jednak lepiej się wstrzymać i mieć pewność.

– Tak będzie najlepiej – odezwał się bez entuzjazmu Gross.

*

Komisarz szarpnął boczne drzwi policyjnego ducato, które odjechały ze zgrzytem i zablokowały się, pozwalając mu na swobodne wejście do pojazdu. Dopiero kiedy usiadł, zwolnił blokadę i szybkim ruchem pchnął je, żeby zamknęły się z głośnym zgrzytem. Ściągnął wełniane rękawiczki i przywitał się z aspirantem Januszem Stefańskim i młodym kierowcą, sierżantem sztabowym Marcinem Pokrzywą.

– Dokąd najpierw, panie komisarzu? – spytał Stefański, dobrze zbudowany chłop z kwadratową szczęką.

Kierowca ruszył wolno, wycieraczki ze zgrzytem czyściły wielką przednią szybę z sypiącego gęsto śniegu. Radiowóz zakołysał się na białej, pełnej wyrw i kolein ulicy Plażowej. Po chwili skręcili w prawo, w Kościuszki.

– Wy mi powiedzcie. Szukam bezdomnego Heńka. Podobno jeszcze niedawno chodził w czerwonym damskim płaszczu.

– Nie wiem, czy dziś rano go nie widziałem – rzucił kierowca. – Przy poczcie stał.

– To nie on. Z tym akurat rozmawiałem – stwierdził Gross.
– Jak nie on? – Kierowca się obruszył. – To on. Na sto procent.
– Nie, nie. Pewnie zmylił pana ten płaszcz – zapewnił go Gross. – Ten bezdomny podobno dostał go od tego Heńka.

Stefański przysłuchiwał się tej rozmowie, aż w końcu sam się odezwał.

– A miał przy sobie *W pustyni i w puszczy*? Czy czasem nie wystawiała mu książka z kieszeni tego płaszcza?

Gross potwierdził.

– Rudawa broda i dłuższe siwe włosy? – upewnił się aspirant.

Komisarz nic nie odpowiedział, ale zdał sobie sprawę, że Heniek go wykiwał.

– Wie pan, dlaczego nazywają go Heńkiem? – spytał Stefański. – Podobno zdiagnozowano u niego kiedyś łagodną postać schizofrenii. Twierdził, że jest Henrykiem Sienkiewiczem i że właśnie skończył pisać *W pustyni i w puszczy*.

– *Bwana kubwa* – mruknął Gross.

– Też tak pana nazywał? – Pokrzywa się zaśmiał.

Stefański mu wtórował.

– Ale to nic. Pan sobie wyobrazi, że kiedyś na patrol pojechała z nami szefowa.

– Jojczyk?

– Nie, skąd. – Uniósł palec wskazujący w kierunku podsufitki.

– Komendantka? – Gross nie dowierzał.

– Też kiedyś kazała się tak do północy po Chełmży wozić, żeby zobaczyć, z jakim elementem mamy tu na co dzień do czynienia. A moim zdaniem to ona całe życie za biurkiem siedziała, to nawet nie wie, jak to jest na patrolu. Pana to nie dotyczy, komisarzu, bo pan tak jak my ciągle w terenie, a ona stale w biurze. To ja jej mówię, bez krępacji, że my w dwóch różnych firmach pracujemy. Słowa nie powiedziała, a ja walę ją pod siusiu dalej, że policja powinna być jak McDonald. Każdy robotę powinien zaczynać od bruku i drogówki, a nie że się tylko do stołka dochrapać i dupę za biurkiem posadzić.

Stefański podrapał się w uchu.

– No dobra. – Zreflektował się. – Ale ja o czym innym miałem mówić. No więc, wtedy z komendantką też odwiedziliśmy dworzec. Było jeszcze jasno, bo to dopiero co lato się skończyło, ale noce były już chłodne. I w pewnym momencie wychodzimy na peron... – Zaśmiał się Stefański.

Przerwał na chwilę, żeby opanować śmiech, a wtedy kierowca parsknął na samo wspomnienie tej opowieści.

– A tu Heniu, nawalony jak messerschmitt, kuca między szynami za potrzebą, a po tych szynach na stację wjeżdża osobowy z Bydgoszczy. Heniu go nie widzi. Dupę wypina, a przy tym na głos z pamięci Sienkiewiczem jedzie, jakiś fragment o tym, że Kali kocha małą *bibi*. A komendantka w ryk, żeby go ratować. To tak się Heniu przeląkł, że ruszył naprzód, tylko gaci podciągnąć już zapomniał, więc się wyłożył jak długi. Pociąg wjechał na peron, maszynista sygnałem dał po garach, ale skład już nie wyhamował. Myśleliśmy, że już po Heńku. A ten pajac, kiedy pociąg się wreszcie zatrzymał, wyturlał się spod wagonu i spieprza.

Pokrzywa zarechotał.

– A maszynista to mało co zawału nie dostał – kontynuował Stefański. – Zresztą ta nasza mała *bibi* też. A Heniu z gołą dupą leciał przez te wszystkie tory w stronę cukrowni.

Pokrzywa skreślił w Dworcową. Wytrzęsło ich na kocich łbach, samochód trzeszczała tak, że nie dało się rozmawiać. Zrównali się z jedynym jasnym punktem na tej ulicy – oświetloną stacją benzynową Intanku. Dach wspierał się na dwóch filarach, przy których zorganizowano cztery stanowiska do tankowania. Wszystkie były puste. Obok znajdował się niewielki parterowy sklep z czerwonej cegły, z którego mężczyzna w kapturze wyniósł czteropak piwa.

Zawrócili za stacją, a kierowca ustawił wóz wzdłuż głównego budynku dworca. Ponadstuletni neogotycki, potężny jak na to niewielkie miasteczko gmach tonał w ciemnościach. Dawno już przestał

służyć mieszkańcom za dworzec i poczekalnię. Bilety kupowało się w ustawionych na zewnątrz biletomatach, a w opuszczonych wnętrzach hali głównej zlokalizowano hurtownię sprzętu i wyposażenia dla sklepów. Pozostałe obiekty zabezpieczono przed bezdomnymi. Przynajmniej w teorii. W praktyce nadal mogli koczować w niektórych budynkach.

– Kawę dla pana komisarza? – spytał kierowca.

– Nie, dzięki – odpowiedział Gross. – Najpierw go poszukajmy.

Policjanci wyszli z radiowozu. Pochyleni podbiegli do ściany dworca.

– Najlepiej, jakbyśmy zaczęli tam. – Stefański przekrzykiwał wiatr rzucający w nich czarnymi płatkami śniegu, które kłuły jak igły.

Aspirant wskazał na oddalony o sto metrów niski domek. Po drodze minęli parterową myjnię samochodową wielkości dwóch garaży. Kiedy podeszli bliżej celu, uwagę Grossa zwróciła nazwa miasta wymalowana czarnymi drukowanymi literami na białym prostokącie ściany szczytowej.

Szperacz, którym posługiwał się Stefański, głośko owalną plamą światła ściany z cegieł. W oknach na parterze tkwiły kraty. Stare drzwi, jedyne frontowe, którymi można się było dostać do wnętrza piętrowego budynku, pozbawione były okien. W ich miejscach tkwiły dykty. Stefański uderzył po kolei w każdą z nich, ale dobrze trzymały się ram. Gross odczytał napis nad wejściem: „Ekspedycja towarowa”.

Do budynku doklefony był niższy obiekt, z rampą od strony ulicy. Wyglądało na to, że mieściły się tam drobne firmy obecnie zamknięte na głucho.

– A piwnica? – spytał Gross.

– Musielibyśmy zajrzeć od drugiej strony.

Stefański poszedł przodem, oświetlając drogę. Obeszli budynki, ślizgając się na nierównym podłożu. Gross szedł ostatni. W oddali, w tej śnieżnej zawierusze, z trudem dostrzegł kontury kolejowej wieży ciśnień. Potem przeniósł wzrok na całkowicie zdewastowany, pozbawiony drzwi i okien dwukondygnacyjny budynek, wyrastający na końcu peronu trzeciego. Z tego co pamiętał, była to od lat nieużywana nastawnia. W mroźną noc nikt nie mógł szukać w niej schronienia.

Przeszli dalej wzdłuż ośnieżonych torów, trącając witki krzaków, które rosły przy budynku z rampą. Po chwili dotarli na zaplecze „Ekspedycji towarowej”.

– O cholera! – rzucił Stefański.

Gross wychylił się zza pleców kierowcy. Światło latarki znikało w głębi klatki schodowej, ale trudno było w tej szparze dostrzec cokolwiek.

Aspirant z wysiłkiem pchnął drzwi, które stawiały wyraźny opór.

– No co jest? W dupę jeża! – warknął Stefański, ale drzwi uchyliły się już na tyle, że zdołał wsadzić do wnętrza głowę i oświetlić je latarką.

– I jak? – spytał Gross, gdy zbliżył się do niego.

– Nie wiem, jakiś stary fotel. Ciężki jak cholera – jęknął Stefański. – Moment.

Po chwili usłyszał rumor, a następnie skrzydło drzwi uchyliło się na tyle, że mogli wejść do wnętrza. Na podłodze walały się śmieci i potłuczone butelki, brudne i dziurawe ciuchy.

– Co za kloaka – jęknął Pokrzywa, zatykając nos.

Fetor był nieznośny.

Stefański poświecił latarką na schody prowadzące do piwnicy, a potem te biegnące w górę.

– Zanurzymy się do piekiełka, panie komisarzu? – Stefański się zaśmiał.

Gross skinął głową.

– No dobra. Tylko pamiętajcie, panowie, smród będzie się za nami ciągnął do rana – rzucił aspirant i ruszył przed siebie, nawołując: – Halo! Jest tam kto? Policja!

Zeszli w dół po schodach i stanęli w niewielkim, kwadratowym korytarzu, z którego można było dostać się do kilku niewielkich sal. Musieli uważać na nogi, które stawiali obok fekaliów, podartych gazet i brudnych szmat.

– Zaraz się porzygam – rzucił kierowca i wybiegł po schodach na górę.

Stefański zarechotał.

– Nie wróżę mu sukcesów w policji – powiedział, kręcąc przy tym głową.

Obeszli piwnicę i sprawdzili każde pomieszczenie. W jednym z nich trafili na kołtun ze starej kołdry i koców rzucony na rozłożone pod ścianą kartony.

Stężenie smrodu było nie do wytrzymania.

– Poszukajmy na górze – rzucił Gross i wycofał się z piwnicy za Stefańskim.

Na wyższych kondygnacjach fetor nie był tak dokuczliwy. Przeszukali pomieszczenia, ale nikogo w nich nie znaleźli.

– Są tu jeszcze jakieś inne pustostany? – spytał Gross, gdy po kilkunastu minutach znowu znaleźli się na zewnątrz.

Młody palił nerwowo papierosa, unikając kontaktu wzrokowego ze starszymi stopniem. Gross widział ciemną, podłużną plamę na jego kurtce.

Stefański chciał coś odpowiedzieć, ale wtedy przez peron drugi przetoczył się wolno skład z węglem, długi na kilkanaście wagonów.

– Raczej nie, co mogli, to już zabezpieczyli. – Stefański przekrzykiwał stukot.

– A wieża ciśnień? – Gross wskazał w jej kierunku.

– Zamknięta. Byliśmy wczoraj.

– To co nam jeszcze zostało?

– Zajrzyjmy na ogródki działkowe przy Wyszyńskiego – zaproponował Stefański.

*

Przejechali przez tory i zmierzali na zachód. Tuż za gigantycznym silosem cukrowni skręcili w lewo. Wóz toczył się wolno, coś stale trzeszczało na nierównościach. Droga była biała. Milczeli.

Minęli ulicę Moniuszki po prawej. Komisarz obejrzał się w stronę domu młodego Tarasewicza. Na tyle, na ile zdążył zauważyć, światła w oknach od strony ulicy były pogaszone.

– Niech pan zawróci. – Gross klepnął kierowcę w ramię.

Ten zwolnił, zjechał na pobocze i wykorzystując skrzyżowanie z wjazdem na teren osiedla domków jednorodzinnych, nawrócił, a potem skręcił w Moniuszki.

Rzeczywiście światła w oknach pozbawionych zasłon i firan były pogaszone.

– Dokąd jedziemy? – spytał kierowca.

– Dobra, już nic. Możemy wracać – dodał Gross.

Zatrzymali się tuż za skrzyżowaniem ze Słowackiego. Gross spojrzął w prawo na zaparkowany z dala od latarni wóz.

Kierowca wrzucił wsteczny i wsunął się w osiedlową ulicę. Kiedy z niej wyjeżdżał, Gross upewnił się, że znał tamten samochód.

To był ford mondeo.

Należał do Otremby.

*

Smród z piwnicy dworcowego budynku siedział głęboko w każdej warstwie ciuchów Grossa. Odetchnął, kiedy znowu stanął na mrozie. Śnieg przestał sypać. Kierowca i aspirant zatrzasnęli drzwi ducato. Owal ze szperacza oświetlił obsypaną śniegiem bramę i furtkę ogródków działkowych „Od nowa”. Gdy Stefański ją otworzył, zaskrzypiała głośno.

– Znam tu dwa miejsca, w których regularnie śpią bezdomni. Albo w altance na końcu alejki, albo w przyczepie. Nie marnujmy czasu. – Aspirant kiwnął na Grossa i sierżanta, żeby poszli za nim.

Temperatura spadła jeszcze o kilka kresk poniżej zera, więc ruszali się żwawo.

Mijali po drodze ciemne budyneczki, niskie i pochowane wśród gęstej roślinności pozbawionej liści. Gross patrzył w górę na czarne, wyraziste kontury drzew na tle zachmurzonego nieba. Grube konary przechodziły w solidne gałęzie, a te – w cienkie jak ludzkie włosy witki. Miał wrażenie, że patrzył nie tyle na korony drzew, co na system korzeniowy rozrysowany jak na pięknej rycinie. Przez chwilę głęboko wierzył, że istnieją dwa światy równoległe. Ten dobry, na powierzchni, po drugiej stronie, i podziemie, w którym tkwił teraz. Drugi świat ze skazą, zanurzony w zbrodni. Szedł ryszotkiem, ocierając się i dotykając tego, co nieludzkie. Nurzał się w syfie, który nie przystoi gatunkowi ludzkiemu. Ale chwilę później dotarło do niego, że ten syf jest właśnie dziełem człowieka, a on, skierowany tu na własną prośbę, miał zadbać o porządek. Niestety, z lotu ptaka wyglądało to mniej więcej tak, jakby trafił w sam środek wysypiska śmieci, do którego co rusz podjeżdżają nabite odpadami śmieciarki, a on miał tylko miotłę w ręce i starał się, żeby było schludnie.

– Policja! – krzyknął Stefański, który przełożył nogi przez niski płotek i wszedł na niewielką działkę. Poświecił na odciski butów w śniegu, które prowadziły do lichej altany. Poszarzałe deski pozbawione farby, spróchniała i zapadnięta drewniana podłoga przed wejściem. Kiedy światło ze szperacza zajrzało w okno, dostrzegli za szybą kolorowy karton po jogurtach Jogobelli.

– Policja! Jest tu kto? – ryknął Stefański i zbliżył się do drzwi. Chwycił klamkę i je otworzył.

Wszedł głębiej. W ciasnym wnętrzu sylwetka Stefańskiego zasłaniała cały widok.

– O kurwa! – Usłyszał komisarz.

Gross wyminął sierżanta i podszedł bliżej.

– To on – stwierdził szef patrolu.

Stefański kucnął i dopiero wtedy Gross zrozumiał, że aspirant znajduje się przy starej, rozpadającej się wersalce. Spod kłębowiska kołder i koców wystawała głowa Heńka. Oczy miał zamknięte. Aspirant ściągnął rękawiczkę i przyłożył dwa palce do szyi bezdomnego.

– Żyje! – wstał i sięgnął do radia przymocowanego na pasku.

*

Karetką odjechała, rozdzierając ciszę nieznośnym dźwiękiem syreny. Na obsypanym śniegiem asfalcie wóz rysował dwa wyraźne ślady opon.

Gross z aspirantem Stefańskim wrócili do radiowozu po lateksowe rękawiczki i worki strunowe w różnych rozmiarach, a następnie przeszli się z powrotem do altany.

– Czego szukamy? – spytał Stefański.

– Nie wiem dokładnie, ale sam zerknę.

– Jasne – stwierdził aspirant i zatrzymał się przy ogrodzeniu działki, na której altana ukrywała się pod grubymi konarami starych drzew.

Dalej Gross poszedł już sam, zabrawszy uprzednio Stefańskiemu latarkę. Uruchomił ją i skierował zimne, blade światło na zapadłą chatę. Przed drzwiami otrzepał nogi na zmurszałej i zapadniętej drewnianej podłodze. Omiótł latarką wnętrze. Wersalka, zawalony gazetami i papierami, a także resztkami chleba i puszką z zeschniętą mielonką stół. Obok dwa taborety. Pełno ciuchów, z których unosił się mdławy smród niemytego ciała. Butelki i puszki po piwie oraz tanim winie walały się po podłodze. Te od denaturatu też. Gross przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi, tylko po to, by zerknąć, co jest za nimi. Na podłodze leżało w nieładzie kilka par butów. W kącie tkwiły koleje stopy ubrań. Powyżej wisiała przekrzywiona plastikowa szafka, której front był wykończony lustrem. Rogi były obtłuczone, a sama powierzchnia brudna, z zaciekami. Na lustrze wykwiwały czarne i brązowe plamy. Gross z trudem dojrzał w nim swoją twarz z wąskimi szparami zamiast oczu i siwe włosy postawione na jeża.

Otwarcie szafki towarzyszył pisk pordzewiałych zawiasów. Zerknął na maszynkę na żyłki

i krem do golenia, częściowo pozbawiony włosia pędzel na niebieskiej stópce i małe plastikowe butelki z szamponami. Jedna wydawała się pusta, druga na wykończeniu. Obok nich leżały wciśnięte w róg maści, których niewielkie tubki były zwinięte. Gross rozwinął je delikatnie i sprawdził, że są przeterminowane. Spisał ich nazwy i wrzucił osobno do woreczków.

Ściągnął rękawiczki i założył nowe. Zamknął szafkę. Przy niej, na plastikowych haczykach, wisiały dwa wytarte ręczniki frotté, spod których wystawała czarna płachta.

– Pomóc w czymś? – spytał Stefański.

Jego głos dochodził zza drzwi.

– Radzę sobie – odparł komisarz i zrobił krok do pokoju, jeśli to wąskie pomieszczenie, w którym właśnie się znajdował, można było tak nazwać. Kilka ulic dalej, na osiedlu domków jednorodzinnych, tego typu altana mogłaby służyć za schowek na taczkę, szpadle i grabie.

– Z tego Heńka to w sumie niezły aparat był – zaczął po chwili Stefański, który pchnął butem drzwi, ale nie wszedł do środka.

Opowieść popłynęła, ale Gross nie słuchał, skupiał się tylko na pracy. Spróbował rozsypać kołtun z koców i kołder, każdą sztukę brał po kolei i odkładał na podłogę. Kiedy skończył, uniósł zapadnięte pośrodku siedzisko wersalki, żeby zerknąć do jej wnętrza. W drewnianej skrzyni było pełno pożółkłych, zawilgoconych książek, których ciężar zarwał lichą płytę pilśniową przybitą od spodu do ramy i pełniącą funkcję dna. Z boku, w przestrzeni między ramą a książkami, Gross dojrzał konserwy z biedronki. Nie dotykał ich, tylko policzył. Dziesięć.

– No i on z tej szkoły zrezygnował – kontynuował opowieść Stefański.

Gross chciał go nawet prosić, żeby dał mu się skupić, ale ostatecznie odpuścił. Usiadł na taborecie. Na stole zauważył usmarowany czymś nóż i łyżkę. Pod gazetą tkwiły nożyczki. Poświecił na nie latarką i wtedy to dostrzegł.

Włos.

Poprosił Stefańskiego o większy worek strunowy. Aspirant przestał gadać, schylił się, przestępując próg, i wyciągnął rękę. Gross odebrał folię i schował do niej nożyczki.

Znowu ściągnął rękawiczki i założył kolejną parę. Wiedział już, czego ma szukać. Poświecił na swoje buty i obok na zarzuconą butelkami i śmieciami podłogę. W końcu kucnął i postanowił przeszukać miejsce od szczytu wersalki do ściany po lewej. Przekładał delikatnie pogniecione papiery, podarte gazety. Gdzieś tam widział mysie bobki, ale wciąż nie znalazł tego, czego szukał. Wycofywał się krok za krokiem i powtarzał czynność. Dopiero kiedy odłożył butelki leżące w pobliżu taboretu, odetchnął.

– Woreczek strunowy – zakomenderował.

– Co tam pan znalazł, komisarzu? Prochy jakieś? – Stefański znowu podał Grossowi to, o co ten prosił. Komisarz schował znalezisko. Przekazał folię Stefańskiemu, który nawet nie zdążył przyjrzeć się zawartości, bo Gross minął go, ocierając się o bark, i ponownie oświecił latarką szafkę z lustrem.

Otworzył ją.

Kolejny raz wymienił rękawiczki, zużyte rzucił na podłogę.

Poświecił na ręczniki. Ściągnął je i odłożył na stertę butów, po czym chwycił czarną płachtę sporej wielkości. Wiedział już, co to jest. Dopiero wtedy ponownie zmienił rękawiczki lateksowe i sięgnął po buteleczkę szamponu. Widział podobne w drogeriach. Kosztowały niewiele, ale niewiele też oferowały. Był to szampon w niewielkiej fiolce. Doskonale sprawdzał się w podróży.

Otworzył go i dał powąchać Stefańskiemu, który wyciągnął rękę, jakby sam chciał złapać pojemnik, ale Gross gwałtownie cofnął swoją. Stefański przeprosił i wystawił nos.

– Co pan czuje? – spytał Gross.

Barczysty policjant wciągnął powietrze drugi raz.

– Cholera wie. – Skrzywił się. – Jakies kwiaty.

– A konkretniej?

– Konkretniej to nie wiem. Żonę musiałbym zapytać, bo ta to zna chyba wszystkie zapachy i kolory. Ja mówię kwiaty, ona magnolia, ja mówię zielony, a ta mi gada, że turkus.

Gross powąchał szampon raz jeszcze.

– To bez – stwierdził. – Czarny bez.

Stefański spojrzał na Grossa, a następnie na to, co było w woreczku, który wciąż trzymał w dłoniach. Poprosił, żeby komisarz mu poświecił na ręce.

– To Heńka? – spytał Stefański, wpatrując się w kosmyk siwych włosów.

– Wątpię – rzucił Gross.

dzień siódmy

Wydawało mu się, że budzi go telefon. Wszędzie wokół było ciemno, a telefon był jak opętany. Odebrał połączenie i usłyszał krzyk Bartka. Chłopięcy głosik rozdzierający ciszę. Odrzucił aparat, ale ten głos nadal brzmiał w jego uchu. Dokładnie tak, jakby w przewodzie słuchowym tkwił niewielki głośnik. Gross skrzywił się, nie umiał go w żaden sposób wyjąć, a płacz dziecka trwał nadal. Szarpał się, miotał, w końcu poszedł do kuchni i sięgnął po wąski nóż ostrzony na kamieniu, którym smarował masłem chleb. Wsunął go w małżowinę, aż poczuł opór. Przebił się przez błonę bębenkową. Nie bolało go, co najwyżej zdziwił się, że rękojeść zrobiła się śliska. Docisnął nóż głębiej i wiercił nim na wszystkie strony. I nagle pisk ucichł w jednym uchu, ale przeniósł się do drugiego. Gross z trudem wyciągnął nóż i bez wahania wsadził zakrwawione ostrze w drugie ucho. Ponownie przebił się przez błonę i wtedy w końcu wszystko ucichło.

Komisarz odwrócił się do okna i w odbiciu w szybie zobaczył, jak z obu jego uszu tryska krew. Wtedy Bartek szarpnął go za nogawki piżamy. Po jego minie widział, że dzieciak wrzeszczy i wskazuje dłonią na nieprzytomną, leżącą na podłodze matkę.

Dopiero wtedy Gross wybudził się naprawdę.

Był zlany potem.

Wykąpał się, zjadł lekkie śniadanie i około godziny szóstej, kiedy usłyszał głośno nastawione radio u sąsiadów z dołu, które miało zagłuszyć rytmiczne uderzanie ramy łóżka o ścianę, usiadł przy modelarskiej części stołu.

Wczorajszego wieczora, kiedy wrócił przemarznięty z ogródków działkowych „Od nowa”, wrzucił wszystkie ciuchy do pralki i mimo późnej pory przeparał je. Potem wyskoczył jeszcze do szpitala, gdzie porozmawiał ze znajomą lekarką dyżurną na SOR-ze o tym, że Heniek był bliski śmierci w wyniku wychłodzenia organizmu, miał kilka poważnych odmrożeń, amputowano mu dwa palce stóp, ale udało się utrzymać i ustabilizować funkcje życiowe. Obecnie przebywał w śpiączce farmakologicznej. Lekarka nie umiała powiedzieć, kiedy rozpocznie się wybudzanie.

– Ale jeszcze w tym tygodniu? – próbował zgadywać Gross.

– Trudno powiedzieć. Stan jest poważny. Nie wiem, czy nie przetransportujemy go do innego szpitala. Zadzwoń jutro po obchodzie.

Gross się pożegnał i wrócił do domu, przygotował sobie późną kolację, parówki na ciepło i chleb z masłem. Jadł i myślał nad tymi wszystkimi pytaniami, które chciał zadać bezdomnemu Heńkowi, byłemu fryzjerowi, jak się okazało, a które na razie musiały pozostać bez odpowiedzi.

Nie chciało mu się spać, więc wykorzystał czas na położenie pierwszej warstwy farby na modelu motocykla. Włączył obie lampy kreślarskie. Sięgnął po słoiczek farby akrylowej japońskiej marki Tamiya oznaczonej symbolem XF-60. Rozrzedził ją rozcieńczalnikiem i rozjaśnił kilkoma kroplami białej farby. Nie zawsze używał białej, często do bazowego koloru dodawał najjaśniejsze odcienie. Tym razem uznał jednak, że w odpowiednich proporcjach biała spełni swoje zadanie. Gross rozmieszał tak przygotowaną farbę i przelał do zbiorniczka aerografu. Odciągnął zawór, przepuszczając przez pistolet porcję skondensowanego powietrza, a następnie lekko go docisnął, kierując wylot aerografu na kartkę papieru ułożoną na blacie. Farba nie rozpląwała się, tylko kładła równymi kreskami. Gross mógł pracować dalej. Ustawił model na okręcanej drewnianej podstawie do tortów i rozpoczął malowanie. Aerograf wytryskiwał ze świstem niemal niewidzialny strumień farby wprost na czarny podkład. Urządzenie syczało cicho, co kilka minut załączała się sprężarka. Układał cienkie warstwy i obracał podstawę, na której stał model. Kiedy pierwsze warstwy obeschły, Gross przygotował nową porcję farby i odwrócił model do góry nogami.

Skończył przed jedenastą w nocy, wyczyścił dokładnie sprzęt do malowania i mógł wreszcie położyć się spać.

Teraz, kiedy o szóstej rano wciąż było jeszcze ciemno, w świetle lamp spoglądał na model

i oceniał wczorajszą robotę. Farba na większych płaszczyznach baku i wózka była odpowiednio jasna i gotowa do modulacji jaśniejszym odcieniem na krawędziach i ciemniejszym w środku. W rzeczywistości nie praktykowało się takich rozwiązań, ale w modelarstwie Gross lubił tę technikę. Odpowiednio wykonana dawała złudzenie głębi. Trzeba było tylko uważać, żeby nie przesadzić z intensywnością poszczególnych odcieni.

Gross odłożył model.

Założył świeży sweter i wyprane sztruksy, a następnie opuścił mieszkanie.

Z domu ruszył najkrótszą drogą na komisariat. Kiedy schodził z drewnianego pomostu na bulwar, po kwiatach i zniczach nie było już śladu. Nie licząc wydeptanego w śniegu sporego owalu, drobnych odłamków szkła i fragmentów liści lub płatków kwiatów zatopionych w śnieżnej brei.

Zamknął się w gabinecie i przeanalizował, ile pracy go dzisiaj czeka. Wiedział, że zgodnie z ustaleniami z prokuratorem Bilską mija dziś termin na ewentualne rozpoczęcie śledztwa w sprawie bezdomnego z łódki. Nie miał złudzeń, że nic z tego nie wyjdzie. Mężczyzna zmarł z powodu wychłodzenia organizmu. Połknął leki uspokajające, żeby szybciej pożegnać się z życiem.

Gross był coraz bardziej przekonany do tezy, że mężczyzna z łódki to zaginiony przed laty Sławomir Tarasewicz. Wrócił do Chełmży, bo miał ku temu ważny powód. Komisarz wierzył, że rozwiązanie tej zagadki pozwoli mu na odkrycie kart z przeszłości mężczyzny i powodu zaginięcia małżonków. Wiedział, że powinien przycisnąć Jana Tarasewicza i eksplinę Krzysztofa Wegnera. Wyczuwał, że obaj coś przed nim ukrywają. Jednak zanim złoży im wizytę, musiał mieć w garści więcej argumentów. Powinien też odezwać się do dalszej rodziny Tarasewiczów.

Poświęcił czas na opisanie znalezionych materiałów i śladów w altanie, a potem zlecił Skałce wysłanie ich do Torunia, chociaż z góry wiedział, że nikt tam się nie zgodzi na pilne zlecenie badania DNA kosmyka włosów i porównania go z wynikami badań genetycznych bezdomnego z łódki, które z kolei posłużyłyby do porównania z kodem DNA Tarasewicza. Gross w zasadzie nie zamierzał się o to spierać. Koszty i raz jeszcze koszty. A raczej redukcja kosztów. Te słowa jak mantrę powtarzali wszyscy na komendzie w Toruniu i tu w Chełmży również. Ale dzięki temu komisarz mógł coś ugrać. Z samego rana wezwał techników do dokładnego ujawnienia i zabezpieczenia śladów w altanie. Po godzinie na miejscu pojawił się Jarek Bloch, którego Gross poprosił przez telefon o zdjęcie odbitek linii papilarnych.

– Z czegoś konkretnego? – spytał Bloch.

– Z konserw.

– Słucham? Z tej na stole?

– Bardziej interesują mnie te, które znajdziesz w wersalce. Sprawdź je dokładnie. A resztę przedmiotów według uznania.

– Dobra, odezwę się, jakby co.

Chwilę później Gross przedzwonił do szpitala i porozmawiał z ordynatorem oddziału intensywnej terapii. Zapytał go o przeniesienie bezdomnego do innego szpitala w regionie.

– Nie ma takiej konieczności. Mężczyzna zostanie u nas, transportowanie go w tym stanie zagrażałoby jego zdrowiu i życiu.

– Cały czas przebywa w śpiączce farmakologicznej?

– Tak.

– Kiedy planujecie go wybudzać? – spytał Gross.

– Za wcześnie na to pytanie. Monitorujemy stan jego zdrowia, dopiero dziś zlecimy szereg badań.

Komisarz odłożył słuchawkę w momencie, gdy do gabinetu zajrzała Skałka.

– Masz chwilę? – spytała.

Potwierdził.

Przeszła do niego i stanęła obok, podając mu pendrive.

Gross wsunął go w odpowiednie złącze i po chwili komputer wyświetlił zawartość przenośnego dysku. Dostrzegł ikony filmów.

– Nowe?

– Z bezdomnym.

Komisarz poczuł mrowienie za uszami, gdy zadzwonił telefon.

– Zenon Plichta, lekarz. Dzień dobry, komisarzu. – Gross usłyszał tubalny głos. Znał go, przypomniał sobie, że należał do medyka ze schroniska.

– Miałem dzwonić wczoraj, ale jednak dobrze, że dałem sobie spokój. Wczoraj powiedziałbym panu, że nic w tym moim gabinecie nie zginęło.

Gross nie bardzo rozumiał, o co mu chodziło. Dał Skałce znak, że zaraz będą kontynuować. Ona wzruszyła tylko ramionami i wydmuchała balon z gumy do żucia.

– Co chce pan przez to powiedzieć, doktorze? – spytał.

– Tylko tyle, że wczoraj wszystko mi się zgadzało. Kłopot w tym, że opakowania sprawdziłem pobieżnie. Blistry tkwiły w tekturowych opakowaniach.

Gross był coraz bardziej zaciekawiony, ale postanowił nie przerywać rozmowy.

– Ale coś mi, cholera, nie dawało spokoju. Wróciłem do schroniska i zajrzałem do szafki raz jeszcze. Tym razem wyjąłem leki z opakowań. I wie pan co? W jednym z dwóch opakowań po relanium był blister z ibupromu.

– Ktoś go podmienił?

– Na to wygląda. Rozmawiałem z dyrektorem schroniska i już wiem, pan pewnie też, jak to się stało.

– Relanium jest pod ścisłym nadzorem, prawda? – dopytał Gross.

– Wiem, cholera, ale musiałem je mieć pod ręką! Przecież ich nie sprzedawałem! A pan doskonale wie, z kim mam tutaj do czynienia. Nie mogę sobie pozwolić, by odłożyć pomoc tym biednym ludziom na potem. Tu trzeba działać natychmiast!

Gross porozmawiał z lekarzem jeszcze chwilę, uspokoił go, że na razie nie zamierza dobierać mu się do tyłka. Pożegnał się z mężczyzną i odwrócił do Skałki.

– Słyszałaś – rzekł.

– Niezłe jaja – powiedziała, a potem postukała palcem w ekran, dokładnie w tym miejscu, w którym wyświetlała się jedna z dwóch podobnych ikon. Zostawiła na monitorze tłustą odbitkę linii papilarnych. Gross chciał od razu ją zetrzeć, ale zamiast tego zerknął na Skałkę. Jeszcze nie uruchomił wskazanego przez nią pliku.

Żuła gumę, nie otwierając ust. Widział jej zmęczone, podkrążone oczy. Przyjrzał się dyskretnie jej dłoniom, które oparła na blacie. Miała zranione i poszarpane skórki przy paznokciach, gdzieś niedługo niewielkie strupy. Czarny lakier łuszczył się.

– Wiemy, co z Otrembą? – spytał Gross.

– Nie. – Ucięła i znowu wyciągnęła palec w stronę monitora. – Uruchom.

Czarno-biały film śnieżył. Gross zerknął na datę i godzinę nagrania uwiecznioną w prawym dolnym rogu. Piątek, dzień przed odkryciem zwłok w łódce.

Obraz z kamery obejmował fragment chodnika przy Bydgoskiej, po tej samej stronie, gdzie znajdował się basen.

– To kamera Ośrodka Sportu i Turystyki?

Skałka potwierdziła.

Gross nie spuszczał wzroku z ekranu. W górnej części kadru zobaczyli najpierw buty, potem nogi. Wreszcie cała postać zmieściła się w oku kamery. Bezdomny siedł w stronę centrum. Gross rozpoznał damski płaszcz, przykrótkie rękawy i kaptur bluzy, który chronił głowę mężczyzny przed sypiącym śniegiem. Przez ramię przewiesił średniej wielkości torbę.

– Dokąd idzie? – Gross spytał w zasadzie sam siebie.

Skałka nie odezwała się.

Mężczyzna przeszedł przez chodnik, aż zniknął z kadru zupełnie. Gross chciał wyłączyć film, ale policjantka poprosiła, by tego nie robił. Po chwili zrozumiał dlaczego. Bezdomny pojawił się na ekranie ponownie. Wraciał, więc widzieli jego plecy i torbę, która z każdym krokiem bujała się przy

prawym biodrze. Wyglądała na pustą, jej boki były zapadnięte. A jednak mężczyzna niósł coś jeszcze. Coś, czego nie mogli zobaczyć, bo ręce tym razem nie zwisały swobodnie wzdłuż ciała. Musiał trzymać je przed sobą.

– I teraz – odezwała się Skalka.

Mężczyzna jak na zawołanie odwrócił się w stronę kamery. Jakość obrazu i narzucony na głowę kaptur nie pozwoliły przyjrzeć się jego twarzy.

Jednak Gross interesował się tym, co mężczyzna trzymał w rękach. Po chwili zrozumiał, że nie to było najważniejsze.

Do bezdomnego podszedł ktoś w pikowanej kurtce i czapce z pomponem. Szczupła budowa ciała wskazywała na nastolatka. Ubiór i słuchawki w uszach zresztą też. Jego poza nie wyglądała na agresywną. Stał na prostych nogach, ręce wsadził w tylne kieszenie dżinsów. Wyglądał na rozluźnionego. Heniek również.

Gross patrzył na elektroniczny zegar i liczył sekundy. Doliczył się piętnastu, kiedy mężczyzna w kapturze wyciągnął rękę przed siebie, a młodzian ją uścisnął. Następnie bezdomny odwrócił się i ruszył naprzód, a chłopak wrócił w stronę centrum. Z tej perspektywy dostrzegli wyłącznie brodę i usta nastolatka.

Co można powiedzieć w ciągu piętnastu sekund? Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Znamy go? – spytał Skalkę.

– Nie sądzę.

– A jeśli to topielec?

– Nosił inne ubrania, nie miał czapki.

– Czapka może leżeć na dnie jeziora, a kurtkę można zmienić. Może ta się pobrudziła, może matka ją wyprała?

– Niemożliwe. Dzwoniłam do niej i wypytałam o strój. Antek nie miał takiej kurtki ani czapki.

Gross był zadowolony z jej działań.

– A może to któryś z tej dwójki chłopaków z pizzerii?

– Próbowałam porównać oba filmy. Na tych, które oglądaliśmy wczoraj, tej czapki z pomponem nie było. A co do kurtki, trudno się wypowiadać. Było ciemno.

– No dobra, a kolejne filmy? – spytał Gross.

– Na razie mam tylko jeszcze jeden. Też z piątku, ale z rana.

Film był krótszy. Wewnętrzna kamera przemysłowa spożywcza przy Kościuszki, w pobliżu skrzyżowania na Plażową, obejmowała wejście do sklepu. Zegar w rogu ekranu wskazywał godzinę dziesiątą. W pomieszczeniu nie było klientów, jedynie kobieta z obsługi zbierała z podłogi warstwę brudnej śnieżnej pulpy wnoszonej przez kupujących i wyzymała mopa do plastikowego wiadra. Otworzyła na chwilę drzwi i zablokowała je przed zamknięciem grubą, gumową wycieraczką. Przetarła też schody i cofnęła się do wnętrza. Chwilę to trwało, gdy w drzwiach pojawił się mężczyzna w damskim płaszczu. Obiema rękoma oparł się o framugę i pochylił. Poły płaszcza rozsunęły się i całe wejście do sklepu wypełniała tylko jego postać. Gross zdołał dostrzec, że w ustach mężczyzny tkwi papieros. Kobieta, która sprzątała podłogę, podeszła do bezdomnego i przegoniła go. Heniek odszedł niechętnie. Sprzedawczyni odsunęła wycieraczkę i zamknęła drzwi.

Gross odtworzył raz jeszcze pierwszy film i kiedy bezdomny odwrócił się na spotkanie z nieznanym, włączył pauzę.

– Moment! – Gross nachylił się.

Cofnął film o kilkanaście sekund i ponownie zatrzymał w tym samym momencie.

Komisarz zakreślił kółko kursorem wokół prawej kieszeni płaszcza Heńka. Skalka nie wiedziała, o co mu chodzi. Uruchomił więc raz jeszcze drugi film, przeciągnął suwak postępu do chwili, w której bezdomny odchodził spod sklepu. Tu także Gross zakreślił kółko kursorem, po czym przełączył na stopklatkę w pierwszym nagraniu.

– Widzisz? – spytał.

– Co takiego?

– Na pierwszym filmie bezdomny ma coś dużego i płaskiego w kieszeni. Zmyliło mnie to, że trzymał coś na rękach. Kompletnie nie zwróciłem uwagi na ten detal, a powinienem. – Gross wyświetlił obraz z drugiego filmu.

Skałka przyjrzała się miejscu, w którym tkwiła strzałka kursora. Rzeczywiście, Gross miał rację. Na drugim filmie kieszeń była ewidentnie pusta, podczas gdy na pierwszym ta sama kieszeń niemal pękała w szwach. Prostokątna wypukłość wyraźnie się odznaczała.

– Ale to nie wszystko – rzucił komisarz.

Tym razem odtworzył pierwszy film, a zaraz po nim drugi. Wybrał te momenty, w których widać całą postać bezdomnego.

– Też chodzi o książkę? – spytała.

– Przyjrzyj się uważnie.

Skałka zbliżyła twarz do monitora, a Gross ponowił odtwarzanie obu fragmentów.

– O cholera. Że też wcześniej tego nie zauważyłam – stwierdziła. – Spodnie i buty.

– Wygląda na to, że Heniek jest tylko na pierwszym filmie. W tych samych ciuchach znaleźliśmy go nieprzytomnego w altanie.

– W takim razie kto jest na drugim?

Zadała to pytanie, ale znali już odpowiedź.

– Mężczyzna z łódki – powiedział komisarz. – Tarasewicz.

*

Gross nie miał czasu do stracenia. Siedział w samochodzie i gnał w stronę Inowrocławia. Umówił się na rozmowę z siostrą Sławomira Tarasewicza, która przelewała się przez telefon, słysząc, że rozmawia z policjantem. Obawiała się najgorszego. Informacji o odnalezieniu ciała brata i bratowej. Gross powiedział jej tylko, że po upływie dziesięciu lat przyjrzał się tej sprawie i chciałby spojrzeć na nią świeżym okiem. Stwierdził, że zależy mu na rozmowach ze świadkami, którzy dziesięć lat temu składali zeznania. Skłamał, że od rana jest służbowo w Inowrocławiu i dlatego prosi o spotkanie. Kobieta powiedziała mu, że do piętnastej będzie w pracy, ale potem obiecała się z nim zobaczyć. Uczyła geografii w liceum im. Kasprowicza na 3 Maja. Gross wjechał na szkolny parking piętnaście minut przed czasem. Spojrzał na telefon. Miał trzy nieodebrane połączenia.

Oddzwonił na pierwszy z numerów, do Jarka Blocha.

– Daktyle zrobione – stwierdził technik. – Skany masz na mailu.

– Sprawdziłeś?

– Przyjrzałem się, ale wiesz, że my z Marianem nie lubimy tego robić.

– Dobra, nie pieprz.

– Moim zdaniem nie należą ani do denata, ani do topielca.

Gross zmarszczył brwi, ale podziękował. Wybrał kolejny numer z listy, tym razem stacjonarny, którego nie rozpoznał.

– Dzień dobry, komisarzu. – Usłyszał ciepły kobiecy głos.

Malwina Lemańska. Rozpoznał ją od razu.

– Dzień dobry – odpowiedział i poczuł pulsowanie w skroniach.

– Dziękuję, że pan oddzwania. Chciałam tylko ustalić godzinę naszego spotkania. Czy osiemnasta panu pasuje?

Gross spojrział na zegarek. Kompletnie zapomniał o kolacji z bibliotekarką, chociaż gdzieś w głębi duszy pragnął się z nią spotkać. Wir pracy, który wciągał go z każdym dniem i miesiącem, był zasłoną dymną, ślepą uliczką, w którą wjechał tylko po to, by uciec przed samym sobą. By uciec przed mężczyzną, którym wciąż był, a który do tej pory skutecznie zagłuszał instynktowne pragnienia. W ciągu tych dziesięciu lat nie był z żadną kobietą, nie sprawdzał się jako mężczyzna. Do tej pory

odrzucał wszelkie podobne propozycje, odmawiał spotkań. Perfekcyjnie uciekał.

Teraz, od chwili, w której Lemańska wspomniała o kolacji, zdarzało się, że myślał o niej, że jej twarz, na której wykwiłała radość, przewijała się w kalejdoskopie jego codziennych obrazów i myśli. Sprawa Tarasewicza przyćmiła nieco to pragnienie, ale jej głos wywołał je na nowo.

Komisarz przełknął ślinę.

– Obawiam się, że nie dam rady.

– Praca? – spytała.

– Tak.

– Ale nic nie może pan o niej powiedzieć, prawda?

– Nie mogę.

Usłyszał, jak westchnęła, ale w barwie jej głosu dalej wybrzmiewała radość.

– Trudno, w takim razie może kiedy indziej – stwierdziła, ale nie rozłączyła się.

Gross zastanawiał się, co powiedzieć.

– A może po prostu trochę później. Godzinę lub dwie – rzucił i zamilkł, wyczekując jej reakcji.

– Świetnie! – odparła z entuzjazmem. – A więc zapraszam, jak już pan będzie wolny.

W przeciwnym razie musiałabym sama zjeść to spaghetti.

– Zadzwoń przed przyjściem.

– Doskonale, czekam na pana.

Gross chrząknął. Nie wiedział, jak to zostanie odebrane, ale wołał to mieć za sobą. W jej obecności, kiedy patrzyłaby na niego, być może nie odważyłby się złożyć tej propozycji.

– Jeszcze jedno – zaczął.

– Tak?

– Mam na imię Bernard.

Zaśmiała się.

– Malwina – odpowiedziała i po chwili dodała: – W takim razie do zobaczenia... Bernardzie.

– Do zobaczenia, Malwino – potwierdził.

Odłożył aparat i poczuł, że jego plecy są mokre od potu, wewnątrz dłoni zrobiło się wilgotne.

Zamknął oczy i zastanawiał się, czy nie postradał zmysłów. Czy nie za dużo sobie wyobraża.

On, nie ona.

Wyłączył silnik i dmuchawa napędzająca ciepłe powietrze do wnętrza pojazdu ucichła. Gross chciał wyjść na zewnątrz, ale przypomniał sobie o jeszcze jednym numerze, na który powinien oddzwonić. Uczynił to.

– Poczekaj chwilę – rzucił Tatar, policyjny analityk, a w tle Gross usłyszał inne poniesione głosy, które po chwili ucichły. – Musiałem wyjść z zebrania, bo bym nie słyszał własnych myśli.

– Masz coś dla mnie?

– Tak, sprawa poszła gładko – rzucił, ale dokończył już ciszej. – Cholera, poczekaj chwilę, bo naczelnik mnie woła. Oddzwonię.

Gross nie wiedział, jak długo to potrwa. Było tuż przed piętnastą i powinien wyjść na spotkanie z siostrą Tarasewicza. Postanowił dać koledze jeszcze kilka minut. Przed maską jego golfa przemknęło kilkoro uczniów, kolejni czaili się przed wejściem do szkoły.

Telefon rozbrzmiał melodią, a Gross niemal natychmiast odebrał połączenie.

– Dobra, jestem. Masz coś do pisania? – spytał Andrzej Tatarski, a Gross potwierdził. – To telefon na kartę prepaid. Gdyby kupiła go kilka lat wcześniej, szukalibyśmy wiatru w polu, bo nie byłby zarejestrowany na nazwisko. Teraz na szczęście jest inaczej. No więc zapisz sobie. Karolina Elsner.

To nazwisko nic mu nie mówiło.

– A adres jakiś masz?

– Adres, adres... – Tatar zamilkł na chwilę. – O tu, jest. Sądowa jeden przez cztery.

Gross wyłączył długopis.

– Sądowa jeden? – Zdziwił się.

- Coś nie tak?
- Nie, wszystko okej.
- To gdzieś tak przy was, koło komisariatu, nie?
- Bardzo blisko. Dziękuję za pomoc.
- Jakby co, to wal jak w dym. Do następnego.

Gross postukał długopisem w notatnik. Gdzieś w tle usłyszał szkolny dzwonek. Uznał, że już czas. Wsunął notatnik do torby i wysiadł z samochodu. Kiedy siedł w stronę częściowo zadaszonego wejścia do szkoły, mijała go roześmiana młodzież.

– Kurwa, wreszcie piątek, piąteczek, piątunio! – ktoś krzyknął, wywołując śmiech grupki dziewcząt stojących opodal.

- I melanz u Gochy! – odkrzyknęła jedna z nich.

*

Kiedy wszedł do holu, niska, szczupła kobieta z przewieszoną przez ramię torebką rozmawiała z woźną. Zerknęła w stronę drzwi wejściowych, w których pojawił się Gross, a następnie szybko pożegnała się z pracownicą szkoły i podeszła do niego.

- Celina Grzybowska – przedstawiła się i nie uginając ręki w łokciu, wyciągnęła dłoń.

Gross podziękował jej, że zgodziła się spotkać. Kobieta w krótkich kręconych włosach i z okrągłą, jakby odlaną z plastiku pospolitą twarzą, rozglądała się nerwowo. Nie dostrzegając żadnego podobieństwa z Tarasewiczem.

Gross zrozumiał, że umówiła się z nim w szkole, ale nie tu mieli rozmawiać. Pchnął drzwi i przytrzymał je, by wyszła. Dobrze prezentowała się w dżinsach. Na zewnątrz wskazał na swój samochód. Kiedy usiedli, poprosiła go, by odwiózł ją do domu na Mątwy.

- Drogą na Poznań? – dopytał.

- Tak, poprowadzę pana.

Jej spojrzenie pozbawione ciepła i usta nieskłonne do uśmiechu zmartwiły komisarza. Bał się, że każdą informację będzie wyciągał z kobiety na siłę. Na szczęście jego obawy nie znalazły potwierdzenia.

- Znaleźliście go? – spytała, zacisnąwszy dłonie w pięści.

– Przyglądamy się starej sprawie w poszukiwaniu nowych wątków. – Gross popatrzył w lusterko wsteczny na leżącą na kanapie teczkę zamykaną na gumkę, w której tkwiło zdjęcie mężczyzny z łódki. W pierwszej chwili chciał poprosić Grzybowską, by wzięła je do ręki i odpowiedziała sama na to pytanie, ale uznał, że to nie jest odpowiedni moment.

– Bałam się, że ten dzień kiedyś nadejdzie, że zadzwoni policjant, który zgasi moją nadzieję – westchnęła na granicy płaczu.

Komisarz milczał. Wrzucił migacz i czekał, aż terenowe volvo znajdujące się przed nim włączy się do ruchu, skręcając w ulicę Andrzeja.

- Kiedy dowiedziała się pani o zaginięciu brata i jego żony?

– Następnego dnia rano, we wtorek, piątego sierpnia. Jasiiek, mój bratanek, zadzwonił do mnie z pytaniem, czy rodzice nie zatrzymali się u mnie, bo nie było ich od poprzedniego dnia w domu.

- Zatrzymali się? Tak powiedział?

Kobieta potwierdziła.

Gross skręcił ogrzewanie. Po chwili nawiew zaczął tłoczyć letnie powietrze.

- Co pani zrobiła?

– Zostawiłam męża i dzieci i dwoma pekaesami dotarłam po kilku godzinach do Chełmży. Jasiiek czekał na mnie na przystanku w pobliżu dworca.

- Ustaliliście jakiś plan działań?

– Obdzwoniliśmy wszystkich znajomych, rodzinę, zajrzeliśmy do hurtowni. W końcu zgłosiliśmy sprawę na policję.

– Czy tego dnia spotkała się pani z przyjaciółką żony brata, Elżbietą Jaworską?

– Niech pan tego nie robi. – Jej mina zdradzała obrzydzenie.

– Czego?

– Niech pan nie łączy tych dwóch spraw, niech mi pan nie mówi, że mój brat miał romans i że wyrwał się gdzieś z tą krową. To zupełnie nielogiczne.

– Nie twierdzę, że tak było.

– Są świadkowie, którzy widzieli mojego brata z żoną w ich mercedesie na drodze wylotowej z Chełmży.

– Świadców? W aktach jest mowa tylko o jednym świadku.

– Ale jest! – Zaczęła podniesionym tonem, a Gross wyczuł jej spojrzenie na sobie. – Była czwarta czy piąta nad ranem. Ilu by pan chciał mieć świadków, którzy to potwierdzą? W dodatku w Chełmży! Poza tym, gdyby chciał uciec z kochanką, to nie zabierałby ze sobą żony, prawda?

– Pamięta pani nazwisko tego świadka? – Gross zadał to pytanie, mimo że znał na nie odpowiedź.

– Sergiusz Jaskóła.

– Rozmawiała z nim pani?

– No przecież wielokrotnie!

– Jakie odniosła pani wrażenie?

– Pijak, ale uczciwy.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Że uczciwy? Popytałam tu i ówdzie.

– A nie płaciła mu pani czasem za informację? – dopytał.

– Czy pan oszalał?

– Żadnego piwa ani wódki? – dopytał policjant.

– Nie wiem, nie pamiętam, może po tym, jak już mi to wszystko opowiedział, dałam mu parę groszy – przypomniała sobie. – Ale na pewno nie przed!

Zatrzymali się na światłach. Gross wpatrywał się w brudną plandekę tira.

– Wróćmy do pani brata. Co pani wie o jego małżeństwie? – odezwał się, kiedy zapaliło się zielone.

– Ale o co konkretnie panu chodzi?

– Czy dobrze im się wiodło?

– Finansowo na pewno – prychnęła.

– A poza tym?

– Jak to w każdym związku, sprzeczali się od czasu do czasu, ale nigdy nie na noże. Nigdy żadne nie chciało się wyprowadzić. Zgodni byli i zgodnie żyli, cieszyli się z tego, że Jasiak już dorósł i że pomaga od czasu do czasu w hurtowni i zarabia na swoje potrzeby. Mieli dom z ogrodem, dobry samochód i pieniądze. To czego im miało brakować?

– Czasami wcale nie to, co mamy, czyni nas nieszczęśliwymi, ale to, czego nam brakuje – rzucił.

– W takim razie niczego im chyba nie brakowało, jeśli o to panu chodzi.

– Podobno brat otrzymywał anonimowe pogróżki. – Gross skierował rozmowę na inne tory.

Kobieta najpierw zwiesiła głowę, a potem spojrzała w prawo przez okno, które zaczęło zachodzić parą.

– Zadzwoił kiedyś do mnie, że dwa tygodnie przed zaginięciem, pamiętam to jak dziś, ten strach w jego głosie. Najpierw rozmawialiśmy jak zawsze o tym, co słytać, i o planach na weekend. Mieliśmy wpaść do nich na grilla, ale już w trakcie rozmowy wyczułam, że ze Sławciem coś jest nie tak. Odpowiadał półsłówkami, miałam wrażenie, jakby w ogóle mnie nie słuchał. Spytałam go, czy ma jakieś kłopoty.

– Co odpowiedział?

– Że dostaje pogróżki. Mówił coś o listach i literach wycinanych z gazet.

– Wiązał to z czymś?

– Powiedział, że rodzi mu się konkurencja w Chełmży, że ma wejść na rynek jakaś niemiecka marka hurtowni.

– Widziała pani te pogróżki, pokazywał je pani kiedykolwiek?

– Nie, nie zdążyłam. Ale mówił, że pokaże je policji i żebym się nie martwiła. Prosił tylko o przełożenie grilla na inny termin, bo obawiał się, że jest obserwowany, a nie chciał sprowadzić nam na głowę nieszczęścia. A potem już nie było żadnej okazji. – W jej oczach stanęły łzy. Kobieta otarła je i pociągnęła nosem.

Gross wiedział, że żadne z listów z pogróżkami, o których dowiedział się z raportu Wegnera, nie wyładowały nigdy na komisariacie.

– A nie natrafiła pani na te groźby w domu brata?

– Nie. Przeszukaliśmy cały dom, ale niczego nie znaleźliśmy.

– Nie wydawało się to pani dziwne?

– Jasiak przypuszczał, że ojciec niszczył je wszystkie i nie pozwalał o nich nikomu mówić.

Nawet żonie.

Gross przeczesał dłonią włosy.

– Wróćmy jeszcze na chwilę do Elżbiety Jaworskiej. Rozmawiała z nią pani po zaginięciu brata i szwagierki?

– Nie, ale dzwonił do niej Jasiak, była dla niego przyszywaną ciocią, chyba tak się do niej nawet zwracał. Chciała nawet przyjść, ale słyszałam, jak on ją powstrzymywał i prosił, by siedziała w domu, bo mama, czyli moja szwagierka, może się do niej odezwać w każdej chwili. A miała taki zwyczaj, że dzwoniła do niej na stacjonarny. Lubiła usiąść w jednym miejscu i pogadać sobie z nią.

– Czy Jan Tarasewicz też rozmawiał przez stacjonarny?

– Wtedy to ja okupowałam ten telefon, a Jasiak, jeśli już, to dzwonił ze swojej komórki.

– Przyjaźniły się? – Gross wrócił do poprzedniego wątku.

– Tak słyszałam, chociaż ja tę Elżbietę to znałam tylko przelotnie. A najwięcej z opowiadań szwagierki.

– Co pani o niej sądzi?

– A co mogę sądzić o człowieku, którego, jak powtarzam, prawie nie znałam?

– Nazwała ją pani krową. Nie lubiła jej pani?

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie obawiała się pani, że bliska przyjaciółka żony może się stać bliską przyjaciółką pani brata?

– Pan znowu o tym? – Zdenerwowała się i zamilkła. Odezwała się dopiero po chwili, kazała mu skrócić w prawo.

Gross wysłuchał jej dalszych instrukcji i w końcu zaparkował na Czaplickiego przy czerwonym klinkierowym płocie, za którym wyrastał niewielki, parterowy domek. Zgasił silnik i znowu spojrzął w lusterko wsteczne na teczkę.

– Jak wygląda blizna na łopatce pani brata? – spytał.

– Nie wiem. Nie widziałam jej nigdy. Pierwszy raz się o niej dowiedziałam, kiedy Jasiak wypytywany przez policjanta o znaki szczególne rodziców wymienił tę właśnie bliznę. Podobno w hurtowni spadły na niego jakieś rury.

– Brat mówił pani o tym wypadku?

– Nie pamiętam, chyba nie.

Gross kolejny raz pomyślał o zimowym dniu, kiedy to dwóch napastników wdarło się do jego domu, a jeden z nich niemal udusił Agnieszkę. Często wracał do tych chwil, ale samo wspomnienie w rozmowie z Grzybowską o bliźnie na łopatce sprawiło, że wyraźnie widział właśnie ten moment, kiedy zadał napastnikowi nożem ranę, kiedy przeciął jego czarną kurtkę dokładnie w tym miejscu. Na

prawej łopatce.

– W sobotę w Chełmży odnaleziono zwłoki bezdomnego mężczyzny NN. Staramy się wykluczyć każdą ewentualność i w tym celu przejrzelśmy teczki osób zaginionych.

– O Boże – jęknęła. – Wiedziałam!

Gross zauważył, jak wskutek stresu drży jej noga.

– Niech się pani nie martwi. Jan Tarasewicz nie rozpoznał w nim ojca. A poza tym denat nie ma blizny na prawej łopatce.

Grzybowska odetchnęła z ulgą.

– A ma pan jego zdjęcie?

Gross miał je w teczce.

Spojrzał na kobietę i zrobił zmartwioną minę.

– Niestety, nie zabrałem.

dziesięć lat wcześniej

Starsza kobieta siedziała w salonie i kiwała rytmicznie głową.

– A co będzie z domem? – spytała, wpatrując się w Elżbietę Jaworską.

– Nie martw się – odpowiedziała siostrzenica. – Wszystko jest już załatwione.

– On to załatwił?

– Tak – rzekła i chwyciła stare, spracowane ręce w swoje dłonie. – Ani mi, ani tobie ten dom do niczego by się nie przydał. Nikt go nie chciał kupić, pamiętasz przecież.

– Pamiętam – zgodziła się.

Elżbieta Jaworska wyjęła komplet kluczy do domu i położyła na dłoni ciotki.

– Po co mi to dajesz? – Starsza kobieta nie kryła zdziwienia.

– Żeby to wszystko normalnie wyglądało. Zanim wyjaśni się, co dalej z domem, minie trochę czasu. Na razie będziesz się nim opiekowała. – Elżbieta sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę wypchaną pieniędzmi.

– To od niego? – spytała ciotka.

– Ze sprzedaży mojego domu. Proszę, weź to. Pal w piecu, żeby zimą nie popękały rury.

– Na ile mi to starczy?

– Na pewno na kilka zim, ale myślę, że po dwóch, trzech latach już nie będziesz musiała tego robić.

Starsza kobieta spuściła wzrok i zapłakała.

– Czy ty, dziecko, wiesz, co robisz? – spytała, ocierając łzy.

– Wreszcie jestem szczęśliwa. – Elżbieta uśmiechnęła się promiennie.

– Będą o ciebie pytali. – Przyłożyła dłonie do policzków. – Co ja im powiem?

– Wyjedziemy w poniedziałek nad ranem. Ale zanim ktokolwiek zorientuje się, że mnie nie ma, minie trochę czasu. Zgłosisz moje zaginięcie kilka dni później.

– Chryste Panie! – Kobieta złożyła dłonie do modlitwy.

– Ale najważniejsze, byś wtedy powiedziała policjantowi, który przyjmie to zgłoszenie, że widziałas mnie wczoraj albo przedwczoraj, no w każdym razie tak, żeby było jasne, że siedziałam w domu, kiedy on zniknął. Nikt nie może się dowiedzieć, że wyjechaliśmy razem.

Ciotka znowu spuściła wzrok, a Ela wstała.

– Ciociu, popatrz na mnie. – Obróciła się. – Zapamiętaj, proszę, w co jestem ubrana. Bo oni będą o to pytali.

– O twój strój?

– Tak. O mój strój w dniu, w którym widziałas mnie po raz ostatni.

Ciotka zrobiła to, a potem dała znać, że już pamięta. Jaworska wyściskała ją i obiecała zajrzeć jeszcze przed wyjazdem.

Wróciła do siebie szczęśliwa. Sławek byłby wściekły, gdyby tylko dowiedział się, że wygadała tajemnicę swojej ciotce. Ale ona nie mogła tak po prostu zostawić starej kobiety, swojej jedynej krewnej, bez pożegnania. Poza tym wiedziała, że zawsze może na nią liczyć.

Usiadła przy stole w pokoju dziennym i przygotowała pełnomocnictwo do sprzedaży domu. Sławek przekonał ją, że nie powinna pojawiać się u notariusza krótko przed zniknięciem.

Wystawiła je więc, tak jak prosił, na niego, bo on znał notariusza, który takie sprawy załatwiał dla niego bez najmniejszego problemu.

dzień siódmy, wieczorem

– Jeśli kiedyś umrę... – Komisarz przypomniał sobie słowa żony.

Zanim wrócił do Chełmży, zrobił postój w Toruniu. Na parkingu przy zakładzie opiekuńczym zgasił reflektory, ale nie wyłączył silnika. Powinien już jechać, jeśli zamierzał zgodnie z obietnicą odwiedzić dziś Malwinę Lemańską. Tym bardziej że miał jeszcze zapukać do mieszkania na Sądowej.

Płatki śniegu sypały się na przednią szybę. Co rusz przegarniał je wycieraczkami. Nie wiedział, po co to robi, widok na skąpane w mroku kubły na śmieci i inne samochody w ogóle go nie interesował. Być może czaił się w nim jakiś klaustrofobiczny strach, z którego wcześniej nie zdawał sobie sprawy.

Spojrzał przez boczną szybę w kierunku wejścia do „Światła”. Z sal pacjentów znajdujących się na obu kondygnacjach żółte światło rozlewało się w kierunku terenu zieleni ze starymi, wysokimi drzewami. W świetlicy na piętrze poruszały się cienie.

Gross przeliczył okna i odnalazł pokój, w którym leżała Agnieszka. Bogu ducha winna matka, żona i córka. Sięgnął do klamki w drzwiach golfa, ale jej nie pociągnął. Cofnął rękę z powrotem na udo. Ponownie spojrzał w stronę okien. Pierwszy raz od tych dziesięciu lat zastanawiał się co, by się stało, gdyby do niej nie wszedł. Co by się zmieniło, gdyby zabrakło tam jego obecności. „Wierzysz w te brednie o stymulacji?”, usłyszał głos syna. Owszem, wierzył w terapię pobudzania wielozmysłowego, ale tylko wówczas, kiedy były ku temu medyczne podstawy, kiedy skala Glasgow na to pozwalała. W przypadku Agnieszki mógł liczyć jedynie na cud. A on w cuda nie wierzył, ale nie umiał zakazać wierzyć w nie synowi. Nie odbierał mu nigdy nadziei. A być może powinien. Bo do czego go to zaprowadziło? Co zyskał, karmiąc jedenastoletniego chłopca ułudą rychłego przebudzenia się kobiety, którą ten malec tak kochał?

Niespełnione nadzieje miały niszczycielską moc. Tego dziś był pewien, ale jak to zwykle w takich przypadkach bywa, dowiedział się o tym zbyt późno.

Jego dłoń ponownie powędrowała do klamki, ale zawisła w połowie drogi.

– Jeśli kiedyś umrę... – znów wyraźnie zabrzmiał głos Agnieszki. Przypomniał sobie tę chwilę, kiedy siedzieli na ogrodowej ławce w cieniu, a Bartek bawił się w piaskownicy, zasypując obie stópki piaskiem. – To pamiętaj, że masz wolną drogę.

– Słucham?

– Nie żyj samotnie, Berni. – Tylko ona mogła się zwracać w ten sposób do niego. – Człowiek jest zwierzęciem stadnym.

Gross popatrzył na syna, a ponieważ obejmował ramieniem żonę, przyciągnął ją do siebie i pocałował w głowę. Agnieszka położyła rękę na jego udzie.

– Mówisz tak, żebym też dał ci zgodę? No bo jak mnie ktoś odstrzeli na akcji, to chcesz mieć glejt na ściągnięcie tu jakiegoś Zdzicha albo Stacha – zażartował, a ona klepnęła go w nogę.

– Przestań! – Zaśmiała się.

– Taa, jasne! Ta nowa piżama, to pewnie też już dla niego, co? – Nawiązał do niedawnego prezentu.

Pokręciła głową, ale uśmiechała się cały czas.

– Wariat jesteś! – Pochyliła się i pocałowała go długo. Czuł w swoich ustach jej delikatny i ciepły język.

Kiedy skończyli, otworzył oczy i wtedy ona odezwała się ponownie.

– Nigdy nie bądź sam, Berni. Samotność wyniszcza. – Wstała i schowała się w domu.

Wraz z nią ukryły się jego wspomnienia, ale nie łzy. Dawno nie płakał.

Otarł je szybko wiedziony wstydem. Wilgotne dłonie powędrowały na kierownicę. Trzymał ją kurczowo, jakby wiedział, że zaraz to wszystko źle się skończy, ale jednocześnie tkwił w absolutnej bezradności, paraliżującym strachu.

„To musi się źle skończyć”, pomyślał, kiedy wrzucił jedynekę i nie patrząc na rozświetlone wnętrza budynku, wyjechał z parkingu.

*

W Chełmży wieczór zdawał się jeszcze ciemniejszy z powodu czarnych kłębow mgły, które intensywnie napierały na miasto i przysłoniły panoramę, pozbawiając obie świątynie i pozostawiając zabudowę wyrazistych konturów.

Zostawił samochód w garażu i przeszedł przez pomost na Sądową, do nowoczesnego bloku wciśniętego między kościół Świętego Mikołaja a stary dom jednorodzinny.

Wybrał odpowiedni numer mieszkania na domofonie i czekał.

Po chwili odezwał się męski głos.

– Słucham?

Policjant przetarł usta, a potem przedstawił się, podając stopień.

– A stało się coś? – spytał zaciekawiony mężczyzna.

– Chciałbym porozmawiać z panią Karoliną Elsner – dodał Gross.

W odpowiedzi usłyszał brzęczyk elektromagnesu i trzask odkładanej słuchawki. Wszedł na klatkę schodową, wolno skierował się w stronę uchylonych już drzwi. Zanim zdążył podejść, otworzyły się zupełnie, a w progu stała młoda, ale zmęczona kobieta w różowym szlafroku frotté przysłaniającym obfity biust. Za nią Gross dostrzegł wysportowanego bosego mężczyznę, w krótkich spodenkach, z owłosioną klatką piersiową i włosami opadającymi za ramiona.

– Dobry wieczór – rzekł, pokazując odznakę.

– Dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać? – spytała Elsner, poprawiwszy dłonią nieco rozczochrane, rude włosy. W jej twarzy pozbawionej makijażu odbijały się troski.

– Mogę wejść? – spytał.

– Proszę. – Kobieta cofnęła się do wnętrza mieszkania, robiąc miejsce dla niespodziewanego gościa.

Gross stanął na panelach, omijając mokrymi od śniegu podeszwami szary chodnik z grubego włosia, a następnie zamknął drzwi. W pokoju widział pełno kartonów, ustawionych jeden na drugim. Z telewizora na ścianie sączyła się heavymetalowa muzyka. Gitarzysta potrząsał długimi włosami, a drugi darł się do mikrofonu zupełnie nieludzkim głosem.

– Właściwie to ja chciałem panią zapytać o to, co chciała mi pani przekazać – stwierdził Gross.

– Słucham? – Kobieta zdziwiła się.

Mąż stanął za jej plecami, spoglądając raz w kierunku żony, a raz w stronę Grossa.

– Kilka dni temu odebrałem pierwsze połączenie z numeru zastrzeżonego, w środę kolejne. Jest coś konkretnego, co chciała mi pani powiedzieć?

– O cholera. – Z niepokojem spojrzała na męża.

Ten zrobił minę, jakby przeczuwał kłopoty.

– A mówiłem, załatw to od razu, bo robi się smród. – Odszedł w stronę salonu i sięgnął po butelkę piwa, która stała na stole.

Gross spojrzał na kobietę. Chwyciła za poły szlafroka i podciągnęła go pod szyję.

– Ktoś do pana dzwonił z mojego numeru?

– Tak – potwierdził Gross i zrozumiał, co mogło się wydarzyć.

– Zgubiłam go przy przeprowadzce. – Omiotła wzrokiem pokój z kartonami. – Szczerze mówiąc, sądziłam, że leży gdzieś rozładowany w jednym z tych pakunków z rzeczami.

– I do dziś go pani nie znalazła? – Gross wydawał się być nieprzekonany do takiej wersji, szczególnie w czasach, gdy ludzie nie mogą wytrzymać bez telefonu kilku minut.

– To nie tak. To mój prywatny telefon, z którego i tak rzadko korzystałam. Częściej wykorzystuję służbowy. – Wyjęła z obszernej kieszeni nowy model samsunga i schowała go z powrotem.

– Kiedy zorientowała się pani, że zgubiła aparat?

– Ostatnie kartony pakowaliśmy chyba w zeszły czwartek. Potem szukałam, ale nigdzie nie

mogłam go znaleźć.

– A pan nie widział nigdzie telefonu żony? – Gross spytał mężczyznę siedzącego w fotelu i tupiącego w rytm muzyki, który zachowywał się tak, jakby stracił zainteresowanie obecnością komisarza. Co prawda oderwał wzrok od ekranu i spojrzał w stronę żony, jednak odezwał się dopiero po chwili.

– Nie. Ale jakoś niespecjalnie mnie to martwi. To był stary aparat z kartą prepaid. Nawet jak ktoś go znalazł, to nie ucieszy się z takich łowów. Nie doładuje, to nie zadzwoni.

– Nosila pani tamten telefon ze sobą?

– Zdarzało mi się.

– W torebce?

– Tak, zazwyczaj nosiłam w niej oba.

Gross poczuł znużenie i rezygnację.

– Gdyby pani coś sobie przypomniała, proszę do mnie zadzwonić. – Zostawił jej wizytówkę.

– Dobrze, w razie czego zadzwonię.

Komisarz pożegnał się i wyszedł.

Sprawa w każdym wymiarze wymykała mu się z rąk. Czuł się tak, jakby był na pokazie iluzji, a magik wepchnął w jego dłoń piłkę, po której po chwili nie było śladu. W tym nieformalnym śledztwie było podobnie. Gross widział tylko to, co było przeznaczone dla jego oczu. Tymczasem każda taka sprawa wymagała od niego dokładnego spojrzenia na tę rękę iluzjonisty, która pozornie nie brała udziału w sztuce, bo to właśnie w niej tkwiło rozwiązanie zagadki.

Miał w zanadrzu wiele pytań, ale teraz nie chciał ich sobie zadawać, chociaż wiedział, że szybko wrócą i nie dadzą o sobie zapomnieć.

Skierował się w stronę Sikorskiego i skręcił w lewo. Odsnieżony deptak był pusty. Spojrzał za siebie, w stronę Rynku, i dopiero gdzieś daleko stąd dojrzał przechodnia przecinającego główny trakt miejski. Poza nim był tu sam.

Deptak skręcał lekko w prawo i opadał w kierunku poczty, przy której spotkał niedawno bezdomnego Heńka. Gross szedł przed siebie, wsłuchując się w miarowy odgłos swoich kroków i spoglądając na własne cienie, jaśniejsze i ciemniejsze, dłuższe i krótsze, które łamały się na witrynach sklepów i chodniku.

Po chwili deptak rozszerzył się i Gross był na miejscu.

Dwuklatkowy blok z płyty nie pasował do ciągu starych budynków. Podszedł do pierwszej z nich, przy której z azurowego dachu zwieszała się czapa śniegu. Nie pamiętał ani piętra, ani numeru mieszkania Lemańskiej, mimo że na pewno informowała go o tym. Początkowo uznał to za znak, że nie powinien do niej przychodzić. Już miał uciec stamtąd, gdy drzwi otworzyły się i wyszedł z nich wysoki, zakapturzony chłopak. Minął Grossa bez słowa, drzwi zamykały się wolno.

„Może to też jest znak”, pomyślał.

Przytrzymał je i wszedł na parter. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Malwiny. Nie odebrała. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że oddzwania na znany mu numer stacjonarny, pewnie biblioteczny.

Ruszył po schodach w górę i przyjrzał się drzwiom na pierwszym piętrze. „Wyżej”, pomyślał i ponownie zaczął się wspinać. Wtedy na cichej klatce schodowej zadzwonił jego telefon.

Numer zastrzeżony.

Gross potrzymał aparat w ręce przez chwilę, po czym odebrał połączenie.

– I jak, Bernardzie? Będiesz dziś? Bo kolacja za chwilę będzie gotowa – stwierdziła Malwina Lemańska, a w jej głosie Gross ponownie wyczuł ciepłe nuty.

– Jestem już na miejscu – odezwał się niepewnie. – Które piętro?

– Drugie. – Rozłączyła się.

Po chwili dobiegł go z góry odgłos przekręcanych zamków.

Gross zbliżył się do uchylonych na kilka centymetrów drzwi.

– Wchodź, proszę! Śmiało, śmiało! – usłyszał.

dziesięć lat temu

Usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku, Tarasewicz złożył starannie starą gazetę do kartonu po butach, a na wierzchu położył nożyczki. Przykrył tekturowym wieczkiem i odstawił na podłogę.

– Jestem! – Usłyszał głos żony.

Odwrócił się w fotelu i zerknął w jej stronę. Dźwigała pękate reklamówki, które od razu wniosła do kuchni i z ulgą odstawiła.

– Pomóc? – spytał.

– Poradzę sobie – odrzekła zdyszczanym głosem. – Jasiak w domu?

– Nie.

– Nie?

– Na urodzinach kolegi. Pojechał do Torunia.

– Jakiego kolegi? – Wychyliła się z kuchni.

Tarasewicz wykrzywił usta i wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mówił, że wróci jutro. Prosił o samochód. – Poprawił się w fotelu i wlepił wzrok w telewizor. Nogą wepchnął karton z gazetami głębiej pod sofę.

Usłyszał, jak Grażyna nastawiła czajnik na gazie, po czym poszła na górę się przebrać. Tarasewicz upewniwszy się, że na schodach jest pusto, wyniósł pakunek z gazetami do garażu. Tam przykleił pozostałe dwie wycięte litery do białej kartki. Spojrzał na swoją pracę, a potem złożył papier i wsunął do zaadresowanej na żonę koperty. Adres wybijał na starej maszynie do pisania, którą kiedyś Józef Korecki, ciec w hurtowni, przyniósł mu i sprzedał za kratę piwa. Tarasewicz złożył kopertę na pół, wrócił do salonu i schował w swojej saszetce. Kiedy ją odkładał, czajnik zaczął gwizdać.

Zaparzył żonie kawę, a następnie postawił szklankę na ławie w salonie. Wpatrywał się w grubą warstwę fusów uniesionych wysoko i okrytych brązową pianką.

Kiedy w zwiewnej sukience zeszła na dół, nawet na nią nie spojrzął. Z telewizora co rusz dobiegały salwy śmiechu. Powtórki z kabaretowego Opolą. Ale jemu nie było do śmiechu.

Grażyna usiadła w drugim fotelu, podciągając stopy.

– Widziałaś? – Sięgnął do saszetki.

– Co to jest? – spytała, odbierając zgiętą wpół kopertę z jej imieniem i nazwiskiem.

– Zobacz – powiedział, pocierając nerwowo dłońie.

Grażka wyjęła list. Kiedy czytała tekst, jej oczy powiększały się.

– Sprzedałem hurtownię – rzekł.

– O matko! – Dostrzegł w jej twarzy grymas przerażenia. – Gdzie to było?

– W naszej skrzynce na listy.

– Boże święty, o co tu chodzi? – Oddała mu kartkę.

Tarasewicz wpatrywał się w koślawy napis złożony z powycinanych z gazety liter i dopiero teraz dostrzegł, że klej jeszcze nie wysechł. Jedna z liter przekrzywiła się, odsłaniając biały ślad. Przeraziło go to, ale Grażka najwyraźniej nie zwróciła uwagi na detale. Zmiał kartkę w kulkę.

– Co ty robisz! Powinniśmy iść na policję! – krzyknęła.

– Żadnej policji! – ryknął. – Gdyby sprawa wyszła na jaw, kupiec mógłby się wycofać. – Wstał i wsunął ręce w kieszenie. Zaczął krążyć od korytarza do okien tarasowych.

Grażyna opadła na oparcie fotela.

– I co teraz będzie?

– Nie wiem. Dostałem pierwszą ratę. Trzeba siedzieć cicho, a potem coś się wykombinuje.

– Może powinniśmy stąd wyjechać? W końcu ktoś nam grozi.

– Pierdolenie! Straszą tylko.

– Napisali wyraźnie, nie widziałaś?!

– Przestań!

- Straszili porwaniem Jaśka!
 - Przestań, do cholery! Myślisz, że nie wiem, co to znaczy?
- Grażka wstała i sięgnęła po telefon.
- Co robisz? – spytał z narastającym niepokojem.
 - Dzwonię na policję!

Tarasewicz podszedł do niej i wyrwał z jej rąk słuchawkę. Zaczęła okładać go otwartymi dłońmi, dwa razy dostał w twarz, zanim w końcu zdołał przyciągnąć żonę do siebie na tyle blisko i mocno, by odebrać jej jakąkolwiek zdolność ruchu.

- Potem zapłakała i gdyby jej nie przytrzymał, osunęłaby się na podłogę.
- Musimy... stąd... uciekać – sylabizowała przez dławiący ją szloch.

dzień siódmy, w nocy

Gdy Gross wrócił do siebie, zbliżała się północ. Przekroczył próg, ale nie włączył światła. To, które docierało z latarni na pomoście i przebijało się przez mgłę, rozjaśniało sufit.

Pstryknął zapalarką w kuchence i przekręcił kurek gazu. Zasyczało, po czym błysnął płomień. Wyregulował go i ustawił na palniku czajnik. Niebieska poświata odbijała się od emalii wysłużonej gazówki. Sięgnął po kubek, wrzucił do niego torebkę ekspresowej herbaty, po czym usiadł na krześle przy stole w pokoju i patrzył w pustkę za oknem. Widział w niej mężczyznę z łódki i siną twarz nastoletniego topielca. Widział też otwarte usta i krzywe, brązowe nieliczne zęby bezdomnego Heńka. A na koniec wpatrywał się w błysk radości w oczach Malwiny Lemańskiej.

Wrócił do tej chwili, kiedy zjedli spaghetti, a Malwina podała mu butelkę czerwonego wina i korkociąg, po czym przyniosła kieliszki. Butelka była chłodna. Gdy rozlał wino, stuknęli się szkłem, które ładnie zadźwięczało.

Siedzieli w wygodnych fotelach przy ławie ustawionej równoległe do zawieszzonego na ścianie telewizora. Za nimi znajdowały się wyższe meble, a z boku stał wiśniowy regał wypełniony z góry do dołu książkami.

– Dlaczego wybrałaś ten zawód? – Gross pytał po tym, jak wytrawne wino pozostawiło w jego ustach głęboki, cierpki, głęboko owocowy posmak. Nie pił alkoholu od wielu lat.

– Może dlatego, że w książkach jest zapisana prawda o każdym z nas. Wystarczy ją tylko odkryć. Przyciągają nas do siebie w ten sam sposób, jak muzyka. Są dźwięki, które kochasz, są takie, które tolerujesz, a innych po prostu nie chcesz słyszeć. – Podciągnęła stopy na siedzisko fotela. W obcisłych dżinsach i luźnym granatowym T-shircie wyglądała zjawiskowo. Do pracy ubierała się elegancko, w długie suknie, ale w domu nosiła się swobodnie, a przez to jeszcze bardziej pociągająco. Gross nie mógł oderwać od niej wzroku.

– A ty dlaczego wybrałeś swój zawód?

Komisarz dopiero teraz zauważył jej złote kolczyki migoczące w blasku świec ustawionych na ławie. Nie zwróciłby na nie uwagi, gdyby bibliotekarka nie założyła za ucho kosmyków kręconych włosów, które stale opadały na jej czoło i okulary.

– Nie do końca wiem, czy to ja wybrałem ten zawód, czy on mnie. Chociaż skłaniałbym się do tej drugiej wersji – powiedział, przenosząc wzrok na powieszzone na ścianie zdjęcia w drewnianych oprawkach. Rozpoznał w nich Malwinę, z czasów kiedy nosiła krótsze włosy odsłaniające szyję. Towarzyszył jej mężczyzna i dziecko. Wydawało mu się, że to chłopiec. Nie widział dobrze, bo szkło odbijało obrazy wyświetlane na telewizorze. Podciągnął rękawy swetra i wstał. Z kieliszkiem wina podszedł do fotografii i przyjrzał im się z bliska. Przystojny brunet, który w jakiś sposób wydawał mu się znajomy, i jednak kilkuletnia dziewczynka z roześmianą buzią obsypaną piegami. Rozwód? Zastanowił się i upił kolejny łyk wina. Alkohol spłynął pod język, pobudzając rzadziej wykorzystywane kubki smakowe.

– Zginęli oboje we wrześniu dwa tysiące dwunastego roku. Potrącił ich tir na przejściu dla pieszych, gdy szli do przedszkola – powiedziała.

Gross odwrócił się w jej stronę i zamarł. Siedziała z opuszczoną głową.

– Przepraszam – zdołał wydukać, bo tak naprawdę nie wiedział, jak powinien się w tej sytuacji zachować.

– Nie musisz przeproszać, przecież nie chciałeś zrobić mi przykrości.

Nie zamierzał.

– Ta tragedia wydarzyła się dawno temu. Zabrała mi dwie ukochane osoby.

Gross odwrócił się do niej, patrzyła gdzieś w bok skupiona i bezbronna.

– Myślałam, że się wtedy z tego nie podniosę. Że po takiej starcie nie można się podnieść. – Odstawiła wino. – Kilka lat później ktoś mądry powiedział mi, że ta tragedia już się wydarzyła. Jest

moją tragedią, która zawsze we mnie będzie, ale jednocześnie jest już przeszłością. I ten ktoś powiedział mi również, że nie mogę pozwolić, by ta rozpacz uderzała mnie codziennie. Otrzymałam cios, ale muszę żyć dalej.

Gross nic nie mówił. Odstawił kieliszek na regał.

– Kiedy będę codziennie przygotowana na tę tragedię, ona zawsze będzie bolała mnie mniej, aż w końcu... – Lemańska zawiesiła głos. – Wiesz, tu nie chodzi o to, by zapomnieć, ale by nie dać się zniszczyć. By nadać tej tragedii sens.

Gross usiadł obok niej i słuchał dalej opowieści o jej mężu i córce, o planach, które mieli, o bólu po ich stracie i tych pierwszych latach po tragedii, których Malwina praktycznie nie pamiętała, zatracona w żałobie i pogrążona w rozpacz.

Kiedy bibliotekarka umilkła, Gross popatrzył w jej oczy i opowiedział jej o napadzie z dwa tysiące ósmego roku, o Agnieszce, częstych odwiedzinach w zakładzie opiekuńczym, czytaniu żonie książek, które wypożyczał w bibliotece. Nie wspomniał jednak ani słowem o synu. Jakby wstydził się go, chociaż przecież tak nie było. Raczej wstydził się tego, że nie był wystarczająco dobrym ojcem, że nie umiał ochronić własnego dziecka przed skutkami tej tragedii i wreszcie, że nie umiał powstrzymać go przed topieniem traumy w alkoholu.

– Pójdę już – powiedział i wstał, gdy było już po dwudziestej trzeciej.

Popatrzył na Malwinę, która uśmiechała się do niego. Podniosła się z fotela i odprowadziła go do przedpokoju.

– Dziękuję – rzekł.

Kiedy wychodził, Lemańska pocałowała go w policzek, a potem przytrzymała jego dłoń. Spiał go niewytłumaczalny lęk, a jednocześnie zapamiętał emanujące od jej palców ciepło, delikatny zapach perfum i gładką skórę jej twarzy, gdy ich policzki zetknęły się ze sobą powtórnie.

Spuścił wzrok i zbiegł po schodach, zostawiając ją w otwartych drzwiach.

Gdy znalazł się już na zewnątrz, skarcił się za to zachowanie, za tę prostacką ucieczkę niedojrzałego mężczyzny.

Kolejny raz nie uniósł ciężaru.

Myślał nad tym w drodze powrotnej, aż w końcu jego myśli ponownie wróciły do odkrytych w sobotę dwóch ciał, nastolatka i bezdomnego mężczyzny z łódki.

W pewnym momencie przypomniał sobie, że w trakcie rozmowy z Malwiną rzucił okiem na jej telefon, który leżał na ławie.

Nie miała nic wspólnego z tajemniczymi połączeniami, które wcześniej odebrał. Przecież dzięki policyjnemu analitykowi poznał już zastrzeżony numer, z którego dzwoniła nieznana kobieta.

I na szczęście nie była to Malwina.

dzień ósmy, w południe

Czwarty, piaty, szósty.

Gross liczył sygnały i czekał, aż lekarz dyżurny odbierze telefon. Chciał dowiedzieć się czegoś o stanie Heńka. Wyczekując na ten moment, dostrzegł zabrudzenie na swoim swetrze. Nie pamiętał, czym go zachlapał, ale ciemna plama była wielkości kciuka i znajdowała się poniżej serca. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że mógł się przypadkowo dotknąć lateksową rękawiczką ubrudzoną modelarską farbą. Rano kończył malowanie opon motocykla, wykorzystując do tego celu mieszankę kilku farb, którą наносił uważnie pędzlem. Być może wtedy się ubrudził.

Odłożył aparat.

Sięgnął po myszkę i uruchomił Outlooka. Pobieźnie zapoznał się z wiadomościami, bo zobaczył nowy list od Jarka Blocha.

„Konserwy – daktyl w załączeniu”.

Skończył czytać maila w chwili, gdy do pokoju weszła Skalka.

– Działka należy do Marcina Żyndy – powiedziała.

Wczesnie rano Gross kazał jej ustalić właściciela altany, w której znaleziono Heńka.

– To jego brat?

– Nie, szwagier.

– Masz adres?

Skalka przedyskutowała i adres, i numer telefonu do mężczyzny, a Gross podziękował. Policjantka nie ruszyła się z miejsca.

– Mam prośbę – zaczął Gross. – Mam tu namiary na niejakiego Zdzisława Czerpaka.

– Kto to? – spytała, marszcząc czoło.

– Właściciel łódki. Sprawdź go, proszę. Zobacz, z kim mamy do czynienia, i ustal, dlaczego nie ściągnął łajby z jeziora.

Skalka zgodziła się, ale wciąż pozostała w jego gabinecie. Zorientował się, że policjantkę coś gryzie, i odsunął się od biurka.

– Co jest? – spytał.

Wstała, żeby zamknąć drzwi, a kiedy to zrobiła, oparła się o nie.

– Ja już nie wyrabiam – jęknęła.

Gross opadł na oparcie fotela.

– Rozmawiałaś z Brandolem? – spytał, a ona potwierdziła. – Niepotrzebnie.

– Nie miałam wyjścia. On się stale mnie czepia.

– Statystyki?

– Od tego się zaczęło. Ale nie wiem, czy pokłosem nie była... No wiesz, sprawa z Otrembą.

– Było kwestią czasu, kiedy zahaczy o tym cały komisariat – stwierdził. – Z tym radźcie sobie sami, natomiast Brandola wezmę na siebie.

Skalka chciała podziękować i wyjść, ale Gross zatrzymał ją gestem.

– Co z Otrembą? – spytał.

– Nie wiem. – Zmieszła się.

– Masz z nim kontakt? – Postanowił nie owijać w bawełnę.

– Dzwonił wczoraj.

– Czy on może znać Jana Tarasewicza? – Gross wrócił myślami do przedwczorajszego wieczora i samochodu aspiranta zaparkowanego w pobliżu domu mężczyzny, którego rodzice zaginęli.

Skalka skrzywiła się.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Nie wiem skąd. Pytam po prostu. – Zirytował się. – Co się tak zaraz złościysz?

– Kurwa, ciebie też coś ugryzło? – Wyszła obrażona, zostawiając otwarte drzwi.

Gross nabrał powietrza.

Przymknąwszy oczy, zrobił kilka głębokich wdechów. Następnie przedzwonił do Marcina Żyndy i poprosił go o spotkanie w sprawie odnalezionego na terenie jego działki bezdomnego Heńka. Mężczyzna nie był zaskoczony. Nie miał jednak czasu, żeby przyjąć komisarza w pracy. Poprosił go nawet, żeby nie przyjeżdżał, jeśli sprawa nie jest pilna.

– Chodzi o pana szwagra – przypomniał Gross.

– Raczej o pijaka, który zmarnował swoje życie i życie własnej siostry. Moja żona jest wrakiem człowieka. Właśnie przez niego. – Żynda nie starał się ukrywać negatywnych emocji. Brzmiały wyraźnie w jego głosie. – Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że ten łajdak nie wyjdzie z tej śpiączki.

– Ma pan jakieś świeże informacje o stanie jego zdrowia? – zainteresował się Gross.

– Na razie bez zmian. Podobno stabilnie i dziś mają go wybudzać.

– Wiadomo o której?

– Przed południem.

– Zobaczmy, jakie będą tego efekty – powiedział Gross i wrócił do ustalenia terminu spotkania.

– Czy moja żona musi być przy tym obecna? Wolałbym zaoszczędzić jej nerwów.

Gross nie miał nic przeciwko. Na tym etapie informacje uzyskane do mężczyzny powinny mu wystarczyć. zaproponował miejsce i godzinę.

– Dobrze, w takim razie po piętnastej w Mistralu – podsumował Żynda.

Czas do spotkania komisarz wykorzystał na ponowne dokładne przejrzenie akt dotyczących zaginięcia Tarasewiczów i Jaworskiej. Po porannym spacerze szukał w nich dziur, a jeśli ich nie znajdował, to przynajmniej próbował odszukać w tej konstrukcji słabe punkty. Odnosił ich kilka. Jednym z nich był Sergiusz Jaskóła, ten sam, który zeznał, że czwartego sierpnia, w poniedziałek nad ranem, widział Jana Tarasewicza z żoną w mercedesie na drodze wylotowej z Chełmży. Twierdził, że szedł wtedy chodnikiem przy cukrowni w stronę centrum. Miał iść po bułki, ale nie zgadzała się godzina. Sklepy najwcześniej otwierano o szóstej. Pijałnię w drewnianym baraku, przy której stał w chwili zobaczenia mercedesa Tarasewiczów, jeszcze później. Było jednak możliwe, że Jaskóła obudził się po libacji w krzakach i zorientował się, że czas wracać do domu. Gross nie wiedział, jak było naprawdę i nie był w stanie tego zweryfikować, bo Jaskóła zmarł kilka miesięcy po przekazaniu policji informacji o Tarasewiczach. Pękł żyłak przetyku. Utopił się we własnej krwi, jak to często z pijakami bywa.

W teczce było trochę notatek policjantów, zapisów z rozpytań, aktualizacji danych osobowych. Odszukał kontakt do rodziców Jaskóły. Na pożółkłej kartce w kratkę zapisano numer telefonu stacjonarnego i dwa nazwiska. Przy kobiecym w nawiasie zapisano słowo „matka”, ale innym kolorem długopisu wpisano „zmarła 12.03.2013” i postawiono parafę. Przekreślono też stary adres i wpisano nowy. Zorientował się, że chodzi o bloki w pobliżu biedronki na Chełmińskim Przedmieściu.

Gross złapał słuchawkę i wykręcił numer. Nikt nie odpowiadał. Przetrzywał do dziesięciu sygnałów, ale to nic nie dało. Wybrał ponownie numer i znowu czekał. Tym razem się udało.

– Halo – Usłyszał przeciągły, anemiczny głos starszego mężczyzny.

Przedstawił się i poprosił o spotkanie.

– Dziś?

– Tak, mogę być za kilka minut.

– Teraz?

– Tak.

– O której?

Gross spojrział na zegarek i dodał pięć minut do obecnej godziny, po czym, zgodnie z prośbą staruszka, podał mu planowany czas przybycia.

– Dobrze, zapraszam – rzekł rozmówca.

Już miał wyjść z gabinetu, gdy w drzwiach stanął Brandol. Spodnie w jego pasie marszczyły się, długie rękawy koszuli pokrywały połowę dłoni. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Brandol dał

mu znać, że czeka u siebie.

Gross podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry, panie komisarzu – odezwała się prokurator Bilka. – Dziś sobota. Mam dyżur, a ponieważ na razie w regionie spokój, to chciałam zapytać, jak tam nasza umowa.

Pamiętał o ustaleniach.

– Nic nie mam – odezwał się bez chwili wahania.

Właśnie wczoraj minął termin zebrania wystarczających materiałów dowodowych, jeśli zamierzał wykazać powiązanie zgonu topielca ze zgonem mężczyzny z łódki. Tymczasem nawet nie udało mu się w stu procentach ustalić, kim ten bezdomny jest.

Prokurator nie odpowiedziała.

– Halo? – spytał.

– Jestem, jestem. Ale zaskoczył mnie pan.

Tym razem on milczał.

– Co z daktyloskopią bezdomnego?

– Zrobiona – powiedział zgodnie z prawdą. – Być może po weekendzie zostanie wrzucona do bazy i wtedy wszystko się wyjaśni. Wydaje mi się jednak, że coś w tej sprawie nadal układa się inaczej.

– W sensie?

– Jest w tym jakaś tajemnica. – Gross zerknął na drzwi, w których, ku jego zdziwieniu, wciąż stał zgarbiony nieco Brandol. Komisarz otworzył szerzej oczy ze zdumienia. Szef wydziału wycofał się i zniknął.

– Co pan ma na myśli?

Opowiedział jej o ujawnionych i wciąż niezidentyfikowanych śladach daktyloskopijnych odnalezionych na konserwach w altanie Heńka i na zniczu ustawionym na dnie łódki, o tajemniczych telefonach i o kartce z wyciętymi z gazet literami składającymi się na słowa „On wrócił”.

– Brzmi jak przerażający żart – podsumowała prokurator Bilka.

– Oprócz tego nie mam nic. – Obawiał się, że w jego głosie wybrzmiewała bezradność.

– Niech się pan tak szybko nie poddaje. Może warto przyrzeć się sprawie bliżej. Ma pan ode mnie glejt na tę robotę, jakby ktoś chciał pana zagonić do kradzieży rowerów albo kompotów z piwnic. Kto wie, co z tego wyjdzie – powiedziała Bilka.

– Na razie im więcej wiem, tym sprawa bardziej się komplikuje – rzekł.

– Czy sądzi pan, że ktoś rzeczywiście może tym manipulować?

– Manipulować?

– Nie wydaje się panu, że tak to właśnie wygląda? – zakończyła prokurator Bilka.

*

Drzwi w mieszkaniu Anatola Jaskóły wyglądały na świeżo odmalowane. Kiedy staruszek z aparatem słuchowym w uchu otworzył je i zaprosił komisarza do środka, Gross zobaczył gustownie urządzone wnętrza wypełnione świetnie utrzymanymi, połyskującymi politurą drewnianymi meblami i niezliczoną ilością porcelanowych bibelotów. Po flegmatycznym głosie właściciela spodziewał się raczej brudnej zawałonej stosami gazet nory. „Życie potrafi zaskakiwać”, pomyślał. Gospodarz dostrzegł zainteresowanie w oczach gościa.

– To wszystko mojej żony – powiedział przeciągle. – Niech pan wejdzie do pokoju.

Gross zrobił to, po czym odwrócił się do mężczyzny. Emeryt usiadł w fotelu, a Gross naprzeciwko niego na wersalce. Sprężyny zaskrzypiały, gdy poczuły jego ciężar. Komisarz wyciągnął swój notatnik.

– Co pana sprowadza? – spytał gospodarz, wyciągnąwszy bawełnianą chusteczkę z kieszeni

wyprasowanych na kant spodni. Otarł nią kąciki ust i schował z powrotem.

– Interesuje mnie sprawa zaginięcia Sławomira i Grażyny Tarasewiczów. Pamięta ich pan?

Staruszek potwierdził. Pomarszczone dłonie, upstrzone plamami wątrobowymi, sięgnęły po okulary. Leżały na okrągłym stoliku przykrytym białą serwetą, na którym stała lampa z porcelanowym kloszem.

– Podobno pana syn ich widział.

Wzruszenie ramion.

– Tak mówił – dodał gospodarz. – Gwoli ścisłości, to był syn mojej żony z jej pierwszego małżeństwa. Przynosiłem go na wyraźne życzenie Jadwigi.

Gross zerknął w notes.

– Informacja o tym, że Sergiusz Jaskóła widział Tarasewiczów w samochodzie, wpłynęła do policji dopiero kilka dni po ich zaginięciu – stwierdził komisarz.

Mężczyzna znowu pokiwał głową, nie przestając wpatrywać się w usta policjanta.

– Czy pana syn rozmawiał z wami o zaginięciu Tarasewiczów i o tym, że tamtego dnia być może był ostatnią osobą, która widziała ich w samochodzie? – Gross starał się mówić wolno i wyraźnie.

– Nie.

– Nie konsultował się, nie pytał o radę, co ma zrobić, czy zawiadomić policję?

– Nie przypominam sobie. Być może rozmawiał z matką, czyli z Jadwigą, ale do mnie nic nie dotarło.

– A czy rozmawiał z wami o tym już po rozmowie z policją?

– Też nie.

– A znał Tarasewicza? – spytał Gross.

– Jak pan zapewne wie, wiele osób go znało. Sergiusz na pewno też, ale doprawdy nie sądzę, by mógł być znajomym biznesmena. Nie pracował u niego, nic ich nie łączyło.

Gross zerknął do notatnika, w którym spisał sobie tematy do rozmowy.

– Czy w tamtym okresie Sergiusz Jaskóła pił?

– A czy w jego życiu był taki okres, pomijając dzieciństwo, w którym tego nie robił? – Staruszek uśmiechnął się smutno, odsłaniając rząd równych sztucznych zębów. – Próbowaliśmy go leczyć, czasami to odnosiło lepsze skutki, ale w gruncie rzeczy jego abstynencja była chwilowa. – Machnął ospale ręką.

– Czy możemy wrócić na chwilę do tego dnia, w którym pana syn widział Tarasewiczów?

– Pytali o to wszyscy policjanci, łącznie z Wegnerem. A odpowiedź brzmi: nie.

– Nie? – Gross zastanawiał się, czy na pewno chodziło o to samo pytanie.

– Nie wrócił tego dnia do domu. Wyszedł poprzedniego, w południe, jak się wyspał. Po obiedzie, kiedy poszedłem na spacer, już widziałem go pijanego, zataczał się w Sadku. Przykry widok, łamał tym serce Jadwini i moje zresztą też. Ale był dorosły, miał prawo tak żyć i nie podejmować leczenia. Chociaż, tak jak mówię, krzywdził moją żonę, czego mu nie umiem wybaczyć.

– Rozumiem, chodziło mi jednak o inne pytanie. A nawet o dwa. Czy pana syn często zapuszczał się w kierunku cukrowni, na osiedle Frelicha?

– Pyta pan o to, czy miał tam z kim pić, prawda?

Kiedy Gross nic nie odpowiedział, mężczyzna wypchnął językiem policzek. Widać było, że przetrawia ważną informację. Dłuższy czas siedział nieruchomo.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę – odezwał się, cyzelując słowa. – Zazwyczaj zbierał na alkohol gdzieś przy sklepach, czasami na Rynku i bulwarze. Nigdy nie pijał w barach i restauracjach, bo zwyczajnie nie było go na to stać. I dlatego od wielu lat zastanawiam się, co też on tam wtedy robił.

– I znalazł pan odpowiedź na to pytanie?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową i dodał:

– Pamiętam, że kiedyś starałem się namówić go na rozmowę. Wypił ze trzy piwa, ale zbywał mnie. Chciałem mu nawet dać jakieś drobne, bo Jadwinia strasznie cierpiała, kiedy on od ludzi

pieniądze jak żebrak wyciągał, ale wtedy Sergiusz powiedział, żebyśmy wreszcie dali mu wszyscy spokój.

Gross przestał notować i podniósł wzrok.

– Wszyscy?

Anatol Jaskóła zapatrzył się w ścianę i nie usłyszał pytania Grossa.

– Opuściłem. Nigdy więcej go o to nie spytałem. Jadwiga na pewno też nie.

Gross wstał i wyciągnął na pożegnanie dłonie. Mężczyzna zrobił to samo, ale nie puścił ręki komisarza.

– A drugie pytanie? – Usłyszał policjant.

Komisarz nabrał powietrza w płuca, żeby zyskać na czasie i podjąć właściwą decyzję.

– Wstałem dziś rano i wybrałem się na spacer, dokładnie w to miejsce, w którym Sergiusz Jaskóła stał wtedy przy jezdni na chodniku – zaczął Gross. – Wybrałem ten dzień, bo rano świeciło słońce.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Upewniłem się tylko, że patrzenie na nadjeżdżający samochód, który znajduje się w linii wschodzącego słońca, wyklucza możliwość rozpoznania kogokolwiek, zarówno kierowcy, jak i pasażera.

Starzec milcząco skinął głową i ponownie otarł usta bawełnianą chusteczką.

– I jeszcze coś – dodał Gross. – Pana syn zeznał, że kiedy mercedes Tarasewicza nadjechał Bydgoską, on stał przy pijalni piwa znajdującej się po tej samej stronie co zabudowania cukrowni. W tym miejscu jest trójkątne skrzyżowanie z Wyszyńskiego, która rozdziela się i łączy z Bydgoską w dwóch miejscach oddalonych od siebie ponadtrzydziestometrowym pasem zieleni.

– Domyślam się do czego pan zmierza, panie komisarzu – rzekł cicho gospodarz.

– Do tego, że gdyby Tarasewicz wyjechał z domu i skręcił w Wyszyńskiego, a następnie miał zamiar dojechać do krajowej jedyńki, to wjechałby na Bydgoską, zostawiając pijalnię piwa i Sergiusza Jaskółę za plecami.

– Czyli, że mój syn rzeczywiście skłamał – westchnął Jaskóła. – Ale nie dziwi mnie to, bo pijak jest jak prostytutka, proszę pana. Dla pieniędzy zrobi wszystko.

– Niekoniecznie – pomyślał Gross. – Być może syn mówił prawdę, a to by rzucało nowe światło na tę sprawę.

– Słucham?

„To by oznaczało, że Tarasewicz wraz z żoną nie spędził poprzedniej nocy w domu”, pomyślał Gross, ale nie odezwał się.

Uklonił się i wyszedł z mieszkania pełnego porcelanowych bibelotów.

*

Zanim komisarz usiadł w Mistralu ze szklanką gorącej herbaty przy stoliku przy oknie wychodzącym na zamrażnięte białe jezioro, obejrzał wywieszzone na filarach zdjęcia aktorów grających w serialu *Belfer*. Były niewielkie, ledwie dostrzegał utrwalonych na połyskującym papierze aktorów.

– Przyniosło to jakiś skutek? Obroty skoczyły? – spytał, odwróciwszy się w kierunku baru.

– Ale kiedy to było? A teraz to sam pan widzi. Wiatr hula – rzekła krótko obcięta blondynka. Mogła mieć nie więcej jak trzydzieści lat. – Mamy tu obiady na abonament, tanie i dwudaniowe, prawie po kosztach. I co? I chętnych brak. No żal taki, cholera, że szkoda gadać.

Faktycznie lokal był pusty.

– Tu, proszę pana, ludzie najtańsze piwo kupują na spółkę i proszą, żeby im rozlać do dwóch kufli – dodała barmanka.

Gross chciał jeszcze o coś zapytać, ale wtedy uchyliły się drzwi wejściowe. Niski, krępy

mężczyzna z brodą otrzepał buty ze śniegu. Spojrzał na Grossa i podszedł do niego.

– Przepraszam za spóźnienie – rzekł i przedstawił się.

Wymienili uścisk dłoni.

– Herbaty? – spytał komisarz.

– Wezmę kawę, bo jakiś niedospany dziś jestem. – Poprawił dłuższe falujące włosy, które przykrywały mu uszy i wpadały do oczu.

Gross spojrział w stronę baru, a dziewczyna za kontuarem dopytała z daleka, czy ma być parzona, czy rozpuszczalna. Kiedy usłyszała od gościa odpowiedź, dała znak, że zaraz przyniesie.

– Co chciałby pan wiedzieć? – spytał Żynda, przechodząc od razu do sedna.

Przeszli do stolika i usiedli. Mężczyzna postawił teczkę na wolnym krześle.

– Kilka dni temu znaleźliśmy zwłoki bezdomnego w łódce na zamrzniętym jeziorze. – Gross wskazał głową za okno.

Mężczyzna odwrócił się i podążył wzrokiem w stronę czerwonej łajby.

– Coś słyszałem – dodał, rozcierając zziębnięte, czerwone dłonie.

– Przypuszczam, że Heniek, pana szwagier, znał go. Że ten denat był wcześniej w państwa altanie.

– Chodzi o to, że to Heniek go załatwił? – spytał z niedowierzaniem Żynda.

– Nie, nic na to nie wskazuje. Sądzę raczej, że Heniek wykonał jakąś usługę dla bezdomnego, a w zamian zyskał kilka piw i konserw.

– Co konkretnie ma pan na myśli, mówiąc o usłudze? – Mężczyzna zaniepokoił się.

– To nie jest istotne – uciął Gross i zapytał: – Czy pan albo pana żona poznaliście tego bezdomnego? Widzieliście go?

Żynda podrapał się po brodzie.

– Przeczuwałem, że to się źle skończy.

W chwili, gdy właścicielka baru przyniosła kawę dla Żyndy, Gross sięgnął po notatnik.

– Chodzi o to, że ja ze szwagrem w ogóle nie gadam, ale Krysia, moja żona, jest jego starszą i jedyną siostrą. Tydzień temu we środę złożyła ją grypa i nie mogła iść do pracy.

– Gdzie pracuje? – Gross mu przerwał, a następnie popił wychłodzonej już herbaty. Siedział w kurtce, a i tak było mu tu zimno.

– W ChOK-usie na Bydgoskiej.

Komisarz domyślił się, że chodzi o tutejszy ośrodek kultury.

– A ona po pracy czasami zanosila Heńkowi zakupy albo zupę w termosie. – Gwałtownie i ze świstem wciągnął powietrze nosem. – Szlag mnie trafia, jak sobie pomyślę, że on ją sobie wokół palca okręcił. Tak swoją drogą, to nie wiem, czy ona taka dobra dla niego była z tej siostrzanej miłości, czy ze względu na to, co ludzie powiedzą.

Gross dał mu znak, żeby kontynuował.

– No więc, skoro ona zachorowała, to poprosiła mnie, żebym się do niego z tą zupą i kanapkami przeszedł. Zgodziłem się, bo włosy mi urosły, więc pomyślałem sobie, że może mnie w zamian trochę ostrzyże. Ale już z daleka, ze ścieżki, widziałem, że coś tam jest nie tak. Drzwi do altany były otwarte.

– Heńka nie było?

– Nie. Siedział tam pochylony nad gazetą inny facet. Zarośnięty taki, jak małpa. Zapytałem go, co tu robi i gdzie jest szwagier.

Gross sięgnął do torby i wyjął zdjęcie mężczyzny z łódki. Podał wydruk Żyndzie.

– To on? – spytał komisarz.

Żynda przypatrywał się fotografii, w końcu odłożył ją na blat stołu, pozostawiając pytanie komisarza bez odpowiedzi.

– Przedstawił się jakoś? – dopytywał Gross.

– Nie, no skąd! Powiedział tylko, że Heniek poszedł do schroniska dla bezdomnych i pozwolił mu tu zostać.

Gross spodziewał się takiej odpowiedzi. Chodziło o relanium, które Heniek wyniósł z gabinetu

lekarskiego.

– Zupełnie mnie to nie przekonało – kontynuował Żynda. – Rzadko kiedy tam nocował, w tym schronisku. Przez to swoje pijaństwo cholerne.

– Czy mężczyzna miał na sobie czerwony damski płaszcz? – spytał Gross.

– Tak, wyglądał w nim jak skończony debil.

– A reszta ciuchów? Też były brudne?

– Brudne? Nie, właśnie zdziwiło mnie to, że są czyste. Ten facet nie pasował mi na bezdomnego. Fakt, zarosnięty był cały, broda długa, włosy też. – Żynda objął gorącą szklankę dłońmi. – A potem, to chyba w poniedziałek było, jak szedłem do pracy, to w tym płaszczu Heniek paradował. I wtedy to do mnie dotarło.

– Co takiego?

– Że on nic, cholera, uszanować nie potrafi. O nic nie dba. Ufajdany był cały, płaszcz brudny z plamami. Cholera, daj pan spokój!

Gross zauważył, że od czasu do czasu Żynda przypatruje się fotografii leżącej na blacie stołu.

– Kogoś panu przypomina? – spytał, wskazując długopisem na wydruk.

Żynda upił łyk kawy.

– No właśnie tak się zastanawiam. To na pewno ten sam facet?

– Ten sam facet?

– Chodzi mi o to, że skąd pewność, że ten, którego ja widziałem w altanie, to ten sam co tu na zdjęciu? Tamten był zarosnięty.

Gross milczał. Żynda patrzył to na niego, to na wydruk.

– Bo ten tutaj to, kurczę, taki podobny jest.

– Do kogo?

– No tak właśnie się zastanawiam... – powiedział, pocierając przez dłuższy czas brodę i zbierając myśli. – Cholera, ja bym obstawiał, że to jest ten zaginiony.

– Który konkretnie?

– No ten od tej hurtowni.

Gross najpierw usłyszał kroki, a chwilę później kątem oka spostrzegł, że w ich stronę zmierza właścicielka baru. Musiała słyszeć ich rozmowę. Przyniosła rachunek ułożony na szklanym spodku.

– Pokaż, Marcinek, zerknę. – Zaciekawiona wyciągnęła rękę w stronę fotografii.

Żynda spojrzał pytająco na Grossa, a ten pokręcił przecząco głową.

Kobieta wydeła wargi i odeszła, mamrocząc coś pod nosem.

Żynda odprowadził ją wzrokiem, a gdy zniknęła na zapleczu, szeptem zwrócił się do Grossa.

– Tak. Teraz jestem tego pewien. – Postawił palec wskazujący na zdjęciu. – Toż to Sławek Tarasewicz.

*

Kiedy Gross wchodził po drewnianych schodach, na półpiętrze minął się z Brandolem.

– Ej, no! – zaczął go szef wydziału kryminalnego. – Mówiłem coś.

Gross zatrzymał się i odwrócił. Spoglądał z góry na Brandola, który miał dziś dyżur.

– O co ci chodzi? – Komisarz był zbyt zamyślony, by dotarła do niego wcześniejsza wypowiedź Brandola.

– Miałeś wejść do mnie, pamiętasz? – Szef pionu był poirytowany. Spiął się, jego ręka, w której trzymał papiery, wykonywała szarpane, nerwowe ruchy.

– Co się stało?

– Wejdz do mnie i zaczekaj. Zniosę to do Jojczyk i zaraz wracam – rzekł, podnosząc dokumenty.

Gross wszedł na piętro, zostawił w swoim gabinecie torbę, kurtkę odwiesił na oparciu fotela. Stał z założonymi rękoma przy oknie i patrzył na nowy blok przy Sądowej, a następnie na ciemne, szerniałe miejscami cegły kościoła Świętego Mikołaja. Zrobił sobie herbatę, ale zostawił kubek obok klawiatury i przeszedł do gabinetu szefa kryminalnych.

Brandol siedział już za biurkiem. Podniósł tylko wzrok i dał komisarzowi znać, by ten zaczekał. Gross usiadł przy stole ustawionym prostopadle do biurka. Brandol w tym czasie stukał w klawiaturę. Brał go na przetrzymanie. Gross zastanawiał się, czy nie wyjść, ale uznał, że nie warto zaognić sytuacji. Wrzody trzeba nacinać, zanim pękną. Był w stanie to wytrzymać.

Skrzyżował przedramiona i odchylił się na oparcie krzesła, pochylając nieco głowę.

Wreszcie Brandol odwrócił się do niego.

– Następnym razem proszę, by moje polecenia nie były lekceważone – zaczął. – Czy to jasne?

– Zwracasz się do oficera wyższego stopniem – odpowiedział Gross. – Nie życzę sobie takich uwag.

Patrzył na szefa pionu i dostrzegł w nim zmianę. Brandol nie był skłonny do otwartej walki, wycofywał się, jeśli coś nie szło po jego myśli. Nie oznaczało to, że schodził z drogi. Po prostu przybierał formę przetrwalnikową, czekał na sposobność do kolejnego ataku.

– Włamanie – rzucił Brandol, podając mu kartkę papieru. – Świeża sprawa, pasuje do tej twojej. Zajmij się tym.

Gross zignorował jego słowa, ale wyciągnął rękę i odebrał formularz. Zerknął na adres. Musiał wcześniej trafić na nazwę tej ulicy.

– Jestem sam ze Skałką, która już nie wyrabia. – Jego mózg miał wolno. Próbował przypisać nazwę ulicy do sprawy, którą musiał się zajmować.

– Nie wyrabia?

– Widziałeś ją ostatnio?

– Nie żartuj! To jest służba.

– Nie dociskaj jej. – Głos Grossa zabrzmiał wyjątkowo twardo.

– Słucham? – zdziwił się Brandol.

Gross spojrział, jak mankiety niebieskiej koszuli przysłaniają jego duże dłonie.

– To mój człowiek. Jeśli masz coś do niej, powiedz to mnie. Ja za nią odpowiadam – zastrzegł komisarz.

– Mylisz się. Póki co, to ja odpowiadam za cały pion. – Brandol stuknął się palcem wskazującym w wątlą klatkę piersiową. – Pion, w którym statystyki twoich działań są poniżej moich oczekiwań!

Gross wstał, zabrał kartkę i ruszył do wyjścia.

– Jeszcze nie skończyłem! – krzyknął Brandol.

Gross zatrzymał się i odwrócił.

– Niech pan nigdy więcej nie śmie podnosić na mnie głosu, podkomisarzu. Czy wyraziłem się jasno? – Gross wyszedł z gabinetu szefa pionu i zostawił go z otwartymi ustami.

Wrócił do siebie.

Odłożył kartkę na blacie i przystanął przy oknie. Założył ręce na biodra, patrzył na niewielki ruch na skrzyżowaniu Sądowej z Kopernika i na samochody parkujące opodal.

Zadzwoił na komórkę do Skałki.

– Co tam, szefie? – odezwała się, wiedząc, kto dzwoni.

– Co słyhać? – spytał.

– Jestem u góry, w firmie. Jak skończę raport, to wejdę do ciebie. Długo będziesz?

– Jaki raport? – Zaniepokoił się.

– To nie jest na telefon.

Wypił kilka łyków herbaty i poczuł, że ostatnio nic nie układa się po jego myśli. Tarły się w nim płyty tektoniczne, obawiał się, że wkrótce dojdzie do silnego, wewnętrznego wstrząsu. Dlatego usiadł i wziął kilka głębokich oddechów. Musiał skupić się na pracy. Tylko to mu w życiu wyszło,

pomyślał ze zgrozą. Podniósł dokument, który wyniósł od Brandola, i przeczytał o włamaniu. Zwrócił uwagę na adres, kiedy w uchylonych drzwiach pojawiła się Skalka.

Kiwnął na nią, by weszła.

– Co to za raport? – zaczął bez zbędnych wstępów.

– Myślę, że powinnam to już wcześniej zrobić – powiedziała, intensywnie żując gumę.

– Wcześniej?

– Tak, to nie zaczęło się teraz.

– O czym ty mówisz?

– Wiesz o czym. O tym wszystkim, co doprowadziło mnie do tego stanu.

– Chodzi o sprawę z Otrembą? – zgadywał.

– O wszystko. Napisałam raport i proszę, żebyś go podpisał.

– Dokąd chcesz się przenieść? – powiedział, wstając i sięgając po kurtkę.

– Muszę zmienić środowisko.

– A dom?

– Zawsze mogę sprzedać. Wystawiłam go dziś na kilku portalach.

Gross przyglądał się Skalce, a raczej temu, co z niej zostało. Przygryzała skórki przy paznokciach.

– Nie podpiszę. – rzekł. – Przynajmniej nie teraz.

– Nie teraz? A kiedy? – jęknęła.

Wydawało mu się, że jest nie tyle zaskoczona, co przerażona.

– Potrzebuję twojego wsparcia. – Sięgnął do torby po wydruk zdjęcia mężczyzny z łódki.

Przytrzymał je w rękach, a potem jej podał. Usiadła na krześle w pobliżu jego biurka.

– To on – rzucił Gross. – Tarasewicz.

– Skąd wiesz?

– Rozpoznał go jeden facet, właściwie jako jedyny nie miał w tej sprawie wątpliwości.

– Tym gorzej. Nikt z ludzi o zdrowych zmysłach nie obstawiałby, że to Tarasewicz.

– On go dobrze znał.

– Jesteś pewien? Może warto to zweryfikować?

– Dlatego jesteś mi potrzebna. A wówczas przyjdiesz do mnie z raportem, a ja go podpiszę.

Zgoda?

– Nie będziesz mi robił żadnych trudności?

– A mam powód? – Podniósł brwi.

– Obawiam się, że masz.

– Nawet jeśli, to z niego nie skorzystam.

Skalka odetchnęła. Oddała Grossowi wydruk przedstawiający denata z łódki.

– Jeśli to rzeczywiście Tarasewicz, to marnie skończył – dodała.

– Pytanie tylko, dlaczego?

Aspirantka wzruszyła ramionami.

– Być może w tym wszystkim chodziło o to, co najbardziej prawdopodobne. O światowy kryzys z dwa tysiące ósmego roku, który położył wiele firm z branży budowlanej.

– Wiele na to wskazuje – przyznał jej rację.

– No, sam widzisz.

– Z wyjątkiem jego końca – zastrzegł Gross. – Ten powrót musi mieć jakąś logikę, tkwi w tym jakiś głębszy sens.

– Co masz na myśli?

Gross skrzywił się, a następnie bezradnie pokręcił głową.

– Nie wiem.

Skalka sięgnęła po formularz leżący na blacie. Zaczęła go czytać, gdy Gross odezwał się ponownie.

– Zastanawiam się nad jednym. Tarasewicz wraca do Chełmży kilka miesięcy przed upływem

dziesięciu lat od chwili zaginięcia, a więc tuż przed tym, zanim rodzina mogłaby oficjalnie uznać go za zmarłego.

Skalka nie odrywała wzroku od dokumentu. Wydmuchała duży balon i poczekała, aż pęknie. Ściągnęła językiem pozostałości gumy, która okleiła jej usta i ponownie zaczęła ją intensywnie żuć.

– No... – odpowiedziała, ale nie słuchała go.

Gross nie przejmował się tym. Musiał sformułować na głos myśli, usłyszeć je i zweryfikować.

– Więc Sławomir Tarasewicz przebiera się w schludne ciuchy, prosi Heńka, żeby go ostrzygł i ogolił, myje się. Ewidentnie jest gotowy do spotkania. A może do pożegnania, ze względu na stan zdrowia, na zaawansowane stadium raka płuc.

– Wiesz, co to jest? – Skalka weszła mu w słowo, odwracając kartkę w jego stronę.

– Włamanie – odpowiedział. – Trzeba się tym zająć.

– Przeczytałeś adres?

– Tak. I dlatego nie podpiszę ci teraz raportu. Musisz pojechać tam ze mną.

– Cholera jasna! Przecież to chałupa tej zaginionej! Elżbiety Jaworskiej!

*

Gross i Skalka zabrali się na miejsce z patrolem, który zmierzał w tę część miasta. Jeszcze w drodze ze stalowych chmur gęsto sypnęło niewielkimi płatkami. Zrobiło się białe. Wiatr zawiewał śnieg wprost na szybę radiowozu. Kiedy kierowca parkował pod opustoszałym domem, przetarł podwoziem o zmarznięte fałdy śniegu. Zazgrzytało. Gross przez boczną szybę dojrzał posterunkowego, który kręcił się z zimna przed wejściem na teren działki. Za nim i za gęstymi witkami krzaków wyrastał piętrowy klocek, z którego tuż nad wejściem odpadał tynk, odsłaniając głębokie rany do poszarzałej żuźlowej cegły. Obok okna po prawej, głęboka rysa ciągnęła się po całej długości ściany aż do gzymsu.

Komisarz wysiadł z samochodu i poczuł na twarzy lodowate powiewy od strony boiska Legii, kolejnej wolnej przestrzeni, na której wiatr nabierał prędkości. Gross postawił kołnierz kurtki.

Skalka podeszła w tym czasie do posterunkowego, który wskazał palcem na budynek po przeciwnej stronie, trzy działki stąd.

Gross dał znak, by na niego zaczekała. Zbliżył się do nich i odezwał do posterunkowego.

– Wiemy cokolwiek?

– Niewiele. – Młody policjant marszczył się przed sypiącym w twarz śniegiem. – Czekam na techników.

– Kto to zgłosił?

– Stefania Gruszecka, opiekuje się od lat tym domem. To stara schorowana osoba, ciotka właścicielki.

– Jak sprawca dostał się do środka?

– Wybił szybę w okienku do piwnicy. Z lewej strony. – Pokazał na budynek.

– Zginęło coś?

– Nie, to znaczy nie wygląda, żeby cokolwiek zniknęło. Wewnątrz nikogo nie było, kiedy przyjechaliśmy.

Gross zbliżył się do płotu i zerknął na chodnik prowadzący od furtki do drzwi. Ślady, jeśli jakiegokolwiek tam były, zniknęły pod świeżą warstwą sypkiego śniegu.

Spojrzał na pordezwiązaną zieloną furtkę i niżej na stalowe słupki, z których obłaziła olejna farba. Obok jednego z nich dostrzegł lekko żółty śnieg. Kucnął.

– Kręciły się tu psy? – spytał posterunkowego.

– Nie, od czasu jak tu jestem, na pewno nie.

Gross podniósł się i ponownie spojrzał na chodnik, ale także na teren po jego obu stronach. Przeskoczył płot obok furtki i zbliżył się do śladów, które zaobserwował w pobliżu wysokiego świerka. Wyjął telefon i banknot dwudziestozłotowy z portfela, po czym rozłożył go na śniegu i zrobił zdjęcie.

Popatrzył też na zraniony pień drzewa, z którego po obwodzie odpadła kora.

Wrócił do Skałki i posterunkowego.

– Powiedz technikom, żeby przyjrzeni się śladom psa. Wygląda na to, że jego właściciel przywiązał go do tego drzewa, dopiero potem zabrał się za włam.

Posterunkowy kiwnął głową.

– Zrozumiałeś? – Gross wołał się upewnić.

– Tak, panie komisarzu!

Gross kiwnął na Skałkę. Widział, że trzęsie się z zimna. Kiedy ruszyli w stronę domu Stefanii Gruszeckiej, wbiła ręce w kieszenie pikowanej kamizelki. Czerwony polar podciągnęła pod nos. W oknie na parterze dostrzegli oboje starszą kobietę. Kiedy byli blisko ogrodzenia, właścicielka zaciągnęła firanę i zniknęła im z oczu. Po chwili drzwi wejściowe otworzyły się.

– Dzień dobry – powiedziała blisko osiemdziesięcioletnia niska i chuda kobieta. – Kawy czy herbaty?

Pokręcili głowami. Przedstawili się i po kolei pokazali legitymacje.

– Mamy tylko kilka pytań. – Skałka wzięła na siebie ciężar rozmowy. Gross zamierzał się przysłuchiwać.

– Proszę na pokoje – powiedziała gospodyni i przeszła wolnym krokiem w stronę salonu. Kiedy szli korytarzem, Gross zobaczył w kuchni gotujące się na gazie w emaliowanym garnku ziemniaki. Woda parowała i bulgotała spod płaskiej przykrywki.

Staruszka usiadła strudzona na krześle przy stole znajdującym się w pobliżu okna wychodzącego na ulicę. W dłoniach, które złożyła na podolku, trzymała kuchenną ścierkę.

Skałka zajęła miejsce naprzeciwko, a Gross zbliżył się do okna i odchylił poźółkłą firanę. Stał w tym samym miejscu, w którym niedawno obserwowali właścicielkę. Dom Jaworskiej znajdował się po przekątnej, ale z tej perspektywy całą jego boczną ścianę zasłaniały drzewa i krzewy. Gdyby ktokolwiek teraz tam stanął, Gross nie miałby szans, żeby go zobaczyć.

– Wiemy, że kolega zadał już pani kilka pytań, ale muszę je powtórzyć. – Skałka wyjęła z wewnętrznej kieszeni polara notes i długopis, a następnie zebrała się w sobie i uśmiechnęła smutno.

Kobiecina, której twarz znaczone zmarszczkami wyglądała jak odbitka linii papilarnej małego palca, pokiwała głową. Jej usta poruszały się, jakby żuła gumę, ale w rzeczywistości tylko tarła nerwowo dłońmi o sztuczną szczękę.

– Kim dla pani jest zaginiona Elżbieta Jaworska? – Skałka zadała to pytanie, chociaż znała odpowiedź ze starych akt.

– To moja siostrzenica – stwierdziła staruszka.

– Pani opiekuje się jej domem na czas jej... – Policjantka zmitygowała się.

– Tak.

Skałka przełożyła kartkę w notesie.

– Kiedy zauważyła pani włamanie?

– Dziś rano.

– O której godzinie?

– Ja wstała po piątej, pokręciła się po domu. Potem posłuchała radia, pomodliła się trochę.

Gross dopiero teraz rozejrzał się po pokoju, w którym siedzieli. Obok znajdował się regał na książki, przed nim dwa stare fotele i telewizor. Na ścianach wisiały obrazy świętych, za plecami gospodyni mocno odchyłona od ściany wisiała „Ostatnia wieczerza”.

– A kiedy się rozjaśniło, przeszłam do domu Elci, żeby napalić w piecu.

– Ogrzewa pani ten dom? Sama?

– No ja tak nauczona była, żeby dbać o to, co swoje. Z domu rodzinnego to wyniosła.

– Czym pani ogrzewa tamten dom? – Skałka nie mogła wyjść ze zdumienia.

– Drewnem. Kupuję drewno latem od takiego pana, co przywozi je i wkłada tam, gdzie go poproszę. Nie ma tego dużo, bo ja biedna, ale chodzi tylko o to, by przepalić w piecu, żeby woda w grzejnikach nie zamarzła. Bo co będzie, jak Elcia się odnajdzie? – Spojrzała najpierw na Skałkę,

a potem na Grossa, jakby oczekiwała potwierdzenia z ich strony. Ale ono nie nadeszło. Gross chrząknął znacząco. Skałka wróciła do zadawania pytań.

– O której godzinie rozpała pani ogień?

– Dziś jeszcze nie rozpała.

– Nie? Dlaczego?

– Bo jak ja poczuła chłód w piwnicy i zobaczyła pęknięte okno i ślady mokre od butów na posadzce, to ja się wystraszyła i na policję zadzwoniła od razu.

– A wczoraj była tam pani?

– Była.

– Też rano?

– Rano i przed zmrokiem. Dołożyłam jeszcze do pieca, bo znowu mróz zapowiadali.

Skałka skończyła pisać.

– Nie wie pani, kto to zrobił? – Oderwała wzrok od notesu.

– Ja nie widziałam nikogo. – Starowinka rozłożyła ręce.

Gross nachylił się nad stołem.

– A czy nie kręcił się tu nikt ostatnio? – zadał pierwsze pytanie.

– Kręcił się? – powtórzyła, wzruszając ramionami.

W kuchni zaklekotała pokrywka.

– Sprawdzę kartofle – rzuciła kobieta i podniosła się, podpierając o blat.

Kiedy przemaszerowała do kuchni, policjanci wymienili spojrzenia.

– Tracimy czas – powiedziała Skałka po cichu.

– Straciliśmy go już tyle, że to bez znaczenia – wyszeptał Gross.

Usłyszeli kroki kobiety na korytarzu. Po chwili staruszka pojawiła się z powrotem w pokoju.

Usiadła i odetchnęła, jakby zmęczył ją ten spacer.

– Za chwilę sobie pójdziemy – zapewniła ją Skałka. – Mamy kilka ostatnich pytań.

Kobieta bez słowa zgodziła się.

– Czy dziś rano, kiedy była pani w tamtym domu, zdarzyło się coś nietypowego? – spytał komisarz.

– Nietypowego?

– Proszę pomyśleć o czymkolwiek, co zwróciło pani uwagę.

– Niczego takiego nie było.

– A jeśli chodzi o okolice? Widziała pani kogoś? Mężczyznę z psem?

– Z psem?

– Tak, pytam o mężczyznę z psem.

– Chodzi tu na spacer, pewnie on tu gdzieś stąd. Ja teraz już nie wiem, kto gdzie mieszka.

Wcześniej to znała wszystkich, ale teraz już nie. Tu dużo nowych przyjechało.

– A tego z psem pani zna z imienia i nazwiska?

– Nie.

– A jak on wygląda? Ten mężczyzna? Stary, młody? Wysoki czy niski?

– Starszy raczej, taki średni, ale postawny.

– A pies. Duży czy mały?

– Taki mały raczej.

– Pamięta pani, jaką ma sierść?

– Łaciaty jakiś.

– Dziękujemy pani bardzo. – Gross wstał. Skałka poszła w jego ślady, ale najpierw schowała do kieszeni notes z długopisem.

– Ale ja już stara jest, nie ciągnijcie mnie po komisariatach.

– Niech się pani nie obawia.

Kobieta dźwignęła ciało, ponownie wykorzystując blat. Wyprostowała kolana i przygarbiona odprowadziła gości do drzwi.

Gross i Skalka stali już na zewnątrz, gdy kobieta odezwała się.

– A bezdomny?

Gross odwrócił się.

– Słucham?

– A czy o bezdomnym ja mówiła?

Komisarz pokręcił głową.

– Był tu. Ale wcześniej.

– Wcześniej? – Gross wrócił i stanął przed uchylonymi drzwiami. – Kiedy?

– W czerwonym płaszczu był, bo ja go widziała.

– Ale kiedy? – powtórzył.

– No ja nie zapamiętała tak dokładnie. Ale będzie już dobry tydzień. Albo lepiej.

Gross podziękował kobiecie, a potem zszedł z niskiego ganku po ośnieżonych stopniach.

Ruszyli w stronę domu Jaworskiej, przy którym dostrzegli zielone renault kangoo na toruńskich numerach. Druga ekipa techników.

– Bezdomny? Ten z łódki? – rzuciła Skalka, kiedy byli już daleko.

– Czyli Tarasewicz.

– Jezu, o co tu chodzi? – Skalka popatrzyła na Grossa, a później przed siebie. – A ten z psem to kto?

– Nie wiesz? – Gross. – Ostatnio złożył mi wizytę.

– Teść Otremby? – jęknęła. – Fakt, łąził tu z tym psem Grzeška po osiedlu, ale myślałam, że miał inny powód. Jak chcesz, to pogadam z nim.

– Nie żartuj.

– No co?

– To, co słyszysz. Po prostu nie żartuj. Biorę to na siebie.

Kiedy podeszli do płotu, jeden z techników wrócił do samochodu po sprzęt.

– O, Bernard! Liczyłem, że cię tu zobaczę. Dawnośmy się nie widzieli, chłopie.

Gross podał rękę Staszкови Maliniakowi, korpulentnemu policjantowi o okrągłej twarzy szkolnego łobuza i prostych włosach uczesanych z przedziałkiem pośrodku głowy. Przedstawił mu Skalkę, która po chwili zrobiła kilka kroków w bok i wyjęła smartfon z kieszeni. Mężczyźni wymienili kilka uprzejmych zdań i parę wspomnień. W końcu Gross wskazał na dom Jaworskiej.

– Masz coś? – spytał Maliniaka.

– Niewiele. Czysta robota w rękawiczkach, dwa albo trzy dynamiczne ślady podeszew, jak na mój gust rodzaj starych wojskowych butów, wiesz, coś jakby glanów.

– Glanów? Kto jeszcze je nosi?

– Tylko starzy wojskowi. – Maliniak się zaśmiał.

Komisarz nie odrywał wzroku od starej elewacji.

– Na co ci to wygląda?

– Ten włam? No zastanawialiśmy się ze Zdzichem. On jeszcze siedzi na dole. – Maliniak usprawiedliwił kolegę. – Ale powiem ci, że dziwna sprawa. Nie wygląda, żeby cokolwiek tu zginęło. Niczego takiego nie znaleźliśmy. Ktoś niewątpliwie czegoś tu szukał, ale miał czas. I nie nabałagał.

– Czyli wiedział, czego szuka.

– Nam też się tak wydaje.

– Dzięki. – Gross wyciągnął rękę na pożegnanie, ale Maliniak nie uścisnął jej.

– Ale jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Tylne drzwi. – Maliniak wskazał dłonią na dom. – Wiem, że przednimi drzwiami wchodzi tu regularnie jakaś kobiecina. Ale te drzwi z tyłu, te na ogród, niedawno były otwierane. Na zamku są świeże rysy. I to musiał, proszę cię, zrobić ktoś inny. Bo tam już o arystokracji nie może być mowy. Rękawiczki poszły precz i daktyli tam sporo.

dziesięć lat temu

Wieczór nie przyniósł ulgi. Upał wciąż był nieznośny.

Tarasewicz zdołał uspokoić żonę, powiedział jej, że transakcja sprzedaży hurtowni doszła do skutku, muszą teraz czekać na kolejne transze pieniędzy. Mimo to żona ciągle przebąkiwała, że chce stąd wyjechać. Przynajmniej na jakiś czas, aż wszystko się uspokoi. Przekonywał, że nie powinni teraz wykonywać żadnego ruchu, że są na widoku i jeśli tylko będą spełniali żądania, nic im nie grozi. Grażyna wzięła za jego namową coś na uspokojenie i skołowana, położyła się w sypialni na piętrze, w której powietrze, mimo otwartych okien, zgęstniało.

Godzinę później odezwała się do niego. Leżała z półprzymkniętymi powiekami i przedramieniem złożonym na czole.

– Byłeś u Elki? Zrobiłeś, o co prosiła?

Firany nie poruszały się, pod żyrandolem kręciło się kilka much. Tarasewicz otarł mokry kark i założył krótkie spodnie od piżamy.

– Daj mi spokój z tą Elą. Nie mam już na nią siły. Najpierw te pogrożki, teraz jeszcze ona. Najlepiej cały remont by zrobiła moimi rękami.

– To może wynająłbyś jakąś ekipę?

– Tak, kurwa, ekipę – prychnął, chociaż cieszył się, że żona wreszcie zmieniła temat. – Najlepiej ze dwie, bo jeszcze dach trzeba przełożyć papą na nowo.

Grażka westchnęła.

– No i po co się złościysz. – Machnęła ręką. – Z tobą tak zawsze.

Spojrzał na Grażynę. Od ślubu minęło dwadzieścia lat, przybyło jej kilogramów, duże cycki, kiedyś zalotnie sterczące na boki, teraz obwisły zupełnie, jak dwa worki wypełnione masą ledwie do połowy. Jej okrągła twarz zdawała się zupełnie pospolita. Zaczął się zastanawiać nad tym, co takiego widział w niej wtedy. Co go w niej pociągało? Ilekroć o tym myślał, wciąż nie znajdował odpowiedzi. Nie licząc tej, że widocznie patrzył wówczas na nią fiutem. Chyba wyłącznie nim.

– Bo wiesz, ja to sobie wcześniej myślałam, że moglibyśmy właściwie kupić od niej ten dom. – Zawiesiła głos.

Sławomir podrapał się po brodzie, a potem położył się na swoim miejscu.

– Po jaką cholereę ci ta stara rudera? – Udał niezadowolone, bo sprawy już dawno ruszyły swoim torem. Pełnomocnictwo do sprzedaży domu miał w garści.

Pamiętał, że sam kiedyś podsunął jej ten pomysł. Nie wprost. Powiedział, że póki są przy forsie, powinni pomyśleć o nieruchomości dla Jaśka. Nieruchomość. Celowo nie powiedział, że chodzi o mieszkanie, bo jeszcze Grażyna gotowa byłaby rozglądać się za jakimś ciasnym „m” w bloku z płyty. Tymczasem jemu nieruchomość zawsze kojarzyła się z domem. Dlatego w tak dyskretny sposób podsunął pomysł kupna domu Eli. A ponieważ planował wkrótce ulotnić się razem z nią, upiekłby dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, Elka legalnie otrzymałaby pieniądze, dzięki którym mogliby oboje liczyć na lepszy start, kiedy daleko stąd rozpoczną nowe życie. Po drugie, zabezpieczyłby syna.

– Dla Jaśka. Nie pomyślałeś o nim?

– Oj, dajże już spokój, kobieto! Ma dopiero osiemnaście lat i na razie tylko dupy mu w głowie! – burknął, przełączony pilotem kanał. Trafił na żuźlową powtórkę z polskiej ekstraklasy.

– Moglibyśmy kupić i wyremontować, a potem wynająć. Jeśli to wszystko, te pogrożki by się uspokoiły.

– Wynająć? Tutaj? – Zaśmiał się nerwowo. – Niby komu? Żeby potem taki darmozjad nie płacił i siedział w nim nie wiadomo jak długo, bo na pysk nie można go wyrzucić? Kobieto, pomyśl! – Zirytował się.

– Ela kilka razy opuszczała już cenę. Mówiła mi w tajemnicy, że obniży po raz ostatni. Tym

razem o piętnaście tysięcy. Kto wie, co będzie za parę lat? Może nieruchomości jeszcze pójdą w górę i to będzie dobra lokata.

Grażyna ułożyła się na boku, a on wyłączył telewizor. Milczeli dłuższy czas, wsłuchiwali się w swoje oddechy.

– To dlatego kazałaś mi chodzić do Eli i robić te drobne remonty? Nie mogłaś od razu powiedzieć, o co ci chodzi? Ręce po łokcie sobie urobiłem, a przecież można było zlecić tę robotę. I kompleksowo podejść do tematu.

– Zrobiłaś łazienkę, jak chciała?

Tarasewicz nie wiedział, czy skłamać, czy powiedzieć prawdę.

– Śpij już, mam dość tego wszystkiego. – Zgasił lampę.

Noc nie przyniosła ochłody. Gorące powietrze wpadało przez uchylone okna. Z daleka dobiegały odgłosy miasta, poszum silników i gwar niezrozumiałych rozmów. Najbardziej jednak denerwowało go poszczekiwanie tych pieprzonych kundli spuszczonej na noc z łańcuchów, tego zasranego chóru psich wyjćów.

Leżał na plecach i obawiał się, że to będzie trudna noc.

– Czyli zgadzasz się? – Grażka ułożyła się na boku twarzą w jego stronę.

Po chwili poczuł jej dłoń na owłosionym torsie. Gładziła go w górę i w dół.

– Ile tak naprawdę ona chce za ten dom? – spytał, chociaż znał odpowiedź.

– Niecałe trzysta tysięcy. Ale możemy ją trochę przycisnąć. Myślę, że zejdzie jeszcze z ceny.

– Pogadaj z nią, ale nie duś za bardzo. To i tak niewiele.

– A koszty remontu?

– Załatwię to tak, że zapłacimy za same materiały, które dostaniemy po dużych rabatach od producentów.

Pocałowała go, a jej dłoń zjechała niżej i wsunęła się w spodnie od piżamy.

– Daj spokój, za gorąco jest – rzucił Tarasewicz i odwrócił się do niej plecami.

Wszystko układało się po jego myśli. Plany nabierały kształtów i zniknięcie z Elą, a także pieniędzmi, które miał wykombinować na sprzedaż, pobudziło go. Martwił się co prawda stanem Grażyny i może źle zrobił, że jednak pokazał jej przygotowany anonim. Hurtowni wciąż jeszcze nie sprzedał, chociaż miał namiary do osób, które wcześniej oferowały mu kupno jego biznesu. Byli to ludzie z branży, którzy rozwinęli podobne sklepy w Toruniu i poszukiwali nowych rynków zbytu. W każdej chwili mógłby do nich zadzwonić. Rozmyślał o tym, że zrobi to jutro, żeby przyspieszyć pewne działania.

Dlatego sen nie mógł przyjść.

Dopiero koło trzeciej nad ranem zapadł w drzemkę. Co rusz przebudzał się i nerwowo popatrywał na wyświetlacz elektronicznego zegarka.

Po czwartej, kiedy granatowe niebo nabierało odcienia błękitu, zabręczała jego komórka.

Jasiek.

– Halo – powiedział szeptem, żeby nie zbudzić żony.

– Ojciec, wstawaj! – Jęk chłopaka poderwał go na równe nogi.

– O co chodzi? – Uniósł się i oparł się na łokciu. Serce zabiło mu szybciej. – Gdzie jesteś?

– Pomóż mi, proszę! – Syn wrzasnął do słuchawki, a tuż potem jego głos zadrżał i zmieszał się z płaczem. – Zaraz będę pod domem.

Odłożył aparat i dopiero wtedy to spostrzegł.

W łóżku spał sam.

Zerwał się. Rozejrzał się na piętrze i na parterze, a potem także w garażu.

Została tylko jej komórka, przełączona na wibracje.

Z historii połączeń dowiedział się, że Jasiek dzwonił do niej godzinę wcześniej.

Tarasewiczowi zakręciło się w głowie i o mało nie upadł.

dzień ósmy, po południu

Gross i Skałka poczekali, aż technicy skończą robotę, a następnie sami weszli do domu i zajrzeli do każdego pomieszczenia. Gross zwrócił uwagę na tylne drzwi wychodzące z piwnicy na ogród. Pozostały zamknięte. Poprosił Skałkę, by przeszła się do Gruszeckiej, która opiekowała się domem, i zapytała o klucze do tych drzwi. Wróciła po kilkunastu minutach, kiedy Gross obchodził pozostałe pomieszczenia w piwnicy wyłożone cegłą brukową.

– Nigdy ich nie otwierała, klucza też nie ma – stwierdziła policjantka.

Gross dał sygnał do odwrotu. Podziękował technikom, że na nich zaczekali. Obaj mężczyźni wygrzewali się w samochodzie, popijając herbatę z termosu. Silnik pomrukiwał miarowo.

Po chwili niezobowiązującej rozmowy dojechali na Sądową.

– Dopapierzymy sprawę i damy ci znać. – Maliniak, który siedział na przednim fotelu pasażera, uścisnął rękę Grossa i Skałki.

Wysiedli pod komisariatem i oboje bez słowa weszli po schodach do gabinetu Grossa.

– Co teraz? – spytała Skałka, która usiadła zmęczona i zziębnięta na krześle.

– Złap kontakt z Otrembą.

– Próbowałam. Nie odbiera, nie odpisuje na maile. Służbowy telefon wyłączył.

– Masz numer do niego do domu?

Skałka miała ten numer w pamięci telefonu.

– Nie zadzwonię tam – stwierdziła.

– Przewidyj – poprosił Gross i podniósł słuchawkę stacjonarnego. Wybrał odpowiednie cyfry i czekał na połączenie. Po chwili usłyszał kobiecy głos.

– Dzień dobry, Ewelino – zaczął. – Mówi Gross.

Skałka spuściła wzrok. Po chwili wstała, ale komisarz dał jej znak, by jeszcze nie odchodziła.

– Słuchaj, wiem, że Grzegorz jest na chorobowym, ale muszę z nim pilnie pomówić... Nie ma go? A kiedy... Aaaa, rozumiem. No dobrze, ale daj mu, proszę, znać, że chciałbym z nim zamienić kilka słów, dobrze? – Gross odchrząknął. – Nie, to nic pilnego. A przy okazji... Jest jeszcze jedna sprawa. Nie wiem, czy wiesz, że twój ojciec złożył na mnie skargę... Nie, nic takiego, zresztą to zupełnie nieistotne, ale pomyślałem sobie, że może powinienem z nim pewne sprawy wyjaśnić. Dasz mi numer do niego?

Gross przytrzymał słuchawkę ramieniem, jedną ręką sięgnął po kolorową karteczkę z notesu, a drugą wyjął z szuflady długopis. Rozpisał go, kreśląc bazgroły, i czekał. Po chwili rozmówczyni przewidywała mu numer telefonu komórkowego. Zakończyli rozmowę.

Gross dłuższy czas wpatrywał się w zapisany numer telefonu.

– Dlaczego miałam zostać? – odezwała się Skałka, przypominając o swojej obecności. – Mam zadzwonić do teścia Otremby?

– Nie. Powiedz, co wiesz o żonie Jana Tarasewicza.

– Niespecjalnie dużo. Właściwie to wcale jej nie znam.

– Od dawna się znają?

– Poznali się już po zaginięciu rodziców Janka.

– Co ona robi? Pracuje gdzieś?

– Nie wiem. Mam to sprawdzić?

– Zrób to dla mnie, proszę.

Skałka ponownie wstała.

– Coś jeszcze?

– Pilotuj Maliniaka w sprawie śladów z domu Jaworskiej, bądź z nim w stałym kontakcie od poniedziałku.

– Dobrze.

– I daj znać, gdyby Otremba się odezwał.
– A co mówiła jego żona?
– Że wyjechał.
– Wyjechał?
– Być może kłamstwo to jego metoda komunikacji – rzekł Gross i podniósł słuchawkę. – Oboje wiemy, że siedzi w Chełmży. Ale być może teraz żona dała mu krótką smycz.

Skałka patrzyła na Grossa.

– A co z Czerpakiem? – spytał policjant.
– To ten właściciel łódki, tak? – upewniła się. – Pogadałam z nim, przeprosił, że nie ściągnął jej na brzeg, ale twierdził, że miał pełno pracy.

– Czym się zajmuje?

– Handluje odzieżą używaną, ma dwa albo trzy sklepy w okolicy.

– Nic podejrzanego?

– Na tyle, na ile udało mi się to potwierdzić w centrali, gość jest czysty.

Skałka wyszła, a Gross wybrał w końcu numer telefonu.

– Halo – odezwał się Emil Kowalski.

– Dzień dobry, mówię Bernard Gross. Proszę przygotować sobie szczoteczkę do zębów.

– Słucham? – warknął radny.

– Niech się pan pośpieszy, bo patrol jest już w drodze.

– Co?!

– Chodzi o włamanie do domu przy Broniewskiego – recytował Gross. – Zabieranie ze sobą psa na taką akcję to samobójstwo.

W słuchawce zapadła cisza.

– Zaraz, zaraz – stwierdził po chwili mężczyzna, ale już łagodnym tonem. – To nie tak.

– Panie radny, niech się pan nie pogrąża – dodał Gross.

– Gównon pan wie, ja tu mam swoje umocowania.

– Wszyscy się od pana odetną, bo inaczej pociągnie ich pan na dno, co zresztą nastąpi szybciej, niż się panu wydaje.

Gross odłożył słuchawkę i czekał. Minęło kilka minut, w trakcie których patrzył na ekran swojej komórki. Robił to tak długo, aż w końcu, niby za jego mocą, rozbłysła światłem i dźwiękiem. Wyświetlił mu się numer, który zgadzał się z tym zapisanym niedawno na kartce.

Komisarz odczekał kilka sygnałów, po czym odebrał połączenie.

– Szybko, bo jestem zajęty.

– Spotkajmy się wieczorem.

– Gdzie?

– Przy Rynku Bednarskim jest pub Śliwka. Postawię piwo na zgodę.

– To nie zmieni treści obdukcji.

– Niech pan przyjdzie, komisarzu.

*

Gross resztę dnia poświęcił na uzupełnianie dokumentacji prowadzonych spraw o włamania i kradzieże, w tym dwóch o pobicie. Potem przejrzał portale poświęcone sprzedaży nieruchomości i obdzwonił najważniejsze firmy z tej branży w Kujawsko-Pomorskiem, zweryfikował też ogólnopolskie ogłoszenia. Kiedy skończył, niebo nad Chełmżą poszarzało, odbierając miastu barwy, a jemu resztki sił. Pocierał ze zmęczenia oczy. Dopił zimną herbatę, po czym nie zabrawszy kurtki, wyszedł na zewnątrz komisariatu i stanął przed klatką schodową nowego budynku przy Sądowej. Na panelu domofonu wybrał numer mieszkania Tarasewicza. Stał nieruchomo, owiewany lodowatym

wiatrem, i czekał, aż zgłosi się właściciel. Spróbował ponownie, ale z takim samym skutkiem. Tarasewiczów nie było w mieszkaniu. Gross wrócił do gmachu policji po kurtkę, a następnie zszedł na bulwar i pomostem przedostał się na drugi brzeg jeziora. Skręcił w Plażową, ale nie wszedł do swojego bloku, tylko w ulicę Głowackiego. Po prawej mijał niewysokie kamienice, zapomniane niestety przez ludzi i czas. Na końcu, tam gdzie jezdnia krzyżowała się z Toruńską, w pobliżu torów znajdowała się hurtownia budowlana Jana Tarasewicza „Mat-Bud Taras”. Działka była podłużna, ograniczona z jednej strony przez torowisko, z drugiej – przez brukowaną drogę wylotową na Toruń.

Gross wszedł na teren pełen długich drewnianych wiat, pod którymi upchano ciężkie rury i stalowe pręty. Obok w usypanych przyzmach przykrytych cienką warstwą śniegu leżał węgiel. Minał stróżówkę, odprowadzany wzrokiem przez starego, niskiego mężczyznę, który jadł kanapkę, po czym udał się na drugą stronę placu, gdzie ustawiono w rzędach palety pełne cegieł. Pięły się wzwyż, jedne na drugich. Gross kierował się wyżwirowaną drogą do jedynego podłużnego budynku otynkowanego na szaro z kilkoma drzwiami i zadaszoną rampą do rozładowywania towarów. Sterczały tam kotły węglowe, na pellet i ekogroszek, obok parkowały dwa samochody: dostawczak z wgniecionym błotnikiem i osobowy bez kołpaka na tylnym kole. W starej hondzie Gross zauważył znużoną kobietę na fotelu pasażera.

Komisarz wybrał drzwi z napisem „Sklep”.

Znalazł się we wnętrzu pełnym zastawionych stalowych regałów. Widniały na nich pędzle, puszki farb, a także artykuły hydrauliczne, śruby i gwoździe oraz narzędzia.

Gross spojrział na sprzedawcę, który przekładał zawory do szarej kuwety.

– Dobry! Pomóc w czymś? – zagadnął młody, szczupły mężczyzna w szarym polarze.

– Szukam szefa – odparł Gross.

– Pan przejdzie do biura. – Kiwnął głową w stronę drugiego pomieszczenia oddzielonego od hali sprzedażowej przeszkłonymi drzwiami.

Gross poszedł w tamtym kierunku.

W kwadratowym pokoju, w którym znajdowało się kilka stanowisk biurowych, było ciepło. Przy dwóch biurkach siedzieli sprzedawcy i podliczali zakupy klientów. Kawatek dalej dostrzegł kobietę pochyloną nad komputerem. Nie widziała go, a on nie chciał podnosić głosu i robić zamieszania. Wydawało mu się, że to żona Tarasewicza. Podszedł bliżej do kasjera i zapytał go o szefa.

– Powinien być u siebie. – Otyły mężczyzna wskazał na lite brązowe drzwi, na których wisiała tabliczka „Biuro”.

Gross zapukał i czekał na zaproszenie, wsunawszy rękę do kieszeni, w której wymacał telefon.

– Pan wejdzie, bo drzwi są podwójne. Szef nie usłyszy.

Komisarz tak zrobił. Ujrzał Tarasewicza za biurkiem, na którym piętrzyły się kolorowe segregatory.

– Dzień dobry – przywitał się Gross.

– Dzień dobry – rzekł Jan Tarasewicz, nie odrywając wzroku od ekranu. – Słucham, w czym mogę pomóc?

Kiedy dostrzegł Grossa, zmarszczył brwi.

– O co chodzi? Stało się coś? – spytał, nie podnosząc się z fotela.

– Chciałem zająć panu chwilę. Mam kilka pytań w wiadomej sprawie.

– Pytań? Jakich pytań? W sprawie bezdomnego?

– W sprawie zaginięcia pana ojca.

– Aaaa, o to chodzi. – Odchylił się na oparciu krzesła i splótł ręce. – Niech pan siada. – Wskazał brodą na krzesło.

Gross podziękował, wolał popatrzeć na ściany z dyplomami, które z biegiem lat pożółkły. Ich rodowód zdradzały nieudolne grafiki i brzydkie logotypy. Na wysoko zawieszonej półce oprószone kurzem sterczały sportowe statuetki. Gross domyślił się, że były przekazywane Sławomirowi Tarasewiczowi, za jego finansowe angażowanie się w losy kilku klubów sportowych.

– Pana żona pracuje razem z panem w firmie? – spytał komisarz.

– Tak, zajmuje się księgowością.
– Nie siedzicie razem?
– Całe dnie jesteśmy razem, w pracy potrzebujemy oddechu – wyjaśnił młody przedsiębiorca. – Ale niech pan pyta, bo mam mało czasu.

– Rozmawiałem niedawno z siostrą pana ojca.
– Po co? Stało się coś nowego? A może jej też pokazywał pan to zdjęcie bezdomnego?
– Rozmawialiśmy o zaginięciu pana rodziców.
– Chryste! Po co pan to rozgrzebuje?
– Rozgrzebuję? – zdziwił się Gross.
– No na to wygląda. A moja ciotka jest słabego zdrowia. Do dziś się nie podniosła po tym ciosie. Zresztą to na nikogo dobrze nie wpływa.

– Co takiego?
– To ciągle walcowanie historii. Ciągle wracanie do tego dnia, w którym to się stało. Dlaczego go nie szukacie? Dlaczego ciągle tylko patrzycie w przeszłość, zamiast odnajdywać nowe ślady i wyjaśnić tę całą zagadkę?

– Zbliża się dziesiąta rocznica – przypomniał Gross i dodał: – Wkrótce obudzą się media. Wiem, że nie jest panu łatwo, ale warto zrobić wszystko, by wyjaśnić tę sprawę.

– No właśnie widzę, jak pan chce to wyjaśniać, jak pan się za to zabiera. – Zachnął się. – Gdyby coś dało się wyjaśnić, już dawno wiedzielibyśmy, co się stało! Jeśli nie szukacie nowych śladów, to w jaki sposób chcecie do czegośkolwiek dojść?

– Policja regularnie wraca do tej sprawy i bada nowe wątki.
– Nowe wątki? – prychnął. – Ale nowym wątkiem nie jest trup bezdomnego, którego pan znalazł, do cholery! Nie jest podobny do mojego ojca, nie mówiąc już o tym, że nie sprawdził pan znaków szczególnych.

– Blizny na łopatce. – Ilekroć Gross o tym myślał, tylekroć wracały wspomnienia. Błysk w pamięci, krótki film, w trakcie którego zadaje nożem ranę napastnikowi i widzi krew wypływającą z okolic prawej łopatki.

– No właśnie. – Machnął ręką Tarasewicz i wyprostował się. Sięgnął po segregatory, żeby je równo ułożyć. Kiedy to zrobił, siedział przez chwilę w bezruchu. Wreszcie skrzywił się i spojrzał na Grossa. – O co konkretnie chciał pan zapytać?

Gross podszedł do ściany i zaczął wodzić wzrokiem po starych dyplomach.

– Kiedy poinformował pan siostrę ojca o jego zaginięciu?

Tarasewicz popatrzył gdzieś w bok.

– Dzień po tym zdarzeniu.

– Pamięta pan, co konkretnie jej powiedział?

– No, że zaginęli. Oboje.

– A kiedy pana ciotka przyjechała do Chełmży?

– Tego samego dnia.

– Co zrobiła, kiedy ją pan odebrał z dworca?

– Boże, już to przerabialiśmy, ma pan to wszystko w papierach. W aktach – odparł zniechęcony.

– Niech pan odpowie na moje pytanie – poprosił komisarz.

– Czy śledztwo w tej sprawie zostało wznowione?

– Być może nie będzie takiej potrzeby.

– Co pan ma na myśli?

Gross odwrócił się do Tarasewicza.

– Co zrobiła pana ciotka, gdy odebrał ją pan z dworca?

Przedsiębiorca jęknął.

– No co zrobiła? Pojechaliśmy do domu, wydzwaniała po różnych znajomych, dalszej rodzinie, w końcu poszliśmy na policję.

- Pan też wydzwaniał?
- Tak.
- Do kogo?
- Nie wiem, nie pamiętam, ciotka podrzucała mi kolejne numery, więc dzwoniłem.
- Czy odwiedziła was wówczas Elżbieta Jaworska?
- Nie.
- Na pewno? Nie oferowała pomocy?
- Oferowała, ale ciotka dobrze sobie radziła.
- Dzwonił pan do niej czy ona do pana?
- Jezu, nie pamiętam! Jakże to ma znaczenie?

Gross popatrzył na niego.

– Właściwie nie ma żadnego. Dziękuję – powiedział i skierował się do drzwi. – A! Jeszcze jedno!

Tarasewicz odprowadzał go wzrokiem.

– Jak idzie sprzedaż domu? Szukam czegoś podobnego dla syna – powiedział komisarz.

– Dziękuję, dobrze.

– Ma pan już kupca?

– Nie, ale zainteresowanie jest. Pewnie wkrótce znajdzie się chętny.

– Jestem o tym przekonany. Dobre miejsce, ładna działka. Może zwiększyłby pan szanse, gdyby rzeczywiście wystawił pan ten dom na sprzedaż? Bo jak na razie oferty sprzedaży nie ma żadne tutejsze i toruńskie biuro nieruchomości.

Tarasewicz zacisnął usta, ale nie zdążył nic odpowiedzieć.

– A tym, że nie pamięta pan, kto do kogo dzwonił, czy pan do Jaworskiej, czy Jaworska do pana, niech się pan naprawdę nie przejmuj. Na dniach dostanę pana i jej bilingi z sierpnia dwa tysiące ósmego roku. – Gross szarpnął drzwi i wyszedł z biura.

Kiedy przemknął obok kasjerów, zauważył, że biurko, przy którym siedziała żona Tarasewicza, jest puste.

Na blacie leżała otwarta gazeta.

*

Neon z napisem „Śliwka” i rysunkiem owocu nie świecił się. Grossowi wydawało się, że pub zlokalizowany w niewielkim drewnianym pawilonie musi być o tej porze zamknięty. Tymczasem drzwi były otwarte. Cztery boksy z ławami świeciły pustkami, panował ziąb.

Postawny łysol kiwał się przy flipperze w takt muzyki płynącej z głośników. Maszyna co rusz odzywała się prostą melodią. Gross przeszedł do baru, gdzie u jegomościa z dredami na głowie i wytatuowanymi kłykciami zamówił gorącą herbatę. Obok na hokerze siedział młodzian ze wzrokiem wbitym w telefon, który co chwila odzywał się sygnałem nadejścia wiadomości z komunikatora. Przy Otrembie i Skalce Gross nauczył się rozpoznawać ten dźwięk.

– Trzy złote – odezwał się barman.

Komisarz zapłacił, zabrał parujący kubek i usiadł w ciemnym kącie na zimnej ławie.

Emil Kowalski spóźniał się.

Z głośników dochodziły dźwięki polskich zespołów rockowych. Gross pamiętał tych kilka numerów z odległej przeszłości, kiedy Agnieszka lubiła ich słuchać i kupowała płyty. Nie pamiętał tylko, co się z tymi krążkami stało. Obstawiał, że zabrał je Bartek, kiedy pakował się na wyjazd na studia do Poznania.

Gross zerknął na telefon w nadziei, że Kowalski wytłumaczył mu w esemesie powód spóźnienia, jednak telefon uparcie milczał. Komisarz nie miał żadnego nieodebranego połączenia

i żadnej nowej wiadomości.

Położył aparat obok kubka z herbatą i zastanawiał się, co dalej ze sprawą Tarasewiczów i Jaworskiej. Wegner, który lata temu prowadził obie sprawy, był przekonany, że poza podobnym czasem zaginięcia i tym samym miejscem nie było żadnej części wspólnej. W niedzielę Gross dotarł do materiałów, w których zakładano także wersję popełnienia samobójstwa przez Jaworską. Mogła ją do tego skłonić zawiedziona miłość. Tarasewicz wyjechał z Chełmży razem z żoną, o czym kobieta dowiedziała się już następnego dnia, a to przyczyniło się do depresji. Zakochana w przedsiębiorcy, poczuła się oszukana. Pytanie tylko, gdzie znajdowało się jej ciało i dlaczego do tej pory nikt go nie znalazł. Trudno było uwierzyć w to, że wymyśliła taki sposób odebrania sobie życia, który w cudowny sposób zamaskowałby jej zwłoki. Abstrahując od tego, należało jednak pamiętać, że plotki o romansie Tarasewicza nie były w żaden sposób potwierdzone. A to tylko osłabiało tę teorię.

Druga wersja, do której Gross również miał zastrzeżenia, wydawała się komisarzowi równie mało prawdopodobna. Mimo to, przypominała mu się teraz, gdy siedział w kurtce w wyiębionym pubie i popijał herbatę, która szybko przestała parować.

W skrócie chodziło o to, że Tarasewicz rzeczywiście wyjechał z żoną, ale tylko po to, by ją zabić i ukryć ciało. Wówczas dołączyła do niego Elżbieta Jaworska i w dalszą drogę udali się już razem.

Komisarz nie zamierzał ponownie analizować obu tych wersji. Nie pasowały do tego, czego tu, na miejscu, po latach, zdążył się dowiedzieć. Po pierwsze, nie pasował mu ten swoisty powrót z zaświatów Sławomira Tarasewicza. Skłaniał się, co prawda, do tego, że cała historia zaginięcia małżonków musiała być naznaczona tragedią. Zastanawiał się jednak, kiedy i w jaki sposób do tej tragedii doszło, ale im dłużej o tym myślał, tym mniej miał wątpliwości. Całe zło wydarzyło się już po ich ucieczce z Chełmży. I to napawało go smutkiem pomieszanym z bezsilnością, bo obawiał się, że nigdy nie pozna prawdy o tym zdarzeniu.

Wyciągnął notes i zaczął zapisywać w nim swoje spostrzeżenia i uwagi. W końcu u dołu kartki nakreślił drukowanymi literami słowa: „DOM JAWORSKIEJ” i postawił na końcu znak zapytania. Wielokrotnie podkreślił i pogrubiał litery.

Kolejny dźwięk w telefonie chłopaka siedzącego przy barze sprawił, że Gross wrócił o rzeczywistości. Kowalski nie przyszedł, a herbata zrobiła się zima jak sopel.

Gross zebrał się do wyjścia i skinął głową na pożegnanie barmanowi.

Ubity śnieg pokrywał chodniki, a bruk skrzył się w świetle latarni. Policjant szedł w stronę domu. Zamyślony, skupiony bardziej na życiu innych ludzi niż własnym.

Przekręcił zamki w drzwiach i wszedł do swojego mieszkania w chwili, gdy odezwała się jego komórka. Zapalił światło i ściągnął kurtkę. Dopiero wtedy zajrzał do telefonu. Wiadomość przesłał syn.

„Pozyczysz pieniądze?”.

„Ile?” – odpisał. Bał się pytać, na co. Wierzył, chociaż raczej nie powinien, w rozsądek syna. Nigdy nie rozmawiali o pieniądzach, które zostały po sprzedaży ich domu w Toruniu. Gross zastanawiał się wtedy, czy przekazać połowę tej sumy synowi, czy zachować ją dla niego, ale na własnym koncie, i oddać, gdy nadejdzie odpowiedni moment, taki jak ślub albo podjęcie pracy. Niestety, dał mu odliczoną kwotę, a dziś, nie umiając cofnąć czasu, czuł się zupełnie bezradny wobec tych wątpliwości, które co rusz go nachodziły. Obawiał się, że suma na koncie syna stale topnieje, rozplywa się w morzu codziennych, błahych wydatków. Że Bartosz czerpie z tego źródła, jak ze studni bez dna. A im częściej dostawał od syna prośby o przelew, tym wyraźniej widział samospełniającą się przepowiednię i nadchodzącą klęskę. Nie chodziło tylko o ewentualne kłopoty finansowe, bardziej martwił się o to, że kiedy zabraknie pieniędzy, syn przeżyje wstrząs, a to pogłębi jego depresję. Stanie się bardziej podatny na złudne poczucie bezpieczeństwa i beztroski pielęgnowane w alkoholowych zwidach. Zresztą kto wie, czy Bartosz już nie szedł tą mroczną drogą.

W swoich najgorszych koszmarach Gross patrzył bezradnie na bezdomnego syna, alkoholika w śmierdzących ciuchach, śpiącego po najgorszych norach miasta, zawszawionego, zagubionego

i odtraconego. Człowieka, który z tym gatunkiem coraz mniej ma wspólnego, który nie chce ojcowskiej troski, ale chętnie przyjmie każde jego pieniądze tylko po to, by w tym koszmarnym życiu nie uczestniczyć, by wypisać się z niego kolejną butelką taniego wina, samogonem czy denaturatem.

Czy jego syn skończy tak jak bezdomny Heniek albo Sergiusz Jaskóła?

„Trzysta potrzebuje”.

Gross mógł mieć na koncie nie więcej jak tysiąc złotych.

„Przeleję połowę. Jutro” – odpisał i odłożył telefon.

Odpowiedź przyszła szybko. Zanim Gross ją odczytał, wstawił wodę na herbatę i zajrzał do lodówki, z której wyciągnął masło i metkę łososiową.

„Polowe to se w dupę wsadz”.

Przez dłuższy czas Gross wpatrywał się w ekran komórki, aż obraz zaczął drgać. Przymknął na chwilę powieki, ale to nie wzrok go zawodził. Komisarz zrozumiał, że trzęsły mu się ręce, a serce szybciej tłoczyło krew.

Czuł, że tego wieczora nie zdoła pracować nad modelem motocykla.

Ubrał się i wyszedł z domu.

dzień dziesiąty, przed południem

Wszedłszy do komisariatu, Gross spostrzegł mężczyznę nachylającego się do okienka dyżurki.

– Tak, pan Gross, był u nas w piątek – stwierdził mężczyzna.

Oficer dyżurny zauważył w tym momencie komisarza i uniósł w jego kierunku brodę.

– Właśnie przyszedł – poinformował interesanta młody policjant.

Mężczyzna odwrócił głowę, a potem wyprostował się.

– O kurczę, jak dobrze, że pana zastałem – rzekł. – Dzień dobry.

Gross wyciągnął rękę. Rozpoznał mężczyznę w długich włosach i spytał:

– Stało się coś? Wejdzie pan?

– Nie, ja tylko na chwilę. Żona mnie wysłała.

Gross poprawił torbę, która zaczęła mu się zsuwać z ramienia.

– Przypomniała sobie coś w sprawie telefonu? – zaciekał się.

– Tego mi nie powiedziała. Wysłała tylko esemesa z pracy, żebym zdobył pana numer. Posiała gdzieś wizytówkę.

– Ma pan coś do pisania? – zapytał Gross nieco poirytowany. Jeśli gubi wizytówkę, to i smartfona mogła zgubić.

– W telefon wbiję – odrzekł.

Gross przedyktował mu swój numer.

– Dziękuję, żona na pewno dziś zadzwoni. – Mężczyzna zszedł po stopniach i poprawił szalik.

– Do widzenia.

Gross zauważył harmider na parterze. Skierował się na schody i wszedł do swojego pokoju, tylko po to by zostawić w nim torbę i kurtkę, a następnie popatrzył na zegarek. Zadzwonił do Skalki, ale nie odbierała. Chciał z nią porozmawiać o włamaniu do domu Jaworskiej i zebrać nowe informacje, zweryfikować kierunki działań w tej sprawie. Najpierw jednak zapukał do drzwi Brandola i uchylił je. Ten stał nad mapą powiatu rozłożoną na stole i wymieniał uwagi z aspirantem sztabowym Nubińskim. Kiedy szef kryminalnych dostrzegł Grossa, powiedział, że poranne spotkanie jest odwołane, ma urwanie głowy.

– Co się stało?

– W nocy była kolejna ustawka pseudokibiców, sporo rannych. Zabrałem ci Skalską, musi nam pomóc.

Gross wycofał się do swojego pokoju. Usiadł za biurkiem i wyjął swój notes.

Przedzwonił na komórkę Skalki i czekał. Po kilku sygnałach usłyszał jej pełen napięcia głos.

– Mówiłam Brandolowi, że powinnam ci pomóc przy włamaniu, ale głównie to dało.

– Dam sobie radę. Mów, co słyhać.

– Rano dzwonił technik, ten z Torunia, twój kumpel – oddychała szybko.

– Chęciński?

– Nie, ten co był na włamaniu do Jaworskiej.

– Maliniak. No i?

– Prosił, żebyś oddzwonił.

– Dobra, ale mam do ciebie prośbę – rzekł.

– Mów.

– Poobserwujesz Tarasewicza?

– Gorzej nie mogłeś trafić. A jak mnie rozpozna? Znamy się przecież ze szkoły.

– Chłopak ma sporo do przemyślenia, nie będzie się rozglądał za ogonem. W sobotę odwiedziłem go w pracy, a potem przez weekend sam miałem go na smyczy. Nie zorientował się.

– A czego się dowiedziałeś?

– Nadal pakuje graty w kartony. Część wyrzuca, a część czeka na przewiezienie do mieszkania.

Rozpoczął też remont starego domu.

– A na co ja mam zwrócić uwagę?

– Sprawdź, z kim rozmawia, z kim się spotyka. Zmienię cię wieczorem.

– Dobra, jak skończę ten sajon, to zabiorę się za Tarasewicza. W kontakcie. – Chciała się rozłączyć, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie coś ważnego. – Dzwonili z gminy. Dziś chowają Tarasewicza na komunalnym. Jako NN.

– Jeszcze mu przybijemy tabliczkę z prawdziwym nazwiskiem – obiecał i podziękował za informację.

Rozmyślał chwilę o tym pogrzebie i czuł do siebie żal, że w jakimś sensie zawiódł, że nie doprowadził tej sprawy do szybkiego finału, nie dowiódł, kim jest mężczyzna z łódki.

Wreszcie usiadł za biurkiem, żeby przedzwonić ze stacjonarnego do Staszka Maliniaka, ale okazało się, że technik wyjechał do zdarzenia.

– Dobra, dziękuję. Niech do mnie zadzwoni, jak wróci, nie chcę mu przeszkadzać w robocie.

– Oczywiście. Ale niech pan zaczeka! – poprosił policjant, którego Gross nie znał nawet z nazwiska.

W słuchawce usłyszał przytłumione głosy i głośny szmer.

– Dobra, dobra, ja z nim pogadam. – Gross usłyszał, jak ktoś przejmuje słuchawkę.

– Bernard? – odezwał się Marian Chęciński.

– Jestem. Masz coś dla mnie?

– Nie, nic. Trzeba czekać, wiesz, jak to jest. Pierwszy w kolejce nie jesteś. – Zaśmiał się.

– Nie musisz mi tego przypominać.

– Poczekaj chwilkę. – Chęciński ściszył głos. Odezwał się po chwili, jakby szukał odosobnienia. – Spotkałem naszego wspólnego znajomego, kręcił się tu po komendzie.

– Kogo masz na myśli?

– Wegnera, tego z Chełmży, poprzedniego szefa kryminalnych. Kojarzysz go?

Gross zmarszczył brwi.

– Widziałem się z nim ostatnio. Pracuje jako ochroniarz – poinformował Gross.

– Serio? A co od niego chciałeś?

– Dręczy mnie sprawa bezdomnego z łódki.

– Pieprzysz?

– Serio, wydaje mi się...

– Ale on właśnie o tę sprawę wypytywał.

– Kogo?

– No mnie i Jarka. Dowiedział się od kogoś, że byliśmy na tej robocie u ciebie.

– Co konkretnie chciał wiedzieć? – Gross kreślił linie długopisem w rogu kartki.

– Pytał o wyniki daktyloskopii. Chciał się upewnić, czy to ten zaginiony Tarasiński.

– Tarasewicz.

– Tarasewicz, dokładnie.

– I co mu powiedziałeś? – Gross narysował kwadrat i zaczernił jego rogi.

– Żeby się do ciebie odezwał, że ty prowadzisz tę sprawę.

– Jak zareagował?

– No właśnie – zaczął Chęciński. – I to mnie zdziwiło. Powiedział, że zna Berniego. Nie miej do mnie żalu, to on się tak wyraził. No i że ma twój numer, to sobie z tobą pogada. Ale przecież, gdyby tak było, nie przyszedłby, do cholery, do nas. No nie jest tak? Najpierw szukałby kontaktu w Chełmży. Zna się przecież z Brandolem, nie? Brandol był jego zastępcą.

Gross wymienił jeszcze kilka uwag z Chęcińskim i podziękował mu za informacje. Zastanawiał się, czy skontaktować się od razu z Wegnerem, ale uznał, że nie powinien się spieszyć. Skoro ten zaczął węszyć, Gross wierzył, że prędzej czy później trafi na niego. Na razie miał sporo roboty z sobotnim zgłoszeniem włamania do domu Jaworskiej. Uznał, że pora pojechać tam i raz jeszcze się rozejrzeć.

Poprosił dyżurnego, żeby skierował patrol po niego i po piętnastu minutach oczekiwania odebrał sygnał, że może już schodzić. Chwycił kurtkę i zamknął swój gabinet.

Silnik ducato pomrukiwał na jałowym biegu. Dowódcą patrolu był aspirant Stefański, tylko kierowca się zmienił.

– O! Komisarz Gross, dzień dobry – zawołał wesoło rosły policjant. – Dokąd jedziemy?

Gross usadowił się na tylnej kanapie i podał mu rękę. Potem wymienił uścisk dłoni z blondynem siedzącym za kierownicą.

– Na osiedle Maja. – Zapiął pas.

– A co tam? Dalej pan rzeźbi w tym włamie? – spytał, gdy kierowca wrzucił jedynekę i zwołnił sprzęgło.

– Aż do wyjaśnienia sprawy.

– Ha! Dobrze! Pan to jak artysta, każdy występ kończy brawami – żartował Stefański, kiedy samochód skręcił w prawo, w wąską ulicę Kopernika.

– A co u was?

– A nic. Jeździmy, patrzymy. Normalnie, jak to stróże porządku. – Samochód skręcił na końcu Rynku w lewo. – Ochrona porządku publicznego, tak to się ładnie nazywa, prawda? – Odwrócił się do Grossa.

– A ta bijatyka?

Stefański zaśmiał się.

– Ja wiem, że będę politycznie niepoprawny, ale nie czarujmy się, panie komisarzu, tym gnojom nie należy zabierać kastetów, bejsboli i maczet. Ba! Powinniśmy wszyscy zrobić narodową zrzutkę, wie pan, coś takiego jak Kibolską Orkiestrę Świątecznego Wpierdolu, wyposażyć tych pojebusów w najlepszy sprzęt do napierdalanki i wywieźć w styczniu na pola Grunwaldu. Otoczyć, obserwować i nie reagować do samego końca. Raz do roku zrobić im taką ustawkę, a mówię panu, mielibyśmy spokój, jak nigdy! – Stefański ponownie odwrócił się do Grossa i uniósł kciuk w górę, po czym zaczął wyliczać: – Po pierwsze, żadnych niebieskich kart. Po drugie, żadnych aktów wandalizmu w miastach. Ład i porządek, panie komisarzu!

Gross kiwał głową, a kierowca próbował ukryć uśmiech.

– Nasi zaczęli? – spytał komisarz.

– Jacy tam nasi. – Stefański się zachnął. – Toruń wpada jak do siebie i ciągle prowokuje. Przecież pan wie, że co chwilę takie akcje robią. Zajadą niby, że na kręgle, na browara, ale tak naprawdę podrywają tutejsze dupy, to nasi zaraz pięści w ruch puszczaają.

– Niewiniątka – westchnął Gross.

– Ja ich nie bronię, ale czy słyszał pan kiedyś, żeby wywołali rozróbę w Toruniu? Żeby tam komuś weszli w grządki i naszczali na marchewkę?

Gross przyznał mu rację.

Minęli cmentarze po obu stronach drogi, po czym kierowca skręcił w prawo, w 3 Maja, i przy klekocie dobiegającym z głębi paki dojechali na miejsce.

– Zaczekać? – spytał Stefański.

– Nie trzeba.

– Dobra, pojedziemy na Pluskowęsy i wrócimy za jakiś czas. Jak pan tu jeszcze będzie, to odwieziemy uprzejmie na komisariat.

Gross podziękował i zatrzasnął za sobą drzwi. Kiedy wóz odjechał, odczekał jeszcze chwilę, obserwując ogród przy domu Jaworskiej. Zastanawiał się, od której strony łatwiej można byłoby dostać się na jej działkę. Zakładał, że od strony jezdni. Przemawiało za tym mniejsze ryzyko bycia zauważonym. Podszedł więc do płotu po obsypanym grubą warstwą białego puchu terenie. Nogi zapadały się głęboko, poczuł, jak sypki śnieg wpada do butów. Wiedział, że za chwilę roztopi się i zmoczy mu skarpety. Mimo to nie przerwał marszu, dotarł do rogu działki. W śnieżnej warstwie okrywającej okolicę widział podobne zagłębienia, jakie sam zostawiał. O niczym jednak nie świadczyły, bo nie zauważył, by pozostawione tu ślady kroków prowadziły do płotu. Nic z tych rzeczy,

ciągnęły się dalej w stronę sąsiedniej posesji.

Gross spojrzął na dom i zejdzie do piwnicy. Ktoś, kto dostał się przez płot z tej strony działki, mógł pozostać niezauważony. Cały ogród został przeszukany przez techników, więc nie miał tu nic więcej do roboty. Postanowił natomiast raz jeszcze przyjrzeć się wnętrzu. Obszedł działkę i zatrzymał się przy furtce, na której wciąż wisiał stary szyld z napisem „Kaletnik”. Zaskoczony dostrzegł mężczyznę w roboczym stroju, kucającego przy wybitym oknie.

– Co pan tam robi? – spytał Gross.

Mężczyzna spojrzął w jego stronę.

– A o co chodzi? – rzekł półgębkiem, trzymając w ustach papierosa.

Gross dopiero teraz zauważył otwartą skrzynię z narzędziami znajdującą się w pobliżu jego nóg. Pchnął furtkę i ruszył w jego stronę po niezdarnie odsnieżonym chodniku.

Kiedy się przy nim znalazł, wyciągnął legitymację. Mężczyzna wyprostował się i zaciągnął.

– Się porobiło, nie? – rzekł, poprawiając czarną czapkę. – Naprawiam to okno na zlecenie tej starszej kobieciny. – Kciukiem wskazał za plecy. – Mam też rozpalić w piecu, jak już skończę.

– Długo panu zejdzie? – Gross popatrzył na okno, z którego mężczyzna usuwał pozostałości szkła i stary stwardniały kit. Obok zauważył niewielką jasną sklejkę, która zapewne miała wkrótce zastąpić szybę.

– No... – Zerknął na zegarek – Jeszcze jakieś piętnaście minut.

– Ma pan klucze?

– Tak, dostałem od pani Gruszeckiej. – Sięgnął do kieszeni. – Chce pan tam wejść?

Komisarz odebrał je, a następnie odszedł i stanął przy drzwiach. W wyżłobieniach dwóch starych kluczy, spiętych na stalowym kółku, zbierał się brud. Od kółka odchodził krótki łańcuszek, na którym kołysał się brelok.

Czarna kula bilardowa z mocno wytartą już ósemką.

*

Przywitała go cisza.

Gross, zostawiwszy fachowca przy oknie, dostał się do starego domu i zamknął za sobą drzwi. Dopiero po chwili usłyszał chrobotanie dochodzące z zewnątrz.

Obszedł parter, zaglądając do każdego z pomieszczeń. Poszedł też schodami na górę, gdzie zajrzał do każdego z trzech pokoi i starej, zaniedbanej łazienki z wymalowaną lamperią oraz żeliwną wanną, obudowaną poźółkłą, wyginającą się, lakierowaną płytą pilśniową. Okno było do połowy zabiłone farbą.

W pokojach urządzono sypialnie. Stare meble przypominały mu lata jego młodości. Tylko w jednym z pokoi Gross trafił na czarny telewizor w grubej obudowie, ale z płaskim ekranem. Na półkach kurzyły się książki.

Nic nie wskazywało na to, by cokolwiek stąd skradziono. Potwierdziła to zresztą opiekująca się domem Stefania Gruszecka.

Gross był tu pierwszy raz, ale odniósł wrażenie, że nic w tych pokojach nie zmieniło się od chwili, kiedy ślad po Jaworskiej zagał.

Zszedł na parter i ponownie się porozglądał. Na koniec raz jeszcze zajrzał do dużego pokoju. Potrójne okna wychodziły na osiedle. Po przekątnej Gross widział dom staruszki, która opiekowała się tą nieruchomością. Usiadł w fotelu i rozglądał się dalej. Na komodzie oprócz telewizora stało kilka bibelotów. Wiszący zegar, który zapewne dzięki opiekunce wciąż odmierzał czas, tykał miarowo na przeciwległej ścianie. Obok niego wisiał portret kobiety malowany na płótnie w posrebrzanej ramie. Gross przyjrzał się smutnej, a może zadumanej twarzy i zauważył podobieństwo do Elżbiety Jaworskiej. Kobieta z obrazu miała jej oczy. Sądził, że to była jej matka.

Komisarz miał przed sobą wysoki stół przykryty dzierganą okrągłą serwetą i grubym szkłem, wyszczerbionym w najbliższym z rogów. W dużej tafli odbijał się portret kobiety. Gross ponownie spojrzał na malunek.

– Kogo tu widziałaś, kobieto? – spytał cicho, a z jego ust ulotniła się para. Dopiero teraz poczuł, że zmarzył w nieogrzanym wnętrzu.

Prace na zewnątrz ustały. Nie słyszał już chrobotania ani wbijania gwoździ w ramę. Po chwili dobiegł go odgłos nienaoliwionych zawiasów.

– Halo! – krzyknął fachowiec.

Gross podniósł się i wyszedł do przedpokoju.

– Chciałem już jechać – stwierdził mężczyzna. – Powinienem oddać klucze tej kobiecie.

– Ja to zrobię, proszę jej tylko powiedzieć, że wziąłem je od pana i oddam za kilka minut.

– Dobra, to idę do niej – rzekł i zamknął drzwi, jednak po chwili znów je otworzył. – Przepraszam. Miałem napalić w piecu. Przygotowałem wszystko, wystarczy podłożyć ogień.

Gross wiedział, do czego mężczyzna zmierza.

– Zrobię to. Niech pan już idzie – poprosił, chowając ręce do kieszeni kurtki.

Fachowiec pożegnał się.

Gross słyszał jego kroki na chodniku, a potem zgrzyt furtki.

Kiedy dźwięki ustały, uchylił drzwi do piwnicy i włączył światło na klatce schodowej. Tak jak ostatnio, poczuł mdławy zapach skór, które jak pamiętał, zalegały na obszernym stole ustawionym centralnie w największym pomieszczeniu, gdzie mieścił się warsztat ojca zaginionej. Zszedł tam i również nacisnął włącznik światła. Długie świetlówki zamigotały pod sufitem. Pod ścianą stały dwie maszyny szwalnicze, a na ścianie, w przygotowanych drewnianych przegrodach, pełno było różnego typu narzędzi i detali kaletniczych, których nie umiał nawet nazwać. Przypatrywał się przez chwilę zawieszonym w ładzie i porządku narzędziom.

Podłoga, zarówno w tym pomieszczeniu, jak i pozostałych niewielkich dwóch, wyłożona była cegłą brukową. Pośrodku wyglądała na zapadniętą. Tylko w jednym z pomieszczeń, być może najmniej używanym, cegły leżały równo. Komisarzowi wydawało się, że ta posadzka, w stosunku do pozostałych, jest nieco uniesiona.

Gross obszedł warsztat, tak samo jak zrobił to wczoraj, licząc na to, że być może coś przeoczył. Schylił się pod stół, którego gruby blat opierał się na betonowym prostopadłościanie, zerkał do starych szaf, które wypaczone, z trudem dawały się otworzyć. Oganiając się od latających moli, podszedł też do drzwi wychodzących na ogród. Namęczył się, by ponownie powyciągać zapadnięte szuflady pełne starych, niepotrzebnych rzeczy. Zrobił to, żeby być pewnym, że niczego nie przeoczył.

Cały dom, jak i jego wyposażenie wyglądało na nienaruszone. Jeśli ktoś wszedł tu po coś, musiał wiedzieć, gdzie i czego szukać. A gości było dwóch i to w różnym czasie. Jeden dostał się przez okno, a drugi wybrał drzwi, bo miał do nich klucz. Który z nich był pierwszy? I który zabrał stąd to, po co przyszedł. Może żaden?

Komisarz nie umiał odpowiedzieć na te pytania.

Pogasił na dole światła i ruszył schodami na górę do wyjścia, gdy przypomniał sobie o rozpaleniu w piecu. Zszedł więc z powrotem i skręcił do kotłowni. Było w niej ciemno, bo właśnie tu okno zostało zabite płytą. Włączył światło.

W kotle z otwartymi drzwiczkami do paleniska dostrzegł ułożone szczapy drewna i kilka czarnych, sporej wielkości, kryształów węgla. Zapalki leżały na piecu.

Komisarz rozejrzał się za starymi gazetami, które tkwiły w sporym koszu z wikliny. Sięgnął po jedną z nich, przedarł i pozgniał w kulki. Wcisnął je pomiędzy niewielkie drewnienka i podpalił. Ogień rozświetlił na kilka chwil wnętrze pieca. Papier spalił się szybko, więc Gross ponowił próbę, tym razem jednak gazetę miał w pogotowiu i dokładał kolejne strony, gdy tylko ogień zaczynał przygasać. Po kilku próbach usłyszał znajomy trzask suchych drewnienek.

Gross przymknął drzwiczki i wyprostował się. Odczekał chwilę, aż w kominie zafurkotało. Dobry cug przyspieszył spalanie. Otworzył drzwiczki i spojrzał w żywe, czerwono-żółte szamocące się

płomienie. Dołożył węgla z wiaderka i jedną szczapę. Wstał, żeby rozprostować kolana, i wtedy usłyszał warkot samochodu. Domyślił się, że to Stefański wracał z Pluskowęs. Sądził jednak, że da mu wcześniej znać i zadzwoni do niego, ale kiedy komisarz wyjął telefon z kieszeni, okazało się, że w piwnicy nie ma zasięgu.

Wyszedł więc przed dom. Stefański pokiwał na niego, ale Gross dał mu znak, że potrzebuje jeszcze kilku minut. Aspirant opuścił szybę.

– Dobra, to zrobimy rundkę po osiedlu. – Zakręcił kółko palcem i samochód odjechał.

Gross zszedł do pieca, z którego buchało gorąco, i podłożył kolejną porcję węgla.

Już miał zamknąć drzwi, gdy coś do niego dotarło.

Odstawił wiaderko z węglem i wiklinowy kosz. Na podłodze, w miejscu, gdzie ułożone były, jedna na drugiej, szczapy drewna, zobaczył szary pył. Początkowo sądził, że to skruszony cement, ale mylił się. Kiedy go dotknął, poczuł, że jest mialki jak mąka.

Nie spodobało mu się to.

Popiół z pieca, zebrany w blaszanym wiadrze obok, był czarny.

Gross sięgnął po rękawice, które wisiały na wiaderku z węglem, i zaczął po kolei odkładać suche rozłupane kawały drewna. Przerzucał je na drugą stronę wąskiego pomieszczenia. Upadały z głuchym łoskotem.

Kiedy skończył, dostrzegł, że pyłu pod ścianą było jeszcze więcej. I zrozumiał, skąd się tam wziął.

Przyjrzał się trzem blaszanym drzwiczkom wyczystek kominowych. Po jednej parze na każdy przewód kominowy. Zanim zabrał się za ich otwieranie, uzmysłowił sobie coś jeszcze. Pył na podłodze oznaczał, że ktoś szukał czegoś nie w dwóch kominach wentylacyjnych, tylko w grzewczym. Tym samym, do którego na wysokości jego bioder wchodził czarny czopuch, odprowadzający spaliny z kotła, w którym ogień rozniecił się na dobre.

Nie ściągnął rękawiczek. Kucnął i przekręcił prowizoryczny zamek w drzwiczkach, a następnie odchylił je. Wyjął dodatkowe zabezpieczenie i zobaczył, że komin jest niemal wyczyszczony. Jasny popiół zbierał się w rogach wąskiego, kwadratowego przewodu. Świetna kryjówka, ale już pusta.

Gross wstał i zrobił krok do tyłu.

Rzucił rękawiczkami o ziemię. Pył wzbił się w powietrze.

– Cholera jasna! – syknął Gross.

Kiedy ochłonął i dołożył kolejne szczapy do pieca, pomyślał, że może jednak coś przeoczył. Na wszelki wypadek zajrzał do kominów wentylacyjnych, ale były czyste i tak jak się spodziewał, puste.

Mimo to sięgnął po gazetę, zwinął ją w rulon i podpalił. Zbliżył płonąca pochodnię do wyczystki i wsadził do przewodu wentylacyjnego. Gazeta spłonęła natychmiast. Tak samo było w drugim kominie. Trzeciego nie zamierzał nawet sprawdzać, bo przecież w piecu aż huczało. Każdy z kominów był drożny.

W akcie desperacji postanowił po prostu przyjrzeć się przewodowi grzewczemu. Ponownie rozpalił złożoną w rulon gazetę i oświetlając sobie wnętrze komina, przystawił ją bliżej otworu wyczystki.

Pochodnia przestała się palić, a czarne płatki spalonej gazety wylądowały na podłodze.

Potarł kolejną zapalną o draskę i przyłożył do następnej zwiniętej gazety, która na powrót buchnęła wysokim ogniem. Też wsadził ją do wyczystki, ale ogień szybko zmalął i zgasł.

Gross wrzucił resztę gazety do pieca i dołożył węgla. Następnie odpalił samą zapalną i przez krótką chwilę przyglądał się wnętrzu komina, bo zapalną również zgasła. Zdążył jedynie dostrzec jasny pył.

Wstał i otrzepał ręce.

Nic tu po nim. Dołożył ostatni raz do pieca i wyszedł na zewnątrz. Stefańskiego jeszcze nie było, więc skierował się do domu Gruszeckiej, gdy nagle go olśniło.

W pośpiechu wrócił do piwnicy.

Kucnął, rozpalił gazetę i ponownie wsunął ją do wyczystki. Jasny pył nie był popiołem, tyle

zdążył zrozumieć, bo gazeta ponownie zgasła. Coś blokowało komin poniżej czopucha pieca. Gross założył rękawicę i wsadził tam rękę.

Od razu trafił na coś twardego.

Niewielkie, ale śliskie.

Nie udało mu się tego od razu wyciągnąć. Jakby przedmiot zablokował się w wąskim prześwicie. Chwycił raz jeszcze mocno i pociągnął w dół.

Jasny pył cementowy opadł na dno komina i dopiero wtedy Gross zobaczył, co trzymał w dłoni. Niebieską kasetkę na pieniądze.

*

Kiedy starsza kobieta splotła dłonie na podolku, Gross dostrzegł w jej oczach łzy.

Poszedł do niej tuż po tym, jak dokonał odkrycia w piwnicy. Zabrał kasetkę i zostawił w samochodzie Stefańskiego, który dopiero co zaparkował w pobliżu furtki. Gross poprosił go o dodatkowy kwadrans.

Zaproponowała mu kubek gorącego kakao, ale komisarz odmówił. Siedzieli w tym samym pokoju, co w sobotę razem ze Skalką. Nie zamierzał mówić Gruszeckiej o tym, co znalazł w domu siostrzenicy. Nie zdążył zadać żadnego pytania, bo staruszka odezwała się pierwsza.

– Trudne to dla mnie wszystko, ja już dość mam tego wszystkiego. Już mi za ciężko jest. – Kobieta otarła łzę wierzchem dłoni. – Bo ja zupełnie sama na tym świecie, jak ta moja Elżunia. Ona też taka sama i biedna została, chociaż różnie ludzie na mieście mówili.

– Co mówili? – spytał Gross.

– O tym romansie, którego nie miała. No z tym Tarasewiczem przecież! – Zezłościła się. – Ale ona żadnego romansu nie miała, bo on tylko pomagał jej ten dom utrzymać, remontował go czasami. To był mąż jej przyjaciółki. Hurtownię miał, to i materiały po tanioci załatwił.

Gross przyglądał się kobiecie, która zamknęła usta i wbiła wzrok w blat stołu, w to miejsce, na którym Gross położył klucze od domu Jaworskiej.

– Czemu to mi pani opowiada? – zagadnął.

– No ja sama już nie wiem. – Rozłożyła ręce, a potem wskazała na okno. – No a teraz jeszcze to, jeszcze ten napad.

– Włamanie.

– Tak. Kto tam czego szukał? – Znowu się zezłościła.

– Szukamy sprawcy. A pani widziała kogoś, kto kręcił się przy tym domu? – pytał już o to wcześniej, ale każda okazja była dobra, by rozmówca przypomniawszy sobie nowe szczegóły.

– Nie.

– Nikogo podejrzanego?

– Ja tam rzadko chodzę. Albo rano, albo wieczorem, żeby przepalić w piecu trochę, ale teraz to już ja nie pójde. Jeszcze mnie kto napadnie.

Gross zamierzał już wstać i pożegnać się, ale jednak tego nie zrobił.

– Pamięta pani ten dzień, kiedy ostatni raz widziała pani Elżbietę?

Kobieta nie zawahała się, opowiedziała wszystko, niemal z takimi samymi detalami, jak to było zapisane w dokumentacji sprawy.

– Widziała pani jej plecy? Dokąd szła? – dopytał komisarz.

– Ja tu siedziała, robiła coś na drutach, a Elżunia szła w stronę swojego domu.

– Weszła do niego?

– No tyle to ja nie widziała, jedynie jej plecy, tu jak szła przed domem. Ona w takim sweterku była, który ja jej dziergała. Ładny był, ładnie na nią pasował. Ładne buty miała i sukienkę taką z falbanami.

- To była ona?
- Pewna to ja wtedy była, ale teraz... – Wzruszyła ramionami. – Trudne to dla mnie...
- Czy zareagowała pani wtedy, podeszła do okna, odezwała się do niej?
- Nie, dziergała dalej, bo Elżunia miała do mnie przyjść wieczorem.
- Ale nie przyszła.
- Nie.
- Zadzwoiła?
- Nie.
- Czy Elżbieta Jaworska miała powód, by opuścić Chełmżę? Miała problemy finansowe?
- Nie, no bo jak je miała mieć, jak zaliczkę za dom dostała.
- Zaliczkę za dom? – Gross nie mógł się przestyszeć.
- No ja nie wiem dokładnie... – Stefania Gruszecka zmieszała się.
- Skąd pani o tym wie? Siostrzenica opowiedziała pani o tym?

Kobieta potwierdziła.

– Kiedy to się stało? – spytał, wpatrując się w jej zmęczoną twarz, zmarszczki wokół wąskich ust, zapadnięte policzki, wystające kości policzkowe, prosty nos.

A potem spojrzał w jej oczy, w których ponownie wezbrały łzy.

*

Wyszedłszy na mroźny wiatr, Bernard Gross zmrużył oczy.

Wsunął ręce w kieszenie i skierował się do radiowozu.

We wnętrzu było ciepło, nawiew szumiał, z radia dobiegały trzaski rozmów i głos oficera dyżurnego.

– Panie komisarzu. – Stefański zerknął na zegarek. – Prywatę jedną mam, bo nam tu trochę dłużej zeszło z panem...

– Nie ma sprawy – mruknął Gross, rozumiejąc, że droga do komisariatu trochę się wydłuży.

– Syn zapomniał skrzypce zabrać z domu, gałgan jeden. – Stefański sięgnął pod nogi po czarny futerał i uniósł go wysoko. – A od razu po szkole idzie do muzycznej, więc spóźniłby się, gdyby miał jeszcze do domu nawrócić.

Kierowca ruszył, a Stefański zaczął opowiadać o synu i jego rzępoleniu w domu, w ramach ćwiczeń.

– To ja na ten czas wychodzę, cholera, bo ja tego słuchać nie mogę, piłowanie deski nie dla mnie. Ale z kolei ta jego nauczycielka mówi, że ten mój leń, gdyby więcej serca wkładał w to rzępolenie, to kto wie, czy nie wyszedłby na ludzi. *Homo musicus*. Ale on tam oprócz skrzypiec to jeszcze ma konsolę w domu i woli na niej trenować strzelanie do zombie. I to mu się nie nudzi w przeciwieństwie do grania tych gam.

Stefański machnął ręką, a kierowca się zaśmiał.

– A w co gra? – podpytał sierżant.

– A skąd mam to wiedzieć? Nie gram, nie interesuje mnie to. Oczy mnie bołą, jak tylko popatrzę na ekran. Lata ten obraz, cholera, skacze to, mruga. Dał mi raz zagrać, to pół wieczoru mnie łeb napier... w sensie, bolał mnie tak, że nawet dwie tabletki to było mało.

Wymienili jeszcze kilka zdań z kierowcą, po czym Stefański znowu odwrócił się do Grossa.

– A co pan komisarz ma w tej kasetce? – zapytał, gdy minęli stadion Legii i zbliżali się do skrzyżowania w pobliżu cmentarzy.

– Nic – odparł Gross. – Jest zupełnie pusta.

– Czyli, że ten co się tam włamał, zabrał, co miał zabrać, i się zmył.

– Na to wygląda.

Silnik zawył, gdy po śliskiej jezdni wspinali się pod górę w stronę skrzyżowania z Hallera. Skręcili w prawo i dojechali do szkoły muzycznej.

– Jedna sekunda – zawołał Stefański, wysiadł z samochodu razem z instrumentem i krzyknął. – Mati!

Gross spojrzął na opustoszały dziedziniec szkolny. Rozglądał się za synem aspiranta.

Chłopak stał oparty ramieniem o mur szkolnego budynku, plecami do nich. Kiedy usłyszał głos ojca, odwrócił się i podszedł do radiowozu.

Wtedy Gross zobaczył drugiego chłopca, siedzącego na ławce. To z nim rozmawiał syn Stefańskiego.

Komisarz wyprostował się.

Spojrzął przez obszerną przednią szybę. Wpatrywał się w chłopaka, który wstał z ławki i skierował się do budynku szkoły, a zaraz potem zniknął w ciemnym wnętrzu.

Gross był tylko jednego pewien. Miał czapkę z pomponem i pikowaną kurtkę.

Wyskoczył z samochodu i podszedł do Stefańskich, którzy cały czas rozmawiali ze sobą. Mateusz, syn aspiranta, był podobny do ojca. Gross przerwał im, wyciągając rękę do młodego.

– Z kim rozmawiałeś? – spytał chłopaka.

Zaskoczony Stefański spoglądał to na komisarza, to na syna.

– Tam? – Młody Stefański odwrócił się i wskazał na ławkę.

Gross potwierdził.

– Z Remigiuszem Ekierskim. A co się stało?

– Nic. Masz jego numer?

– Tak.

Gross poprosił, żeby mu przedyskutował, a potem dowiedział się, gdzie chłopak mieszka.

– Dziękuję. – Zapisał dane i wycofał się w stronę radiowozu, wybierając numer do Skalki. Odebrała, kiedy usadowił się na tylnej kanapie.

– Remigiusz Ekierski – rzekł.

– No, pamiętam, byłam u niego i rozmawiałam z nim. Przy rodzicach – zastrzegła. – Ale dlaczego o niego pytasz?

– Było coś dziwnego w jego zachowaniu?

– Raczej nie, jeśli nie liczyć tego, że się popłakał i musieliśmy przerwać. Ale podobnie bywało w innych domach.

– Popłakał się? Czy on się trzymał blisko z topielcem?

– Nie, ale z tego co pamiętam, Bruździński miał jakiś niewielki dług u Ekierskiego. I w piątek rano, gdy Ekierski spotkał Antka, prosił go o zwrot pieniędzy. Chodziło o dwadzieścia złotych.

– Wymuszał zwrot na Bruździńskim? Zastraszał go? – spytał Gross, zatkawszy sobie wolne ucho, bo z uchylonych okien na piętrze dolatywały donośne dźwięki trąbki.

– Nie, po prostu, jak twierdził, normalnie poprosił go o zwrot pieniędzy.

– Wiesz za co?

– Na jakieś szkolne wydatki, wyjście klasowe, czy coś takiego.

– Matka Antka o tym wiedziała?

– Tak, ale czemu pytasz o Ekierskiego?

– Widziałem go przed chwilą.

– No i?

– Poznałem go po pikowanej kurtce i czapce z pomponem.

– Po czapce? – Skalka nie kryła zdziwienia.

– Tej samej, którą widzieliśmy na filmie. To on spotkał się z Tarasewiczem. To jego widzieliśmy na tym nagraniu.

Kiedy Gross zbliżał się do swojego gabinetu, Beata Różycka zamykała właśnie dokumenty w szafie i szykowałą się do wyjścia. Dostrzegła go i kiwnęła, żeby przyszedł.

– Szefowa prosi – rzuciła po cichu. – Ma gościa.

– Mam poczekać?

– Nie, on chce z panem rozmawiać.

– Kto?

– Ten radny, Kowalski. Siedzi u niej już dobre pół godziny.

Gross zapukał, a kiedy usłyszał zaproszenie, wszedł. Kowalski siedział tyłem do drzwi, ale nie odwrócił się w stronę Grossa. Komisarz skinął głową szefowej, która siedziała spięta z łokciami opartymi na blacie biurka.

– Jak pan wie – zwróciła się do radnego. – Sprawę prowadzi komisarz Gross.

W tym czasie policjant zbliżył się do biurka szefowej i odwrócił do gościa.

– Nie przyszedł pan na umówione spotkanie – stwierdził Gross.

Emil Kowalski popatrzył na Grossa, potem na komendantkę.

– Wyjaśniłem wszystko – powiedział. – Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Lucyna Wojtasik dała znać Grossowi, żeby usiadł. Zajął krzesło tuż przy biurku szefowej, na którym spoczywały odręczne notatki.

– Wyjaśniałam panu, że to samo będzie pan musiał powtórzyć komisarzowi Grossowi.

– Po co? – burknął radny.

– Bo to on odpowiada za dochodzenie w sprawie włamania do domu Elżbiety Jaworskiej. Jak pan chce, może pan to zrobić tutaj albo komisarz Gross zaprosi pana do siebie, a ja później przekażę mu notatki – rzekła, spojrzawszy na zegarek na złotej bransolecie. Zrobiła to na tyle wymownie, że radny zrozumiał i podniósł się do wyjścia.

– Dziękuję – rzekł i wyszedł z gabinetu na korytarz.

Gross popatrzył na szefową, ale ta bezgłośnie kazała mu wyjść za gościem.

– Wysłuchaj go – poprosiła.

Gross odebrał papiery i ruszył do swojego gabinetu. Otworzył drzwi, po czym włączył w nim światło i gestem zaprosił radnego do środka.

– Proszę, niech pan mówi – odezwał się Gross, siadając za biurkiem w chwili, gdy zadzwoniła jego komórka. – Przepraszam – rzekł i odebrał.

Usłyszał głos kobiety.

– Dzień dobry, mówi Karolina Elsner. W sprawie telefonu dzwonię, z Sądowej.

– A, to pani. Mąż był u mnie rano – przypomniał sobie Gross i spojrzał na Kowalskiego, który siedział prosto i patrzył się w ścianę.

– Tak, bo coś sobie przypomniałam, ale nie miałam czasu, żeby wcześniej do pana zadzwonić.

Poza tym musiałam jeszcze coś ustalić.

– Słucham.

– Cała ta sprawa, szczególnie po pana przyjściu, nie dawała mi spokoju. Próbowałam sobie przypomnieć, jak to z tym telefonem było, i dziś wpadłam na pomysł, jak to sprawdzić.

– Niech pani mówi.

– Zadzwoniłam do matki i poprosiłam ją o przejrzenie historii połączeń. Byłam przekonana, że dzwoniłam do niej ostatnio z mojego prywatnego telefonu, tego na kartę.

– No i?

– Pierwszą noc spędziliśmy tu dwa tygodnie temu, żyliśmy jeszcze na kartonach, kilka z nich wciąż nierozpakowanych zostało nam do dziś, jak na pewno pan sam zauważył. Ale jedno jest pewne. Tydzień temu w niedzielę, kiedy ogarnęliśmy kuchnię i część sypialni, zadzwoniłam z tamtego aparatu do matki. I ona potwierdziła to przed paroma minutami. Ma ten mój numer zapisany w historii połączeń.

- A kiedy telefon zniknął?
- I to jest najlepsze. Nie pamiętam, co się z nim działo. Tak jak wspomniałam, rzadko go używałam, często miał wyciszony dzwonek, bo zazwyczaj i tak korzystałam ze sprzętu służbowego. Myślałam, że wrzuciłam go do jakiegoś kartonu, żeby w tym całym bałaganie się nie zgubił. Mój mąż miał takie pudło ze sprzętem elektronicznym i sądziłam, że tam go właśnie schowałam.
- Ale tak się nie stało – stwierdził Gross, obserwując, jak radny bębni palcami na skórzanej teczce, którą ustawił sobie na kolanach.
- To prawda. Zniknął, nie wiem nawet kiedy.
- Ani w jaki sposób – odpowiedział komisarz.
- A tego już nie byłabym taka pewna – oznajmiła Elsner. – W niedzielę mieliśmy pierwszych niezapowiedzianych gości. Przyszli do nas sąsiedzi z wizytą, przynieśli wino i tort, ale wpadli na krótko. Zdążyli tylko wypić kawę i zjeść po kawałku ciasta. Nawet tego wina nie zdążyliśmy otworzyć.
- I co było dalej?
- Nic, wyszli szybko, obiecując, że wpadną, jak już się zorganizują w nowym mieszkaniu.
- Ale co było dalej z telefonem? – interesował się Gross.
- Hmm... Nie wiem, czy powinnam, bo to chyba tak nieładnie oskarżać mających ludzi, ale może któreś z nich jest kleptomaniem?
- Chodzi o to, że to oni ukradli pani ten telefon? Przecież sama pani nie pamięta, gdzie go zostawiła. Więc nie mógł leżeć gdzieś na wierzchu.
- Nikt inny nas nie odwiedzał, nikt nie wchodził do naszego mieszkania, a jednak telefon zaginął.
- A może miała pani jakiegoś fachowca od instalacji parkietu, domofonu?
- Nie, nie, fachowców już nie potrzebowaliśmy. Zostało nam zrobienie porządku.
- To może pani sama go gdzieś wyniosła, tylko pani tego nie pamięta?
- Nic z tych rzeczy. W niedzielę rano dzwoniłam z niego do matki, a potem musiałam go gdzieś schować, tylko nie wiedziałam gdzie. To pudło męża musiało mnie zmylić. Dziś rano dotarło do mnie, gdzie odłożyłam aparat. Do mamy dzwoniłam z łazienki, w której długo się kąpałam. Po rozmowie wsadziłam telefon do glinianej donicy, w której zazwyczaj trzymamy papier toaletowy. Ale jeszcze nie wtedy. Wtedy rolki stały na kartonie. Być może po kąpieli bezwiednie wrzuciłam do donicy papier i w ten sposób ukryłam aparat na amen.
- W takim razie szybko zostałyby odkryty.
- Nie powinnam rzucać takich oskarżeń, w końcu jest pan policjantem... Wydaje mi się jednak, że to któryś z tych naszych gości.
- Korzystali z toalety?
- Przyszli do nas krótko po mojej kąpieli. Ona na pewno korzystała. Wypiła kawę i zjadła ciasto, a potem pamiętam, jak wspomniała, że ich łazienka jeszcze nie jest wykończona i brakuje białego montażu. Mieli to robić dopiero w poniedziałek.
- I skorzystała?
- Jestem tego pewna. Zastanawiam się tylko, po co miałyby zabierać mój stary telefon, skoro sama miała nowego iPhone'a.
- Sprawdź to – stwierdził Gross i poprosił o nazwisko sąsiadki.
- To żona tego faceta, któremu zaginęli rodzice.
- Słucham?
- To pani Tarasewicz, tylko że nie pamiętam, jak ona ma na imię.

*

Radny okazywał zniecierpliwienie, ale nie wyglądał na takiego, który zamierza się skarżyć.

Jeszcze niedawno wygrażał Grossowi pięścią i obiecywał zrobić z nim porządek. Teraz siedział przed nim jak uczeń, którego dyrektor wezwał na dywanik i straszył zawieszeniem w prawach ucznia.

Gross schował telefon do kieszeni i usiadł za biurkiem, próbując zebrać myśli. Po chwili wrócił pamięcią do wizyty w domu Elżbiety Jaworskiej i tego, co w nim znalazł.

– Wycofałem dziś swoje oskarżenia w stosunku do pana. – Pierwszy zaczął Kowalski.

Gross milczał, nie zamierzał mu za to dziękować.

– Składanie fałszywych zeznań... – zaczął wolno Gross.

– Proszę bardzo! – przerwał mu radny. – Proszę bardzo! Od razu niech mnie pan posadzi do pierdla!

– Wsadzę, jeśli nie znajdzie pan dobrego wyjaśnienia dla włamania się do domu Elżbiety Jaworskiej.

– Nie włamałem się tam!

Drzwi do gabinetu uchyliły się i Gross dojrzał w nich Skalkę. Zorientowała się, kto jest gościem komisarza, i zniknęła za drzwiami, zanim radny zdążył się odwrócić w tamtą stronę.

– Niech pan powie szybko, co ma do powiedzenia, i pożegnajmy się – zniecierpliwiał się Gross.

– Chodzę na spacer z psem. Często zapuszczam się w tamtą stronę.

– Jest jakiś konkretny powód?

– Mówiłem panu, chodzi o tego mojego, pożał się Boże, zięcia i tę jego kurtyzanę w mundurze...

Gross przygryzł policzek, żeby się nie odezwać.

– Zapuściłem się tam z samego rana, jeszcze ciemno było, na spacer po całym osiedlu. Często tak robię, że idę sobie od Depczyńskiego, potem Górną do Broniewskiego i do końca ulicy, aż do stadionu Legii, no i wracam ulicą 3 Maja. I wtedy, w tym domu na rogu 3 Maja i Broniewskiego, zobaczyłem pękniętą szybę w piwnicy. Ślady na śniegu prowadziły do tego okna.

– No i co pan wtedy zrobił?

– Wiem, że nie powinienem, ale wszedłem do ogrodu. Przywiązałem psa do drzewa, a sam zbliżyłem się do okna i nasłuchiwałem. Zastanawiałem się, czy jest tam jeszcze złodziej, kiedy rozszczekał się ten kundel moich wnuczek. Darł się jak opętany w stronę okna. Czekałem, aż ktoś się tam poruszy, ale nic takiego się nie wydarzyło. – Kowalski złapał oddech i kontynuował swoją opowieść: – Zabrałem się stamtąd i już chciałem dzwonić na policję, ale zostawiłem swoje ślady i bałem się, że oskarżycie mnie o włamanie. Więc poszedłem do tej Gruszeckiej, co to opiekuje się tym domem, i powiedziałem jej, że ktoś się włamał do domu Elżbiety i żeby zadzwoniła na policję. Przyznając się, poleciłem jej jednak, żeby nic o mnie nie mówiła.

– Dieta radnego warta każdego kłamstwa? – spytał nie bez złośliwości Gross.

– Tak, może się pan śmiać i wyszydzać moje zachowanie. Ale bałem się, że to się może źle dla mnie skończyć.

– A ten siniak to skąd? – Gross spytał o sinofioletową nieregularną plamę pod prawym okiem.

– Nieporozumienie – odpowiedział.

– Rodzinne?

– To nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– Po co pan to wszystko opowiada?

– Bo nie chcę, żebyście błędzili w śledztwie w sprawie Jaworskiej.

– Nie ma żadnego śledztwa. Za chwilę minie dziesięć lat i jej dokumenty zostaną zarchiwizowane. Sprawa pójdzie na półkę.

– Nikt już jej nie wyjaśni?

Gross uniósł ramiona.

– A co tu wyjaśniać? Być może kiedyś zajmą się tym specjaliści z policyjnego archiwum X.

– Myśli pan, że w tej sprawie niczego nie da się już wyjaśnić? – spytał raz jeszcze radny.

Gross zastanawiał się, jakie informacje chce od niego wyciągnąć teść Otremby.

– A dlaczego ta sprawa tak bardzo pana interesuje? – spytał komisarz.

- Nie bardziej niż inne dotyczące zaginięć. Tak jak zaginięcie tych Tarasewiczów.
- Pan łączy obie sprawy?
- Pytanie, kto tego w Chełmży nie robił? – Zaśmiał się.
- I do jakich pan doszedł wniosków?
- Jakie to ma znaczenie? Przecież nie znam tych spraw tak jak wy. Mogę jedynie spekulować, a to nie ma najmniejszego sensu. – Podniósł się z krzesła. – Przepraszam za tę piwnicę. Ale naprawdę nie miałem innego wyjścia.
- Nie zobaczył pan tam niczego podejrzanego?
- Nie, naprawdę. – Radny wyciągnął rękę i rzucił radośnie: – Liczę na łagodny wymiar kary.

*

Gross wyrzwał za okno i odprowadził wzrokiem radnego, który ruszył w ulicę Kopernika. Zanim zniknął za zabudowaniami, ktoś zapukał do drzwi.

– Już wyszedł? – spytała Skałka.
 – Co masz? – Gross odwrócił się do niej, a potem zaciągnął rolety. Na dworze było już ciemnawo.

– Pokreśliłam się w pobliżu hurtowni i dobrze zrobiłam. Gdybym zaczęła obserwować Janka po jego pracy, nic by z tego nie wynikło.

– Z czego?

– Spytaj raczej, „kogo”? Krzysztofa Wegnera.

– Był u Tarasewicza? – Gross podszedł do biurka i zaczął pakować swoje rzeczy do torby.

– Tak. Podjechał do niego służbowym samochodem ochrony.

Gross poczuł, że mimowolnie napinają się mięśnie jego karku.

– Jasna cholera! Dopiero teraz to zauważyłem. Ta sama firma ochrania hurtownię! – krzyknął

Gross.

– Bingo!

– Jak ona się nazywa?

– ThornGuard – przypomniała Skałka.

– Co tam robił?

– Najpierw wszedł do dyżurki i zamienił kilka zdań z ochroniarzem. Potem, kiedy pracownicy opuścili firmę, wszedł do hurtowni i biura.

– Czy żona Tarasewicza też wyszła, czy została?

– Wyjechała swoim samochodem, białą skodą fabią.

– Dobra robota.

– Pojadę teraz popatrzeć na dom. Jasiek zaparkował w garażu, więc sądzę, że już nie będzie się stamtąd ruszał.

– Masz wolne, ja tam pojadę.

– Nie mam planów na wieczór...

– A Otremba cały czas nienamierzalny?

– Już nawet nie próbuję – odparła zrezygnowana.

– Jedź do domu i odpocznij – zaproponował Gross. – Należy ci się.

– Dobra, ale gdyby coś, to dzwoń. – Wygrzebała z kieszeni gumę i odwinęła ją z papierka, po czym wsunęła listek do ust i zaczęła ochoczo żuć.

Gross puścił do niej oko i czekał, żeby się uśmiechnęła. Kiedy to zrobiła, pochwalił ją.

– Zuch dziewczyna! A teraz korzystaj z wolnego.

Skałka wyszła z gabinetu, kręcąc radośnie głową.

dziesięć lat temu

Przeczuwał kłopoty.

Ubrał się szybko i wyszedł na dwór. Mimo spodni dresowych czuł, jak letni chłód dobiera się do jego łydek i ud. A może to z wrażenia zrobiło mu się zimno.

Zakluczał drzwi, gdy światła reflektorów przecięły ciemności. Od strony Wyszyńskiego nadjeżdżał jego mercedes.

Wóz zaparkował pod domem. Sławomir zbiegł po schodach z ganku, a syn otworzył mu drzwi po stronie pasażera.

– Wsiadaj szybko! – krzyknął Jasiek.

Ojciec nie zdążył nawet ich zamknąć, gdy samochód zaczął nawracać. Tarasewicz musiał przytrzymać drzwi ręką, a zatrzasnął dopiero, jak już byli na prostej.

– Mów, co się stało? – spytał Sławomir, gdy znacznie przekroczyli prędkość.

Patrzył na dłonie syna, które z całej siły zaciskał na kierownicy. Nabrzmiałe żyły niemal pulsowały mu pod młodą skórą.

– No, mów do cholery!

Syn jednak uparcie milczał.

Sławomir zamierzał go zmieszać z błotem, ale wstrzymał się. Dopiero teraz zrozumiał, że wcale nie jechali w stronę Torunia.

dzień dziesiąty, po południu

Gross odniósł do domu torbę, ale nie rozbrajał się i nie ściągnął butów. Wypił szklankę zimnej wody, a po chwili zaspokoił głód, zjadając poczerńiałego banana.

Wyszedł z bloku, mijając na schodach rodzinę z trzeciego piętra. Mężczyznę w grubym płaszczu ze skórzaną teczką, który szedł pierwszy z wysoko uniesioną brodą, a za nim kilkuletniego chłopca w wysokich śniegowcach opatulonego przed mrozem tak, że komisarz dostrzegał jedynie mały nos i oczy. Z trudem wspinał się po schodach poganiany przez ojca. Gross znał dobrze płacz chłopca dobiegający zza ścian. Na końcu szła żona i matka ze zwieszoną głową. Niosła pękate reklamówki, które wżynały się w jej dłonie.

Komisarz wyprowadził golf z garażu. Przejechał przy Sadku w stronę cukrowni, a następnie skręcił w Wyszyńskiego i zostawił wóz na parkingu przed szkołą.

Ruszył piechotą w stronę Moniuszki i kiedy był na skrzyżowaniu ze Słowackiego, spojrział w prawo. Ucieszył się, że samochód, ford mondeo, którego zaobserwował tu niedawno, teraz też parkował niemalże w tym samym miejscu. Z tej perspektywy Gross jednak nie wiedział, czy wóz jest pusty, czy siedzi w nim kierowca. Nie zastanawiał się długo. Jeśli miał wykorzystać element zaskoczenia, musiał się streszczać. Szedł zwawym krokiem przed siebie do końca Moniuszki, potem skręcił w Piastowską i w ten sposób trafił z powrotem na Słowackiego. Jezdnia skręcała lekko w prawo, więc Gross wciąż jeszcze nie wiedział, czy samochód jest na swoim miejscu. Dopiero kiedy znalazł się na prostej, uspokoił się. Wóz stał, a z rury wydechowej ulatywały obłoki siwych spalin. Komisarz przyspieszył w obawie, żeby kierowca nie odjechał. Kiedy zrównał się z pojazdem, warkot silnika stał się wyraźny. Dopadł do przednich drzwi pasażera i szarpnął klamkę.

Drzwi były zamknięte.

Gross nachylił się i spojrział w oczy przestraszonego Grzegorza Otremby.

Aspirant zwolnił blokadę.

– Kurwa, przestraszyłeś mnie – stwierdził Otremba, kiedy Gross usiadł obok niego.

– Po co te nerwy na chorobowym? – ironizował Gross. – Jeszcze zdrowiu zaszkodziś.

Otremba położył ręce na kierownicy.

– Podwieźć cię gdzieś? – spytał.

– Nie, poczekam razem z tobą, Grzesiu. Przy okazji utniemy sobie pogawędkę, bo widzę, że ostatnio mnie unikasz.

Otremba odwrócił głowę. Słuchali szumu silnika i nawiewu ustawionego na minimum. Być może dlatego wkrótce szyby zaczęły zachodzić parą. Kontury domów i jezdni przed nimi rozpląwały się w delikatnej mgiele.

– Kto zaczyna? – spytał Gross.

Otremba sięgnął po kubek termiczny, który leżał przy lewarku hamulca ręcznego. Wypił łyk rozpuszczalnej kawy, a kwaśny aromat rozniósł się w niewielkim wnętrzu. Potem uniósł termos w stronę Grossa, ale ten podziękował.

Gross miał czas, wiedział, że Otremba musi zebrać myśli.

W końcu aspirat oparł głowę na zagłówku i odezwał się:

– Są takie dni, kiedy myślisz, że wszystko zaczyna się walić. Że czego byś nie zrobił, wszystko na nic. – Wpatrywał się gdzieś przez boczną szybę w nieokreślony punkt na niebie.

Gross doskonale wiedział, o co koledze chodzi. Żył z takimi myślami zbyt długo. Skutecznie zatruwały mu życie przez lata, sprowadzały go do parteru i nokautowały, kiedy tylko miał ochotę podnieść się z desek.

– Nawet nie wiem, kiedy przestało mi się podobać wszystko to, co mam. Co zdobywałem przez lata. – Otremba ponownie zatopił usta w parującej kawie. – Kiedy wstępowałem do policji, marzyłem o fajnej żonie i dzieciach. Potem obie córki chciały mieć psa, więc któregoś dnia, to była chyba środa,

pojechałem po dyżurze do schroniska w Toruniu. Dziewczynkom powiedziałem, że idziemy do kina, szalały ze szczęścia, ale zdziwiły się, kiedy zaparkowałem pod schroniskiem, a potem nie mogłem ich stamtąd zabrać do domu. Chodziły dwie godziny i oglądały te wszystkie psy. Część szczekała za nami, inne siedziały bez ruchu w rogach kojców. – Policjant uśmiechał się sentymentalnie. – Wybrały w końcu takiego fajnego kundelka. Łaciaty jak krowa, tyle że mały. Ale przylepa straszna. Córki kompletnie oszalały na jego punkcie. Żonie było trochę trudniej, ale o tym wtedy nie pomyślałem. W zasadzie dostrzegałem tylko moje szczęście i córeczek. Nie widziałem w tym wszystkim mojej żony, Eweliny. Nie widziałem tego, że jest zmęczona, że harówka w domu wyczerpuje ją. Ciągle była przemęczona, potem ciągle zła. A to głowa, a to brzuch. Wszystko ją bolało. Nie mieliśmy czasu dla siebie i nawet nie wiem, kiedy już nie chcieliśmy go nawet znajdować. Ja całe dni spędzałem w pracy, w domu byłem jedynie gościem, a ona cały dzień z dziewczynkami i tym psem. Zabawiała dziewczynki, gotowała, prała, sprzątała, prasowała. Ja nie robiłem nic. Czasami złapałem za odkurzacz, ale raczej rzadko, bo z pracy wracałem wieczorem, więc dziewczynek nie chciałem budzić. Żona zasypiała tuż po nich, często jeszcze przed dziewiątą. Siedziałem więc sam przed telewizorem, przełączałem kanały i bałem się zasnąć. Wiesz dlaczego?

Gross pokręcił głową.

– Bo nie chciałem obudzić się następnego dnia, który byłby dokładnie taki sam jak poprzedni. Nie chciałem, żeby tak właśnie nijako mijało całe moje życie.

Otremba uchylił boczną szybę. Zamknął kubek termiczny i odłożył na miejsce.

– Ze Skalką to samo tak wyszło. Nawet nie wiem, kiedy.

Gross akurat nie chciał tego słuchać, to nie były jego problemy. Liczył na to, że Otremba powie mu, co tu robi i jaki ma związek z młodym Tarasewiczem, ale postanowił mu nie przerywać. Liczył, że ten dłuższy wstęp być może sprowadzi go na właściwe tory, w końcu zapewne aspirant domyślał się, o co Gross tak naprawdę go pytał.

– Kłopot w tym, że teraz od niej też uciekłem. I jestem w czarnej dupie. Żona już o wszystkim wie.

Gross spojrział na Otrembę.

– Teść nic jej nie powiedział, chociaż swoje za uszami ma – stwierdził aspirant.

– Myślałem, że ten siniak pod jego okiem to twoja robota.

Otremba spojrział z niesmakiem na Grossa.

– Nie, no kurwa, nie załamuj mnie. Takie masz o mnie zdanie?

– Spory w rodzinie różnie można rozwiązywać.

– Święty nie jestem, policjantem idealnym też nigdy nie byłem, ale na Boga...

Z radia dobiegały ciche dźwięki znanej bluesowej piosenki. Po chwili Gross rozpoznał głos Tadeusza Nalepy śpiewającego o smutku faceta zostawionego przez kobietę, który chce ze sobą skończyć i stoi nad rzeką. Pamiętał, jak tę właśnie piosenkę śpiewała Agnieszka. „Najłatwiej jest się poddać, a najtrudniej walczyć”, pomyślał Gross i zastanawiał się, dlaczego sam wciąż walczy. Dlaczego po tym, co wydarzyło się w jego życiu, nie sięgnął od razu po służbową broń? „Bo miałem syna”, odpowiedział sobie i ucieszył się, że Otremba miał dwie córki, które kochał.

– Wiesz, kto go tak urządził? – Komisarz przerwał swoje rozmyślenia.

– Podobno oskarżył ciebie – odezwał się po chwili Otremba. – Przykra sprawa.

– Nieważne, to głupstwo. Nikt w to nie uwierzył. Zresztą wczoraj wycofał swoje zeznanie.

Otremba spojrział na zegarek, potem przeniósł wzrok na szybę. Przetarł zaparowane okno i pochylił się nieco. Wpatrywał się gdzieś w prawo.

– Co tu robisz? – spytał Gross.

– Choruję, muszę odpocząć.

– Tutaj? – Komisarz rozłożył ręce.

– Idź już, proszę. – Otremba cały czas patrzył w tamtą stronę.

– Obserwujesz dom Tarasewicza? – Gross widział fragment domu przedsiębiorcy z oknami pokoju na piętrze.

– Daj mi spokój. – Otremba zwinnym ruchem przechylił się w prawo i sięgnął do klamki drzwi, przy których siedział Gross. Pociągnął za nią i otworzył je.

Mróz zaczął wypełniać każdy kąt nagrzanego wnętrza samochodu.

– Wiesz coś o tamtej sprawie sprzed lat? – Gross nie odpuszczał.

– O jakiej sprawie?

– To Tarasewicz. Ten trup w łódce, to on. Czy twój teść jest w to jakoś zamieszany?

– Mój teść?

– Czy on wie, co się wtedy wydarzyło? Zna Wegnera?

Otremba zamilkł i ponownie odwrócił się do okna.

– Kilka dni temu widziałem twój samochód tutaj. Stałeś tu w nocy. Byłeś u Tarasewicza?

– Źle się czuję. Idź już.

Gross wysiadł z samochodu, ale zanim zatrzasnął drzwi, nachylił się. Chciał coś powiedzieć, ten dołujący nastrój Otremba w jakimś sensie przypomniawszy mu to, jak sam się czuł przed laty, kiedy jedno zdarzenie rozpoczęło lawinę, która po kolei zabrała mu najpierw żonę, a później syna, pozostawiając go samego z balastem winy i poczuciem klęski.

– Czasami potrzeba tylko czasu – rzekł do Otremba, który odwrócił się zaskoczony. Miał minę, jakby sens tych słów nie dotarł do niego.

– Co? – spytał zdziwiony.

– Daj sobie czas – poprosił Gross, a następnie zatrzasnął drzwi i wyprostował się. Wsunął ręce w kieszenie i nie mogąc uwolnić się od wspomnień, które falami zaczęły płynąć w jego stronę, ruszył przed siebie. Dotarł do skrzyżowania i zanim skręcił w lewo, obejrzał się za siebie. Samochodu Otremba już tam nie było. Gross ruszył więc dalej.

Kiedy przechodził obok domu Tarasewiczów, zgrzytnęła brama garażowa. Komisarz przyspieszył, pochyliwszy głowę i ściągając barki do przodu, jakby chronił się przed wiatrem. Kilkanaście metrów dalej zawrócił i tym razem wolnym, niemal spacerowym krokiem ponownie zbliżał się do posesji Tarasewiczów. Wóz zdążył już wyjechać z garażu, światła go oślepiły. Po chwili samochód ruszył w jego stronę. Gross podszedł do ulicznej latarni, by w jej świetle mógł dostrzec kierowcę. Kiedy biała skoda przemknęła obok, komisarz był pewien, że w środku siedziała żona Tarasewicza z dziećmiakami w fotelikach na tylnej kanapie.

Komisarz zrównał się z furką ich domu. W oknach pozbawionych firan było ciemno. Mimo to nacisnął dzwonek domofonu i usłyszał przytłumiony odgłos gongu rozchodzący się w pustym domu.

Stał i obserwował okna. Nie zauważył w nich żadnego ruchu. Po chwili jednak zapaliło się światło na korytarzu i klatce schodowej.

Gross przeszedł w róg działki, gdzie skrył się za wysokimi krzewami. Usłyszał zgrzyt zamków, a potem drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Przez szparę wylało się żółte światło, które położyło się rozświetlonym trapezem i łamało na schodach wejściowych.

Gross zobaczył w tej szparze Tarasewicza w roboczych rękawiczkach.

*

Zanim odszedł spod domu przy Moniuszki, zastanawiał się, czy nie powinien raz jeszcze porozmawiać z młodym mężczyzną. Prowokować go tak długo, aż w końcu pęknie, powie coś i zdradzi ukrywaną prawdę. Miał wrażenie, że kiedy ostatnio z nim rozmawiał, Tarasewicz powiedział coś ważnego. Gross nagrał tę rozmowę, ale nie odtworzył jej dotąd. Zamierzał to zrobić jeszcze dziś wieczorem. Na razie jednak zmienił plan. Przedzwonił do rodziców nastolatka, którego rozpoznał pod szkołą muzyczną, i poprosił o spotkanie. Dał im do zrozumienia, że syn ma być obecny przy tej rozmowie.

Wsiadł do swojego samochodu i przejechał pod ich blok. Zaparkował w niedozwolonym

miejscu i zamknął samochód, który w odpowiedzi odezwał się krótkim sygnałem i mrugnął awaryjnymi.

Wszedł po schodach na drugie piętro. Drzwi były już uchylone. Pchnął je lekko i przywitał się. Przed nim wyrósł wysoki brunet, uczesany na bok z przedziałkiem jak od linijki, i jego żona, podobnego wzrostu, grubokoścista kobieta. Zaprosiła Grossa gestem do środka. Zanim komisarz wszedł głębiej, rzucił okiem na buty domowników ustawione rzędem przy ścianie. Jego uwagę zwróciły wysokie, skórzane glany z solidną podeszwą.

Komisarz przeprosił za najście, ale obiecał, że spotkanie zajmie im chwilę.

– Sprawa, o której chciałbym pomówić, jest delikatna. Dlatego, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, chciałbym najpierw na osobności porozmawiać z państwa synem.

– Ale dlaczego? Przecież była tu pani Skalska z policji, syn wszystko już opowiedział – odezwała się kobieta. Mężczyzna milczał, ale nie przestawał wpatrywać się w Grossa. Chłopak wszedł z pokoju i nerwowo spoglądał to na rodziców, to na przybysza.

Gross nie zdążył odpowiedzieć, wyręczył go nastolatek.

– Porozmawiam z panem, dobrze?

– Jesteś pewien? – spytał go ojciec.

Remigiusz Ekierski pokiwał głową.

Z ociąganiem oboje dorośli schowali się za drzwiami jednego z pokoi.

Gross podszedł do chłopaka i poprosił, by usiedli na sofie.

– Pamiętam cię – rzekł, przyglądając się młodzieńcowi. – Byłeś w kościele.

Skinienie.

– Po mszy wychodziliście z kościoła. Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że chciałeś do mnie podejść, ale wtedy zauważyłem księdza Rafała.

Kolejne skinienie. Gross zaobserwował, że chłopak nerwowo drapał się po dłoni.

– Dobrze go znałeś? – spytał.

Remek pociągnął nosem. Wciąż siedział ze spuszczoną głową.

– Co chciałeś mi wtedy przekazać, tam pod kościołem?

Chłopak wzruszył ramionami, a Gross cicho westchnął.

– Czy coś mi grozi? – W głosie nastolatka czaiła się niepewność. Wciąż nie był w stanie podnieść wzroku.

– A czy zrobiłeś coś złego?

– Nie! – Przyłożył dłonie do twarzy.

– To możesz być spokojny, nic ci się nie stanie. Ale muszę wiedzieć.

– Nikomu pan nie powie?

Gross rozważał, co ma do stracenia.

– Jeśli coś wiesz, musisz mi pomóc, rozumiesz?

Pokiwał głową.

– Tylko nie tutaj – powiedział cicho.

– To kiedy? – Gross nie krył zdziwienia.

– Jutro. Jutro po szkole.

– A co powiemy twoim rodzicom? Teraz, jak wrócą?

– Oni o niczym nie mogą się dowiedzieć. Szczególnie ojciec.

Umówili się w konkretnym miejscu i na konkretną godzinę.

Po chwili drzwi pokoju, w którym zamknęli się rodzice, uchyliły się.

– Czy już? – spytała matka.

– Tak – potwierdził Gross.

– O czym rozmawialiście? – spytała kobieta, wolno wchodząc do salonu, jakby czegoś się obawiała. Jej mąż stanął przy drzwiach, ale nie opuścił pokoju. Spoglądał raz na żonę, raz na syna, po czym schował się i zamknął za sobą drzwi.

– To nic ważnego. Chodzi o pewne dochodzenie. Remek widział coś, co może nam pomóc

w rozwiązaniu tej sprawy.

– Jakiej sprawy? Czy jako matka nie powinnam o tym wiedzieć? – Kobieta wciąż wyglądała na zaniepokojoną.

– Szczegóły, ze względu na dobro dochodzenia, muszę zatrzymać dla siebie. Ale raz jeszcze proszę, żeby się pani nie martwiła. – Gross podniósł się z sofy i pożegnał.

Gdy odchodził, matka spoglądała trwożnie na chłopaka, który nie podniósł głowy, tylko rozdrapywał skórę przy paznokciu kciuka.

Tak długo, aż pojawiła się na niej krew.

*

Gross zaparkował w pobliżu komisariatu, ale nie wszedł do niego. Po ubitym śniegu zalegającym na kocich łbach zszedł na bulwar i stanął tak, by przed oczami mieć tę część nowego bloku, która była wysunięta ku linii brzegowej jeziora.

Wpatrywał się w okna na pierwszym i drugim piętrze. Te na wyższej kondygnacji rozświetlał blask lampy. Tarasewiczowa była w mieszkaniu. Być może, w związku z pracami remontowymi wewnątrz starego domu na Moniuszki, planowała zostać tu z dziewczynkami na noc.

Gross postanowił jeszcze poczekać z wizytą. Nie chciał wystraszyć kobiety. Spróbował więc innego zagrania. Wyjął swój telefon, a w notatniku odszukał zapisany numer, z którego otrzymał tajemnicze połączenia. Jeśli dobrze kombinował, żona Tarasewicza grała po jego stronie. Pozostawała w cieniu, ale zdecydowała się nawiązać kontakt i miała do przekazania ważną informację.

„On wrócił”.

Wybrał numer i przyłożył aparat do ucha.

Odczekał pierwszy, drugi i kilka kolejnych sygnałów.

Nie odebrała.

Po chwili Gross, wpatrując się w okna, dostrzegł w jednym z nich cień. Kobięca postać wyrosła przed szybą. Przynęła do niej twarz i przyłożyła dłoń do czoła, by wyjrzeć na zewnątrz. Gross zdażył schować się za pobliskim domem, ale nie przestał obserwować Tarasewiczowej zza płotu.

Kiedy odsunęła się od okna, z tego miejsca, gdzie się znajdował, usłyszał ciche mruczenie elektrycznego silnika. Po chwili dostrzegł, jak roleta okienna zaczęła zjeżdżać w dół, aż z cichym stukiem zatrzymała się na parapecie.

*

Było tuż po siedemnastej, gdy wyruszył do Torunia. Potrzebna mu była chwila przerwy, moment, w którym będzie mógł poukładać puzzle na odpowiednich miejscach, chociaż wiedział, że robi to bez pogładowego obrazka, intuicyjnie.

Zanim się spostrzegł, parkował już pod domem fundacji „Światło”. Wszedł na górę i skierował się do pokoju Agnieszki. Był już przy drzwiach, gdy zaczepił go czterdziestoletni mężczyzna. Komisarz pamiętał go ze spotkań w świetlicy. Pociągnął Grossa za ramię.

– Wyjdźmy na chwilę na zewnątrz – poprosił cicho Ryszard Matejski, który rozglądał się nerwowo, jakby chciał pozostać niezauważony.

Gross przypomniał sobie jego nazwisko i to, że syn Matejskiego był ofiarą upadku z wysokości. Pracował na wysięgniku w firmie elektrycznej. Miał właściwe przeszkolenie, ale operator wysięgnika tego dnia nie zabrał odpowiedniego zabezpieczenia, specjalnej taśmy, którą powinien przypiąć z jednej strony do kosza podnośnika, a z drugiej do szelek bezpieczeństwa Matejskiego. W pewnej chwili

młodemu pracownikowi zakręciło się w głowie, przewiesił się przez barierki, a zaraz potem wypadł z ośmiu metrów na chodnik. Kręgosłup pękł w kilku miejscach. Ale nie to było najgorsze. Na SOR-ze dostał zapaści, z której już się nie wybudził.

Gross poszedł za Matejskim. Znaleźli się na wysypanym śniegiem placu między trzema budynkami, tam mężczyzna przystanął i wyjął paczkę LM-ów, którą podsunął w stronę Grossa. Ten podziękował.

– Chciałem o coś pana prosić – zaczął tajemniczo Matejski, tuż po tym jak odpałił papierosa.

– Mnie? – Gross nie ukrywał zdziwienia.

– Tak. Chciałem pogadać jak facet z facetem.

– Nie rozumiem.

– Chodzi o to całe pobudzanie wielozmysłowe. – Uniósł brodę w stronę budynku „Światła” i dmuchnął dymem. Wiatr zniósł siwy obłok wprost na twarz Grossa.

– Pana żona korzysta z tego od lat. I to wszystko na nic. W chuj, normalnie, psu na budę.

Gross pokręcił głową, chciał zaprzeczyć, ale nie wiedział, po co. Postępów nie było żadnych, Agnieszka wciąż wegetowała.

– Wie pan czemu? – Matejski wsadził papierosa do ust i głęboko się zaciągnął. – Bo czegoś mi tu brakuje, kurwa.

– Chodzi o terapię? – spytał Gross.

Mężczyzna potwierdził. W nikłym świetle padającym z budynku nieogolona twarz mężczyzny schowana pod kapturem wyglądała jak gęba kryminalisty. Gross zastanawiał się, czy nie znał jej z przeszłości, z policyjnych archiwów.

– Bo oni tu, proszę pana, zapominają o jednym.

Gross nie próbował zgadywać. Czekał, aż facet wyrzuci to z siebie. Widział, że ten jest spięty. Palił, jakby to był jego ostatni papieros w życiu.

– Chodzi, no...

Gross zmrużył oczy.

– Wie pan, dlaczego mój syn robi postępy?

Policjant wzruszył ramionami.

– Zabieram go na weekendy do domu. Już tak od czterech miesięcy. Żony nie mam, bo odeszła, to mi trochę to łatwiej zorganizować, nie? Ale trafiłem w punkt. Dokładnie o to chodziło.

– O co?

– Raz na tydzień przychodzi do nas Andżelika. Jest taki portal z panienkami z różnych miast, w Toruniu też ich pełno. W różnym wieku te baby, różne figury, cyc duży i cyc mały. A do tego stawka i numer telefonu, czasem filmik. Ale nie o to chodzi. W każdym razie zapraszam jedną z nich, Andżelikę, co tydzień.

Gross zacisnął szczęki. Czuł, jak grdyka unosi się wyżej.

– I zamykam ją w pokoju z młodym. Płacę i wymagam. I jestem przekonany, że on dlatego zaczął odbierać pozostałe bodźce. Że Andżelika robi mu dobrze. To znaczy, dobrze go tam stymuluje. To zupełnie inny chłopak teraz!

Gross milczał.

– Niech pan spróbuje zabrać żonę do domu. Niech ona też ma coś z życia. Może to ją odblokuje. Bo oni tu o tym zupełnie zapominają – dodał, wyciągając dwa palce, które trzymały żarzący się kikut papierosa, w stronę Grossa. – To jest ta moja prośba do pana.

Komisarz poczuł, jak dłonie schowane w kieszeniach zacisnęły się w pięści.

– Niech pan o tym pomyśli – poprosił mężczyzna. – Jeszcze mi pan za to podziękuj.

Po czym rzucił kiepa w śnieg i szybkim krokiem wrócił do wnętrza zakładu.

Na wpół przymknięte oczy żony wpatrywały się martwo w sufit.

Gross pocałował Agnieszkę w chłodne czoło pokryte wysuszoną skórą. Sięgnął po krem na stoliku i natarł jej twarz.

Słowa Matejskiego wciąż jeszcze grzmiały w jego głowie, ale Gross, chcąc je zagłuszyć, zabrał się za książkę. Otworzył ją i półszepem odczytywał kolejne zdania o życiu i walce Buonarroto. Próbował skupić się na treści, ale nie dawał rady. W kółko powtarzał te same słowa, wracał do początków akapitów i usiłował czytać na nowo. W końcu się poddał.

Zamknął książkę i odłożył na łóżko.

Spojrzał na swoją żonę, na to, co z niej zostało po niedotlenieniu mózgu.

Patrzył na jej wychudzone ciało przykryte kołdrą, spłaszczone piersi, kiedyś takie jędrne. Widział zgięte pod brodą dłonie, wykrzywione nienaturalnie i pozakładane na siebie palce z długimi paznokciami, które już dawno powinien przyciąć.

Wyciągnął nożyczki z szuflady stolika nocnego i pochylił się, by skrócić pierwszy z nich. Były kruche i łamliwe. Z trudem udało mu się obciąć je wszystkie. Od dziwacznej pozycji, w której nachylał się nad żoną, rozboleły go plecy. Kiedy skończył, pozbierał z koca pożółkłe ścinki i ułożył je we wnętrzu swojej dłoni, a potem wszystkie wyrzucił do śmietnika. Spiłował ostre końcówki paznokci, żeby żona nie zraniła się podczas mimowolnych skurczów mięśni rąk, i wtedy ponownie poczuł ból w krzyżu połączony z drętwieniem lewej nogi.

Usiadł zmęczony i zły na siebie. Odpoczął chwilę, a potem odkrył jej stopy. Dotknął ich. Były ciepłe i gładkie. Pogładził je, tak jak lubił to kiedyś robić, kiedy siedzieli razem na tarasie, a Agnieszka czytała książkę, układając nogi na jego udach.

Gross ponownie chwycił nożyczki, żeby uciec od wspomnień. Obciął stwardniałe paznokcie u stóp, a kiedy skończył, usiadł znów przy niej.

Do tej pory nie rozmawiał z żoną, nie umiał zmusić się do udawania rozmowy, gadania jak do ściany. Nie odzywał się, ale przecież tak naprawdę wielokrotnie prowadził z nią dialog. Słuchał jej i odpowiadał na jej pytania. Tyle tylko, że nie umiał robić tego na głos.

„Kiedyś to się zmieni”, obiecał.

„Kiedyś będę musiał opowiedzieć ci o Bartku”, wspominał w myślach. „O tym, że go tracę. I że to wszystko moja wina”.

Pochylił się na krzesło i schował twarz w dłonie. Trwał tak, dopóki nie poczuł, że zrobiły się wilgotne.

*

Na klatce schodowej odebrał pocztę i zaczął wspinać się na schody, wertując koperty. Sporo ich było, długo nie zaglądał do skrzynki.

Ułożył korespondencję na szafce w kuchni i odstawił torbę. Rozebrał się, zdjął buty i przeszedł do łazienki umyć ręce.

Nie czuł głodu, ale z przyzwyczajenia zrobił sobie lekką kolację i zaparzył herbatę. Kiedy usiadł przy stole w pokoju i wziął kolejny kęs chleba z pasztetem, przejrzał pozostałą pocztę. Trafił na list z Politechniki Poznańskiej. Przyjrzał się źle odbitej pieczęcie uczelni znajdującej się w lewym górnym rogu. Naklejka adresowa nosiła imię i nazwisko jego syna oraz tutejszy adres, bo dawno temu Gross zameldował młodego w mieszkaniu. Oficjalna korespondencja przychodziła tutaj, a potem w porozumieniu z Bartkiem Gross otwierał ją i czytał na głos przez telefon albo telefonem robił zdjęcia i wysłał esemesem. Tym razem postanowił zadzwonić.

Wybrał połączenie i czekał, stukając kopertą w stół.

Po chwili spróbował połączyć się raz jeszcze, ostatecznie wysłał esemes z krótką informacją,

ale nie doczekał się odpowiedzi.

Oparł list o sprężarkę modelarską i odsunął najgorsze myśli.

Kiedy zjadł, odniósł talerz i kubek do zlewu. Położył telefon na blacie w kuchni i z niewielu plików dźwiękowych wybrał nagranie rozmowy z Tarasewiczem. Aparat trzymał wówczas w kieszeni kurtki, więc teraz dobiegły go szумы. Pogłodził nagranie i dopiero usłyszał swój głos. Z oddali dobiegała odpowiedź Tarasewicza. Nagrała się cicho, ale Gross nie miał problemu ze zrozumieniem wypowiedzi przedsiębiorcy. Wsłuchiwał się w tę rozmowę, próbując jednocześnie przypomnieć sobie zachowanie rozmówcy, zdradzające jego napięcie i nerwowość. Gross był pewien, że musi spotkać się z nim ponownie. Planował zrobić to następnego dnia.

– Rozmawiałem niedawno z siostrą pana ojca. – Gross usłyszał swój zniekształcony przez nagranie głos.

– Po co? Stało się coś nowego? A może jej też pokazywał pan to zdjęcie bezdomnego? – odparł wówczas Tarasewicz.

– Rozmawialiśmy o zaginięciu pana rodziców.

– Chryste! Po co pan to rozgrzebuje?

– Rozgrzebuję?

– No na to wygląda. A moja ciotka jest słabego zdrowia. Do dziś się nie podniosła po tym ciosie. Zresztą to na nikogo dobrze nie wpływa.

– Co takiego?

– To ciągle wałkowanie historii. Ciągle wracanie do tego dnia, w którym to się stało. Dlaczego go nie szukacie? Dlaczego ciągle tylko patrzycie w przeszłość, zamiast szukać nowych śladów?

– Zbliży się dziesiąta rocznica. Wkrótce obudzą się media. Wiem, że nie jest panu łatwo, ale warto zrobić wszystko, by wyjaśnić tę sprawę.

Nagle rozmowa zamilkła zastąpiona melodią.

Gross sięgnął po aparat i odebrał połączenie od syna.

– Co jest? Po co dzwonisz? – zaczął chłopak.

– Cześć.

– No cześć, ojciec. O co chodzi?

Głos syna brzmiał niewyraźnie, jakby ten seplenił. Gross zrzuciłby to na słaby głośnik, ale dobrze wiedział, że powód jest inny.

– Przyszło pismo z uczelni – stwierdził. – Otworzyć?

– Skąd? Z uczelni?

Gross potwierdził.

– Pierdol to. Ciesz się wolnością. – Zarechotał. – Bądź wolny, ojciec! Jak ja!

– Chcesz wiedzieć, co napisali? – spytał, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Po drugiej stronie już nikt się nie odezwał.

Gross rozerwał kopertę i wyciągnął złożoną kartkę papieru. Wyprostował ją i przebiegł wzrokiem.

A potem poczuł długie i nagłe ukłucie w sercu.

Jego twarz wykrzywił grymas bólu, musiał przytrzymać się krzesła. Odłożył pismo, a mimo to wciąż przed oczami miał te same litery układające się w jedną informację.

„Skreślony z listy studentów”.

dzień jedenasty

Obudził go telefon.

Wył przeraźliwie, zanim Gross zorientował się, że nie śni o koncercie, na którym podtrzymywał pijanego syna rwącego się do tańca. Ślina ściekała z ust Bartka na kilkudniowy zarost. W kroku miał sporą plamę od moczu, którym cały śmierdział. Gross nie rozumiał, dlaczego tam stał i chronił syna przed upadkiem i niechybną utratą świadomości, a jednocześnie obserwował wszystkich tych, którzy z odrazą odsuwali się od nich. Głośna muzyka sprawiła, że nie słyszał ich komentarzy, ale wystarczyły mu te gęby pełne obrzydzenia, zniesmaczenia i wyższości.

Odebrał po dłuższej chwili.

– Gross, słucham – rzucił zaspanym głosem.

– Zmarło mu się.

Poderwał się do siadu i czuł głośniejsze uderzenia serca, podwójny rytm rozchodził się falą po całym jego ciele.

– Komu? – spytał przerażony i wciąż zawieszony między jawą a snem.

– No Heńkowi – stwierdził męski głos. – Marcin Żynda mówi. Heniek dziś zmarł.

Gross sprawdził godzinę. Było po siódmej.

– Przykra sprawa.

– Dla mnie to ulga, powiem panu, ale żona już biadoli od rana.

– Dziękuję za informację – stwierdził Gross i zamierzał się rozłączyć.

– No, ale właściwie to ja nie w tej sprawie dzwonię. Odebrałem jego rzeczy osobiste ze szpitala i sądzę, że mogą pana zainteresować.

– Co to takiego?

– Niech pan przyjedzie. Jestem w altanie. Zabrałem się wreszcie za porządki.

*

Po jasnym niebie przesuwwały się podłużne i cienkie, prześwitujące obłoki. Od żółtego, nisko wiszącego słońca bił blask, który kładł się złotymi wstęgami na śniegu i raził niemiłosiernie. Gross przymknął powieki. Jedynie gdy stał w cieniu starych drzew, jego oczy mogły odpocząć.

– Dzień dobry – rzucił w stronę otwartej altany, przed którą wyrosła góra śmieci.

Po chwili z niewielkiego domku wyrzwał facet.

– A, to pan – rzucił Żynda. – Sekunda, już idę.

Gross przeszedł przez otwartą furtkę i stanął na wyslizganej ścieżce. Poprawił torbę i przyglądał się śmieciom, rzuconym na stertę rozwalającym się butom i brudnym ciuchom, spod których gdzieś wystawały okładki zniszczonych przez wilgoć książek.

– Nie wiem, czy nie lepiej byłoby spalić to wszystko w cholerę – krzyknął właściciel.

Po chwili wyszedł na zewnątrz. Był w grubych dresach, wysokich traperach i rozpiętej kurtce. Na dłoniach miał nasunięte żółte gumowe rękawiczki, sięgające do połowy przedramion.

– Podłoga się zapadła, a smrodu też nie wygonię – powiedział, spojrzawszy z niechęcią na domek. – Zamówię ekipę, niech przyjedzie, rozwali to w cholerę i albo się wyrzuci na śmietnik, albo spali. Innej rady nie ma. – Rozłożył ręce. – Ale najlepsze jest to. Widział pan?

Żynda kiwnął ręką, żeby policjant się zbliżył.

Weszli do ciasnego, niemal pustego już wnętrza, pozbawionego większości rzeczy, które znajdowały się tam, gdy Gross znalazł się tu pierwszy raz. Pozostała tylko zapadnięta, cała w plamach, sofa i dwa krzesła. Na jednym z nich leżał niewielki brązowy karton.

Mężczyzna sięgnął po niego i podał Grossowi.

Ten zajrzał do wnętrza.

Spojrzał na wyniszczoną okładkę *W pustyni i w puszczy* z lwem w cieniu wielkiego drzewa i dwoma wielbłądami w tle. Książka miała pozaginane rogi, była brudna i poplamiona.

– Tylko to? – spytał Gross.

– Nie, niech pan ją wyjmie.

Zrobił to i wtedy dostrzegł pod książką coś jeszcze. Kartkę w kratkę złożoną kilkukrotnie w wąski pasek.

– Robiła za zakładkę – powiedział Żynda.

Gross odłożył książkę i rozwinął kartkę.

Dostrzegł na niej adres wypisany niebieskim długopisem.

– Cholera – mruknął.

– Dlatego pomyślałem, że to pana zainteresuje – dodał mężczyzna w żółtych rękawiczkach.

– To było cały czas przy nim? Miał to w szpitalu?

– Tak.

Gross przeniósł wzrok z powrotem na kartkę.

– To adres tego domu, do którego było włamanie, prawda? – spytał Żynda.

Gross nic nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w zapisany odręcznym pismem adres.

– No to na koniec mam dla pana prawdziwy deser. – Żynda wyjął z kieszeni klucz zawieszony na kółku z fragmentem łańcuszka.

Policjant wyciągnął po niego rękę.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć, ale to pewnie do tego domu – dodał Żynda i oparł dłonie na biodrach.

Komisarz popatrzył na zmatowiony, stary klucz, w którego wyżłobieniach odkładał się warstwami brud.

– Nie mógł go mieć w szpitalu – Gross odezwał się do Żyndy.

– No i nie miał. – Żynda wskazał palcem na stół. – Tutaj go dziś znalazłem.

dziesięć lat temu

Zdażył się dowiedzieć od syna, że ten wcale nie pojechał do Torunia. I w ogóle nie był z tą swoją Aśką. O dziwo, gnali teraz w stronę osiedla Maja. Sławomirowi stanęło serce, kiedy syn zaparkował w pobliżu domu Jaworskiej.

– Co to ma znaczyć? – spytał przerażony.

– Tam jest mama – powiedział Janek na granicy płaczu.

Sławomir zadrżał. Nie rozumiał, o co chodzi. Spojrzał na stary dom ze spękana elewacją i dostrzegł światło w piwnicy.

– Boże, ona chyba nie żyje – jęknął chłopak.

Tarasewicz uderzył go w ramię.

– Co ty pierdolisz? – warknął.

Syn rozplakał się jeszcze głośniej.

– Morda! – warknął Tarasewicz. – Uspokój się, kurwa mać!

Wysiadł z mercedesa, a kiedy syn zamierzał zrobić to samo, powiedział cicho:

– Ani mi się waż!

– Ale mama...

– Siedź! – warknął Tarasewicz, a potem kazał mu odjechać stąd na Pluskowęsy i schować samochód gdzieś w przecince. – Zadzwoń po ciebie.

Zamknął za sobą drzwi wozu, ale zrobił to najciszej jak umiał. Odczekał, aż syn odjedzie, a dopiero potem ruszył na trzęsących się nogach starym betonowym chodnikiem w stronę wejścia do budynku, odprowadzany głośnym cykaniem świerszczy i poszczekiwaniami psów w oddali.

Pchnął drzwi do domu i znalazł się w ciemnym wnętrzu. Nisko przy podłodze dostrzegł żółtą poziomą kreskę światła. Drzwi do piwnicy.

Otworzył je i zszedł na dół.

– Grażka? – spytał, zatrzymując się u podnóża schodów. – Ela?

Było tu przerażająco cicho. Spojrzał na wielki stół zakryty skórą i oświetlony zimnym blaskiem świetlówek, w którym dostrzegł fruujące mole.

Zbliżył się do otwartych drzwi i wtedy dojrzał jej nagie stopy.

Wszedł do pokoju i napotkał wzrok Grażyny.

– Boże, coś ty zrobiła? – spytał.

Jego żona milczała. Elżbieta wyglądała na ogłuszoną. Nie widział żadnych śladów krwi.

– Kurwa mać! – ryknął. – Coś ty zrobiła?

– Myślisz, że nie wiedziałam, że mnie zdradasz? Że jestem taka głupia?

Sławomir nie słuchał jej, kucnął obok Eli i zaczął klepać nieprzytomną kobietę po twarzy, w kółko powtarzając jej imię i prośby, by otworzyła oczy.

– Rżnąłeś moją przyjaciółkę, a ja głupia sama wepchnęłam cię w jej łapy – ciągnęła Grażyna.

– Ela, Chryste, otwórz oczy, słyszysz? Ela! – Jej ciało było wiotkie, kochanka nie reagowała na żadne bodźce. Mimo to Sławomir wciąż klepał ją po twarzy, z każdym razem jakby mocniej.

Grażyna obeszała stół.

– Coś ty zrobiła? – spytał przez łzy, kiedy odwrócił się w stronę żony. – Wezwij pogotowie.

– Durniu, przecież ona nie żyje.

Sławomir schował twarz w dłonie i bełkotał coś niezrozumiale, gdy Grażyna stanęła za nim.

Wolno uniosła młotek kaletniczy, wykrzywiony niczym łuk, ze spłaszczonym okrągłym obuchem przypominającym łeb wielkiego gwoźdźca.

Uniosła go nad głowę, zaślepiona kobiecą zemstą.

dzień jedenasty, w południe

Komisarz nie musiał długo czekać na Remigiusza Ekierskiego. Chłopak pojawił się kilka minut po umówionej godzinie, zanim Gross zdążył zmarznąć od mroźnych powiewów targających gołymi krzewami, które porastały plażę Stolbudu. Po porannym słońcu nie było już śladu. Niebo nad miastem zaciągnęło się ciemnymi, kłębiastymi chmurami, gnany porywistym, gwizdzącym wiatrem. Gross musiał mrużyć oczy, żeby przypatrzeć się panoramie Chełmży. Odszukał blok, do którego sprowadzali się Tarasewiczowie, i ustawił się tak, aby w linii znalazła się pozostawiona na jeziorze czerwona łódka.

Lodowa powłoka jeziora skurczyła się nieco, przy samym brzegu wodę marszczył wiatr. Chłupotała cicho. W tym też miejscu lód był cienki i przezroczysty niczym szyba.

– Dzień dobry – krzyknął Ekierski.

Gross odwrócił się do niego. Zwrócił uwagę na długie i chude nogi w obcisłych czarnych dżinsach.

– Dzień dobry – odpowiedział Gross i odczekał, aż Remek podejdzie bliżej. Sam nie ruszył się z miejsca.

Gdy nastolatek stanął obok Grossa, nasunął czapkę na uszy i podobnie jak policjant, obserwował przez chwilę przeciwny brzeg. Ciszę między nimi mącił jedynie pogwizdujący wiatr oraz szum szarpanych nim krzewów i gałęzi drzew.

– Może pójdziemy gdzieś, gdzie jest cieplej? – spytał nastolatek z plecakiem przewieszonym przez jedno ramię.

Gross nie zareagował, jakby nie usłyszał tej prośby.

– Proszę pana – Ekierski odezwał się głośniejszym głosem.

Tym razem Gross spojrział na niego, po czym odwrócił wzrok w stronę gotyckiej wieży kościoła Świętego Mikołaja.

– Nie chcesz tu stać? – odezwał się komisarz.

– Zimno jest.

– A wtedy jak było?

– Słucham?

Gross spojrział na chłopaka.

– Zaraz gdzieś pojedziemy, ale teraz zacznijmy od początku. Od tego, jak pożyczyłeś Antkowi pieniądze – zaproponował Gross.

Chłopak potarł nos i schował rękę w kieszeń. Nasunął na głowę kaptur i ustawił się plecami do jeziora. Wiatr wyduł jego kurtkę.

– To było jeszcze przed feriami. Poprosił mnie o kasę, bo jego klasa miała jechać na wycieczkę do kina do Torunia. Jego koledzy nie mieli hajsu, a to był ostateczny termin na wpłatę, więc Antek uderzył do mnie. Pożyczyłem mu, bo czemu nie? Nie była to duża kwota, ale potem zaczęły się ferie, a Antek tej kasy mi nie oddał. No więc w końcu mu o tym przypomniałem.

Gross wiedział to już od Skalki.

– Oddał?

– Nie. To znaczy wiedziałem, że mi odda, ale nie zdążył. Miał mi oddać w niedzielę przed zakończeniem ferii.

– W niedzielę? Przecież następnego dnia widzieliście się w szkole.

Chłopak kopał piętą buta dziurę w śniegu.

– Mówił, że zdobędzie kasę, że...

– Dwadzieścia złotych to nie majątek. O tym długu wiedziała jego matka, która dała mu pieniądze, żeby ci je zwrócił

– A co ja tam mogę wiedzieć. Mówię tylko to, co on mi powiedział.

– Widziałeś się z nim i jeszcze jednym kolegą w pizzerii Romano. Dokładnie taką kwotę Antek

położył na blacie, gdy zamawiał pizzę. Miał przy sobie pieniądze.

Chłopak nie spojrzał w stronę Grossa.

– Zaczynaj mówić prawdę – ostrzegł go Gross. – Chyba że wolisz spotkać się ze mną i rodzicami na komisariacie, a potem składać zeznania do protokołu.

Chłopak spojrzał w zachmurzone niebo.

– Obiecał mi pan, że rodzice o niczym się nie dowiedzą – zaprotestował.

– A ty miałeś nie ściemniać.

– Chodźmy stąd – poprosił.

– Zaraz!

Chłopak cały czas stał odwrócony plecami do jeziora.

– No więc, jak to było, co? – Gross czuł się coraz bardziej poirytowany. Wpatrywał się w okna mieszkania Tarasewiczów, a potem w łódkę.

– Kurwa, no! – Chłopak kopnął piętą w zmarznięte podłoże. Wyżłobił kolejną dziurę, spod której na śnieg wydostał się ciemnożółty piach. – Po co mi to było?

– Co takiego?

Ekierski pokręcił głową, jakby zaprzeczał niewypowiedzianym treściom.

„Miej to za sobą”, poprosił w myślach Gross.

Chłopak pociągnął nosem.

– Miał nagrany jakąś robotę, mówił, że dostanie sporo kasy.

– Jaką robotę? Skąd?

– Pan nie może tego nikomu powiedzieć. On... a właściwie jego matka... Dawno temu... To znaczy... On... miał innego ojca. – Chłopak zamilkł.

– Skąd to wiesz?

– Powiedział mi! On go poznał – krzyknął Ekierski. – Powiedział, że ojciec wrócił i że ma dla niego siano. Że chce mu dać na lepszy start, że przez lata je odkładał.

Gross popatrzył na lód skuwający jezioro i lustrzane odbicie chełmyńskiej panoramy. Dwie wieże kościołów wyciągały się w jego stronę. Wszystko było odwrócone do góry nogami.

– Po co ci to powiedział?

– Miałem mu tylko pomóc.

– W czym?

– Chodźmy już stąd.

– W czym miałeś mu pomóc? – Gross stanął naprzeciwko chłopaka.

– On się bał. Jego ojciec był kiedyś bogaty, a teraz nocował u jednego takiego bezdomnego. Ten bezdomny zaczął Antka, chciał go namówić, żeby przyszedł do ojca.

– I co?

– I wtedy Antek poprosił mnie, żebym pogadał z tym bezdomnym.

– Pogadałeś? – Gross przypomniał sobie nagranie z monitoringu i uwieczniony moment uścisku dłoni. Komisarz zacisnął swoją dłoń na kluczu, który miał w kieszeni, bo wreszcie coś zrozumiał. Prawdy nie da się zbudować na kłamstwie.

Ponownie stanął na skraju plaży, tam gdzie lodowata woda obmywała brzeg, i raz jeszcze przyjrzał się odbiciu panoramy.

– Pogadałeś? – powtórzył w stronę chłopaka.

– Tak.

– I co ci powiedział?

– Że ojciec chce się z nim spotkać w nocy z piątku na sobotę, na jeziorze, na zamrzniętej łódce. – Nie odwrócił się w jej stronę. – Chciał z nim porozmawiać, powędkować. Ten Heniek, z którym rozmawiałem gadał, że ojciec Antka przyniesie wędki, że zrobią przerębel i połowią razem ryby dla matki.

– Przekazałeś mu to?

– Tak.

- Czy bezdomny powiedział coś więcej? Coś o pieniądzach?
- Nie.
- Podobno ojciec chciał mu przekazać pieniądze.
- Może chciał to zrobić tamtej nocy? Nie wiem, nie powiedział mi – stwierdził Ekierski i dodał:
- Zimno jest, chodźmy już stąd.
- Gross ruszył w stronę ulicy Plażowej, gdzie zaparkował golfa.
- Spokojnie, zaraz będzie ci cieplej – rzucił, gdy minął chłopaka.

*

- Dokąd jedziemy? – Ekierski patrzył w boczną szybę, gdy mijali cmentarz.
- Jeszcze chwila – zapewnił go Gross.
- Niech mnie pan odwiezie do domu.
- Chciałbym ci coś pokazać.
- Źle się czuję, przemarzłem na plaży. – Siedział w kapturze założonym na głowę, z rękoma wbitymi w kieszenie pikowanej kurtki. Plecak spoczywał między nogami. – Mam już dość.
- W samochodzie jest ciepło – zauważył komisarz, po czym spryskał brudną szybę i włączył wycieraczki. Minęli kilka samochodów, a następnie Gross skręcił w ulicę 3 Maja.
- Przypomnij sobie, jak to było z tymi pieniędzmi – poprosił nastolatka.
- Nie wiem. Tylko przekazałem te informacje Antkowi. Tylko tyle. Za to miał mi później zapłacić.

- Ile?
- Stówę.
- Nie mógł sam porozmawiać z Heńkiem?
- Nie chciał. Może myślał, że to wszystko ściema, że ktoś go wrabia, że nic z tego nie będzie.
- Musiał mieć pewność – stwierdził Gross.
- Co? – zdziwił się Ekierski. – On chyba nie wiedział, że ten bezdomny jest jego ojcem. Strasznie to przeżywał. A że matka Antka hajsu za wiele nie ma, to na tę kasę się połasił.

Gross nie odezwał się. Rozważał różne wersje wydarzeń. Po pierwsze, nie wpadł na to, że Tarasewicz mógł mieć nieślubne dziecko. Powinien to wcześniej zweryfikować. Skoro Chełmża huczała od plotek o jego romansie, czy mogła nie wiedzieć nic o nieślubnym dziecku?

Jechali wolno wzdłuż opustoszałego parku pełnego wysokich, gołych drzew, za którymi rozciągała się biel zamrożonego jeziora. Kilkaset metrów dalej park się przerzedził, a na otwartej przestrzeni pokrytej śniegiem, za płotem i wąskim pasem drzew, wyrastały trybuny boiska Legii.

Kiedy minęli stadion, Gross jeszcze zwolnił, wóz dotoczył się do skrzyżowania. Kierowca włączył kierunkowskaz i poczekał, aż z przeciwka przejedzie ciężarówka. Podmuch wiatru zabujał volkswagenem. Gross skręcił w lewo, po czym zaparkował pod domem Elżbiety Jaworskiej i ze zgrzytem zaciągnął hamulec ręczny.

- Po co tu przyjechaliśmy? – Ekierski rozejrzał się zdezorientowany.
- Gross pomyślał, że to słaba sztuczka.
- Poznajesz? – spytał.
- Ale niby co?
- Nie wygłupiaj się.
- Ale ja naprawdę nie wiem...

Gross wyszarpnął z kieszeni klucz, który otrzymał od Żyndy.

- Nie graj głupszego niż jesteś – warknął.

Tuż po spotkaniu na działkach przyjechał tu, wszedł na teren posesji Elżbiety Jaworskiej, obszedł dom. Zszedł po schodach i stanął naprzeciwko drewnianych drzwi do piwnicy, do warsztatu

kaletniczego ojca Jaworskiej. Sprawdził, czy klucz pasuje do starego zaśniedziałego zamka. Wsunął go gładko, a potem bez problemu przekręcił.

– Klucz dostałeś od bezdomnego. Przekazał ci go. Widać to na nagraniu z monitoringu. Podał ci go w dłoni, kiedy się żegnaliście, i przekazał adres – stwierdził Gross. – Długo zastanawiałem się, dlaczego dzieciak wyciąga rękę do śmierzącego bezdomnego i dlaczego chce ucisnąć jego brudną dłoń, aż w końcu zrozumiałem.

– To nie tak... – jęknął Ekierski.

– Nie tak? – spytał Gross. – To coś ci powiem, młody człowieku. Nie spieprz sobie życia. Nie spieprz go!

– Ja chciałbym... – odparł.

– Bo jesteś na dobrej drodze! – dokończył Gross. – Wiesz dlaczego?

Chłopak pokręcił głową.

– Popeliłeś kilka błędów i wciąż kłamiesz. Po pierwsze, zabrałeś zawartość kasetki, a ją samą zostawiłeś na miejscu. Teraz kasetkę mam ja, a na niej odbitki twoich linii papilarnych. Są też na klamce drzwi, którymi dostałeś się do piwnicy. – Gross odwrócił się w stronę pasażera. – Czy rozumiesz, o czym mówię? Czy wiesz, co to oznacza?

Remek Ekierski, tak jak poprzedniego dnia, zaczął drapać skórę przy paznokciu kciuka. Kiedy zerwał strup i popłynęła świeża strużka krwi, wsadził palec do ust, żeby ją wysssać.

Gross widział, że chłopakowi trzęsły się ręce.

– Wykiwałeś go – powiedział.

– Nie!

– Wykiwałeś Antka. Jeśli rzeczywiście Tarasewicz był jego ojcem i miał przekazać mu jakiegokolwiek pieniądze, to Antek ich nie zobaczył.

– Proszę pana. – Głos Ekierskiego załamał się.

– Sądzę, że ukryłeś przed nim i ten klucz, i te informacje – kontynuował Gross – a potem, kiedy Antek spotkał się z Tarasewiczem i wpadł do jeziora, zacząłeś panikować. Poczekałeś, aż sprawa przycichnie, i dopiero wtedy pomyślałeś o pieniądzach. Oczekałeś kilka dni i przyszedłeś tu.

Nastolatek spuścił głowę.

Gross, zaobserwowawszy, że Ekierskim wstrząsa szloch, odczekał chwilę, a dopiero potem poprosił, by ten opowiedział mu, co się wtedy stało. Chłopak jednak milczał, więc Gross kontynuował.

– Skąd wiedziałeś, gdzie szukać kasetki?

– On mi powiedział.

– Ten bezdomny?

– Tak. – Ekierski pociągnął nosem i spojrzał na komisarza.

– Kiedy tu przyszedłeś?

– W miniony piątek, w nocy.

Tym razem chłopak mówił prawdę. Tylko jedna rzecz nie pasowała Grossowi.

– Dlaczego nie przekazałeś klucza Antkowi, dlaczego od razu mu go nie dałeś co? Przecież skoro miał się spotkać z ojcem na łódce, i tak by się dowiedział wszystkiego.

– Antek prosił, żebyśmy poszli tam razem. Czekałem na niego tamtej nocy na bulwarze.

– Ale?

– Ale on nie przyszedł.

– Jak długo czekałeś?

– Do chwili, w której usłyszałem trzask lodu i krótki krzyk – powiedział, patrząc Grossowi prosto w oczy.

– Co zrobiłeś potem?

– Uciekłem, proszę pana.

Po kilkudziesięciu minutach Gross odwiózł chłopca pod dom, ale zanim odjechał spod klatki, zadzwonił do Skałki po numer do matki topielca. Zapisał go sobie na kartce, a następnie nawiązał połączenie.

Sygnał był wolny, jednak po chwili kobieta odrzuciła połączenie. Gross odłożył telefon i niemal w tej samej chwili przyszła wiadomość esemes.

„Nie mogę rozmawiać. Oddzwonię”.

W odpowiedzi Gross poprosił o pilny kontakt.

Czuł, że jest bliski rozwiązania sprawy śmierci nastoletniego topielca i mężczyzny z łódki, ale jednocześnie nie mógł pozbyć się wrażenia, że kilka elementów połączył na szybko, bez dbałości o szczegóły, co ostatecznie wykoślawiało cały obrazek.

Nawrócił i kierował się w stronę Moniuszki, gdzie zwolnił Skałkę z obserwacji domu Tarasewicza. Poprosił ją wcześniej o wsparcie, bo wiedział, że nie da rady być w dwóch miejscach naraz. Zgodziła się chętnie, a on ucieszył się, że zawsze może na nią liczyć. I nie zrobiła tego tylko dlatego, by po wszystkim, jak jej obiecał, podpisał raport o przeniesienie.

– Jest w domu. – Skałka nachyliła się do opuszczonej szyby w bocznych drzwiach.

Jej zeszywniałe z mrozu policzki i dłonie były zaczerwienione.

– Dziękuję. Odpocznij – powiedział i już miał podciągnąć szybę, gdy coś sobie przypomniał. – Wczoraj widziałem się z Otrembą.

Skałka z powrotem nachyliła się do Grossa. Przerzucała w ustach gumę z lewej strony na prawą.

– Gdzie?

– Parkował opodal.

– Tutaj? – Zdziwiła się.

– W tamtej bocznej. – Wskazał palcem.

– Po co?

Gross nie miał pojęcia.

– Jest jakiś stłamszony, przygaszony. To wszystko go przerosło.

Skałka prychnęła.

– Też mnie tam kiedyś przywiózł. Twierdził, że widział tam swojego teścia.

Gross zastanowił się nad tym, jakie to mogło mieć znaczenie.

– Źle wyglądał – stwierdził z żalem.

– Nie prosz mnie, żebym się z nim skontaktowała.

– Mogłabyś chociaż raz jeszcze to przemyśleć – zaproponował.

Odmówiła.

– A nie pomyślałaś, że może właśnie podjął decyzję i wrócił do żony, więc mój telefon mógłby mu tylko zaszkodzić? – Kiedy mówiła, z jej ust wydobywał się obłok białej pary.

Gross oparł głowę na zagłówek.

– Wsiądziesz? – spytał.

Nie chciała.

– Chodzi o to, że z żoną też mu nie wyszło. Być może znalazł się w sytuacji, z której donikąd nie ma już powrotu – oznajmił.

– Żałujesz go? – Skałka wyglądała na urażoną.

– Nie. Próbuje ci tylko powiedzieć, że wydał mi się jakiś dziwny. Zupełnie, jakby to nie był Otremba.

– A ja? – rzuciła, spojrzawszy gdzieś w bok.

Chciał spytać, co ma na myśli, ale ugryzł się w język.

– Nie wnिकam, co było między wami – zapewnił. – Rozumiem, że to on odszedł. Chodzi mi tylko o to, że...

– A ja, kurwa, to co? Wyglądam jak młoda bogini? Jak chętna do życia istota?

Kiedy dostrzegł w jej oczach łzy, przeprosił.

– Masz rację – dodał po chwili.

– W czym?

– W tym, że trzymam jego stronę, bo jestem facetem.

– Nie powiedziałam tego.

– Nie musiałaś.

Przez chwilę w tej twarzy zawiedzionej kobiety dostrzegł nikły cień radości.

– Ciebie też mi żal. Idź do domu i odpocznij – powiedział, a kiedy szyba ruszyła w górę, dodał:

– Proszę.

Uniosła dłoń, jakby na pożegnanie, a potem wyprostowała się i odeszła. Widział ją, oddalającą się z każdym krokiem, w bocznym lusterku.

Sięgnął do stacyjki i przekręcił kluczyk. Silnik zgasł, a szum nawiewu przeszedł najpierw w krótki i cichy gwizd, a zaraz potem ustał. Gross siedział beczynnie, wsłuchany w ciszę przerywaną od czasu do czasu szumem przejeżdżającego obok samochodu. Śnieg z podeszew butów stopniał i rozlał się w czarne plamy na gumowym dywaniku.

Natłok myśli odbierał mu siły. Już miał zebrać się w sobie i wysiąść, gdy zobaczył kobietę ze znajomym psem.

Przyjrzał się jej. Szła chodnikiem w jego stronę.

W pierwszej chwili chciał wyjść z samochodu i przywitać się z żoną Otremby, ale po chwili coś nie pozwoliło mu odpiąć pasa. Próbował wtopić się w fotel kierowcy i nie ruszać.

Im była bliżej, tym bardziej się denerwował swoim irracjonalnym zachowaniem, a jednak niczego w nim nie zmienił. Usłyszał głuchy odgłos jej kroków. Przeszła obok niego, nie zwracając najmniejszej uwagi na samochód, w którym siedział. Kilkanaście metrów dalej zatrzymał ją pies, który wywahał coś w śniegu. Rozejrzała się, jednak była za daleko, żeby mogła dostrzec Grossa siedzącego w samochodzie. Wyjęła telefon i przyłożyła go do ucha. Zaczęła poruszać ustami i uśmiechnęła się, zamykając na dłuższą chwilę powieki. Pies w tym czasie podniósł nogę i osikał murek.

Otremba przerwała rozmowę, a potem pociągnęła ku sobie psa. Skręciła w Słowackiego i zniknęła Grossowi z pola widzenia. Dopiero wtedy wysiadł i ruszył jej tropem, zachowując bezpieczną odległość. Przeszła kilkadziesiąt metrów i zatrzymała się przy płocie posesji po prawej. Nacisnęła na dzwonek. W domu otworzyły się drzwi i wyszedł z nich potężnie zbudowany łysol w obcisłym T-shircie i w krótkich spodenkach. Otworzył furtkę kluczem i wpuścił ją na działkę, a następnie objął ją i pocałował. Potem pogłaskał psa, który zamerdał wesoło ogonem.

Kiedy schowali się w domu, Gross zrozumiał, że wczoraj, kiedy siedział z Otrembą w samochodzie, ten patrzył właśnie na ten dom.

Komisarz odwrócił się i ruszył w drogę powrotną do golfa. Po kilku krokach jednak przystanął, bo po lewej, po skosie, dostrzegł dom Tarasewicza i zapalone w pokoju na piętrze światło. Dwa okna pozbawione były firan i zasłon. Przez jedno z nich jak na dłoni widział pustą ścianę i fragment sufitu oraz rozstawioną drabinę. Przy drugim Tarasewicz stał z wałkiem malarskim i kuwetą z farbą.

Gross pochylił się i ruszył przed siebie w chwili, gdy w ulicę wjechał samochód. Kątem oka dostrzegł, że za kierownicą siedział Otremba.

*

– Nie mam dla pana czasu. – Jan Tarasewicz warknął przez uchylone drzwi.

Gross ponownie do niego zadzwonił, kiedy znudziło go czekanie w wyiębnym samochodzie.

– Zajmę tylko chwilę. Sądzę, że informacje, które mam, okażą się dla pana ważne – stwierdził

Gross i przyjrzał się brudnemu od żółtej farby T-shirtowi gospodarza.

– Niby co takiego?

Gross nie wiedział, czy Tarasewicz udaje zainteresowanego, czy rzeczywiście jest ciekawy, ale komisarz nic więcej nie powiedział. Czekał cierpliwie.

– Pięć minut – stwierdził i wpuścił gościa do sieni, blokując swoim ciałem wejście do pokoju.

Gross zamknął za sobą drzwi. W tym czasie Tarasewicz zdjął rękawice i zmierzwił sobie włosy. Wyglądał na spoconego.

– Robi pan remont? – spytał Gross.

– Nie pana sprawa – mruknął gospodarz. – Nie podoba mi się to ciągle wypytywanie o ten dom i to wszystko. Traci pan czas.

Tarasewicz ostentacyjnie zerknął na zegarek, a potem z powrotem na Grossa.

– Pamięta pan naszą ostatnią rozmowę? – zagadnął Gross zupełnie tak, jakby mieli cały wieczór na pogaduchy.

– Może pan jaśniej?

– Nagrałem ją.

– Słucham?! – Oczy Tarasewicza powiększyły się. – Jakim prawem?

– Nagrałem ją i wczoraj odsłuchałem.

– Jakim prawem, pytam?

– Chodzi o to, że długo nie mogłem zrozumieć tego, co było takie oczywiste.

– Złożę na pana skargę. – Tarasewicz wycelował palec w Grossa.

– Chodzi o pana ojca.

– Że co? – Tarasewicz skrzywił się. – Co pan bredzi?

– Spytał mnie pan, po co to rozgrzebuję.

– Bo to racja. W tym cholernym śledztwie nie ma żadnych postępów. Kręcicie się jak gównu w przeręblu. Jedyne, co pan potrafi, to przychodzić tutaj i pierdolić jakieś głodne kawałki.

– Potem stwierdził pan, że ciotka jest słabego zdrowia. Pamięta to pan? – kontynuował Gross, ignorując Tarasewicza. – Aż wreszcie zadał pan to kluczowe pytanie.

– Do jasnej cholery, o co panu chodzi? – wyszczał młody mężczyzna.

– „Dlaczego go nie szukacie?”. Tak pan właśnie zapytał – przypomniał Gross.

– No i co z tego?

Policjant wpatrywał się w Tarasewicza.

– Śledztwo dotyczyło zaginięcia obojga rodziców. – Gross sięgnął do torby i wyjął kilka dokumentów, a wśród nich zdjęcie mężczyzny z łódki. – Tymczasem pan pytał tylko o ojca.

– Zdużniałeś do reszty, kurwa? Co to ma być? – ryknął. – Będziesz mnie, chuju, za słówka łapał? To matura z polskiego jest, co?

– Pan w tej sprawie wie więcej niż ktokolwiek inny. I cały czas wprowadza nas w błąd. Od dziesięciu lat. A na to są paragrafy. I żeby wszystko było jasne, coś panu powiem.

– Wynocha! – przerwał mu Tarasewicz, wskazując na drzwi.

– Tu mam kopie bilingów z pana telefonu ze wszystkich dni od czasu zaginięcia pana rodziców.

W sumie będzie tego chyba cały tydzień – rzucił Gross. – Wynika z nich, że nie dzwonił pan do Elżbiety Jaworskiej. Żaden z jej telefonów nie zanotował połączenia z pana numeru, ani komórkowego, ani domowego. Żaden.

– Jakie to ma znaczenie? Może nie dzwoniłem, a może dzwoniłem z telefonu ciotki.

– Sprawdziliśmy to. – Gross uniósł kartki. – Od dnia zaginięcia pana rodziców telefon Jaworskiej nie odebrał żadnego połączenia. Ale ma pan rację, to jeszcze żaden dowód.

Tarasewicz rozluźnił się nieco.

– Gorzej z tym. – Gross pokazał mu kopertę, na której widniała czerwona pieczętka nadawcy. –

Przyszło dziś.

– Co to jest?

– Wyniki DNA materiału porównawczego pobranego po zaginięciu pana ojca z jego

szczoteczki do zębów, z kodem genetycznym człowieka z łódki.

Tarasewicz wyciągnął rękę po dokument, ale Gross szybko ją cofnął.

– Wie pan, co to oznacza? – Gross schował papiery i położył rękę na kłamec.

Tarasewicz wyglądał, jakby zeszło z niego powietrze.

– Że pana ojciec nie miał żadnej blizny na prawej łopatce – stwierdził. – Kłamał pan. Ale jutro wszystko się wyjaśni.

– Jutro?

– Właśnie jadę do prokuratury. Zerkną na materiały i będzie po wszystkim. Jutro koledzy przyjadą po pana – rzucił Gross. – Do zobaczenia na komisariacie.

Policjant otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

– A! I jeszcze jedno!

Gospodarz patrzył na niego spode łba.

– Wygląda na to, że nie jest pan jedynym synem Sławomira Tarasewicza. – Gross nie czekał na odpowiedź, tylko ruszył w stronę furtki.

W drodze do samochodu jego serce tłukło się o zebra.

Zamknął się w golfie i natychmiast uruchomił silnik. Już wcześniej ustalił z Brandolem obserwację Tarasewicza. Teraz dał znać dyżurnemu, że czas rozpocząć akcję.

Gross odjechał spod domu przy Moniuszki.

Na samą myśl o tym, że Tarasewicz mógłby wyrwać mu kopertę z pismem z uczelni, poczuł większe dreszcze.

Był jednak pewien, że cała ta mistyfikacja na coś się przyda. Że jeśli coś ma się wydarzyć, to wydarzy się właśnie tej nocy.

*

Zapukał do drzwi mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy, w której urodził się i wychowywał uznany za świętego ksiądz Wincenty Frelichowski. Oznajmiała to pamiątkowa tablica zawieszona na elewacji.

Drzwi uchyliły się, chociaż uprzednio nie usłyszał zgrzytu przekręcanych zamków. W szczelinie między drzwiami a ścianą Gross ujrzał chłopca z resorakiem w jednej ręce. Nie zdążył odezwać się do niego, bo pojawiła się za nim jego matka.

Smutek w jej twarzy zdawał się być wykuty jak w kamiennej rzeźbie. Sine półksiężyc pod oczami, przymknięte ciężkie powieki. Próbowwała się zmusić do grzecznościowego uśmiechu, jednak grymas był krótki niczym błysk światła.

Zaprosiła go do cichego wnętrza, w którym żałoba rozgościła się na dobre.

Usiadł w fotelu przykrytym narzutą. Podłokietniki ze skaju były spękane; w podłużnych zmarszczkach, przypominających gałęzie krzewów, stary materiał odsłaniał pożółkłe siateczkowe podłoże. Siedzisko było stwardniałe.

Nie wiedział, o co zapytać na początek, ani jak powinien zachować się wobec kobiety, która straciła pierwородnego syna. Wybawiła go swoim pytaniem.

– To był wypadek, prawda? – upewniła się.

Gross potwierdził.

– Wszystko na to wskazuje.

– To czego tak naprawdę chce pan ode mnie? Skąd te częste pytania i wizyty? Te ciągłe telefony od pani Skalskiej, a teraz jeszcze od pana?

Gross przygryzł wargę. Wyczuwał w kobiecie podskórny lęk, jakby bała się tego, że obecność syna na zamrożonym jeziorze, a do tego śmierć bezdomnego, może być czymś więcej niż tylko nieszczęśliwym wypadkiem. Prosta fizyką zdarzeń, dającą się opisać jakimś wzorem, dzięki któremu

wyliczy się napór wagi ciała nastolatka na grubość lodowej pokrywy jeziora.

– Czego szukacie? – spytała wprost.

Siedziała wyprostowana, młodszy syn bawił się w wolnej przestrzeni między ławą, przy której siedzieli, a wyłączonym telewizorem. W ekranie ich sylwetki odbijały się jak w czarnym lustrze. Obok na regale stał portret Antoniego, a przy nim figurka Matki Boskiej.

– Odpowiem pani na to pytanie – zapewnił. – Ale najpierw ja zadam ich kilka.

Zgodziła się.

– Czy znała pani Sławomira Tarasewicza, zaginionego wraz z żoną Grażyną Tarasewicz w sierpniu dwa tysiące ósmego roku?

– Pamiętam tę sprawę.

– Czy znała go pani?

– Kiedyś pracowaliśmy razem – odwróciła głowę. – Jeszcze zanim założył hurtownię.

– Kiedy to było?

– Nie wiem, może piętnaście, może więcej lat temu.

– Gdzie pracowaliście?

– W cukrowni. On był zastępcą kierownika działu utrzymania, a ja sekretarką dyrektora.

– Dobrze go pani znała?

Kobieta zamyśliła się, wpatrując się w syna.

– To on?

– Słucham? – Gross poprawił się w fotelu.

– Czy ten bezdomny w łódce to Tarasewicz? – spytała, przenosząc wzrok na Grossa.

– Proszę, żeby odpowiadała pani na moje pytania.

Przyjęła jego uwagę.

– Nie, nie było okazji – odparła. – Zresztą kiedy przyszedłam na etat, on przepracował może jeszcze pół roku, a potem zajął się własnym biznesem.

– Jak by pani określiła stopień waszej znajomości?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Do czego pan zmierza? – spytała, składając dłonie jak do modlitwy i przyciągając je do twarzy.

– Łączyło was coś więcej niż praca?

– Dlaczego pyta mnie pan o takie sprawy? O co chodzi?

Gross milczał.

– Nie, nic nas nie łączyło – odparła spokojnie.

– Rozumiem. A czy pani syn zajmował się wędkarstwem?

– Nie, nigdy.

– A jak miał kilka lat, to pani mąż jeździł z nim na ryby?

– Mój mąż nigdy nie wędkował. Nie mieliśmy ani jednej wędki w domu.

– A dziadkowie chłopca?

– Też nie – powiedziała stanowczo i dodała z naciskiem: – O co chodzi z tym wędkowaniem?

– Nie mówił nic o wędkowaniu podlodowym?

– Podlodowym? – Skrzywiła się.

– Badamy każdą okoliczność tej tragedii – zapewnił. – Może to była jego nowa pasja, może starał się zaimponować kolegom?

Adriana Bruździńska zamyśliła się.

– W łódce bezdomnego znaleźliśmy zanętę do łowienia ryb. Wygląda na to, że przygotował ją pani syn.

– Widział się z tym bezdomnym? – zapytała. – A czego on od niego chciał?

– Nie wiemy tego, staramy się ustalić związek, co i tak nie ma wpływu na to, że doszło do tragedii. Załamał się lód...

– Widział się z nim? – powtórzyła pytanie.

- Nie można tego stwierdzić.
- Ale mówił pan, że przyniósł zanętę...

Gross nachylił się lekko.

– Wiemy, że pani syn przygotował ją w domu. Kupił glinę i robaki. Wymieszał to wszystko i zalał wodą.

Spojrzała na Grossa.

- Co pan powiedział?

Gross odchrząknął.

- Mówiłem, że przygotował zanętę...

- Powiedział pan coś o robakach.

- Tak, musiał kupić gdzieś ochotki, to takie larwy much.

- On ich nie kupił.

- Słucham?

- Nie kupił ich.

- W takim razie skąd je zdobył?

- Mówił, że kolega ma akwarium i karmi nimi swoje rybki.

- Ten kolega przyniósł je tutaj?

– Tak. Bo Antoni rok temu dostał ode mnie małe akwarium za dobre oceny. Cały czas karmił te welony zwykłym pokarmem, ale tym razem chciał zobaczyć, jak będzie z larwami.

- Dużo ich przyniósł?

– Były w takim plastikowym przezroczystym pojemniku. Schowałam je do zamrażalnika. Mogę pokazać. – Kobieta podniosła się.

Gross daj jej znak, by z powrotem usiadła.

- A ten kolega jak się nazywa?

Bruździńska przyłożyła ręce do skroni. Myślała przez dłuższą chwilę.

- To był kolega z innej klasy. Miał na imię Remek – stwierdziła. – Ale nazwiska nie pamiętam.

*

Gross spojrzał na ekran telefonu i uświadomił sobie, że przed wejściem do Bruździńskiej wyciszył dzwonek. Miał dwa nieodebrane połączenia. Oba wskazywały na numer zastrzeżony. Domyślał się, kto dzwonił.

Szedł w stronę Rynku, trzymając słuchawkę przy uchu. Minął kilka osób i przeciął miejski plac po przekątnej, zbliżając się do budynku biblioteki, w której na parterze świeciły się światła.

Nikt nie odbierał, schował telefon do kieszeni.

Gross zwolnił i spojrzał przez szyby na dział wypożyczeń.

W przestrzeni wypełnionej regałami zauważył Malwinę Lemańską. Zatrzymał się. Zbliżył do okna, ale nie na tyle, by dostrzegła ruch za oknem i wyczuła jego obecność. Obserwował jej skupienie, pracę w samotności wśród książek i pomyślał o jej tragedii, śmierci męża i córki potrąconych przez tira na przejściu dla pieszych. I o tym, jak sobie z nią radzi. I co powiedziała mu ostatnio, kiedy zaprosiła go na kolację.

– Za drugim razem ta tragedia już tak nie rani. – Jej rysy spoważniały na chwilę. – Cios boli mniej, jeśli się go spodziewasz. Kiedy czekasz na ten ból, po prostu go oswojasz.

Dopiero teraz Gross spostrzegł, że Malwina patrzy w jego stronę. Stał w strudze światła latarni. Zniknął z jej oczu tylko na chwilę, bo skierował się po schodach do drzwi wejściowych biblioteki. Były zamknięte.

– Już, już – usłyszał głos Lemańskiej, który złał się z chrobotem przekręcane go klucza w zamku.

Zobaczył jej pogodną twarz i niesforne kosmyki kręconych włosów, z których jeden ułożył się na jej okularach i przysłonił oko.

Delikatnym ruchem założyła go za ucho.

– Co tu robisz, Bernardzie? – spytała radośnie.

Pragnął jej towarzystwa i czekał na ten łagodny, pełen ciepła uśmiech.

– Przechodziłem... – stwierdził i nie umiał powiedzieć nic więcej.

– Chcesz wejść?

– Nie mogę, muszę iść...

– Ale zawsze możesz wrócić, jeśli tylko będziesz chciał – zachęciła go.

Potaknął.

– Powiedziałaś, że za każdym razem ta tragedia boli mniej. – Wrócił myślami do ich niedawnej rozmowy.

Jej brwi zbiegły się. Wyglądała na zdziwioną, że wraca do tej sprawy.

– Że ją oswajam – odpowiedziała.

– Tak.

Dopiero teraz zobaczył, że Malwina stoi przed nim bez płaszcza, ze ściągniętymi ramionami, lekko skulona i zziębnięta.

– To boli – dodała. – Ale może boleć mniej.

Gross nie odrywał od niej wzroku, ale złapał za klamkę.

– Dziękuję. Schowaj się, żebyś nie zmarzła – powiedział i przymknął drzwi, zostawiając ją w słabo oświetlonym i wychłodzonym korytarzu.

Chciał powiedzieć jej znacznie więcej, ale nie umiał.

Jeszcze nie.

*

W niektórych oknach komisariatu, tak jak i w gabinecie Brandola, świeciło się światło. Na zewnątrz murów, za szybami, żółty blask przechwyciła gęstniejąca mgła.

Gross przeszedł obok kościoła i skręcił w lewo, w stronę bloku przy Sądowej 1. Wtedy odezwała się jego komórka.

Numer zastrzeżony.

Przystanął i rozejrzał się. Zrobił dwa kroki, by schować się za ścianą nowoczesnego budynku, i dopiero odebrał połączenie.

– Słucham – rzucił.

– Dzień dobry! – Usłyszał kobiecy głos. – Nie uwierzy pan, co się stało.

Jego mózg pracował na wysokich obrotach, ale jeszcze nie zaskoczył. Nie wiedział, kto do niego mówi.

– Halo? Słyszysz mnie pan, panie komisarzu? To ja, ta od telefonu.

Skojarzył. Karolina Elsner.

– Skąd go pani ma? Bo dzwoni pani właśnie z tamtego aparatu, prawda?

– Tak. Oddała mi!

– Oddała? Przyszła i tak zwyczajnie oddała?

– A skąd! Telefon znalazłam na tarasie. Musiała go podzucić.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem wyszłam na papierosa, to go jeszcze nie było, a teraz, dosłownie przed sekundą, chciałam zapalić dymka, a tu nagle patrzę i szok. Aparat leżał w donicy zawieszony na balustradzie tarasu.

– Jeśli chciałaby pani to zgłosić...

– Nie, nie zamierzam. Aparat wygląda tak jak wygląda, konto jest doładowane, chyba nawet więcej, niż miałam. – Zaśmiała się. – Dzwonię do pana, żeby pan się już nie spodziewał dziwnych telefonów.

– Nie będę – zapewnił, po czym oznajmił jej, że stoi właśnie pod blokiem, bo chciał wejść do Tarasewiczowej.

– Mam otworzyć panu drzwi?

– Będę wdzięczny.

– Tylko niech jej pan nie mówi o tym telefonie, dobrze?

– Jasne, nic jej nie powiem.

Gross się rozłączył i przeszedł w stronę klatki schodowej. Na panelu domofonu wybrał numer mieszkania do Elsnerów i czekał, aż kobieta zwolni blokadę.

Wszedł na pierwsze piętro i zapukał do drzwi Tarasewiczów.

– Chwileczkę. – Usłyszał przytłumiony żeński głos.

Układał sobie w głowie pytania, które miał zadać tej kobiecie. Liczył na to, że będą sami, że jej mąż wciąż jeszcze maluje pokoje w domu przy Moniuszki.

Kiedy drzwi otworzyły się, ujrzał tę samą, krótko obciętą blondynkę, którą poznał kilka dni temu. Spojrzała na niego nieco zdziwiona, ale w tym spojrzeniu, a może w wyrazie jej twarzy, dostrzegł też jakąś ulgę. Jakby długo czekała na ten moment.

– On naprawdę wrócił – odezwał się Gross, a Tarasewicz spuściła głowę i zrobiła mu przejście.

Stanął w holu i zamknął za sobą drzwi.

*

Kroki Grossa wystukiwały głośny rytm, kiedy szedł po drewnianym pomoście w stronę swojego domu. Dźwięk niósł się w tej ciszy osiadłej nocą nad jeziorem. Gęsta mgła odcięła go od widoków, do których zdążył się przyzwyczaić. Widział jedynie rozmyty blask kolejnej lampy i zaledwie fragment deskowanego pomostu. Reszta konstrukcji rozplywała się w czerni kilkanaście metrów dalej.

Mógł być mniej więcej w połowie długości jeziora, kiedy dostrzegł postać. Czarna sylwetka opierała się o balustradę.

Komisarz zwolnił.

– Czekałem na pana – odezwał się nieznajomy.

– Na mnie? – spytał Gross i zrobił jeszcze kilka kroków. Dopiero wtedy rozpoznał mężczyznę.

– Co pan tu robi?

– Musimy pogadać.

– Jak mnie pan tu znalazł?

– Wcześniej byłem u starego znajomego. Niedawno widział pana pod oknami komisariatu.

I trafił z tym, że wróci pan do siebie pomostem.

– Brandol?

Krzysztof Wegner potwierdził skinieniem.

– Nie mam teraz czasu na rozmowy – stwierdził Gross i poszedł dalej.

– Chodzi o Tarasewicza – powiedział Wegner. – Pomyliłem się.

– W jakim sensie?

– Dałem się młodemu nabrać na tę bliznę.

Gross popatrzył na Wegnera.

– Dlaczego go pan odwiedził w hurtowni? – spytał Gross.

Wegner nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

– Śledzicie mnie? – warknął.

– Niech pan po prostu odpowie na moje pytanie. – Gross wsunął ręce w kieszenie.

Wegner wyprostował się i zbliżył do Grossa.

– Wtedy, dziesięć lat temu, mieliśmy inne środki, inaczej się pracowało.

– To ma być wytłumaczenie pana błędów popełnionych przy sprawie zaginięcia Tarasewiczów i Jaworskiej?

– Nie – stwierdził zaskoczony. – Zrobiłem wszystko, co można było zrobić.

Gross stał nieruchomo.

– Nie musi mi pan wierzyć, nie było pana wtedy tutaj, nie pracował pan w tym burdelu. – Wegner się zezłościł. – Dzisiejsza policja jest inna.

– Niech pan sobie daruje. – Gross go wyminął.

Znowu odszedł kilka metrów.

– Byłem u niego porozmawiać o tej bliźnie. Nabrał mnie – wyznał.

– Skąd wpadł mu do głowy ten pomysł?

– Nie powiedział. – Wegner wycelował palec w Grossa. – Ale znał pana prywatną historię z gazet. Przeczytał o tym, jak zaatakował pan napastnika i zranił go nożem w łopatkę. Nigdy jednak nie przypuszczał, że to właśnie pan po dziesięciu latach zajmie się sprawą jego ojca.

Gross nie był w stanie uwierzyć w taki zbieg okoliczności, ale nie mógł też odrzucić takiego wyjaśnienia. Jego sprawą przez jakiś czas żyła cała Polska. A kilka miesięcy po tym kraj obiegły informacje o zaginięciu małżeństwa Tarasewiczów. Tym razem ich syn był pokazywany niemal w każdej gazecie. Pytanie tylko, do czego było mu potrzebne to kłamstwo?

– Coś tu nie gra – rzucił Gross i odszedł.

– Niech pan zaczeka – krzyknął za nim niezrażony Wegner. – Ta sprawa wciąż nie daje mi spokoju.

Komisarz zatrzymał się i odwrócił.

– Przede wszystkim chodzi mi o Jaworską – dodał Wegner.

– Co z nią?

Wegner znów oparł się o balustradę pomostu i wpatrywał w gęstą mgłę, tam gdzie powinien dostrzec środek jeziora.

– Jeden detal nie daje mi spokoju – zaczął.

– Chodzi o datę zgłoszenia jej zaginięcia, tak?

– Wałkowaliśmy to wzdłuż i wszerz z Brandolem. Kłopot w tym, że ten pijaczyna widział Tarasewicza z żoną w samochodzie, jak wyjeżdżali z Chełmży, i w kółko potwierdzał te zeznania. Brandol chciał mu kiedyś wódkę postawić i sprawdzić, czy ten byłby skłonny powiedzieć prawdę. Chciał wyczuć, czy pijak nie jest przekupiony, czy nie mówi tego tylko po to, by chronić Tarasewicza. Może wówczas wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale on nigdy nie zmienił tych zeznań, później też w kółko powtarzał to samo.

– W takim razie kłamać musiał ktoś inny – rzekł Gross. – Ktoś, kto miał interes w tym, by sprawy prowadzone były dwutorowo. By nie łączyć zaginięcia Tarasewiczów z Jaworską.

– Ma pan kogoś konkretnego na myśli?

„Syna Tarasewicza”, pomyślał Gross.

– Niemożliwe, żeby to był Jasiak. – Wegner jakby czytał w jego myślach. – Są świadkowie, którzy potwierdzają, że dzwonił do Jaworskiej nawet kilka dni po zaginięciu rodziców.

– To iluzja. Nie sprawdziliście bilingów.

– Prokurator nie wyraził zgody. Nie było żadnych dowodów na łączenie zaginięcia Tarasewiczów z zaginięciem Jaworskiej. Po pierwsze, chodziło o dorosłe osoby, które miały prawo robić, co chciały, rozpoczynać nowe życie nawet na Malediwach. Po drugie, zostawiły w domu dorosłego chłopaka. Po trzecie, były zeznania mówiące o tym, że Jaworska była widziana po zniknięciu Tarasewiczów. Nie mieliśmy żadnych śladów użycia przemocy w jej domu. Nie było nic, co wskazywałoby na to, że padła ofiarą zbrodni.

– A ten facet, który chciał kupić jej dom?

– Nigdy go nie namierzyliśmy. Człowiek widmo.

Gross popatrzył na cienie, które rzucali na taflę jeziora.

– Ciotka Jaworskiej – powiedział komisarz.

Odtworzył w myślach jej zadbane dom, dobrze położone tynki, wycyklinowany parkiet w dużym pokoju, drzwi wewnętrzne, które wyglądały jak nowe.

Wegner wyprostował się.

– Niby jak? – spytał.

– Kiedy zniknęła Jaworska, kobieta została całkowicie sama.

– No i co z tego?

– Poszła na jakiś układ.

– Po co?

Gross szukał w tym logiki.

– Zabezpieczyła się na starość. Kupiła sobie pomoc – powiedział. – To dlatego była w stanie kłamać w sprawie tego, że widziała swoją siostrzenicę. Że ta przechodziła rzekomo koło jej domu kilka dni po zaginięciu Tarasewiczów.

– Opisała ją bardzo dokładnie. To znaczy w to, co była ubrana.

– I to powinno wam dać do myślenia.

– Ciuchy, o których mówiła, znaleźliśmy potem w koszu na brudną bieliznę. To by potwierdzało jej słowa – bronił się Wegner.

– Sprzedała wam bajkę. Opowieść przesuniętą w czasie. Owszem, widziała Jaworską w tych ciuchach. Ale nie przez okno i nie w chwili, gdy dziergała coś na siedząco. Wówczas z trudem mogła dostrzec ramiona i głowę Jaworskiej.

Wegner rozciągnął usta w zamyśleniu.

– Tymczasem pewnie było tak, że Jaworska przysłała do niej – kontynuował Gross.

– Nie, to niedorzeczne – sprzeciwił się Wegner. – Przecież to już zupełnie zaprzeczałoby tezie, że zginęła razem z Tarasewiczami!

– Niekoniecznie. – Gross obserwował byłego policjanta i czekał, kiedy ten załapie.

– Ożeż kurwa! – warknął mężczyzna. – Mogła być u ciotki przed zaginięciem Tarasewiczów!

Więc wyjechali razem!

Gross zaprzeczył.

– Tak, była u niej wcześniej, ale nie sędzę, by razem opuścili Chełmżę.

– No co pan? Przecież to oczywiste. Teraz to już wiem, jak było!

– A ja jeszcze nie – stwierdził Gross i ruszył w stronę swojego domu. – Jeszcze nie.

*

Szedł ciemną klatką schodową na górę. W pewnej chwili, gdy był na pierwszym piętrze, zapaliło się światło. Potem usłyszał odgłos rozmowy na schodach. Wkrótce minął się z sąsiadką z trzeciego piętra, która prowadziła za rączkę chłopca.

– Dziś przyjedzie do taty wujek Marian i będziemy długo pracować, dlatego lepiej, żebyś spał u babci, wiesz? – przekonywała nadmiernie wymalowana, wystrojona kobieta w wysokich czarnych kozakach i skąpej spódnicy. – Jutro babcia zaprowadzi cię do przedszkola, a ja ciebie stamtąd odbiorę, dobrze?

Malec nic nie odpowiedział.

Gross dostrzegł jego zasępioną minę i poszedł dalej. Kobieta nawet go nie zauważyła.

W mieszkaniu zrobił sobie herbatę i wypił ją dopiero, gdy ostygła. Położył się na łóżku, ale nie mógł zasnąć. Leżał w swetrze i sztruksach, co rusz spoglądając na wyświetlacz telefonu.

Nic się nie działo. Dwukrotnie zadzwonił do obserwującego dom Tarasewicza policjanta.

– Śpij, Bernardzie, jak tylko coś się zdarzy, to przecież wiesz, że zadzwonię – uspokoił go kolega.

Ale i tak nie mógł zmrzyć oka. Nie potrafił też skupić się na pracy nad modelem motocykla. W końcu zabrał się za nakładanie tak zwanego washa, mocno rozrzedzonej farby olejnej, którą punktowo nakładał na detale. Przygotował roztwór i rozprowadzał w szczelinach i wokół uwypukleń na płaskich powierzchniach. Oblał cienką strużką pokrywę baku i korek wlewu paliwa. Pigment kładł się delikatną warstwą na felgach, wokół miejsc, z których wychodziły szprychy. Gross usuwał nadmiar washa patyczkiem higienicznym zwilżonym w rozcieńczalniku. W ten sposób tworzył iluzję światłocienia. Wszystkie detale odlane w plastiku były znacznie lepiej widoczne, a poza tym nadawały pojazdowi realistyczny wygląd.

Potem zajął się przygotowaniem obić lakieru, rys i innych śladów eksploatacji motocykla. Myślał też o porzuceniu kolektora wydechowego i tłumika, które najczęściej korodowały, bo były wykonywane ze słabszej jakości materiałów. Na koniec chciał nałożyć suche kolorowe proszki, pigmenty, które nie tylko nadawały powierzchniom odpowiednią fakturę, ale doskonale imitowały też piach lub ziemię osadzające się w bieżnikach opon i na podwoziu. Zastanawiał się też, czy użyje preparatu przypominającego błoto. Przerwał jednak pracę, czując, że nie skupia się na niej, że wciąż myśli o tym, co wydarzyło się dziesięć lat temu i skłoniło Tarasewicza do wyjazdu. Bo mimo wszystko sądził, że skoro wrócił sam, to sam z Chełmży wyjechał.

Liczył na to, że odpowiedź pozna tej nocy, i dlatego odstawił model, poczyścił pędzle i pozostałe narzędzia.

Położył się na sofie i wsłuchiwał w rytm wystukiwany przez zegar wiszący na ścianie. Wkrótce te dźwięki pozornej ciszy zostały zagłuszone kobiecymi pojękiwaniami i pokrzykiwaniami z dołu. Coś rytmicznie uderzało o ścianę i Gross sądził, że to wezglowie łóżka sąsiadów. Trwało to dziesięć minut i nie wyglądało, żeby miało się skończyć. Wyraźnie słyszał dwa męskie głosy i postękiwania kobiety.

Miał tego dość.

Zerwał się z sofy i poszedł do kuchni po zapałkę. Zbiegł na trzecie piętro. Nie zapalał światła, doskonale widział, gdzie jest dzwonek do drzwi. Nacisnął go i zablokował zapałką, którą złamał u nasady.

Uporczywy dźwięk nie ustawał. Rozlegał się nie tylko w mieszkaniu sąsiadów, ale również na klatce.

Komisarz wrócił do siebie i ponownie położył się na sofie. Nawet tu słyszał ten irytujący dzwonek.

– Dowiem się, który miękki chuj to zrobił! – ryknął sąsiad na całą klatkę. – Chcesz wojny, impotencie jebany?

– Uspokój się – wołał kobiecy głos. – Wracaj!

Po chwili wszystko ucichło. Gross też się uspokoił, tępy ból za oczodołami zaczął powoli przemijać.

Kilka minut później Gross zerknął w swój telefon i zobaczył, że ma jedno nieodebrane połączenie.

Sklął siebie i natychmiast wybrał numer do policjanta, który obserwował Tarasewicza.

– Wyjechał – usłyszał w słuchawce.

– Dokąd?

– Wygląda na to, że jedzie w stronę Torunia.

– Gdzie? – spytał, nie dowierzając.

– Odezwę się. Nie chcę go zgubić.

Gross spojrział na zegarek.

Było krótko po północy.

dziesięć lat temu

Tarasewiczowi wciąż kręciło się w głowie.

Wyszedł przed dom Jaworskiej i otumaniony ruszył w stronę Pluskowej, skąd po kilku minutach nadjechał Jasiek.

Kazał synowi przesiąść się na fotel pasażera i ruszyli do domu. Ulica przy stadionie wciąż była pusta. Wschodzące słońce oświetlało przydrożne drzewa, które rzucały długie cienie.

Tarasewicz milczał, chociaż syn zasypywał go pytaniami.

Kiedy dojechali na miejsce, kazał mu się zamknąć w pokoju, a sam pozbierał resztę ważnych dokumentów. Zabrał też ukrywaną przed rodziną puszkę zamykaną na małą kłódkę i wszystko to zapakował do samochodu.

Potem wszedł na piętro i przytulił trzęsącego się młodego mężczyznę.

– Zabiorę mamę i znikniemy stąd na zawsze – powiedział Tarasewicz.

Syn zaczął płakać.

– To moja wina – wydukał Jasiek.

– Nie, to wina dorosłych! To przede wszystkim moja wina – powiedział. – Przepraszam cię.

Złapał syna za ramiona i odsunął go od siebie.

– Dziś musisz dorosnąć, rozumiesz? – stwierdził po cichu, ale zaraz podniósł głos. Nie było czasu na sentymenty. – Dziś! Nie jutro, nie pojutrze, tylko dziś! Pieniądze masz, dom jest twój. Skontaktujemy się z tobą wkrótce. Nasze zaginięcie zgłosisz dopiero w poniedziałek. Ciotkę z Inowrocławia poinformujesz dopiero we wtorek, dobrze?

Syn pokiwał głową i ocierał łzy.

– Powtórz – poprosił ojciec, a syn powtórzył słowo w słowo.

Tarasewicz pocałował go w czoło i tłumiąc swój płacz, poprosił raz jeszcze.

– Mama trafiłaby do więzienia, wiesz o tym.

Chłopak pokiwał głową.

– Dlatego musimy zniknąć. Bądź dzielny.

Jasiek położył się na łóżku i wtedy znowu jego ciałem wstrząsnął niczym niepohamowany szloch.

Tarasewicz nie miał czasu do stracenia.

– Nie rycz! Skup się, do cholery! – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Zbiegł na dół i wsiadł w samochód.

Ostatni raz spojrzął na swój dom. Wahał się, ale krótko.

Świat rozmazywał mu się, gdy jechał w stronę domu Jaworskiej. Nie mógł pozwolić sobie na chwilę słabości. Nie teraz. Miał tam jeszcze sporo do zrobienia.

Dla drugiego, młodszego syna, z którym nie tylko nie zdąży się pożegnać, ale którego już pewnie nigdy więcej nie zobaczy.

dzień jedenasty, w nocy

Kiedy wszedł w golfa i ruszył w przeraźliwie zimną noc, kierując się do domu przy Moniuszki, przypomniał sobie niedawną rozmowę z żoną Tarasewicza.

Wpuściła go do środka, chociaż wyglądała na zmęczoną.

– To pani do mnie dzwoniła – powiedział. – Skąd miała pani mój numer?

Uśmiechnęła się w wymuszony sposób.

– To Chełmża. Znam numery do osób, które nigdy mi ich nie przekazywały. Nie do wszystkich dzwoniłam, ale może kiedyś mi się przydadzą – powiedziała.

Gross popatrzył na szczupłą blondynkę. Przeszła do salonu, co Gross uznał za zaproszenie i poszedł za nią.

W mieszkaniu jeszcze unosił się zapach farby, ale wszystkie pozostałości po wykańczaniu wnętrza, które widział tu niedawno, zniknęły.

Wskazała mu miejsce na skórzanej głębokiej sofie.

– Kawy? – zaproponowała kobieta ubrana w obcisłe legginsy i luźną bluzkę, która odkrywała jedno z jej ramion.

Odmówił.

– Niech pani usiądzie. Chyba chciałaby mi pani coś wyjaśnić.

Odwróciła wzrok i przeszła w stronę fotela.

W wyciszonym telewizorze półnaga piosenkarka wykrzywiła gibkie ciało w błyskach kolorowych świateł.

– Nie znałam mojego teścia – stwierdziła, zakładając nogę na nogę i chowając między udami złożone dłonie. – Nie osobiście.

– Skąd wiedziała pani, że wrócił?

– Dzień przed tym, jak odnaleźliście ciało mężczyzny w łódce, położyłam się spać u dziewczynek. Słyszałam, jak w pokoju obok mój mąż się wierci. Kiedy wreszcie usnął, młodsza córka przebudziła się i zaczęła płakać. Śnił jej się jakiś koszmar. Utuliłam ją i zasnęłam w jej łóżku, ale sen miałam płytki. Zbudził mnie czyjś szept. Wysłałam po cichu z pokoju dzieci i wtedy zrozumiałam, że mąż rozmawiał przez telefon.

– Wiedziała pani, z kim?

– Nie, wtedy jeszcze nie. Ale usłyszałam coś, co nie pozwoliło mi już zasnąć.

– Co takiego?

– „Ojciec wrócił”. To były słowa mojego męża.

– Powiedział coś jeszcze?

– Coś, czego nie rozumiałam.

– Co takiego?

– „Nie chodzi o mnie”, stwierdził.

– Nie chodzi o mnie? – powtórzył Gross. – Jak pani to odebrała?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, co miał na myśli.

– Dodał coś jeszcze?

– Tak. „Pamiętam o ranie”. To były jego ostatnie słowa. Chwilę potem usłyszałam, jak odkłada aparat. Po chwili zaskrzypiało łóżko.

Gross poczuł ukłucie w klatce piersiowej.

– Poszła pani do męża?

– Nie, zostałam u dziewczynek, ale do rana nie mogłam już zasnąć.

Gross chyba przyglądał się jej zbyt długo, bo odwróciła wzrok.

– Do kogo dzwonił mąż? Sprawdziła to pani.

- Tak. Spisałam numer, bo nie było go w spisie kontaktów. Musiał wybrać go z pamięci.
 - Czyj to numer?
 - Nie wiem.
 - Ale na pewno zadzwoniła pani do tej osoby, prawda?
 - Tak.
 - No i?
 - Odebrał mężczyzna.
 - Przedstawił się?
 - Nie.
 - A czy ktoś pojawił się potem u was?
 - Oprócz pana nie było nikogo – odparła.
 - A telefony? Może ktoś dzwonił do pani męża albo on ukrywał się z telefonem?
 - Tym razem to tamten mężczyzna do niego zadzwonił.
 - Kiedy?
 - Kilka dni później.
 - Słyszała pani rozmowę?
 - Nie, to było w pracy. Dowiedziałam się o tym dopiero wieczorem, kiedy mąż poszedł spać.
 - Wymieniał z kimś esemesy?
 - Nie, to znaczy nie wysłał żadnej wiadomości do tego mężczyzny, ani on do męża.
 - Co było dalej?
 - Tego dnia, kiedy odkrył pan ciało na jeziorze, byłam z córeczkami na spacerze. Widziałam policyjną akcję. Potem zdobyłam numer do pana i zadzwoniłam.
 - Dlaczego nie chciała mi pani powiedzieć tego wprost?
 - Kiedy poznałam Janka i kiedy opowiedział mi historię zaginięcia rodziców, nie mogłam w nią uwierzyć. Przez dwa pierwsze lata próbowałam nagłaśniać tę sprawę w mediach, założyłam fanpage na Facebooku, przypominałam o tym zaginięciu przy okazji rocznic, ale też innych okoliczności, daty ślubu jego rodziców.
 - Jak reagował pani mąż?
 - To mnie właśnie zastanowiło. Nie wtrącał się, nie wspierał. Twierdził, że rodzice go zostawili celowo. Nie rozumiał tego, ale też była w nim jakaś głęboka niezabliźniona rana. Tak wtedy sądziłam.
 - A teraz?
 - Od czasu tej jego nocnej rozmowy zmieniłam zdanie.
- Gross spojrzął na ścianę, na której zawieszono pięć kolorowych fotosów. Część z nich zwróciła jego uwagę. Na dwóch zdjęciach były rozweselone córeczki, obejmujące się na tle wielkiego słonia z uniesioną trąbą. Każde przedstawiało nieco inne ujęcie. Raz dziewczynki patrzyły się w aparat, a raz na siebie. Na kolejnym zdjęciu policjant dostrzegł Sławomira i Grażynę Tarasewiczów. Pośrodku siedział Janek, który wyglądał na świeżo upieczonego licealistę. Nosił długie włosy i Gross był zaskoczony jego podobieństwem do matki. Cała trójka uśmiechała się radośnie i nic nie zapowiadało takiego obrotu spraw, zaginięcia rodziców i późniejszej trudnej samotności ich syna.
- Co działo się w nocy z piątku na sobotę? – spytał.
 - Przecież już pan to wie – odparła. Wstała i przeszła do aneksu kuchennego. Włączyła ekspres do kawy, który obudził się z elektrycznym zgrzytem.
- Gross podniósł się i stanął na jasnych płytkach wyznaczających kuchenną przestrzeń. Usłyszał odgłos mielenia kawy, a potem ciemnobrązowy płyn zaczął lecieć ciurkiem do niewielkiej szklanki.
- Pan też się napije?
- Ponownie odmówił i raz jeszcze wrócił do swojego poprzedniego pytania.
- Zostałam tu z dziewczynkami, a mąż pojechał do domu na Moniuszki pakować rzeczy.
 - Dlaczego tu pani została?
 - Nasze małżeństwo dobiegło końca. Mąż zostawił mi dom przy Moniuszki, miał go odremontować, a sam zamieszka tutaj.

– Przykro mi.
– Niepotrzebnie. To się zdarza. Nie układało nam się już od dłuższego czasu.
Gross skrzyżował ręce na klatce i oparł się o filar.

– Co pani robiła tu tamtej nocy?

Tarasewiczowa sięgnęła po espresso i zanurzyła w nim usta.

– Położyłam dziewczynki spać, pogasiłam światła.

– Ale nie zasnęła pani.

– Nie. Tego dnia rano mąż pojechał do hurtowni, ale przez przypadek zostawił telefon.

– I?

– W nocy wysłał esemes pod tamten numer. Napisał: „Będzie w nocy na łódce. Tyle wiem”.

– To dlatego kupiła pani córce lunetę? – spytał, przypominając sobie karton, który pomógł wynieść stąd sprzedawcy mieszkań.

– Tak.

– I co pani wtedy przez nią zobaczyła?

– Jak mąż szarpie się ze swoim ojcem, który upada. A potem mąż odszedł.

– Jest pani pewna, że to był Jan Tarasewicz?

– Zeznam to, jeśli trzeba. – Upiła ostatni łyk kawy i spojrzała na komisarza hardo.

Gross pamiętał tę rozmowę, ale przeczuwał, że nie wszystko, co powiedziała żona Tarasewicza, było prawdą.

Teraz zaparkował pod pustym domem przy Moniuszki. Wyciągnął z bagażnika spakowany wcześniej kilof i rękawiczki. Przerzucił narzędzie przez płot, a potem sam przez niego przeszedł.

Coś się działo, był tego pewien. I miał swoją teorię.

Kiedy w sierpniu pijaczek Sergiusz Jaskóła zobaczył Sławomira i Grażynę Tarasewiczów jadących razem w mercedesie, nie kłamał. Problem tylko w tym, że nie powiedział wszystkiego. Pod rażące światło wschodzącego słońca nie mógł ich zobaczyć. Dostrzegł ich dopiero, gdy z głównej drogi skręcali w Wyszyńskiego.

Wracali do domu.

Gross sądził, że jechali prosto z domu Jaworskiej. Być może z jej ciałem.

Nagły remont domu realizowany przez samego młodego Tarasewicza, tuż po tym, jak jego ojciec wrócił do Chełmży, wydał się Grossowi podejrzany.

Komisarz obszedł dom z kilofem w ręku i odłożył go na tyłach. W drzwiach balkonowych dostrzegł prowizoryczny zamek. Sięgnął do kieszeni po wytrych i spróbował zabawić się jak za dawnych lat. Ostatni raz ćwiczył to dawno temu na akcji w Toruniu. Wtedy mu się udało, a teraz z zimna i ze stresu drżały mu ręce. Próbował się skupić, ale zupełnie mu nie szło, nie wyczuwał zapadek zamka, dodatkowo krew pulsowała mu głośno w uszach.

Nagle w jego kieszeni głośnym dzwonkiem odezwała się komórka.

Grossowi wytrych wypadł z rąk i z brzękiem wylądował na klinkierowym kaflu.

– Co tam? – spytał policyjnego obserwatora. – Jesteście już w Toruniu?

– Nie. Okazało się, że zatrzymał się w swojej hurtowni.

– Co zrobił?

– Nie widziałem wiele. Spakował coś do bagażnika samochodu.

– A teraz gdzie jest?

– Wydaje mi się, że jedzie na osiedle Maja.

Gross przeklął w duchu. Pomylił się. Gdzieś w całym myśleniu zrobił błąd.

– Wiem, dokąd. Przejmę go za chwilę.

– Dobra, to odpuszczam. Ustawię się gdzieś na osiedlu. Gdyby co, będę w pobliżu.

– Dziękuję.

Gross zabrał kłamoty i wrócił do samochodu. Tym razem przejście przez płot okazało się trudniejsze. Przerzucenie kilofa na chodnik nie wchodziło w grę. Ostatecznie zostawił go pod drzewem i zły na siebie, zatrzasnął się w samochodzie.

Silnik zawył, a koła zabuksowały na zlodowiałej jezdni. Przyczepność odzyskały dopiero kilka metrów dalej.

*

Zostawił samochód przy wjeździe na stadion Legii i dalej ruszył piechotą.

Miał może dwieście, może trzysta metrów do domu Jaworskiej. Zbliżał się do niego, ale nie szedł jezdnią. Wybrał drogę wzdłuż płotów pobliskich domów. Chciał jak najdłużej pozostać niezauważony. Szedł wolno w głębokim śniegu, próbował wysoko unosić buty, często się zapadał w nierównym podłożu. Kiedy dotarł do skrzyżowania, przy którym stał stary dom Jaworskiej, zobaczył, że wokół jest cicho i spokojnie.

Żadnego samochodu.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do policjanta.

– Masz coś?

– Nie – odpowiedział mężczyzna.

– Żadnego ruchu, żadnego samochodu?

– Nic. Cicho i pusto.

– Gdzie stoisz?

– Sobieskiego, róg Traugutta.

– Dobra. Czekał i daj znać, gdyby cokolwiek wzbudziło twój niepokój. – Gross chciał już odłożyć telefon.

– Poczekaj! Widzę go! Jedźcie w moją stronę.

Gross wstrzymał oddech.

– No i? Co jest? Mów! – warknął.

– O kurwa! Wyruchał nas. To nie jest Tarasewicz.

– Co?!

– To nie on.

Gross intensywnie myślał, co to wszystko znaczy.

– Jedź za nim, ale tak, by się zorientował, że go śledzisz, jasne?

– Dobra, robi się!

Gross w pośpiechu wrócił do samochodu. Był cały mokry, a zimny wiatr owiewał mu plecy. Serce biło mocno. Dał się zrobić jak dziecko.

Przeciął uśpione centrum miasta i znacznie przekraczając prędkość, zjechał z górki w Sikorskiego. Zarzuciło samochodem, ale zdążył skontrolować i nie wypaść z jezdni. Pognał dalej prosto. Wóz podskoczył na nierównym przejeździe kolejowym. Dojechał ulicą Wyszyńskiego do Moniuszki i ponownie zaparkował pod domem Jana Tarasewicza.

Spostrzegł, że pod drzewem nie ma już kilofa.

Tarasewicz był tu cały czas i widział go.

Zadzwonił do dyżurnego po wsparcie.

Chwilę później Gross poczuł ból rozchodzący się falą z klatki piersiowej. Pociemniało mu przed oczami i oparł się o płot. Kiedy głuchą noc przecięły policyjne syreny, zadzwonił domofonem i czekał. Trzymał przycisk długo, aż w końcu na piętrze zaświeciło się światło.

Młody Tarasewicz w T-shircie i białych bokserkach uchylił drzwi. Wyglądał na zaspanego, ale Gross sądził, że tylko udawał.

– Musimy pogadać – stwierdził Gross, chociaż ból jeszcze nie minął.

– Co? O tej porze? – spytał młody mężczyzna.

Syreny stawały się wyraźniejsze.

– Nie traćmy czasu.

– Nie wiem, o czym pan mówi – stwierdził Tarasewicz, gdy radiowóz, błyskając światłami, zajechał pod jego dom. Kilkaset metrów wcześniej wyłączyli syrenę.
– Wie pan doskonale.
Tarasewicz przymknął drzwi i wycofał się do domu. Po chwili wpuszcili policjantów do środka. Aspirant Stefański zrównał się z Grossem.
– Co za noc. Najpierw pożar, teraz to? – rzucił szef patrolu, kiedy zrównał się z Grossem.
– Jaki pożar? Gdzie?
– Na osiedlu Maja – odpowiedział. – Dyżurny miał panu powiedzieć. Nie powiedział?
Gross zaprzeczył.
– Płonie chałupa Jaworskiej. Strażacy wyjechali ciut przed nami. Podobno ogień jak pochodnia.

*

Rozmowa z Tarasewiczem nic nie wniosła. Wyzwał ich za nocne najście, nie chciał powiedzieć, komu pożyczył samochód, i za każdym razem, kiedy Gross chciał się rozejrzeć po domu, pytał o nakaz prokuratora.

– Wypierdalać – rzucił na koniec.

Gross przegrał tę walkę i świadomość klęski odbierała mu siły. Kiedy usiadł w golfie, poczuł się wyczerpany, ale wciąż analizował wnioski i starał się znaleźć w nich błędy, wyłomy w swojej teorii.

Robił to w drodze na osiedle Maja.

Tłum osób zebrał się wokół domu, z którego buchały płomienie toczące walkę z porywistym wiatrem. Kłęby czarnego dymu gnały na północ.

Zostawił samochód na jałowym biegu i wpatrywał się w akcję gaśniczą.

Przedarł się przez tłum i pogadał chwilę z głównodowodzącym strażakiem, powiedział mu, że zaczeka, aż ugaszą płomienie, a potem rozejrzy się w domu.

Wrócił do golfa i rozłożył fotel. Wyprostował nogi i wsunął buty pod pedały.

Strażacy toczyli walkę z ogniem liżącym elewację, który wydostawał się ze wszystkich pękniętych okien. A Gross walczył z nachodzącym snem. Kiedy szyby zaszły parą i słup ognia malał, Gross poddał się i zasnął wykończony.

*

Obudziło go pukanie w szybę.

Rozejrzał się zupełnie zdezorientowany. Nie wiedział, gdzie jest i dlaczego silnik golfa wciąż pracuje. We wnętrzu wozu było zbyt ciepło, po karku spływał pot. Gardło miał wyschnięte na wiór.

Ponownie ktoś zapukał w szybę.

Gross podniósł oparcie fotela i zgiął odrętwiałe nogi. Uchylił drzwi, wpuszczając do środka mroźne, świeże powietrze, które owiało mu twarz.

– Panie komisarzu, skończyliśmy – rzekł strażak, którego Gross nie znał.

Komisarz podziękował i spytał, czy przyjechali już technicy kryminalistyki.

– Jeszcze nie. Ale wasi zabezpieczyli teren.

– Zaraz przyjdę – powiedział.

Potrzebował chwili, by się dobudzić. Posiedział kilka minut w samochodzie, przeczesał ręką włosy, przetarł oczy.

Zanim wysiadł, zapiął kurtkę pod samą szyję.

Minęło kilka godzin, rozpoczął się poranny ruch. Ludzie, którzy przyglądali się pożarowi, musieli dawno zniknąć.

Odjechał ostatni strażacki wóz. Kierowca podniósł rękę na pożegnanie, Gross zrobił to samo. Zbliżył się do pogorzelniska i pogadał z patrolem policyjnym oddelegowanym do zabezpieczenia domu do czasu przyjazdu techników.

– Wiemy już cokolwiek? – spytał.

– Jak dotąd nic. Rozpytanie dopiero się zacznie.

– Zupełnie nic?

Mężczyzna w czarnym mundurze wzruszył ramionami.

Gross sięgnął po telefon i zadzwonił do policjanta, który przez noc jeździł za samochodem Tarasewicza.

– Kto kierował? – spytał go, bez zbędnych wstępów.

– A, to ty – odezwał się zaspamym głosem funkcjonariusz. – Dałem znak drogówce, żeby go zdjęli.

– No i?

– Papiery miał w porządku.

– W dupie mam papiery. Kto to był, pytałem.

– To jeden z naszych. Były glina.

Gross rozłączył się i niemal natychmiast przypomniał sobie to, co niedawno powiedział mu Emil Kowalski, który odkrył włamanie do domu. Twierdził, że pies szczekał w stronę okna, chociaż nikogo w piwnicy już nie było. A psy się nie mylą.

Dał znać dyżurnemu, by skontaktował się z policją w Toruniu. Chodziło o zatrzymanie Wegnera. Po czym sam wybrał numer byłego policjanta z Chełmży. Trzymał słuchawkę przy uchu, ale automat głosowy poinformował go, że abonent jest poza zasięgiem.

Kiedy chował telefon do kieszeni, usłyszał nadjeżdżający samochód. Obejrzał się i dostrzegł srebrną kijankę Mariana Chęcińskiego.

Technik zaparkował wóz obok Grossa i wysiadł. Uścisnęli sobie ręce. Jarek Bloch wydostał się z samochodu kilka minut później. Otarł zaspane oczy i sięgnął po papierosa.

Dopiero potem podszedł do Grossa i Chęcińskiego.

– Tym razem ostro narozrabiałeś, Bernard – zażartował, wskazując kciukiem za plecy, na spalony dom.

Roześmiał się tylko Chęciński. Gross popatrzył na techników, a potem przypomniał sobie jeden detal z nowego mieszkania Tarasewicza.

– Trzeba odnaleźć zwłoki. – Usłyszał swój głos.

*

Kwadrans później, kiedy zjadł hot doga i wypił herbatę na Orlenie, zaparkował pod domem Remka Ekierskiego. Zadzwonił domofonem i czekał. Słuchawkę podniosła jego zaspana matka. Komisarz przedstawił się.

– Jest wcześniej. Stało się coś? – spytała zaskoczona.

– Niech pani zejdzie. Nie zajmę dużo czasu.

Minęła wieczność. Gross siedział w tym czasie w golfie i obserwował budzącą się do życia Chełmżę. Kilka osób zdążyło wybrać się po bułki i wrócić, inny wyjechali do pracy. Widział w twarzach tych ludzi zmęczenie i pragnienie snu. Kiedy spojrział w lusterko wsteczne, w swojej twarzy zobaczył dokładnie to samo.

W końcu drzwi klatki otworzyły się, wyszła z niej grubokoścista, wysoka kobieta ubrana w dresy i polar. Podbiegła w klapkach do jego samochodu i usiadła na fotelu pasażera.

- Remek jeszcze śpi – zaznaczyła.
- To dobrze, bo chciałem porozmawiać z panią, a nie z nim – rzekł Gross.
- Ze mną?

Gross nabrał powietrza i wypuścił je nosem.

- Pani mąż nie jest ojcem Remka, prawda? – spytał.

Kobieta skrzyżowała ręce pod biustem, a potem znieruchomiała. Patrzyła przez przednią szybę.

– W pierwszej chwili sądziłem, że rzeczywiście chodziło o Antka Bruździńskiego, kolegę Remka, który utopił się w jeziorze. Tymczasem wszystko to, co powiedział Remek, było kłamstwem.

- Zapewniam, że mój syn...

Gross podniósł rękę, żeby jej przerwać.

- Jest prawie dorosły, będzie musiał z tym żyć, że wykorzystał kolegę.

- Wykorzystał kolegę?

– Obiecał Antkowi pieniądze za to, że pójdzie zamiast niego na nocne spotkanie w łódce ze Sławomirem Tarasewiczem.

Drgnęła.

– Miał od niego odebrać pewien klucz – kontynuował Gross. – I wtedy coś tam się wydarzyło, coś, czego jeszcze nie wiem. Na razie zrozumiałem, że to Remek jest właśnie nieślubnym dzieckiem Sławomira Tarasewicza, a nie Antoni Bruździński, prawda?

– To już historia – zapewniła. – Mój mąż od początku o wszystkim wiedział, byłam w ciąży, kiedy się poznaliśmy. A Remek poznał prawdę przed paroma miesiącami. Sławek wysłał do niego list. Zanim zdążyliśmy zareagować, było już po wszystkim.

- Co w nim napisał?

- Nie czytałam tego listu, a Remek twierdzi, że go spalił.

Przez jakiś czas siedzieli w ciszy, wyławiając z niej szum samochodów przejeżdżających osiedlową drogą.

- Co pan z tym zrobi? – spytała matka nastolatka. – Co mu grozi?

Komisarz nabrał powietrza.

– Nic. Remkowi zabrakło odwagi, by w decydującej chwili spotkać się z ojcem, ale to jeszcze żaden grzech.

- A śmierć Antoniego?

– Nie ma innego wytłumaczenia niż tragiczny wypadek. – Gross przemilczał fakt, że nastolatek nie był sam na sam ze Sławomirem Tarasewiczem.

Przesiedzieli dłuższy czas bez odzywiania się.

- Pójdę już – szepnęła kobieta, chwytając za klamkę w drzwiach.

- Jeszcze tylko jedno pytanie – poprosił Gross. – Czy Jan Tarasewicz wiedział, że ma brata?

Kobieta spuściła wzrok.

- Nie. Sławek nigdy nikomu o tym nie powiedział.

– Odezwał się do Remka. Równie dobrze mógł zapowiedzieć swój przyjazd Janowi Tarasewiczowi i poinformować go o wszystkim.

- Na tyle, na ile znałam Sławka, nie zrobiłby tego.

- Tarasewicz cierpiał na raka. Wrócił, by spotkać się z Remkiem i przekazać mu pieniądze.

- O czym pan mówi? – spytała zdziwiona.

– O odłożonych pieniądzech, których nie zdążył przekazać dawno temu przed nagłym zniknięciem – Gross spojrzał kobiecie w twarz. – Niech pani porozmawia z synem.

*

Kiedy Ekierska schowała się w bloku, Gross zadzwonił do Tarasewiczowej. W trakcie

rozmowy z matką Remka przypomniał sobie coś ważnego.

– Jest pani pewna, że wtedy w nocy, dzięki lunecie, widziała pani swojego męża? – spytał, gdy odebrała telefon.

– Mówiłam już.

– Pamięta pani szczegóły tego, co się wtedy zdarzyło?

– Tak.

– Niech mi pani powie, co stało się z chłopakiem, który był wtedy na jeziorze.

– Straciłam go z oczu, interesował mnie jedynie mój mąż i jego ojciec.

– Widziała ich pani wyraźnie?

– Mogę zeznawać w tej sprawie – powtórzyła tę samą kwestię, którą wypowiedziała w mieszkaniu na Sądowej.

– Akurat przed tym bym panią przestrzegiał.

– Nie rozumiem – Tarasewiczowa zdziwiła się.

– Obawiam się, że nie zna pani treści artykułu dwieście dwadzieścia dwa Kodeksu karnego.

– Słucham? O czym pan mówi? – jęknęła.

– Chodzi o karę za składanie fałszywych zeznań.

– A co to ma do rzeczy? – spytała zbulwersowana.

– Chodzi o pogodę. O mgłę, która spowiła wszystko w nocy z piątku na sobotę.

Żona Jana Tarasewicza rozłączyła się, ale minutę później telefon Grossa znowu ożył.

– Lepiej do nas przyjeźdź. Znaleźliśmy je – poprosił Chęciński. – Znaleźliśmy zwłoki.

dzień dwunasty, po południu

Gross wybrał się do emeryta, którego odwiedził niedawno. Starszy mężczyzna wpuścił go do środka i zaproponował herbatę. Gross uznał, że wypada ją wypić, poza tym chciał zyskać trochę czasu, kiedy usiądzie na wersalce w pokoju dziennym, przy wtórze tykania trzech zegarów ściennych.

Z kuchni dobiegał gwizdek czajnika, który szybko ucichł. Potem do pokoju wszedł cicho gospodarz, niosąc na tacy dwie filiżanki i cukiernicę oraz miseczkę z kolorowymi landrynkami. Usiadł w fotelu i patrzył na Grossa.

Komisarz wciągnął w nozdrza intensywny zapach earl greya.

– Pana wizyta ma związek z tym, co dawno temu powiedział mój syn, czy tak? – spytał Anatol Jaskóła, prostując dłonią kremową koszulę z wysokiej jakości bawełny. Srebrne spinki błyszcząły przy mankietach.

– Tak – odparł Gross.

– Chodzi o te jego kłamstwa? – Mężczyzna sięgnął po filiżankę i upił niewielki łyk gorącego napoju.

Gross zaprzeczył.

– Chciałem pana zapewnić – zaczął policjant – że Sergiusz mówił prawdę.

Dystyngowany gospodarz poprawił się w fotelu i wyraźnie zainteresował.

– Co pan ma na myśli?

Dziś rano komisarz Gross, przeglądając zdjęcia z drugiej wojny światowej w poszukiwaniu fotografii niemieckiego motocykla, który kończył malować, zrozumiał, na czym polegała pomyłka syna Jaskóły. Przypomnił sobie o zdjęciu Jana Tarasewicza z rodzicami, które wisiało w mieszkaniu przy Sądowej.

– Twierdził pan, że nie da się zobaczyć kierowcy i pasażera samochodu, wówczas, kiedy słońce oślepia obserwatora. Ja też to kiedyś sprawdziłem i wiem, że ma pan rację – wolno mówił Jaskóła.

– Bo to prawda.

– Zatem w jaki sposób...

– Jest tylko jedno wytłumaczenie – przerwał mu Gross. – Sławomir Tarasewicz zamiast jechać Bydgoską prosto, skręcił w lewo, w Wyszyńskiego.

Starszy mężczyzna pokiwał ze zrozumieniem głową

– Owszem, światło oślepiało pana syna nadal, ale właśnie wtedy mógł zobaczyć, kto siedzi za kierownicą, a kto na fotelu pasażera.

– Sławomir i Grażyna Tarasewiczowie – dopowiedział.

– Tak sądził pana syn.

– Czyli, że jednak kłamał? – Zdezorientowany emeryt zaniepokoił się.

– Nie. Po prostu się pomylił. Każdy z nas mógłby się w takiej sytuacji pomylić. Obok na fotelu siedział Jan Tarasewicz.

– Skąd pan to wie?

– Syn Sławomira Tarasewicza nosił długie włosy i był kropla w kroplę podobny do matki.

– Jezus Maria – wyszeptał starszy mężczyzna.

Ciszę przerwały głębokie i długie bicia dzwonków zegarów na pełną godzinę.

Gospodarz przeczekał, aż wybrzmiał ostatni niski dźwięk.

– Jest pan tego pewien? – spytał.

– Tak, jestem tego pewien. – Gross wstał i podziękował za herbatę. Skierował się wąskim korytarzem do drzwi. Mężczyzna poszedł za nim.

– Moja żona byłaby wniebowzięta, gdyby przed śmiercią dowiedziała się tego od pana – stwierdził ze smutkiem Jaskóła.

Gross nie odezwał się. Ucisnął mężczyźnie dłoń i pożegnał się z nim. Był już na klatce

schodowej, gdy gospodarz zadał ostatnie pytanie.

– A czy to, co przed chwilą mi pan powiedział, ma związek z pożarem domu Elżbiety Jaworskiej i znalezionymi tam zwłokami?

– W jakim sensie?

– Czy to, że w samochodzie siedział syn Tarasewicza, oznacza, że w spalonym domu odnaleźliście zwłoki matki tego biednego chłopca?

Gross stęzał.

– Przykro mi, nie mogę o tym rozmawiać – rzekł. – Tajemnica śledztwa.

– Rozumiem. I jeszcze raz dziękuję. Kamień z serca. – Ukłonił się lekko i zamknął drzwi.

początek marca

W wypastowanych czarnych służbowych butach Grossa odbijało się słońce.

Kilka stopni na plusie i brak wiatru zapowiadały, zdaniem policjanta, rychłe nadejście wiosny. Galaretowaty śnieg topniał i spływał strużkami spod komisariatu w stronę Bulwaru Tysiąclecia.

Gross poprawił czapkę.

– Ładny dzień. – Usłyszał i odwrócił się.

Stał przed nim Emil Kowalski z łaciatym pieskiem, który obwąchiwał płot kościoła Świętego Mikołaja.

– Dzień dobry – rzekł Gross i wyciągnął rękę.

Teść Otremby nie miał już śladu po siniaku pod okiem.

– Grzegorz ma dziś swoje święto, prawda? – rzekł mężczyzna.

– Tak. Zasłużył na to. Posadził za kratki człowieka, który skatował psa.

– Nie wiem, czy zasłużył, czy nie. Wiem, że zmarnował sobie życie. Sobie i mojej córce. Ale oni, dorośli, to jakoś tam sobie poradzą, tylko tych wnuczek moich mi żal. Te biedne dziewczynki niczemu nie są winne. Przez to wszystko, psiakrew, mam z nimi coraz trudniejszy kontakt.

Gross chciał powiedzieć, że żona Otremby dość szybko znalazła sobie nowego, bogatszego, jak się zdawało, partnera, i pospieszyła się z wypisywaniem papierów rozwodowych. Jednak nie zamierzał się wtrącać.

– Mimo wszystko, niech go pan pozdrowi – rzucił Kowalski i pociągnął za smycz. Pies spojrzał na swojego pana i z niechęcią oddalił się od płotu, oblizując pysk.

– Zaraz wyjdzie.

– Nie, nie będę mu głowy zawracał – rzekł mężczyzna i odszedł kilka kroków w stronę jeziora.

– Byłoby mu miło. Od wielu dni chodzi skwaszony.

– A niby wesoły ma być? Sam jest sobie winien – odpowiedział Kowalski.

Gross patrzył na odchodzącego starszego człowieka z psem.

– A ten siniak? – spytał go Gross.

Kowalski zatrzymał się i wrócił do komisarza.

– Przecież wycofałem zarzuty wobec pana – powiedział.

Patrzyli sobie jakiś czas w oczy, Gross wytrzymał tę próbę i nagle coś zrozumiał.

– To nie było tak, prawda? – spytał komisarz.

– Jak?

– Że najpierw dowiedział się pan o Otrembie.

– Słucham? – skrzywił się Kowalski. – Co pan bredzi?

– Najpierw dowiedział się pan o córce, że to ona zdradza Grzegorza.

Radnemu powiększyły się oczy.

– Jak pan śmie? Co pan za bzdury opowiada? – szepnął nerwowo.

Gross wsunął ręce w kieszenie spodni. Mundur go uwierał, czoło pod otokiem czapki zrosił pot.

– Po rozmowie ze mną, kiedy nie udało się panu niczego załatwić, poszedł pan do nowego faceta swojej córki.

– Śledził mnie pan? – syknął Kowalski.

Gross zaprzeczył.

– Tyle że on się nie patyczkował.

Złość wykrzywiła Kowalskiemu usta.

– To dlatego ma pan utrudniony kontakt z wnuczkami, bo ten byczek po prostu nie chce pana widzieć. Ale chyba nie to boli najbardziej, prawda?

– Gównu pan wie! – ryknął.

– Tylko to – kontynuował Gross – że byczkowi pozwala na to pana rodzona córka.

– Odwal się pan od niej! Dobrze?

Mężczyzna pociągnął mocno psa, aż ten zaskomlał.

– Grzegorz przecież też ma utrudniony kontakt z córkami – krzyknął w jego kierunku policjant. Gdy znikali za murami kościoła, Kowalski złorzeczył jeszcze pod nosem.

Gross odwrócił się do komisariatu i spojrzął na zegarek.

Powinni już wyjeżdżać.

Wszedł do wnętrza i rozejrzał się na parterze, ale nie dostrzegł Otremby. Spytał o niego dyżurnego.

– Był tu jeszcze przed chwilą. A spięty, a nerwowy! – zaśmiał się oficer. – Jakby pierwsze odznaczenie odbierał.

Wtedy Gross dostrzegł na schodach Skalkę.

– Gdzie Otremba? – spytał.

– Zszedł długo przede mną, bo gadałam przez telefon z Katowicami – odparła zaskoczona. – Myślałam, że czekacie w samochodzie?

– Grzegorz! – krzyknął Gross.

Zajrzał do Jojczyk, która siedziała z dwoma policjantami ze swojego pionu.

– Otremby szukam – rzucił.

– Nie było go tu – odparła, odwracając się do niego.

Gross zamknął drzwi.

– Może poszedł na papierosa? – spytała Skalka.

– Przecież nie pali.

– Chyba zaczął. Widziałam paczkę na jego biurku wczoraj rano. Schował ją, jak przyszedł.

– Dobra, zerknę na plac, a ty idź już do samochodu. – Podał jej kluczyki do golfa.

Potem otworzył drzwi prowadzące długim korytarzem do wyjścia z drugiej strony budynku, na niewielką przestrzeń otoczoną wysokim ceglany murem. Ale właśnie wtedy zszedł po schodach Otremba.

– No jesteś wreszcie – mruknął Gross. – Chodź, bo się spóźnimy.

– Już, już, jeszcze tylko papieros i jedziemy.

– Nie ma już czasu, Grzegorz. Chodź.

Otremba przekrzywił głowę.

– Szefie, muszę! – Wyciągnął papierosy z kieszeni. – Minuta i jestem.

Gross zrezygnował, w końcu to był dzień Otremby.

W mundurze aspirant prezentował się znakomicie, ale zdradzały go nerwowe ruchy, niespokojne oczy i zaciśnięte usta.

– W takim razie masz minutę. – Popatrzył, jak Otremba idzie korytarzem w stronę drzwi, za którymi znajdował się mały dziedziniec.

Szarpnął je i zatrzymał się w progu. Trwało to sekundę, po czym wyszedł na zewnątrz.

Gross obserwował go, a potem zamknął drzwi i skierował się do głównego wyjścia z komisariatu. Zatrzymał się po dwóch krokach. Zastanowiło go to, dlaczego w ostatniej chwili aspirant schował papierosy do tylnej kieszeni spodni. Wrócił do korytarza, w którym było ciemno.

– Grzegorz? – rzucił, a jego słowa odbiły się echem w tej podłużnej przestrzeni.

Drzwi za Otrembą się zamknęły.

Gross szedł jego śladem, a w końcu zaczął biec. Dopadł do drzwi i szarpnął je. To, co zobaczył, sparaliżowało go.

– Przepróż je – stwierdził Otremba. – I powiedz, że kochałem je najbardziej na świecie.

Stał na baczność, w prawej dłoni trzymał pistolet.

Zanim Gross zdążył krzyknąć i ruszyć w jego stronę, Otremba przystawił broń do skroni.

Ptaki ze Starówki zerwały się do lotu, a łopot ich skrzydeł zagłuszył echo wystrzału.

połowa lipca

Wiatr porwał foliową torebkę, nadmuchał ją jak balon, po czym cisnął w stronę pomarszczonej tafli jeziora.

Gross spojrział w górę, w kłębowisko ciemnoszarych i czarnych chmur, które przygnał tu północno-zachodni, silny prąd. Kotłowały się jak na przyspieszonym filmie. W Toruniu, skąd niedawno przyjechał, burza przeszła obok. Zmianę aury zwiastowało dziś wszystko. Popołudnie było jeszcze słoneczne, ale parne. Powietrze stało się gęste i lepkie. W mieszkaniu, mimo otwartych okien, nie dało się wysiedzieć. Nagrzany, źle izolowany dach, oddawał ciepło przez sufit. Poza tym, od kiedy Gross miał w domu nowego lokatora, szukał pretekstu, by wyjść. Przestał sklejać kolejny model, chociaż festiwal modelarski zbliżał się do Chełmży wielkimi krokami. W tej sprawie dzwonił do niego Marek Wantowski, który prosił Grossa, żeby przejął latem część zajęć w modelarni, kiedy ten wybierze się na urlop z rodziną. Komisarz zgodził się, była to kolejna okazja do pobytu poza domem. Wychodził więc na dwór, czasami spotykał się z Malwiną Lemańską, szli na dłuższy spacer, rozmawiając o sprawach ważnych lub błahych, a czasami milczeli zgodnie, zadowolając się jedynie swoją obecnością. Kilka razy odwiedził grób Grzegorza Otremby, ale zdarzało się, że nie zbliżył się nawet do mogiły, bo stała przy niej dziewczyna w czapce bejsbolówce, ze spiętymi frotką czarnymi włosami. Koński ogon zwisał na jej plecach. Czekał wtedy, aż Skalka odejdzie. Czasami mijali się po drodze i wtedy w jej mokrych, przekrwionych oczach dostrzegał nieukojonny żal, a być może także ciężar winy.

– Było mi z nim tak cholernie dobrze – powiedziała kiedyś do Grossa, gdy spotkali się w bramie cmentarza.

Policjant popatrzył na nią.

– To nie twoja wina – westchnął.

– Nie moja? – prychnęła Skalka. – A niby czyja, co?

– Sądzę, że...

– Gówno tam wiesz! – Policjantka odeszła szybkim krokiem.

Nigdy więcej nie próbowali rozmawiać o tym, co się stało na dziedzińcu komisariatu.

Teraz Gross spojrział w miejsce, gdzie kilka miesięcy temu na zamarzniętym jeziorze tkwiła łódka, i przypomniał sobie wydarzenia z lutego. To, jak wszedł do spalonego domu Elżbiety Jaworskiej i jak Marian Chęciński pokazał mu ukryte zmumifikowane zwłoki.

Zrozumiał, dlaczego tak wiele moli kręciło się w kaletniczym warsztacie jej ojca i dlaczego unosił się w nim intensywny mdły smród starych skór.

dziesięć lat temu

Kiedy Tarasewicz zostawił za sobą Chełmżę i jechał bocznymi drogami w stronę Gdańska, słońce go oślepiało, wpadając przez boczną szybę. Widział przed sobą czarne kształty drzew, samochodów i ludzi.

Jeszcze w domu Elżbiety, kiedy wrócił tam wszystko porządkować, zrozumiał, że to nie było tak.

Bo kiedy chował zimne ciało Jaworskiej, ta pod zapinaną na guziki sukienką nie miała bielizny. Jego uwagę przykuły świeże i długie ślady zadrapań oraz czerwone pręgi. Guzik pod szyją był krzywo zapięty, a tych na dole w ogóle nie było. W ich miejscach strzępiły się nici. Z kolei na szyi dostrzegł wyraźne sine ślady.

Zesztywniały ze stresu, zatrzymał się w mniejszym mieście przy budce z telefonem.

Nerwowo wyszarpnął kartę telefoniczną z portfela. Podeszedł do aparatu i zaczął wybierać numer do domu.

Nie wbił jednak ostatniej cyfry.

Odwiesił słuchawkę i oparł się czołem o aparat.

– Boże mój! Synu, coś ty zrobił!

Tuż po tym, jak się opanował, zadzwonił pod inny chełmżyński numer.

– Słuchaj... – zaczął wolno, kiedy odebrała kobieta. – Musiałem wyjechać na jakiś czas.

– I co z tego?

– To się przedłuży, ale nie bój się. Nie zostawię Remka.

– Zbliża się termin, wiesz o tym.

– Wiem. Będę płacił, ale nie mów, że do ciebie dzwoniłem. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy.

W słuchawce zapadła głucha cisza.

– Sławek? – Zaniepokoiła się. – Stało się coś?

Sławomir chciał jej odpowiedzieć, ale zdołał tylko odwiesić słuchawkę na widełki.

Odszedł w stronę parkingu i wsiadł do samochodu. Z każdą sekundą oddalał się od tej małej miejscowości, aż w końcu mercedes zniknął za zakrętem gęsto porośniętym wielkimi drzewami.

połowa lipca

Grossa przeraził nagły błysk na niebie, który rozciął nabrzmiałe atramentowe chmury. Niebieskie, łamane linie błyskawicy odbiły się w wodzie, a dosłownie chwilę później rozległ się potężny ryk pękającego nieba.

Wiatr znowu chłostał korony drzew i prześlizgiwał się przez nie, zrzucając na ziemię suche konary i gałęzie. Kilka z nich wylądowało obok zamyślonego Grossa.

Przypomniawszy sobie ostatnie spotkanie z Janem Tarasewiczem, kiedy w lutym odkrył tajemnicę domu Jaworskiej.

– Więc jak to było? – spytał Gross, poirytowany przedłużającym się milczeniem młodego mężczyzny.

Policjant spoglądał w tym czasie przez okna wychodzące na zamrożone jezioro, połącz bieli kontrastującą z czerwienią łódki znajdującej się w pobliżu przeciwległej plaży. Szare chmury odpływały na wschód.

Do tej pory młody Tarasewicz nie powiedział wiele, mimo że komisarz zasypywał go pytaniami.

– Jak często mówiono panu, że jest pan podobny do matki? – Gross zmienił taktykę.

– Słucham? – Tarasewicz podniósł głowę.

Gross podszedł do zdjęcia zawieszonoego na ścianie. Ściągnął antyramę z kołka i przypatrzył się fotografii. Nie odzywał się, czekał na odpowiedź.

– Zdarzało się.

– Zdarzało? – Gross przeniósł wzrok na Tarasewicza siedzącego na sofie. Nie opierał się wygodnie o oparcie, siedział spięty z łokciami na kolanach i dłońmi na policzkach.

– O co panu chodzi? Co to ma do rzeczy?

Gross podał mu zdjęcie w chwili, gdy usłyszał brzęczenie swojej komórki. Sięgnął do kieszeni sztruksów po aparat.

Syn.

Odrzucił połączenie, nie mógł z nim teraz rozmawiać.

Tarasewicz zniechęcony odłożył fotografię na stół, jakby nie chciał na nią patrzeć.

– Sytuacja się zmieniała. Mamy nowe dowody w tej sprawie – stwierdził komisarz, ustawivszy się za sofą, tuż za plecami gospodarza.

– Jakie dowody? – Tarasewicz potarł ręce o uda.

– Kłamał pan.

– Słucham?

– Od samego początku pan kłamał. Pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy i kiedy pokazałem panu zdjęcie bezdomnego, nie zrobiło to na panu wrażenia. Sądziłem wówczas, że to rzeczywiście nie jest pana ojciec. Ale pana nie zdziwił jego widok tylko dlatego, że wcześniej się widzieliście.

„Za drugim razem ta tragedia nie robi na tobie już takiego wrażenia”, Gross przypomniał sobie słowa Malwiny Lemańskiej. Sprawdzało się to również w innym wymiarze.

Tarasewicz z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Niech pan wreszcie powie, co ma do powiedzenia, i spieprza stąd, dobrze? Nie mam czasu na te pana gierki. – Gospodarz zdenerwował się.

Gross tym razem stanął przed nim.

– Bezdomny Heniek w tajemnicy powiedział panu, że ojciec wrócił, a pan odwdzieczył mu się konserwami, na których są pana linie papilarne.

– Niech pan stąd idzie – warknął Tarasewicz.

– Dlaczego to pana denerwuje? To są fakty.

Tarasewicz westchnął.

– Dlaczego tak to pan przeżywa? – kontynuował Gross.

– Poinformuję, kogo trzeba, że mnie pan bezpodstawnie nachodzi.

– Skoro nie chce pan rozmawiać o terażniejszości, to cofnijmy się do historii. Czwartego sierpnia, w poniedziałek, wracał pan z ojcem jego mercedesem z domu Elżbiety Jaworskiej.

– Że co? – jęknął Tarasewicz, zaciskając dłonie.

– Doszło tam do tragedii. Ale to pan siedział obok ojca, a nie pana matka.

– O czym pan mówi?

– O tym, że Sergiusz Jaskóła, który widział was, pomylił się. Był przekonany, że na siedzeniu pasażera siedzi pana matka.

– To była ona – przerwał mu Tarasewicz.

Gross wyczuł wibracje telefonu. Krótkie. Esmes.

Sięgnął po aparat, ale nie odczytał wiadomości. Przytrzymał komórkę w dłoni.

– To nie była ona. Wszystkich to zmyliło. Ale to ty siedziałeś w tym samochodzie. Są jeszcze inne dowody, które to potwierdzają. Dowody z miejsca zbrodni – blefował Gross.

– Jakie dowody?

– Co się tam wydarzyło, co? – Gross zignorował jego pytanie. – Dlaczego wróciłeś stamtąd z ojcem? Chciał cię ochronić, prawda? Chciał, żebyś uniknął kary. Dlatego uciekł sam.

– Zniknął razem z matką!

– Wiedziałeś, że wcale tak nie było. Dlatego ciągle mimowolnie mówiłeś o ojcu. Tylko o nim. Wiedziałeś, że matka nie zaginęła. Ojciec wyjechał z Chełmży sam!

– Przestań! – ryknął Tarasewicz.

Gross zbliżył się do niego.

– Wyjechał sam! Odwiózł cię do domu i udzielił instrukcji. Zostawił cię! Potem być może wrócił do domu Jaworskiej, żeby ukryć zwłoki. Poprosił o pomoc Wegnera. Miałeś ułatwione zadanie. Tarasewicz zatkał sobie uszy.

– Ojciec wrócił tam, żeby zacierać ślady twojej zbrodni – rzucił Gross. – Zgwałciłeś, a potem udusiłeś Elżbietę Jaworską.

Tarasewicz milczał przez chwilę. Potem sięgnął po zdjęcie leżące na stole i cisnął nim o ziemię.

– To jego wina! Mojego ojca! To on chciał odejść od matki i pieprzył się z tą dziwką!

Gross czekał na ten moment. Wiedział, że w końcu, po kilku spotkaniach, Tarasewicz pęknie, że pętla, którą założył mu na szyję, zacznie się zaciskać i odbierać tlen. Wtedy będzie chciał się z niej wyzwolić, poluzować więzy, a nawet największym twardzielom pomaga jedynie prawda.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Pojechałem do niej, chciałem tylko się zabawić. Chciałem ją zerznąć, chciałem być mężczyzną, jak kazał mi ojciec.

– Udusiłeś ją.

– Nie wiem – jęknął. – To nie tak miało być. Ona niepotrzebnie się broniła, próbowała walczyć...

– Więc nie zgwałciłeś jej.

– Nie!

– Ale udusiłeś!

– Tak, do kurwy nędzy! – krzyknął. – Udusiłem tę dziwkę!

– I wtedy wezwałeś na pomoc matkę.

Komisarz wsłuchiwał się w szloch mężczyzny.

– Po co ją wezwałeś?

– Żeby jej powiedzieć o ojcu i o tym, że ją zdradzał. Żeby mi pomogła. Obiecała, że będzie mnie chronić. Chciała dla mnie dobrze.

– Co było dalej?

– Przekonała mnie, żebym przywiózł ojca. Mówiła, że ona weźmie winę na siebie. Chciała przekonać go, że to ona zabiła Jaworską.

- Tobie ojciec by nie uwierzył?
- Nie myślałem wtedy logicznie, bałem się, byłem w szoku.
- Przywiozłeś go?
- Tak. Kazał mi odjechać spod domu Jaworskiej i czekać na telefon.
- Zadzwoił?
- Jak już poradzili sobie z ciałem.
- Powiedział ci, co zrobili?
- Nie. Ojciec odwiózł mnie do domu i powiedział, że znikną razem z matką. Że musi jej pomóc, bo inaczej ona trafi do więzienia.
- Uwierzyłeś mu?
- Matka wcześniej też mówiła o tym, że znikną oboje.
- Kontaktował się z tobą później?
- Kilka razy.
- A matka?

Tarasewicz zamilkł.

- Co mówił ci ojciec o matce?
- Znowu szloch wstrząsnął ciałem młodego mężczyzny.
- Nigdy się nie odezwała? – dopytywał Gross, a gospodarz zaprzeczył. – I wtedy zrozumiałeś, że ojciec wyjechał sam, tak?

Pokiwał głową.

- W domu Jaworskiej znaleźliśmy dwa zmumifikowane kobiece ciała – dodał Gross. – Jedno z nich ma złamaną kość gnykową. To uduszona przez ciebie Jaworska. A wiesz, co spotkało twoją matkę?

Tarasewicz gwałtownie zaprzeczył.

- Zabił ją twój ojciec, prawdopodobnie którymś z wiszących w piwnicy młotków szewskich, które wykorzystują kaletnicy. Zemścił się za kochankę, z którą wiązał przyszłość.

Tarasewicz schował twarz w dłonie. Gross był przekonany, że mężczyzna wiedział o wszystkim. Odezwał się dopiero po kilku minutach.

- Jaworska mówiła, że chcieli wyjechać razem, zniknąć stąd na zawsze – stwierdził zrezygowany.

Wystarczyło na dziś. Gross dał znak Skałce, by zaczekała na nich na dole. Komisarz nagle źle się poczuł. Kiedy wyszedł przed blok razem z Tarasewiczem, odprowadziła młodego przedsiębiorcę do policyjnej suki. Tam Gross poinformował go, że został aresztowany, ale niewiele z tego dotarło do mężczyzny. Był oszołomiony przeszłością, która wróciła do niego i przytłoczyła go. Nie oderwał się od niej nawet na moment. Tkwiła w nim, prześladowała go i zmęczyła. Zmusiła do wyznania prawdy.

Samochód odjechał do toruńskiego aresztu, a Gross wszedł do komisariatu i nagle krew odpłynęła z jego twarzy, a żołądek wywrócił się do góry nogami. Wbiegł do toalety niemal w ostatniej chwili.

Kiedy stamtąd wyszedł, cały dygotał, a w ustach, mimo że kilkakrotnie przepłukał je wodą, wciąż miał nieznośny posmak kwasów żołądkowych.

Nie tracąc czasu, wszedł do golfu zaparkowanego przed komisariatem i ruszył śladem radiowozu. Dopiero wtedy zerknął na wyświetlacz telefonu. Wciąż miał nieodczytaną wiadomość esemes.

„Na ciebie ojciec nigdy nie można liczyć jak jesteś potrzebny”.

Odłożył telefon na fotel pasażera i kluczył uliczkami centrum, by wyjechać na drogę do Torunia. Minął radiowóz z Tarasewiczem na trasie do Grzywny i pojechał dalej w kierunku aresztu.

Gross przeszedł przez bramę w grubym murze aresztu i skierował się do biur, a potem wszedł do beczki, jak nazywano wysoki walec z żółtej cegły znajdujący się na toruńskiej Starówce. To tam mieściły się cele z aresztantami. Nie czekał długo na Wegnera. Drzwi celi widzeń, tak zwanej adwokacki, uchyliły się po kilku minutach.

Gross spojrział na gością znad zsuniętych na czubek nosa okularów.

– O co chodzi? – warknął mężczyzna o twarzy mopsa.

– Tarasewicz wreszcie powiedział prawdę – rzekł bez ogródek Gross.

Ochroniarz siedział nieruchomo.

– Teraz czas na pana – zachęcił go policjant.

– Słucham?

– Złagodzenie kary. Wie pan, o czym myślę.

Były gliniarz zwiesił głowę, a potem długo odpowiadał na pytania Grossa. Najbardziej interesowało komisarza to, kiedy dowiedział się o nieoczekiwanym powrocie Sławomira Tarasewicza.

– Kilka dni przedtem, zanim znalazł go pan na jeziorze. Ponieważ nie skontaktował się z Janem, wiedziałem, że wrócił tylko po to, by nawiązać kontakt z młodszym, nieślubnym synem, Remkiem – rzekł Wegner, ściągając okulary i przecierając oczy. – Wystarczyło pochodzić za chłopakiem, by wiedzieć, co stary knuje.

– Skąd pan wiedział, że to jego syn?

– Sławek zadzwonił do mnie tydzień po zaginięciu. Anulował mi długi i pozwolił wykończyć dom materiałami z hurtowni, które przekazywał mi jego syn. Prosił też, żebym przekazał paczkę matce Remka Ekierskiego.

– Wysłał ją panu?

– Tak.

– Co w niej było?

– Nie wiem, nie patrzyłem. Po prostu przekazałem ją kobiecie i wtedy domyśliłem się, że może coś między nimi było.

– Dlaczego nie wysłał paczki bezpośrednio do niej?

– Nie mógł wykluczyć, że będziemy ją obserwować, ale był pewien, że akurat ja zachowam to w tajemnicy.

Gross zastanowił się nad jego odpowiedzią, a potem wrócił do terażniejszości.

– To pan poszedł wtedy nad jezioro, prawda?

– Szedłem za Remkiem, który chyba pokapował się, że go śledzę. Pewnie dlatego wymyślił tego Antka, a sam czekał na bulwarze.

– A klucz?

– Jaki klucz?

– Niech pan nie udaje. Klucz, który zerwał pan z szyi Tarasewicza.

Krzysztof Wegner nie odpowiedział.

– Myślałem, że uda mi się trochę wzbogacić, że dam coś moim dzieciom – odezwał się wreszcie z zażenowaniem.

– Do czego był to klucz?

– Do dziś tego nie wiem. Włamałem się do domu Jaworskiej, ale niczego w nim nie znalazłem.

– To dlatego spalił pan tę chałupę?

Wegner spojrział martwym wzrokiem na komisarza i stwierdził, że bez adwokata niczego już więcej nie powie.

*

Gross wrócił wtedy do Chełmży na miejsce pożogi. Uruchomił latarkę i zszedł do czarnej od sady piwnicy, w której śmierdziało spalenizną. Ostra woń była trudna do zniesienia.

Pod grubym blatem dużego stołu do wytrawiania skór znajdowała się wymurowana przestrzeń, prostokąt z cegły dziurawki z otwartymi przestrzeniami w rogach. To tam Tarasewicz ukrył ciało Jaworskiej i zwłoki swojej żony. Nie rozłożyły się. W suchej i ciepłej przestrzeni zmumifikowały się,

a mole i późniejszy pożar dokończyły dzieła. Pęknięta kość gnykowa Jaworskiej i pęknięta czaszka Grażyny Tarasewicz odsłoniły przyczyny śmierci.

Błat stołu spalił się doszczętnie, podobnie jak leżące na nim skóry. Potem ogień częściowo strawił zmumifikowane zwłoki. Szczątki przewieziono do prosektorium na Bielanych w Toruniu, gdzie sekcję przeprowadziła doktor Raszeja.

Gross wpatrywał się w wyłożoną brukiem klinkierowym podłogę.

Róg tego swoistego sarkofagu tonął w cieniu, ale komisarzowi wydawało się, że kilka narożnych cegieł zapadło się.

Zanim wszedł do wymurowanej przestrzeni, cofnął się do samochodu po rękawiczki lateksowe. Założył je i kucnął, próbując wyjąć jedną z cegieł. Była poluzowana, więc nie miał z nią większych problemów. Z drugą i kolejnymi poszło jeszcze łatwiej. Przetarł dłonią osłoniętą ziemię i zaczął usuwać ją palcami, ale niczego tam nie znalazł. Na co liczył? Że to będzie takie proste? Że wszystkie zagadki tej sprawy zostaną wyjaśnione?

Obszedł piwnicę, gdzie po podłogach walały się spalone graty, pozostałości mebli i wyposażenia, zajrzał do wykoślawionego przez pożar kotła, raz jeszcze spojrzął na wyczystki komina. Wszystko to sprawdzał już wcześniej, chociaż nie opuszczało go przeświadczenie, że musiał coś przeoczyć. Gdzieś znajdowała się jeszcze jedna kasetka, do której klucz miał Tarasewicz, kiedy czekał nocą na zamrzniętym jeziorze. I było w niej coś znacznie ważniejszego od pieniędzy przekazanych Remkowi Ekierskiemu wcześniej, jakby na zachętę.

Gross wyszedł z piwnicy.

W domu było ciemno, pozbawione szyb okna zostały zabite dechami, przez które hulał tu wiatr. Komisarz cały czas korzystał z latarki, której światło przesunęło się z podłogi na ściany i sufit. Oświetlił też schody prowadzące na piętro i już miał się tam udać, kiedy nagle coś zrozumiał. Tarasewicz miał niewiele czasu na zrobienie porządków i na schowanie drugiej kasetki. Wybrał to miejsce, w które nikt nigdy nie zagląda.

Komisarz wrócił do piwnicy i zaczął usuwać spalone przedmioty, które tkwiły we wnęce pod schodami. Musiał się tam dostać i zajrzeć za ścianę, na której wspierały się stopnie. Kiedy skończył, jego ubranie znaczyły czarne smugi.

Gross pochylił się i wszedł do wnęki. Pod butami trzeszczała sadza.

Oświetlił niewielką przestrzeń pod schodami. Tkwiły tam nadwęglone szczapy drewna. Otarł spocone czoło, a następnie położył latarkę na podłodze. Kucnął i zaczął odkładać na bok polana. Po chwili światło odbiło się od fragmentu metalu, przysłoniętego wysuszonym drewnem. Odrzucił je i wtedy na to trafił.

Założył kolejną parę gumowych rękawiczek i dopiero wówczas chwycił w dłonie niewielką puszkę zamkniętą na kłódkę.

Klucz, który zerwał Tarasewiczowi Wegner, stanowił dowód w sprawie. Gross nie mógł go mieć przy sobie.

Zabrał znalezisko i wyszedł z nim na zewnątrz, oddychając wreszcie świeżym powietrzem, po czym zadzwonił do Chęcińskiego.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną robotę – powiedział, kiedy technik odebrał telefon.

*

Następnego dnia po tym zdarzeniu Gross siedział przed monitorem i uzupełniał dokumentację śledztwa, gdy ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Nie odezwał się, nie chciał, żeby ktokolwiek przeszkadzał mu w mozolnej robocie.

– Mogę? – Usłyszał kobiecy głos.

W drzwiach stanęła prokurator Joanna Bilka, odchylona nieco dla przeciwwagi dużego

ciężowego brzucha, na który naciągnęła luźne spodnie z szerokim elastycznym pasem.

Wstał, żeby się z nią przywitać, a następnie poprosił, żeby usiadła.

– A dziękuję, chętnie. Teraz korzystam z każdej okazji do odpoczynku. – Poglądziła się po brzuchu.

Gross zerknął na zegarek, wciąż niecierpliwie czekał na wiadomości od Chęcińskiego.

– Przyszłam nie w porę? – Bilaska zaniepokoiła się.

– Nie, po prostu czekam na ważny telefon.

– Rozumiem. Chciałam tylko pogratulować dobrej roboty, panie komisarzu – mówiła, nie przestając gładzić brzucha. – Przydałby się nam pan w Toruniu.

– Na razie mam co robić w Chełmży – zapewnił.

– Ale przecież ta Chełmża miała być spokojnym, cichym portem przed emeryturą, nieprawdaż?

– Tak. Może trochę mi to nie wyszło. – Lekko uniósł kąciki ust.

Ona też się uśmiechnęła.

– Pomyśli pan nad powrotem? – zachęciła go.

Gross pokręcił głową.

– No cóż, szkoda. Ale przynajmniej próbowałam. – Bilaska wstała.

Uścisnęli sobie dłonie, a Gross otworzył jej drzwi. Kobieta zatrzymała się jednak w progu.

– A wie pan już, co było w tej puszcze? – Odwróciła się.

– To właśnie na ten telefon czekam.

– To mógł pan tak od razu. Bo ja już wiem.

Zmarszczył czoło, ale nie musiał zachęcać Bilskiej, by podzieliła się z nim wiedzą.

– Tarasewicz zostawił w niej dokumenty. Między innymi pełnomocnictwo sprzedaży domu wystawione na niego przez Jaworską i swój testament. Musiał spisać go w noc przed zniknięciem.

– Co w nim było? – zainteresował się Gross.

– Wydziedziczył pierworodnego i przekazał wszystko Remigiuszowi.

Gross zastanowił się nad tym, co usłyszał.

– To dlatego Jan tak bardzo walczył o to, by powrót ojca nie wypłynął na światło dzienne.

– A Wegner mu w tym pomagał.

– Widocznie też miał w tym swój interes – podsumował Gross.

– Ale na szczęście pan bezinteresownie stanął im na drodze.

Wyszła na korytarz.

– To nie tak – odparł spokojnie. – Ja też na tym skorzystałem.

– Jak to?

Zdawało mu się, że Bilaska posmutniała. Uspokoił ją jednak gestem.

– Chodzi o porządkowanie starych spraw – powiedział.

*

Nagły błysk rozjaśnił atramentowe lipcowe niebo, a łamane linie błyskawicy odbiły się w czarnej wodzie. Po chwili rozległ się długi i głośny grzmot, który przywołał Grossa do rzeczywistości.

Tu, gdzie siedział, czyli po drugiej stronie jeziora, doskonale widział, jak ludzie uciekali w popłochu z bulwaru i miejskiej plaży.

A jeszcze kilka miesięcy wcześniej na pierwszym planie miałby czerwoną łódkę.

Krople deszczu marszczyły taflę jeziora i siekły piaszczysty brzeg plaży Stolbudu.

Gross wstał i odprowadzany szumem drzew, ruszył pod górkę w stronę Plażowej. Woda spływała mu wąskimi strużkami pod nogi, ale oberwanie chmury nadeszło dopiero, gdy zamknął drzwi klatki schodowej w bloku. Grzmoty brzmiały teraz głucho i następowały szybko po sobie. Na schodach

zrobiło się ciemno. Gross chciał włączyć światło, jednak nie działało.

Dostał się na czwarte piętro i otworzył drzwi mieszkania. Deszcz zawzięcie chłostał szyby i spływał po nich, wykoślawiając świat.

Zdjął buty i poszedł do łazienki po ręcznik. Przetarł posiwiałe włosy, a zaraz potem ściągnął mokry T-shirt, żeby rozwiesić go na krześle w kuchni.

– Już wróciłeś? – spytał syn.

Leżał na dmuchanym materacu w samych bokserkach, prześcieradło przykrywało jego biodra i łydki. Obok materaca stały trzy puste butelki po piwie.

Gross podpałił gaz pod czajnikiem.

– Napijesz się herbaty? – spytał.

Chłopak ziewnął.

– Kawę zrób.

– Która to już dzisiaj?

– To nie rób – warknął.

Gross westchnął.

– Chciałbym, żebyśmy pojechali do mamy. – Kolejny raz w ciągu kilku dni podjął ten sam temat.

– Przestań.

– Powinieneś się z nią zobaczyć...

– Kurwa, ojciec, daj już spokój!

Gross wyjął z szafki dwa kubki i wrzucił do jednego z nich ekspresową herbatę, a do drugiego nasypał mielonej kawy.

– Siedzisz tu już piąty miesiąc i ani razu do niej nie pojechałeś. Nie musisz tam jechać ze mną, możesz też sam. – Nie chciał tego mówić, ale powtarzał to synowi za każdym razem, gdy wrócił od żony. – To jest twoja matka. – Przypomniawszy znowu, jakby te słowa niczym zaklęcia mogły cokolwiek zmienić. Wiedział, że nie namówi syna na wyjazd, a jednocześnie nie potrafił odpuścić. To zawsze kończyło się scysją.

Woda się zagotowała, wpatrywał się w ulatujące w górę kłęby pary.

– No powiedz coś, ojciec, powiedz. Widzę, że cię nosi.

Gross zalał wrzątkiem oba kubki. Głęboki zapach kawy rozszedł się po kuchni.

– To jest twoja matka. – Przypomniawszy niczym echo.

– Owszem, to jest ciało mojej matki. Ale tylko ciało i nic więcej. Obaj dobrze o tym wiemy. Jej tam nie ma. – Postukał się w głowę.

Gross zacisnął pięści i wywierając duży nacisk, oparł się nimi na blacie. Musiał zrobić wszystko, by je unieruchomić.

O tym, że syn wyleciał ze studiów za próbę przekupstwa nauczyciela akademickiego i lżenie dziekana wydziału, nie rozmawiali już w ogóle. Nie dało się. Sprawa była w toku, ale Gross wiedział, że to się źle skończy.

Ucieszył się, gdy zadzwonił jego telefon.

– Gotowy do roboty? – Usłyszał głos Skalki, która pełniła dziś dyżur.

– Co się stało?

– Dzwonił do mnie dyżurny. Zaginęło dwóch wychowawców na obozie harcerskim w Zalesiu.

– Kiedy?

– Liżą rany po nawałnicy, ale tej dwójki jak nie było, tak nie ma.

– Może po prostu przeczekują gdzieś burzę?

– Chodzi o to, że nie wrócili do obozu na noc. Wieczorem poprzedniego dnia mocno się pokłócili, ale nikt nie wie, o co.

Gross i tak nie miał nic lepszego do roboty. Wyjazd byłby dla niego wybawieniem. Obiecał, że za parę minut będzie na dole. Potem wyjął z szafy czysty T-shirt i nałożył go.

– I co? – spytał syn. – Jedziesz sobie, tak?

Gross wolał się nie odzywać i nie prowokować kolejnej kłótni. Nie wiedział, co jego syn zamierza. Nie mógł znaleźć pracy, w kółko tylko powtarzał, że przeniesie się na UMK albo jakąś uczelnię w Bydgoszczy, ale nie kiwnął w tej sprawie palcem. Żył z resztek pieniędzy, które Gross dał mu po sprzedaży mieszkania w Toruniu. Nie chciał powiedzieć ojcu, ile mu zostało, każdą rozmowę na ten temat kończyły wrzaski. Bolesna prawda była taka, że nie umieli ze sobą normalnie rozmawiać.

– Bo ty, ojciec, masz jakąś skazę, wiesz? Jestem tu tak długo, a ty nawet ze mną nie gadasz, ciągle tylko wrzeszczysz, czepiasz się. Rozgrzebujesz wszystko na nowo. Niby jesteś, ale czuję się tak, jakbym był tu zupełnie sam. – Syn wciąż leżał na materacu, nie ruszał się. Wpatrywał się w sufit. – I właśnie zrozumiałem, że ja już nie chcę tu być. Że w zasadzie nic nas nie łączy. Po prostu jesteśmy już innymi ludźmi.

Gross spojrzał w jego stronę.

– Nie jesteśmy rodziną – dodał syn. – Kiedyś tak, ale teraz już nie.

Komisarz poczuł ukłucie w sercu. Krótkie, ale dotkliwe.

– Pogadamy, jak wrócę – obiecał.

– Ty nie wracasz. Ciebie tu nie ma, nawet jak jesteś. To dlatego chciałem się wyrwać z domu. To dlatego to wszystko! To chłanie, te pierdolone problemy. Wszystko to, kurwa, przez ciebie! – Bartek usiadł na materacu. – A ty pewnie myślisz, że to dlatego, że straciłem matkę. Gównu tam! Z tym bym sobie poradził. Prawda jest taka, że kiedy straciłem ją, straciłem też ciebie.

Gross zabrał klucze i zaczął schodzić po schodach.

– No i, kurwa, tak jest zawsze. Teraz też uciekasz? – ryknął syn.

Jego krzyk słychać było na klatce.

Kiedy Gross był na trzecim piętrze, rzucił okiem na elegancko ubranego sąsiada, który zamykał drzwi do swojego mieszkania. Tego znajdującego się pod mieszkaniem Grossa, do którego komisarz skierował niedawno dzielnicowego.

– O właśnie! – warknął. – Dobrze, że pana widzę. Człowiek spokoju nie ma we własnym domu, cholera. Co wy się tam ciągle tak wydzieracie? – Gross zatrzymał się. – To pan się tak drze czy ten pana fagas? Tyle czasu był spokój, a od kilku miesięcy ciągle morda wyje. Ja zrobię z wami porządek, pedały jedne! – Pogroził palcem i zbiegł po schodach. – Powiem, komu trzeba, a jak tego będzie mało, to policję wam na łeb naślę, zboki jebane! Dzielnicowemu powiem!

– Niech pan zaczeka, chciałem pana przeprosić – stwierdził Gross, a kiedy mężczyzna zatrzymał się na półpiętrze, komisarz podszedł do niego z wymuszonym uśmiechem na ustach.

Wtedy poczuł zapach jego drogich perfum. Gross wyciągnął rękę, a następnie, kiedy sąsiad podał swoją, zwiotczała i wilgotna, z całej siły zacisnął dłoń. Mężczyzna padł na kolana i zasyczał z bólu, a wtedy Gross nachylił się do jego ucha.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę nocą płacz waszego dziecka, zrobię wszystko, byś utracił prawa rodzicielskie. A jakby ci było mało, to z pomocą prokuratora wsadzę cię do pierdła, skurwysynu. Chcesz tego?

Elegancik zaprzeczył.

Gross wreszcie zwolnił uścisk.

– Więc co się mówi? – spytał policjant.

– Prze... przepraszam – wydukał mężczyzna, rozmasowując sobie bolącą dłoń, po czym wstał i otrzepał kolana.

– Nie mnie przepraszaj, tylko swojego syna – rzucił Gross i zszedł po schodach. – Będę miał cię, gnoju, na oku.

Adrenalina buzowała mu w żyłach, kiedy stanął na chodniku.

Kierowca radiowozu zaparkował w cieniu przy krawężniku.

Grossowi zakręciło się w głowie. Z niewielkiego sklepu po drugiej stronie jezdni wyszła Skalka. Rozejrzała się na boki, nim przecięła drogę truchtem. Widział ją podwójnie, obraz w jego oczach rozmazywał się. Zbliżyła się do niego z paczką gum w dłoni. Poczęstowała, ale odmówił gestem, miał zaciśnięte szczęki.

– Znowu się z nim pokłóciłeś? – spytała.

Gross nadal nie mógł wydobyć słowa, machnął tylko ręką, sadowiąc się w fotelu pasażera. Podał rękę kierowcy i zapiął pas. Skalka zajęła miejsce za nim. Trzasnęły głucho drzwi. Policyjne radio zaskrzeczało, po chwili usłyszeli komunikat dyżurnego.

Kolejne ukłucie. Krótkotrwały ból z okolic mostka.

Gross przyłożył rękę do klatki piersiowej, dokładnie do tego miejsca, które bolało najbardziej.

A co, jeśli to...

Wziął dwa głębokie wdechy.

– Wszystko okej? – spytała Skalka, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie w lusterku wstecznym z kierowcą.

– Jedźmy już – poprosił Gross na wydechu.

Przez moment skrzywił się, ale próbował natychmiast ukryć ten grymas, uśmiechając się.

– Dobrze się pan czuje, komisarzu? – Kierowca spojrzał w jego stronę.

Gross z trudem uniósł kciuk.

– No dobra, to jedziemy – dodał kierowca i wrzucił jedynkę.

Samochód nawrócił na pustej drodze i odjechał w stronę centrum, które na powrót skąpane było w słońcu.

*

Kilka minut później w stronę sklepu zmierzał młody mężczyzna. Przystanął przy jezdni i zanim ją przeciął, rozejrzał się. Kupił dwa piwa w puszcze, wybrał ulubione gumy do żucia. Poprawił zsuwający się z ramienia plecak i omijając wielkie kałuże, wybrał najkrótszą drogę do dworca.

Kiedy zobaczył stare zabudowania z czerwonej cegły, miał szczerą nadzieję, że jest tu ostatni raz. I że już nigdy tu nie wróci.

Właściwie mógłby zrobić tylko jeden wyjątek.

Wpadłby tu na pogrzeb ojca.

Podziękowania

Moja nowa seria kryminalna z komisarzem Bernardem Grossem nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, gdybym nie miał wsparcia wielu wspaniałych osób, którzy poświęcali swój cenny czas i dzielili się ze mną swoją wiedzą.

To dla mnie zaszczyt, że wiele spraw i wątków mogłem konsultować z Tadeuszem Zymanem, prokuratorem w stanie spoczynku, oraz podkomisarzem Pawłem Leśniewskim z Zakładu Służby Kryminalnej Szkoły Policji w Pile.

Starałem się, by moja opowieść trzymała się obowiązujących ram prawnych i nie odbiegała dalece od prawdziwego policyjnego śledztwa. Czasami jednak musiałem uznać wyższość fabuły nad policyjną i prokuratorską praktyką. Dlatego za wszelkie błędy i uproszczenia w tej materii proszę winić wyłącznie mnie; moi znakomici eksperci są niewinni.

Serdeczne podziękowania kieruję do podinspektor Wioletty Dąbrowskiej, oficera prasowego toruńskiej policji, oraz do młodszego inspektora Mariusza Sobieckiego, komendanta komisariatu policji w Chełmży. Miło było zobaczyć to miejsce na własne oczy i poznać specyfikę pracy funkcjonariuszy na terenie kilku gmin powiatu toruńskiego. Dziękuję za gościnność i serdeczność.

Dziękuję też młodszemu brygadierowi Maciejowi Bajbakowi z Państwowej Straży Pożarnej w Toruniu, który wsparł mnie, udzielając wielu ważnych informacji na temat działań strażaków podczas akcji ratowniczych na zamrzniętych akwenach.

Kłaniam się nisko Darkowi Łubkowskiemu, mieszkańcowi i miłośnikowi Chełmży oraz jej historii, dziękując za organizację mojego pierwszego spotkania autorskiego w tym mieście, a także za niezwykle serdeczność i ekspresowe odpowiedzi na pytania, których miałem wiele. Ani Rozenberg dziękuję za wnikliwą i ekspresową lekturę *Skazy*, szczególnie za wyłapanie błędów i nieścisłości fabularnych. Piotrowi Lianie, koledze „kryminaliście”, za pomoc w rozwiązaniu nurtujących mnie spraw z zakresu farmaceutyki. Redaktorce Paulinie Jeske-Choińskiej za wnikliwe uwagi do *Skazy* i dbałość o powieściowy detal.

Serdecznie dziękuję też Pani Janinie Mirończuk, prezes zarządu fundacji „Światło”, za poświęcony czas, długie i emocjonujące opowieści o losach podopiecznych oraz oprowadzenie po toruńskim ośrodku dla „śpiochów”. Dziękuję również Kasi Gucajtis, która zawsze z uśmiechem umawiała mnie na te spotkania.

Podziękowania kieruję również do Bartosza Szczygielskiego, bo z nikim nie marudzi mi się tak dobrze, jak z nim! Ponadto wspólnie nakręcaliśmy się do literackich działań, bo jakoś tak się złożyło, że nasze deadline’y wypadły w podobnym terminie.

Kłaniam się Marcie Matyszczak i dziękuję za wielką serdeczność!

Chcę także podziękować wszystkim, którzy nie odmawiali mi chwili rozmowy na temat Chełmży: Marzenie Marek i Jackowi Szymeczko, Markowi Wantowskiemu, Tomkowi Lewandowskiemu i Michałowi Kadlecowi, z którym wybrałem się na zimowy spacer ulicami miasta.

Sporo ciekawych informacji o zakresie działania Polskiego Związku Wędkarskiego otrzymałem od Karola Makowskiego i Magdy Czarneckiej, a o wędkarstwie – od Marka Strześniewskiego. Dziękuję, bo długo Was męczyłem. Wykazaliście się nie lada cierpliwością.

Pora na podziękowania dla mojego Wydawcy – Czwartej Strony. Kłaniam się Patrykowi Mierzwie, z którym wspólnie projektowaliśmy moją nową serię powieściową. Adrianowi Tomczykowi, redaktorowi prowadzącemu, dziękuję za komfort pracy oraz mądre wskazówki, z których chętnie korzystałem i dzięki którym *Skaza* jest po prostu lepszym kryminałem.

Jak zwykle ściskam serdecznie Anię Wasik, dyrektor handlową Wydawnictwa Poznańskiego, i Roberta Falewicza, redaktora naczelnego, za otwartość i ogromne wsparcie, którego mi udzielają.

I wreszcie dziękuję całej mojej Rodzinie, a w szczególności Rodzicom, którzy zawsze trzymają za mnie kciuki.

Dziękuję też mojej wspaniałej żonie, Kasi, która ze stoickim spokojem znosi moje humory, i synkowi Maksowi, któremu czasami brakowało taty, bo długie miesiące spędzałem przed monitorem. Bez Was, moi kochani, nic by się nie udało!

Robert Małecki
[facebook.com/robertmalecki.autor](https://www.facebook.com/robertmalecki.autor)
[instagram.com/robertmalecki.autor](https://www.instagram.com/robertmalecki.autor)
www.robertmalecki.pl